

GOTUJ Z PAPIEŻEM

GOTUJ Z PAPIEŻEM

JAKUB CWIĘK

Jakub Ćwiek

Gotuj z papieżem



fabryka słów

2009



COPYRIGHT © BY Jakub Ćwiek, LUBLIN 2009
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2009

WYDANIE I

isbn 978-83-7574-027-1

REDAKCJA SERII Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT ORAZ GRAFIKA NA OKŁADCE Piotr Cieśliński

REDAKCJA Marcin Wroński

KOREKTA Magdalena Bargłowska, Magdalena Byrska SKŁAD ORAZ OPRACOWANIE OKŁADKI
Dariusz Nowakowski

WYDAWCA

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-607 Lublin, ul. Wallenroda 4c

www.fabrykaslow.com.pl

e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Od Autora

Dedykacja

Oj, oberwie mi się za ten tekst.

Gotuj z papierem

Każdy kiedyś umrze.

Pokój pełen cienia

To właściwie jest i nie jest historia o Harrym Houdinim.

Miejsce, które jest

Telewizyjny tasieniec z aktorami pracującymi metodą Stanisławskiego.

Związek idealny

Chciałem napisać opowiadanie o Indianach.

Newegwasu'u

Potrzebowałem wakacji.

Dom na Wzgórzu

Są przynajmniej dwa powody, dla których ten tekst powstał.

Szarość

Czasami człowiek chciałby coś wydumać na poważnie, a wychodzą mu jakieś zgrywy.

Grzechu warte

To miała być moja pierwsza antologia.

Smutni

Część II

Epilog

Czasami mam wrażenie, że moja wyobraźnia nie dorasta do rzeczywistości.

Album

OD AUTORA

Każde opowiadanie tutaj ma swój własny wstęp bądź posłowie, uważam więc, że rozpisywanie się w przedmowie byłoby zwyczajnym gadulstwem. Życzę Wam wszystkim miłej lektury...

*Zbiór dedykuję Eli Gepfert.
Mnie samego zaskoczyło, jak wiele jej zawdzięczam.
Dziękuję Ci, Elu!*

Oj, oberwie mi się za ten tekst. Skąd takie przypuszczenie? Bo zebrałem już w czapkę za sam pomysł. Marudziła mi rodzina, ostrzegali niektórzy znajomi, byli też tacy, co pytali: „Po co ci to, człowieku?”.

A prawda jest taka, że od dawna chciałem napisać coś w tym duchu. Rzecz o manipulowaniu tłumem, o płytkości w podejściu do spraw głębokich, o zmieniających się punktach widzenia i rodzeniu się bzdurnych dogmatów. Przede wszystkim jednak chciałem napisać coś o krzywdzie, jaką wyrządzono papieżowi i jego dziełu. O tym, że jakoś tak, kurde, mało kogo interesowało, co ma do powiedzenia, bo dużo zabawniejsze było traktowanie go jak świątobliwy odpowiednik Małysza. Kremówki? Papieskie pociągi? Ulica w każdym mieście? Stosy książek? A teraz jeszcze filmy i komiksy...

To, co napisałem, jest fikcją w tym sensie, że nigdy się nie zdarzyło. A pewnie nawet jeśli się wydarzy, nie potoczy się tak groteskowo, jak tutaj pokazałem. Choć... cholera jasna! Słyszeliście kiedyś audycje toruńskiego radia – katolickiego głosu w każdym domu? Wystarczy raz posłuchać i człowiek niczego już nie może być pewny...

Dedykuję: Krzysiuwi „Bookatowi” Bortelowi.

On to bowiem wygłosił zdanie o przepisie na bestseller, które stanowiło załączek pomysłu.

Dobra robota, Krzysiu. Przytrzymam dla Ciebie ciepłutkie miejsce na moim stosie.

GOTUJ Z PAPIEŻEM

– I napisz tu, kurwa, bestseller! – powiedział pewnego razu Robal, patrząc z niesmakiem na empikowy stolik nowości.

To był bodaj październik albo kwiecień – nie pamiętam dokładnie – czyli jeden z tych miesięcy, gdy wszyscy nagle sobie przypominają, jakim to niesamowitym kolesiem był papież i jak to fajnie byłoby o nim poczytać.

Dlaczego akurat wtedy? Proste – w październiku papież został wybrany przez konklawe, w kwietniu umarł. Dokładnie drugiego kwietnia o godzinie dwudziestej pierwszej trzydzieści siedem. Był czas, że każdy w tym kraju znał tę datę co do minuty.

Jak mówiłem, to musiał być jeden z tych miesięcy, bo wspomniany już stolik z książkowymi nowościami uginał się wręcz od książek papieża i o papieżu. Tych drugich było, rzecz jasna, nieporównywalnie więcej. Kolejny biskup składał świadectwo we wspominkowej publikacji, szef ochrony z Castel Gandolfo dzielił się wrażeniami i anegdotami związanymi z Janem Pawłem II, a aktorzy z najpopularniejszych polskich seriali mówili w wywiadach, jaki to wielki wpływ na ich życie miały papieskie słowa i przesłanie.

Gdzieś w tym wszystkim gubiły się pojedyncze egzemplarze książek Cobena, Kinga czy Grocholi, tak lubianej przez panie. Właściwie na stoliku nie istniało nic prócz... A nie, wróć! Bo mało brakowało, a spaliłbym puentę...

Oprócz książek o papieżu całkiem nieźle radziły sobie jeszcze książki kucharskie. Od tego Francuza z telewizji po siostrę Anastazję i jej przepisy – wszystkie były w twardych oprawach, ze zdjęciami smakołyków i prostą

instrukcją, jak olśnić gości, mając na podorędziu kilo mąki, jajko i dwa słoiki dżemu. Nakłady miały nieporównywalnie mniejsze od książek papieskich, za to sezon na nie nigdy się nie kończył.

No więc stoimy sobie przed tym stolikiem umiejscowionym przy samym wejściu, gapimy się to na książki, to na siebie i wtedy właśnie mówi mi Robal: – I napisz tu, kurwa, bestseller. Jeśli nie nazwiesz go „Gotuj z papieżem”, to jesteś w dupie.

Pamiętam, śmiałem się z tego. Brzmiało jak dowcip, sami przyznacie. No i trzeba było jeszcze widzieć jego minę, gdy to powiedział – jakby ktoś beknął mu w twarz, słowo daję!

Teraz jednak, gdy o tym pomyślę, nie jest mi do śmiechu. W jakiś sposób bowiem – choć nikt nie mógł tego przewidzieć – to wszystko zaczęło się właśnie wtedy...



Mam na imię Remek. I tak właśnie na mnie mówią. Remek albo Remo. Znacie pewnie ten typ – z zasady unikający imprez prowincjonalni studenci, którzy są tak nijacy, że nawet nie dorobili się ksywy. To od takich jak ja ściągaliście na pisemnych. Myślę, że się rozumiemy...

Chłopaki z roku generalnie mnie lubili, tak jak lubi się nieszkodliwych wariatów – kujonów. Ot, zagadali czasem na korytarzu, bywa, że obśmiali za plecami, ale też zapraszali na piwo, gdy szli większą grupą po zajęciach.

Z dziewczynami wychodziło mi gorzej. Z kilkoma wymieniałem się notatkami podczas wieczornych spotkań w kawiarni, jedna – kompletnie pijana – polizała mnie po uchu, myśląc na imprezie z Robalem. Całowałem

się też z Ewką, jak się szykowała do spektaklu – chciała zostać aktorką i czasem miała takie walnięte pomysły. Nie protestowałem... Ewka to niezła sztunia.

No dobra, macie już chyba pełen obraz, co? Jeśli nie, dodajcie do tego brodę, kilka flanelowych koszul, długie włosy i gitarę w kącie akademickiego pokoju...

A właśnie, bo mieszkam w akademiku. Z Robalem. Pokój trzydzieści dziewięć, dom studencki numer jeden, miasteczko akademickie Ligota, Katowice. Jakbyście z przodu dodali moje nazwisko, list dojdzie z dowolnego miejsca w kraju. To znaczy – jeśli nie zgubią go na poczcie...

Ale miało być o mnie i Robalu. Do pokoju trafiliśmy trochę z loterii, a trochę po kierunku studiów. Ja właśnie zaczynałem kulturoznawstwo, a mój współlokator po niezłych bojach i trudach rozpoczynał drugi rok tego kierunku. Kierownik akademika, wygrzebawszy ze stosu innych nasze teczki, uznał, że dobrze nam będzie razem. No i chyba utrafił, bo sporo nas łączyło.

Najbardziej chyba to, że obaj chcieliśmy studiować co innego – ja grafikę na ASP, Robal reżyserię na Wydziale riTV – i obu nam życie dokopało, zsyłając na kierunek awaryjny. Sprowadzeni więc do parteru, razem grzebaliśmy się w mule codzienności z dala od marzeń i wielkich planów... Niespełniony grafik i sfrustrowany pisarz doszufladowy z wielkimi ambicjami. Wydawałoby się, nieszkodliwa kombinacja, ale to właśnie my dwaj wywołaliśmy całe to zamieszanie. A właściwie... Nie, po kolei.



Oto jak było:

Wróciłem do akademika jakoś tak po piętnastej. Trochę się zdziwiłem, że na recepcji nie było klucza, bo we wtorki to ja kończyłem wcześniej. Robal miał wtedy ćwiczenia po południu, a potem te kursy przygotowawcze na Bytkowie, gdzie mieścił się Wydział Radia i Telewizji. No ale przecież, pomyślałem, student nie tramwaj, nie musi ściśle trzymać się rozkładu. Pozdrowiłem więc panią Kazię – ją akurat lubiliśmy jako jedyną z tych żoźz recepcjonistek – i pchnąwszy przeszklone drzwi oddzielające hol od schodów, ruszyłem korytarzem.

– Cześć – powiedziałem, wchodząc do pokoju. Zaraz przy wejściu po lewej była umywalka, a pod nią krzesło. Cisnąłem na nie plecak i zerknąłem w lustro. Wyglądałem tak samo źle jak zwykle. – Urwałeś się?

– Cześć – odparł siedzący na łóżku Robal. – Zwolniłem.

Odwróciłem się gwałtownie i spojrzałem na niego, nie kryjąc zdumienia.

– Że jak? Tak u wykładowcy?

Przytaknął.

Zagwizdałem pod nosem i pokręciłem głową. To była, nie ukrywam, nowość i spore zaskoczenie. Z nas dwóch to ja byłem tym, który się grzecznie zwalnia. Jemu zazwyczaj szkoda było czasu na ganieanie za wykładowcami wcześniej niż pod koniec sesji. Coś więc musiało być nie tak...

Zzulałem buty bez rozwiązywania sznurówek i wszedłem dalej. Siadłem naprzeciwko współlokatora, na swoim łóżku. Dopiero teraz dostrzegłem, że obok Robala leży, dotąd ukryte za jego udem, pudełko po butach. Wieczko było odsunięte, a ze środka wystawało mnóstwo zapisanych świstków, serwetek i kartek z notesów. Był też plik czarno-białych zdjęć spiętych recepturką.

– Co to?

Wzruszył ramionami.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że zmarł brat mojego dziadka? Ten podróżnik? – zapytał, nie podnosząc głowy.

– Ten, po którym miałaś dostać spadek?

– Właśnie ten, kurwa! – Wykonał niedbały ruch ręką, wskazując pudełko. – No i dostałem...

Naraz wszystko stało się jasne. Robal dostał od rodziny cynk o spadku, więc podekscytowany zwolnił się z zajęć – nie musiał w tym celu wymyślać specjalnie żadnej wymówki, więc co mu szkodziło – i przyjechał jak najprędzej przeliczyć swój szmal. No i zamiast oczekiwanej koperty z gotówką dostał pudełko po butach pełne bibelotów po martwym staruszką. Nie dziwiła jego mina i niechęć do rozmowy.

Chciało mi się z niego śmiać, ale przygryzłem wargi. Jak mieszkasz z kimś na paru metrach kwadratowych przez kilka miesięcy po pięć dni w tygodniu, szybko się uczysz, że empatia to jednak ważna sprawa... a poczucie humoru najlepiej mieć wspólne.

– Idziemy na piwo?

Skinął głową, jednak nie ruszył się z miejsca, więc i ja nie wstawałem. Wyciągnąłem tylko rękę i wyjąłem z pudełka plik zdjęć. Zdjąłem z nich gumkę.

– Mogę? – zapytałem.

Właściwie powinienem był od tego zacząć, ale Robal nie przejął się naruszeniem etykiety.

– Możesz je sobie, kurwa, nawet wziąć, jeśli chcesz! – Wstał gwałtownie, strącając pudełko na ziemię. Kartki, świstki i serwetki wysypały się na podłogę, odsłaniając ułożone na dnie maleńkie woreczki. Przyklęknąłem, by sprawdzić, co to takiego.

– No idziesz na to piwo czy nie?! – ryknął na mnie. Chociaż był chudy jak patyk, a z wyglądu sprawiał wrażenie raczej niegroźnego, gdy krzyczał, autentycznie się go bałem. – I zostaw to gówno! Jakies przyprawy albo co...

– Jasne, Robal – powiedziałem.

Podniosłem się z klęczek i wsunąłem zdjęcia do kieszeni bluzy. Jakoś tak odruchowo, rozumiecie. A potem wyszliśmy.



Chcieliśmy pójść „Za szybę” albo do „Strachola” – jednego z dwóch lokali na miasteczku, niestety, oba wciąż jeszcze były zamknięte. Skończyło się więc na spożywcza i dwóch puszkach tyskiego. Usiedliśmy z nimi na ławce w parku za akademikami.

Nie odzywałem się. Bo i niby cóż miałem powiedzieć? To nie mnie runęły marzenia o spadku – grubej kasie znikąd, za którą można by kupić laptop, a może i jakiś używany samochód. Robal opowiadał o tym wujku, jakby ten był jakąś krzyżówką Billa Gatesa i Indiany Jonesa. Mógł się więc czuć zawiedziony, że jedyne, co dostał za swą wiarę i opowieści, to pudełko, a w nim trochę fotek. Upiłem łyk piwa i postawiłem puszkę na ziemi, pomiędzy niedopałkami i łupkami ze słonecznika usypanymi tu gęsto jak leśne poszycie. Sięgnąłem do kieszeni po zdjęcia.

Przed nami przebiegły jakieś dwie laski. Ubrane były skapo, w kuse spodenki i obcisłe topy, na uszach słuchawki empetrójek przypiętych do paska. Patrząc na ich podskakujące piersi, zastanawiałem się, w którym akademiku mieszkają i czy już je kiedyś widziałem. Robal nawet głowy nie podniósł.

– Sztunie, Robal – szepnąłem, szturchając go w ramię.

– Aha – odparł.

Obrócił puszkę między palcami i zaczął czytać napis drobnym druczkiem, jakby naprawdę chciał wiedzieć, z czego robią tyskie. Źle z nim było...

Westchnąłem i zacząłem przeglądać fotografie. Czułem, że powinienem jakoś go pocieszyć, ale, cholera, nic nie przychodziło mi do głowy. To on zawsze był tym od gadania, pocieszania i mówienia, że wszystko będzie „zajebiste jak stepujące misie”. Nie wiem, skąd wziął to hasło, ale zawsze mnie rozwalało i poprawiało mi humor. Teraz było mi głupio, że nie umiałem się zrewanżować w podobny sposób.

Snułem te rozważania, a moje palce pracowały automatycznie, przekładając fotkę za fotką z wierzchu na spód stosu – jakbym tasował karty.

Wszystkie zdjęcia przedstawiały wuja podróżnika szczerzącego się do obiektywu w różnych zakątkach świata. I tak był wujek na jakimś arabskim targu, w afrykańskiej dżungli, otoczony przez sięgających mu do pasa Pigmejów, wpylający sushi w japońskiej knajpie... Wszędzie ubrany tak samo – w dzinsy i koszulę z krótkimi rękawami i pagonami – wszędzie jednakowo głupio wyszczerzony.

Choć zaznaczam, to tylko moje zdanie. Gdy kiedyś w podobny sposób powiedziałem o uśmiechu Redforda, to własna matka spojrzała na mnie, jakbym się właśnie przyznał do wielokrotnego morderstwa. Powiedziała też – pamiętam jak dziś – że się nie znam, a to, że żyję, zawdzięczam wyłącznie faktowi, iż mój ojciec, gdy się uśmiechał, wyglądał podobnie do wspomnianego aktora. No cóż... moim zdaniem, wujo Robala był jeszcze bardziej podobny, szczerzył się zaś identycznie. – Uroczo – powiedziałyby moja matka. – Głupio – mówię ja.

Przełożyłem kolejne zdjęcie. Wujko podróżnik na jakimś Kaukazie czy w innej Gruzji gotuje ludziom na ulicy. Podaje talerz zupy jakiejś starowince i – o święta odmiano! – nie patrzy w obiektyw. Ta fotka była nawet ładna. Taka autentyczna.

Podniosłem piwo z ziemi i szturchnąłem Robalą.

– No już, długo tak będziesz?

Zero odpowiedzi. Wzruszyłem ramionami, spróbowałem przełożyć kolejne zdjęcie. Nie szło mi jedną ręką, więc znowu odstawiłem piwo, tym razem na ławkę – puszka akurat mieściła się w szczeliny między deskami, więc można ją było postawić na betonowej podstawie. Przełożyłem fotografię i...

– Nie no, kurwa, bez jaj! – wykrzyknąłem ze szczerym zdumieniem. – Widziałeś?

To nareszcie obudziło Robalą. Widząc, jak się prostuje, spogląda najpierw na mnie, a potem sięga po zdjęcie, odkryłem w sobie nowy talent i nowy sposób na Robalą. Ciekawość jako naturalny antydepresant. Gdybym wyładował na psychologii, napisałbym o tym magisterkę...

Mój współlokator przyjrzał się zdjęciu, odwrócił je i spojrzał na podpis z tyłu. Potem znowu na zdjęcie. I na mnie.

– Nie wiedziałem, że się znali – powiedział. – To znaczy wujko studiował kiedyś w Krakowie, ale...

– ...nigdy nie wspominał, że jako student grywał w piłę z papieżem?!

– Wtedy to jeszcze nie był papież.

Machnąłem ręką, bo co mi tu będzie chrzanił. Papież to, kurwa, papież, nie?

Ten na zdjęciu stał uśmiechnięty, ze skrzyżowanymi nogami, ubrany w koszulkę na ramiączkach i krótkie spodenki. Jedną rękę opierał na biodrze, drugą przewiesił przez ramię wuja podróżnika. W przeciwieństwie do

kolegi nie szczerzył się do obiektywu, tylko uśmiechał tajemniczo jak filmowy gwiazdor.

Przełożyłem zdjęcie i znowu ten sam duet, tym razem na fotce zbiorczej. Jakichś dwudziestu chłopaków ustawionych jak drużyna piłkarska do fotki dla sponsora; papież i wujo najstarsi.

– Musieli się nieźle kumplować – stwierdziłem.

– Ano musieli. – Robal wziął ode mnie fotki, zerknął na nie przelotnie i wcisnął do kieszeni. – Spróbuję je gdzieś sprzedać, może będzie z tego parę groszy.

– Chcesz sprzedać rodzinne zdjęcia? – zdziwiłem się. – Kto ci je kupi?

– Mam kumpla w Wadowicach. Poproszę, niech podskoczy do papieskiego muzeum i spyta, czy nie chcą.

Pokręciłem głową, upiłem piwa i cisnąłem puszkę do kosza. Ciepłe się zrobiło, dziadostwo.

– No, rób, jak uważasz – powiedziałem, wstając. – Ja bym tam je zatrzymał. Wiesz, rodzinne powiązania z papieżem...

Robal podniósł głowę i uśmiechnął się smutno.

– Laski na to lecą, co? Będę miał u stóp całe żeńskie zakony, ledwie skinę palcem.

– Tak właśnie, Robal! – westchnąłem. – Będę w pokoju, jakby co.

Gdy Robal robił się sarkastyczny, należało spieprzać.



Jest jeszcze coś, co musicie wiedzieć o mnie i moim współlokatorze. Był czas, kiedy naprawdę działaliśmy sobie na nerwy. Dziś się z tego śmiejemy,

opowiadamy znajomym jako anegdoty i takie tam, ale wtedy, wcale nie tak dawno temu, naprawdę chcieliśmy się pozabijać. Jak wtedy na przykład, gdy Robal przychodził z panną, a ja nie rozumiałem subtelnych aluzji i wciąż siedziałem na łóżku z książką, albo... O, opowiem wam anegdotkę.

Kiedyś mój współlokator sporo imprezował. Miało to swoje plusy, bo dzięki temu zostawiał mi pokój na całe wieczory, ale była też mniej odpicowana strona medalu. Otóż wracał zazwyczaj koło trzeciej, a bywało, że czwartej – kompletnie napruty – i zaczynał ścielić łóżko.

JEBUT i kłapa uderzała o ścianę. SZUT, SZUT – tak pościel wylatywała z pudła. I znowu JEBUT na zamknięcie kłapy. Potem, już podczas ścielenia, niezliczone okurwy i syki, gdy sam się uciszał, bo przecież nie chciał mnie obudzić... Tak noc w noc.

Pewnego razu wpadłem więc na pomysł, że sam mu to łóżko pościelę. Dwie, trzy minuty mnie nie zbawią, a przynajmniej się wyśpię porządnie. Sami przyznacie, że sprytne, prawda?

Jak się okazało, nie do końca. W środku nocy bowiem ktoś mnie budzi. Odwracam się, przecieram zaspane oczy i patrzę – Robal. Pijany w trzy dupy, ale autentycznie wzruszony.

– Pościeliłeś mi łóżko? – pyta. – Stary, jesteś zajebisty. Dzięki!

O tak, nie zawsze było między nami dobrze. Ale od tamtej pory ustaliliśmy sobie parę zasad. Na przykład żeby nie budzić bliźniego w środku nocy bez „naprawdę, kurwa, zajebiście ważnego powodu!”.

Proste, prawda? I dosadniejsze niż niejedno przykazanie. Ale jak się okazało, nie dla Robala...



– Hej, obudź się! Mam pomysł!

Powtarzał to już od pięciu minut, nie przestając szarpać mnie za ramię. Ja, nie wiedząc czemu, upierałem się udawać, że śpię. Głupio z mojej strony, bo od razu było widać, że nie odpuści. W końcu się zламаłem.

– Czego?! – burknąłem w poduszkę.

– Muszę ci coś pokazać, wstawaj!

No, tego jeszcze brakowało, myślę, ale odwróciłem się i mrużąc oczy przed światłem, rozejrzałem po pokoju. Za oknem oczywiście noc w najlepsze – jak mogłoby być inaczej?

Na łóżku Robala – zaścielonym narzutą, jakby w ogóle się nie kładł – leżała poukładana w kilka stosików zawartość odziedziczonego pudełka po butach. Osobno listy, osobno woreczki z przyprawami, osobno zdjęcia. To z wujem i papieżem było na samej górze.

Przyjrzałem się temu wszystkiemu z uwagą, usilnie szukając jakiegoś sensu, ale albo mój umysł jeszcze się nie obudził, albo zwyczajnie to wszystko żadnego sensu nie miało. Potrząsnąłem głową.

– No to mów wreszcie, o co chodzi. Czy tam pokazuj...

Robal uśmiechnął się jak iluzjonista przed występem, złożył dłonie i wyłamał knykcie.

– Myślę sobie, że mam pomysł, jak z moim łbem i twoim talentem zarobić naprawdę wielką kasę. Zainteresowany?

Tak naprawdę jedyne, co mnie wtedy interesowało, to poduszka i perspektywa porannej pobudki. Mimo to skinąłem głową. W końcu niezależnie od tego, co bym zrobił, i tak prędzej czy później opowiedziałyby mi o swoim pomysłe. Tylko nagle to „prędzej” zrobiło się kluczowe.

– No, nawijaj – powiedziałem i ziewnąłem ostentacyjnie. A niech wie, że cierpię!

Nie wzruszyło go. Ani ziewnięcie, ani tarcie oczu, ani w ogóle nic. Był tak zaślepiiony ideą – tym swoim świetnym pomysłem – że równie dobrze mógłbym zacząć krwawić z uszu, a on i tak by tego nie zauważył. Podsunął sobie krzesło, to spod umywalki, odwrócił je i usiadł okrakiem.

– Wiesz, kim był mój wujo, nie? – zapytał.

– Podróżnikiem.

Pokiwał głową i uśmiechnął się.

– No właśnie, był podróżnikiem. Ale nie takim zwyczajnym. Był też, uwaga, uwaga... kucharzem amatorem. Z jego listu, który znalazłem w tych papierach, wynika, że przemierzył w sumie cały świat w poszukiwaniu nowych przepisów, przypraw i kulinarnych dodatków. Część z nich, te najbardziej unikatowe, przesłał mi.

Wskazał ręką na woreczki z przyprawami i wyszczerzył się głupio.

– Matka zawsze mi mówiła, że z całej rodziny mnie lubił najbardziej.

Kolejny raz przetarłem oczy i uważniej przyjrzałem się Robalowi. Czyżbym miał zwidy? Nagle zaczął doceniać otrzymany spadek? A może zwyczajnie ktoś mu powiedział na przykład, ile warte są przyprawy w woreczkach? Jeśli rzeczywiście były takie unikatowe, to zaoferowane właściwym osobom mogły przynieść niezły szmal. Znaczy tak właśnie wtedy pomyślałem. Okazało się, że nie byłem nawet blisko.

– Możesz wziąć te przepisy? – poprosił Robal, wskazując stosik świstków, serwetek i karteluszek. – Tam pod nimi jest kartka pocztowa, ale jeszcze na nią nie patrz. Na razie przyjrzyj się zapiskom wuja.

Zrobiłem, jak kazał – sięgnąłem po kartki i przejrzałem kilka pierwszych z góry. Wszystkie zaczynały się od listy składników, a potem przechodziły w krótką notatkę zawierającą okoliczności zdobycia przepisu, a także sposób przyrządzenia potrawy. Wujo podróżnik nie był typem gawędziarza,

ale nawet swymi zwięzłymi, lakonicznymi opisami umiał zaciekawić. A może to egzotyka nieznanych dań tak skupiała uwagę?

Pismo miał wujo lekko pochyłe, w wielu miejscach kanciaste, z wysokimi, smukłymi jak wieże wielkimi literami. Pełne też było cech indywidualnych, na przykład pisząc małe „a”, laseczkę stawiał osobno za kółeczkiem, tak że się nie łączyły. A „o” pisał odwrotnie do ruchu wskazówek zegara...

Robal zaczął nerwowo wybijać rytm na poręczy krzesła, co stanowiło wyraźny znak, że się niecierpliwi. Odłożyłem kartki na stolik i spojrzałem na niego.

– No dobra, masz tu parę egzotycznych przepisów. – Wzruszyłem ramionami. – I co chcesz z tym zrobić? Wydać książkę kucharską?

Uśmiechnął się półgębkiem. Kiedyś mówił, że widział taki grymas w jakimś filmie i tak długo ćwiczył, aż wyszło mu coś podobnego. Uśmiech oznaczał: „Hej, stary, a teraz patrz na to!”.

– Podnieś jeszcze raz te kartki i wyciągnij pocztówkę, o której mówiłem – polecił.

Posłusznie wyciągnąłem spod notatek wuja widokówkę z Zakopanego. Była czarno-biała i przedstawiała Giewont. Miała tandetną wycinaną ramkę jak na starych zdjęciach, a na lewym rogu znajdował się odcisk po szklance z kawą. Zerknąłem na Robalą, wtedy on zakreślił palcem młynka, nakazując mi, bym odwrócił pocztówkę.

Treść ściśnięta na wyznaczonej do tego połowie kartki nie zawierała nic nadzwyczajnego. Kurczę, jak się skupię, to nawet będę w stanie ją przytoczyć, w końcu maglowałem ją tyle razy!

Drogi Tadeuszu, Znowu jestem w naszych ukochanych górach i jak zwykle ugościły mnie jak tylko one potrafią. Pogoda i warunki wspaniałe, towarzystwo wyborne, a jedzenie jak zwykle znakomite, choć daleko mu

jednak do Twoich specjalów. Obawiam się, że przy następnym spotkaniu również nadużyję w tym względzie Twojej gościnności. Póki co serdecznie pozdrawiam i niech Bóg ma Cię w swej opiece.

Karol

No dobra, przyznaję, że z początku nie załapałem. Może to przez haniebną godzinę i senność, a może zwyczajnie nie jestem za dobry w takie układanki, ale naprawdę nie skumałem, kto był nadawcą kartki. Stąd też moja reakcja mogła być tylko jedna.

– No i? – zapytałem.

Robał aż zamrugał.

– Jak to, kurwa, no i?! Nie rozumiesz, co to jest?!

Popatrzyłem jeszcze raz na kartkę. Pismo zdecydowanie mniej czytelne od pisma wuja, bardziej złane, choć na przykład po „i” zawsze występowała przerwa, jakby piszący nie mógł się doczekać, aż postawi kropkę. Wielkie „S” pisane od górnego zawijasa ku dołowi, a małe „t” w środku wyrazu przypominało małe „ł”. To w zasadzie wszystko, co mogłem powiedzieć tak na pierwszy rzut oka. Nadal jednak nie rozumiałem, o co chodzi.

– To kartka od papieża do mojego wuja! – nie wytrzymał Robal. Najwyraźniej nie mógł dłużej znieść mojego tępego spojrzenia. – Karol to Karol Wojtyła, łapiesz? I właśnie w tej kartce dziękuje mojemu wujowi za to, że ten coś mu ugotował! Oni naprawdę dobrze się znali!

Skinąłem głową. I uznałem, że jeśli będę milczał, to szybciej się dowiem, o co tak naprawdę biega mojemu współlokatorowi. Poznam jego wspaniały pomysł i będę mógł pójść spać.

– Pamiętasz, jak kiedyś w księgarni wymyśliłem tytuł dla bestsellera wszech czasów? Staliśmy przy stoliku z nowościami i...

– „Gotuj z papieżem”? – skojarzyłem.

Robal rozpromienił się.

– Tak właśnie, stary. Co ty na to, byśmy wydali taką książkę?



Ja to chyba jednak nie umiem opowiadać. Znowu mało brakowało, a zapomniałbym o najważniejszej sprawie. Mianowicie o niezwykłych talentach moich i Robala.

Jego jest całkiem niezły – umie pisać. I to sprawnie. Bez trudu dobiera słowa, łączy je potem w zdania, akapity i strony. Dialogi w jego tekstach są wiarygodne, a opisy sugestywne. Do tego ma absolutnie genialne pomysły... i to w zasadzie stanowi jego największy problem. Wystarczy, że pisze tekst dłuższy niż parę stron, a już jego własne koncepcje zalewają go, przytłaczają, szarpią każda w swoją stronę. Myślę, że jeśli kiedyś uda mu się napisać powieść, młodzi autorzy będą z niej korzystać jak ze źródła natchnienia. Potem na pytanie: „Skąd pan czerpie pomysły?” będą odpowiadać: „Z książki Robala”. Tak to widzę.

Ja z kolei, oprócz tego że całkiem nieźle rysuję – marzyło mi się ASP i robienie komiksów – mam pojęcie o charakterach pisma. Znaczą tak, wiecie, instynktownie. Nie czytałem w życiu żadnej książki o grafologii i nie znam fachowych terminów, ale umiem rozpoznać człowieka po tym, jak stawia litery, porównać kawałki tekstu i takie tam. Umiem też, jeśli tylko dostanę wystarczająco dużo próbek i czasu na ćwiczenia, podrobić dowolny charakter pisma. Robal mówi, że mam lepiej niż on – mogę zarabiać na fałszywych usprawiedliwieniach do szkoły dla dzieciaków czy

wpisach do indeksów dla studenckiej braci – ale mnie jakoś nigdy to nie ciągnęło. Nie żebym miał skrupuły, zwyczajnie bałem się wpadki.

Plan Robala miał zabezpieczenia przeciw wypadkom właściwie na każdym etapie. Był też rozpisany w najdrobniejszych szczegółach. I właściwie gdyby nie to, że uważałem go za kompletnie nierealny, przypominałby całkiem rozsądny pomysł na zarobienie olbrzymiej góry pieniędzy.



Tak mówiąc szczerze, to nawet nie wiem, czy się zgodziłem. To znaczy wtedy w nocy, gdy mnie zapytał, co ja na to. Powiecie pewnie, że musiałem powiedzieć „tak”, skoro ledwie wstałem, uraczył mnie szczegółami planu. Ale nie znacie jeszcze dobrze Robala. Nie zdziwiłbym się, gdyby uważał odmowę za nazwę wyspy na Pacyfiku.

W każdym razie tamtego ranka tkwiłem już w tym jego pomysle całym zaspanym, rozziewanym sobą. Od czubka rozwichrzonych włosów po boscie stopy stanowiłem element planu mojego współlokatora. Jeden z ważniejszych, pozwolę sobie dodać z dumą.

A oto co Robal wymyślił: Papież i wujo podróżnik byli kiedyś przyjaciółmi. Takimi, wiecie, prawdziwymi, jak z książek czy filmów. Wspólne granie w piłkę, wypadki na miasto, nocne rozmowy o wszystkim, a gdy coś się działo, to jeden za drugim stawał murem. Czasy były trudne, więc często zdarzały się okazje, by mogli wypróbować swoją przyjaźń – jak w dawnych powieściach.

Potem – gdy już papież został papieżem, a wujo ruszył w świat – ich więź siłą rzeczy się rozluźniła, ale nadal regularnie do siebie pisywali. Wujo dzielił się ze swoim przyjacielem nowo zdobytymi przepisami, anegdotami z podróży do obcych krajów i kultur, a papież opowiadał o trudach pontyfikatu i życiu w Watykanie oraz wyrażał swoje opinie na temat zaproponowanych przez wujka potraw. I właśnie to ostatnie stanowiło sedno planu.

– Zrobimy z papieża smakosza i łasucha – stwierdził Robal, nie kryjąc podekscytowania. – Ludzie lubią widzieć w nim człowieka, swojaka. A cóż jest bardziej ludzkiego, przyziemnego niż jedzenie?

Zastanawiacie się pewnie, jak Robal chciał to wszystko wcisnąć ludziom, mając do dyspozycji jedynie dwa czy trzy zdjęcia i kartkę z Zakopanego?... A nie, przecież już wiecie o moim fałszerskim talencie! No więc właśnie tak to miało wyglądać: Robal napisze listy papieskie i wujowskie – naśladując oczywiście ich styl pisania – a ja potem to wszystko starannie przepiszę, podrabiając charakterystyki pisma obydwu. Proste, prawda?

Oczywiście powiedziałem Robalowi, że do pierdła mi się nie spieszy, ale zapewnił mnie, że nie ma co trząść dupą, bo na to też ma sposób.

– Wyślę kopię tego, co zrobimy, do biskupów. Napiszę, że dostałem w spadku te zapiski wraz z pełnymi prawami do nich i teraz szykuję się, by je wydać. Zapytam, co oni na to, czy mają coś przeciwko i czy mogliby, z łaski swojej, sprawdzić autentyczność papieskich listów. W końcu nie chcielibyśmy żadnych fałszerstw, a mnie prywatnie na grafologa nie stać. Jeśli zauważą, że to podróba, wycofam się grzecznie i jeszcze przeproszę za kłopot. Żadnych zysków, trochę straconego czasu i pracy. Za to jeśli się nie zorientują...

Nie musiał kończyć. Ja chyba też nie muszę, co? W końcu nietrudno się domyślić.



Jeszcze tego samego dnia wzięliśmy się do pracy. To znaczy nie wiem dokładnie, jak to było z Robalem – powiedział, że będzie wieczorem, wziął kurtkę i wyszedł – ale ja na pewno nie próżnowałem.

Zjadłem coś na szybko i pojechałem do empiku. Coś mi się tam kołatało w głowie, że w którejś z papieskich ksiązek były skany jego oryginalnych zapisków, i pomyślałem, że byłoby niezłe znaleźć coś takiego. Zdecydowanie to, co miałem teraz, nie wystarczało, by się należycie wczuć, a tym samym zabierać do pracy.

Na przystanku, a potem w autobusie długo oglądałem pocztówkę. Szukałem czegoś, co wcześniej przegapiłem, ale dostrzegłem tylko drobiazgi: Charakterystyczne małe „p” pisane wciąż tak, jak uczono kiedyś w podstawówce – bez brzuska, za to z falbanką płynnie przechodzącą do kolejnej litery. Dziś mało kto już tak pisze. Dalej, wielkie „O” łączy się z małym „b” poprzez linię przy wierzchołkach obu liter zamiast tradycyjnie u ich podstaw...

Zanotowałem sobie, by koniecznie sprawdzić na innych próbkach, czy to ostatnie nie jest aby normą w przypadku, gdy papież łączył wielką literę z małą, ale wysoką. Miałbym wtedy do czynienia z mocną cechą szczególną.

Bo cechy indywidualne to absolutna podstawa. Taki fundament, rozumiecie? Można wyłapać mnóstwo ozdobników, a potem się ich

nauczyć, ale jeśli pominiemy którąś z cech indywidualnych, to leżysz. Spieprzyłeś robotę.

W końcu uznałem, że kartka nic już mi nie powie, więc schowałem ją do kieszeni i uśmiechnąłem się do ładnej dziewczyny stojącej przy wejściu. Wydęła pogardliwie wargi i odwróciła głowę. No tak, historia mojego życia...

W centrum, zanim jeszcze wybrałem się do empiku, podskoczyłem do sklepu dla artystów. Niby wiem, że większość z tego, czego potrzebowałem, znalazłbym i w salonie, ale jakoś tak przyzwyczailem się kupować w tej malutkiej klitce na Moniuszki. Znacie to na pewno. [Wchodzisz](#) do marketu i jesteś nikim. A wchodzisz do specjalistycznego sklepu, konkretnie wiesz, o co poprosić... Czujesz się od razu jak profesjonalista, nie?

Kartka pisana była ciemnoniebieskim atramentem, kupiłem więc w miarę podobny. Dlaczego? Nie wiem, czy wiecie, ale ludzie przedkładający porządne pióro nad długopis są jak miłośnicy fajek – z prostej czynności szybko czynią rytuał, a potem każda zmiana w owym obrzędku sprawia im niemal fizyczny ból. Trzymają się zatem czy to tego samego tytoniu, czy – w przypadku piszących piórem – atramentu. Jeśli nie mogą tej samej marki, to przynajmniej utrzymują kolor.

Oprócz tego kupiłem parę arkuszy czerpanego papieru, trochę pergaminu i piórko do tuszu. W akademiku miałem co prawda parkera od ojca, ale nie chciałem nim ćwiczyć. Uznałem, że przyda się na później. Tak obładowany poszedłem do empiku szukać próbek pisma.

Znalazłem je bez trudu już na pierwszej półce, do której poszedłem. Radość jednak szybko ustąpiła przygnębieniu. Bo o czymś jednak, kurna, nie pomyślałem...



– Jak długo trwała ta ich korespondencja? – zapytałem Robala, gdy już wrócił do pokoju jakoś tak po północy.

Od blisko czterech godzin pracowałem z kalką nad „Tryptykiem rzymskim” (wydanie ze skanowanymi stronami rękopisu) i mechanicznie kopiowałem ledwo czytelne papieskie szlaczki. Szło mi, przyznaję, topornie.

Robal wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, że od siedemdziesiątego dziewiątego do początku lat dziewięćdziesiątych? – zaproponował.

– No to jednak dupa! – skwitowałem, zgniatając kalkę i ciskając ją w kąt. – W takim razie nie mam żadnych próbek oprócz tej pieprzonej pocztówki.

– Nie rozumiem. – Robal popatrzył na mnie, na otwartą książkę ze skanami i znowu na mnie. – No przecież widzę, że masz całkiem sporo...

– ...próbek pisma papieża po dwutysięcznym roku – dokończyłem za niego. Strasznie żałowałem, że nie umiem się nakręcać. Z przyjemnością pokazałbym Robalowi, że też mam swoje mroczne oblicze. – Nie wiem, czy wiesz, matołku, ale pismo człowieka się zmienia. Nie tylko z wiekiem, ale i na przykład pod wpływem doświadczeń. Jeśli napisałbym listy z lat osiemdziesiątych pismem z początku nowego wieku, to każdy grafolog zwietrzy smroda szybciej, niż ty zdążysz powiedzieć „pontyfikat”.

Przez chwilę mój współlokator wyglądał, jakby się zawiesił. W bezruchu patrzył tępo w jakiś punkt na firance tuż nad moją głową. Ledwo było widać, że oddycha.

W końcu, gdy już miałem zapytać, co mu jest, potrząsnął głową i zamrugał kilka razy.

– Zatem zrobimy inaczej – powiedział. – Niech będzie od lat osiemdziesiątych do śmierci.

– Ale kiedy to niczego nie...

Uciszył mnie, wznosząc rękę.

– Ty siedź teraz nad tym, co masz, a ja załatwię ci próbki z wcześniejszych lat.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju, zupełnie jakby to było południe, a nie środek nocy.

Westchnąłem ciężko, po czym wstałem, by wyczyścić piórko. Miałem już dość pracy na dziś – nie chciałem od razu przeforsować ręki.

Zanim się położyłem, na wszelki wypadek pościeliłem Robalowi łóżko i napisałem kartkę, że jeśli mnie zbudzi, sam będzie sobie podrabiał listy. Tak zabezpieczony położyłem się spać.



Przez kilka następnych dni nie widywałem mojego współlokatora prawie wcale. Ot, czasem wpadał do pokoju, rzucał coś na łóżko i wybiegał, nie marnując czasu na zjedzenie czegoś czy choćby zmianę dawno już przepoczonej koszulki. O rozmowie z nim można było zapomnieć. Oczy miał zasnute mgłą, a myśli jak kłęby pary uchodziły uszami z przegrzanego mózgu. Znaczy tak metaforycznie, wiecie. Nie chciałbym, żebyście pomyśleli, że wciskam wam kit albo inne sajens fikszyn...

Wtedy jeszcze się nie martwiłem. Póki co nie potrzebowałem rozmawiać z Robalem, by wykonywać swoją robotę – próbek pisma z ostatnich lat było dość.

Na początek zająłem się papieskimi emocjami. Czy wiecie, że po nachyleniu liter, a także ich szerokości można stwierdzić, w jakim humorze był piszący? Jeśli ktoś jest podekscytowany, pisze szybciej, a wtedy litery mimowolnie się nachylają, słowa bardziej się łączą i zlewają. Gdy litery mają szersze linie – większe rozwarście stalówki, rozumiecie – znaczy to, że piszący nie kontrolował swej siły. Czyli skupiał się na czym innym...

Takich pierdół jest więcej i nie będę was nimi zanudzał, ważne jest jednak to, że większość z tego można wychwycić, nawet mając skan pisma. Wystarczy tylko uważnie się przyglądać albo jeszcze lepiej wodzić ołówkiem po literach, odwzorowując tak tempo, jak i naciski. Nie wiem, czy działa to na wszystkich, ale ja w ten sposób potrafię odczytać nastroje. Są jakby wpisane między wiersze.

Gdy już skończyłem z emocjami, przerzuciłem się na ogólne samopoczucie. U papieża to akurat prościzna, bo im bardziej był zmęczony, tym mocniej dawał mu się we znaki parkinson, ale oczywiście skupiałem się też na innych, subtelniejszych zmianach w piśmie. Niedomknięte litery, większe odstępy między nimi, a czasem przeciwnie – linie zachodzące na siebie za mocno, krzyżujące się, gdzie nie powinny... Kiedy mrugamy, nie przestajemy pisać, a im jesteśmy bardziej zmęczeni, tym mrugnięcia są częstsze i trwają dłużej. Zamknijcie oczy i napiszcie dowolną literę – nawet startując z długopisem przy kartce – a zrozumiecie, o co chodzi.

Wreszcie po pięciu dniach miałem już wszystko rozłożone na czynniki pierwsze. Powycinane w paski zdania – ułożone w zależności od tego, czy pisał je papież wypoczęty, czy zmęczony, pogodny czy smutny – leżały na stole jako świadectwo mego tryumfu. Bo co z tego, że przede mną jeszcze

sporo pracy i pewnie mnóstwo próbek, skoro już wszedłem w posiadanie czegoś na kształt klucza?! Wierzcie mi. W tamtej chwili czułem się jak ci goście, co złamali Enigmę.



Późnym wieczorem tego samego dnia mogłem nareszcie pogadać z Robalem. Myślicie, że mnie pochwalił? Że powiedział: „Dobra robota, Remek, tak, kurwa, trzymaj, a dziś jeszcze będziesz ze mną w dolarowym niebie”? No to pomyłka. Zrypał mnie bowiem aż miło.

Z początku, gdy mu tłumaczyłem, co już zrobiłem, było nawet sympatycznie. Kiwał głową, uśmiechał się, łypał oczami to na mnie, to na stosiki, co jakiś czas popijając smak bogactwa gorzką herbatą. A potem wystarczyło jedno zdanie i się wściekł.

– No i teraz czekam tylko na resztę próbek – powiedziałem.

To właśnie było owo zdanie.

Robał jakby się zakrztusił. Z miejsca poczerwieniał, a potem poderwał się z krzesła i doskoczył do swojego łóżka, podrzucając znoszony tu przez tydzień stosik reklamówek i papierowych teczek. Z jednej z nich wysypały się kartki oznaczone pieczęcią papieskiego muzeum w Wadowicach.

– Czekasz?! Przecież tu masz wszystko! – krzyknął. – Znoszę ci to, baranie, od tygodnia, a ty nawet nie spojrzalesz?!

– Leżało na twoim łóżku – odparłem, kuląc się na krześle. Niby wiedziałem, że nic złego nie zrobiłem, ale mało to niewinnych dostaje po dupie? – Nie pomyślałem, że...

– No właśnie – przerwał mi Robal, ale już nieco spokojniej – nie pomyślałeś. No to bierz się teraz do roboty. Czas leci, brachu, a niewykorzystane pomysły wracają do puli ludzkości szybciej, niż się spodziewasz. Nie ma na co czekać! Jutro ktoś inny wpadnie na to samo i nas okradnie.

– Pewnie – mruknąłem, choć w myślach wyśmiałem taką ideę. Któż jeszcze mógłby być tak walnięty?

Zabrałem się do przeglądania teczek od Robala, a on tymczasem przeszedł przez pokój i wyciągnął z plecaka plik zadrukowanych kartek. Rzucił je na biurko.

– W lewym rogu masz datę, jakby ci się pomieszały – powiedział. – Na niebiesko teksty wuja, na czerwono papieża. Wiem, że i tak byś odróżnił, ale nie ma co kusić losu. Wstęp napiszę, jak już skończysz.

– Trochę to zajmie – zapowiedziałem, odkładając na bok próbki i sięgając po plik listów. – Moja robota jest gorsza.

To była prawda, ale przyznam, że nawet biorąc na to poprawkę, mój współlokator trochę mnie przestraszył, że wszystko napisał tak szybko. A co, jeśli nie dość dokładnie zbadał styl i popełnił jakieś karygodne błędy? Co prawda ten biskup, co to nie pamiętam, jak się nazywał – wiecie, ten najlepszy papieski kumpel, który potem mieszkał w Krakowie – odszedł już do Pana, ale mało to ludzi znających papieża i sposób, w jaki pisał?

W końcu jednak wzruszyłem ramionami. Jeśli Robal coś schrzanił, ja i tak tego nie zauważę, bo się nie znam. Musiałem założyć, że wie, co robi.

– Do końca przyszłego tygodnia zobaczysz pierwsze dwa listy – zapewniłem w końcu.

– Dobrze. – Skinął głową, wziął ręcznik i poszedł pod prysznic. Kumple z pokoju obok znaleźli go tam jakąś godzinę później śpiącego w brodziku pod strumieniem ciepłej wody.



...Przyrzęczenie, kochany Tadeuszu, potrawy według ostatniego z podanych przez Ciebie przepisów przysporzyło mi ogromnych trudności. Zwłaszcza jej główny składnik, czyli pixii'gai, jest nie do zdobycia w całych Włoszech i musiałem go dyskretnie sprowadzić z Ameryki Południowej, czyli z miejsca, gdzie i Ty byłeś. Ale muszę Ci również przyznać, że po raz kolejny doskonale utrafiłeś w gust mojego podniebienia, ponieważ całość warta była włożonego trudu, a zjedzenie gotowego już dania było nie tylko ucztą ciała, lecz i ducha. Są bowiem takie potrawy, które sprawiają, że człowiek myśli: „Panie, mogłeś stworzyć wyłącznie pyry i wołowinę, a jednak pomyślałeś o pixii'gai”...

Z drobnych uwag: pozwoliłem sobie całość uzupełnić odrobiną pieprzu, a także...

Oderwałem rękę od kartki i ostrożnie podniosłem pióro. Natychmiast podłożyłem bibułkę pod stalówkę, by formująca się na niej kropla nie spadła jako kleks i nie spaprała całej roboty. Odłożyłem pióro na bok, a potem wreszcie wstałem, by rozprostować kości, no i coś zjeść. Cały dzień przeżyłem na porannej misce z płatkami i mlekiem.

Humor mi, nie ukrywam, dopisywał. Nic dziwnego, skoro szło nieźle i po czterech tygodniach byłem już mniej więcej w połowie książki. Póki co przepisywałem tylko listy „papieskie”, wychodząc z założenia, że te „wujowe” przyjdą mi dużo łatwiej. W końcu, jeśli tylko będą pisane jednolicie, nikt nie zada sobie trudu, aby je szczegółowo sprawdzać. To dawało pewien psychiczny komfort.

W ramach swej pierwszej tego dnia długiej przerwy zrobiłem sobie bułkę z pasztetem i poszedłem do chłopaków piętro wyżej zobaczyć, jakie ściągnęli ostatnio filmy. Sami nie mieliśmy w pokoju Sieci.

Nikogo nie zastałem, więc poszwendałem się po piętrach, a po jakimś kwadransie wróciłem do pokoju. Tam już czekał na mnie Robal rozpromieniony jak teletubisiowe słoneczko.

– Wstępna ekspertyza jest pozytywna! – zawołał na mój widok.

Oczywiście nie miałem pojęcia, o czym mówi. I co równie oczywiste, skinąłem głową z udawanym zrozumieniem, również się uśmiechając. Czasem ludzie tak robią, żeby nie wyjść na idiotów.

Widząc jednak, że mija dłuższa chwila, a Robal nic, tylko się na mnie gapi, postanowiłem w końcu zapytać:

– Ekspertyza czego?

– Papieskiego pisma, rzecz jasna. – Popatrzył na mnie z pobłażaniem i podał mi trzymany w rękach arkusz. Jak się okazało, było to pismo z kurii, gdzie z zaciekawieniem przeczytano list od biednego studenta, który dostał od wuja niezwykle spadek. – Musieli się bardzo przejąć – nie przestawał mówić Robal, podczas gdy ja czytałem biskupią epistołę – skoro z miejsca zlecili to grafologom. Ci mówią, że to na razie wstępna ocena próbki, ale stawiają, że wynik będzie pozytywny. Pytają o więcej materiału.

Gdy tak teraz o tym myślę, jedno wiem – powinienem się wkurzyć, że mi wcześniej nie powiedział. Znaczący nie powiedział, że coś wysyła. Może gdybym zapałał wówczas słusznym gniewem, pokłóciłibyśmy się, obrazili na siebie, ale do niczego by ostatecznie nie doszło. Ja jednak – co jakoś nieszczerólnie zdziwiłoby tych, co mnie znają – zapytałem tylko:

– A ile wysłałeś?

– Dwa pierwsze listy.

Wzruszyłem ramionami.

– Więc możesz im jeszcze sporo dosłać.

Robal wyszczerzył pysk jak mała, wziął ode mnie papier i rzucił się na swoje łóżko.

– Ekspertyza pozytywna – powtarzał raz za razem, jakby to było zaklęcie. I kto wie, może rzeczywiście było...



No dobra, odpuszczę wam resztę szczegółów, jak to coraz lepiej podrabiałem pismo papieża, a także większość późniejszych perypetii wydawniczych. Ani to ciekawe, ani wiele nie wnosi, ani nie chcę, żeby i wam coś podobnego przyszło do głowy. Zresztą większość spraw załatwiał Robal. Dla mnie robota skończyła się, w chwili gdy grafolodzy na sto procent potwierdzili autentyczność tekstu. Wierzcie mi, tak pijany jak ja w tym dniu nie był jeszcze żaden student w tym pieprzonym akademickim miasteczku. W końcu podrobiłem pismo papieża. Następny w kolejce był już tylko Bóg!

Uwag i komentarzy Robala co do wszelkich późniejszych trudności słuchałem już jednym uchem. Najwięcej narzekał na redakcję, która domagała się wyjaśnień, czym są obco brzmiące składniki potraw. Nie mieliśmy, rzecz jasna, pojęcia, nawet wstukiwanie w Google nie pomogło. Robal tłumaczył więc, że nie liczy się wartość kulinarna książki, tylko informacyjna – gdzieś tam na jakimś zadupiu jadają takie potrawy i papież mówił, że są pyszne. W końcu jakoś przeszło, ale wtedy zgłosił się gość od szaty graficznej, mówiąc, że musi mieć fotografie potraw...

Mniejsza z tym. Sami rozumiecie, łatwo to ten Robal nie miał. Ale po prawdzie nie narzekał jakoś straszliwie, ba, nawet po jakimś czasie zaczęło mu się to podobać. Zwłaszcza kiedy już przyszła zaliczka, za którą mógł sobie kupić nie tylko laptop, ale i wypaśną komórkę, a do tego garniak. Do garniaka zresztą zmusił i mnie, mówiąc, że teraz będzie nas pełno w telewizji i wszędzie i musimy jakoś, cholera, wyglądać. Nie protestowałem. Wziąłem grzecznie swoją część pieniędzy i kupiłem, co trzeba, a nawet troszkę więcej, bo chciałem zaimponować dziewczynie w sklepie.

Tydzień później dostaliśmy mejlem książkę w PDF-ie, już po składzie, wraz z projektem okładki. Wydawnictwo dorwało gdzieś zdjęcie papieża jedzącego buritos i wkomponowało je w takie marmurkowo-łososiowe tło. Na górze tytuł „Gotuj z papieżem”, pod spodem autorzy, czyli papież i wujo. My z Robalem dopiero w stopce jako właściciel praw (on) i redaktor całości (ja). Wszystko tak jak się umówiliśmy – żadnych powodów do narzekań.

Potem kampania reklamowa, billboardy, zajawki w telewizji i w gazetach. Któregoś dnia zadzwoniła z pretensjami mama Robala, że im nic nie powiedział o zapiskach, tylko sam się pławi w spadkowym bogactwie – gazet co prawda kobieta nie czyta, w telewizji ogląda tylko seriale, ale ksiądz z ambony powiedział, no to zadzwoniła. Full wypas, mówię wam. Kampania lepsza niż ta Dana Browna.

A potem, dziewiętnastego października, książka wyszła do księgarni, z miejsca stając się – a jakże – bestsellerem.



Niecałe trzy tygodnie później taki obrazek: Robal w progę, na nim garniak, przez łapę przewieszony elegancki płaszcz. Ja przy lustrze staram się szczotką doprowadzić do ładu szopę na głowie. Umywarka pełna włosów z mojej brody, na szklanej tafli zasychające kropelki śliny zmieszanej z pastą do zębów...

– Skończyłeś? – Robal zerknął na zegarek wart prawie tyle, co stojący na biurku laptop. – Nie będą na nas czekać.

– Jeszcze chwila. – Sięgnąłem po dezodorant i psiknąłem z dystansu po koszuli i połach marynarki. Ostrożnie, by nie zostawić wilgotnych plam. Potem przetarłem palcem zęby, sprawdzając, czy nie ma osadu. Wszystko grało, wyglądałem... względnie. – Dobra, chodźmy.

Wyszliśmy przed akademik, gdzie już czekała na nas taksówka. Ostatnio, gdy jechaliśmy gdzieś razem, to wszędzie taksą. Mnie to średnio bawiło, nadal wolałem autobusy, ale Robal jak zwykle postawił na swoim – że coś mu się, kurwa, wreszcie od życia należy.

Zapakowaliśmy się do srebrnego merca i pojechaliśmy do centrum, gdzie dwie godziny później w studiu telewizji regionalnej mieliśmy mieć wejście na żywo, do tego na cały kraj. Widzieliście kiedyś takie programy, gdzie goście nie mogą dojechać do Warszawy – bo albo nie mają czasu, albo im zwisa – i wtedy obok żywych ludzi stoją telewizory przedstawiające obraz ze studia w Gdańsku czy gdzieś tam? No to właśnie coś takiego miało mieć miejsce dziś – mieliśmy być gośćmi z Katowic.

Cały program o naszej książce! Rany! Robal mało się nie posikał, gdy mu zaproponowali.

Przed budynkiem telewizji czekała na nas młoda dziewczyna w czarnej spódnicy do kolan i eleganckiej białej bluzce. Ciemne włosy miała spięte w koński ogon i wyglądała trochę jak uczennica ogólniaka podczas apelu na zakończenie szkoły. Ładna była, taką prostą, codzienną i wcale nie

silikonową urodą. Na szyi miała identyfikator ze zdjęciem, w prawej ręce trzymała dwa podobne dla nas. Ale bez zdjęcia.

– Dzień dobry – powiedziała, wyciągając rękę. – Nazywam się Patrycja Kruszyńska. Cieszę się, że już panowie są.

Speszyli mnie ci „panowie” – a może jej szczery i pogodny uśmiech skierowany ewidentnie do mnie – ale jakoś udało mi się nie zrobić z siebie idioty. Przynajmniej nie natychmiast.

– Remigiusz Gwóźdek – przedstawiłem się, ściskając jej dłoń. – A to...

– Robal – mój współlokator wszedł mi w zdanie. – Nazwiska zostawmy na sztywniejsze okazje.

Dziewczyna zaśmiała się, a mnie natychmiast zabolęło serce, bo wiedziałem już, że od tej pory jej uwaga skupi się wyłącznie na Robalu. Zawsze tak, kurna, było.

Ku mojemu zaskoczeniu jednak to ja pierwszy dostałem smycz z wejściówką. Do mnie też skierowane było jej pierwsze pytanie, gdy już weszliśmy do budynku.

– Pierwszy raz w telewizji? – brzmiało.

– W budynku tak – powiedziałem nielekkko speszony. – Ale kiedyś była u nas na uczelni ekipa przy okazji strajku i udzielałem wywiadu. Puścili to potem w „Kurierze”.

Patrycja skinęła głową, a Robal parsknął cicho. Dziś myślę, że może to była jego reakcja na słowo „wywiad”. Wtedy ledwie to zauważyłem.

Gdy wsiedliśmy do windy, przewodniczka wyjaśniała nam, że mamy patrzeć prosto w kamerę, unikać dotykania twarzy – raz, że źle to wygląda, dwa, że może zaszkodzić makijażowi, który zaraz mieli nam nałożyć – uśmiechać się i ogólnie wyglądać na rozluźnionych.

– Tylko nie wyobrażajcie sobie widzów w bieliźnie, jak to się czasami doradza – przestrzegła. – O tej godzinie mogą nas oglądać dzieci.

Ryknąłem śmiechem, a ściany poniosły moje rozbawienie i zaraz dostarczyły je z powrotem mocno nagłośnione echem. Z kilku biur niemal natychmiast parę zaciekawionych osób wychyliło głowy. Tylko na krótką chwilę, ale i tak poczułem się jak kretyn.

Na szczęście byliśmy już prawie na miejscu.



I znowu obrazek do wyobrażenia, moi mili. Siedzi dwóch gości w garniakach w telewizyjnym studiu – makijaż na twarzy sprawia, że czują się jak kotlety obtoczone w mące – a wokół nich krążą ludzie, którzy poprawiają im fryzury, wpinają mikrofony i takie tam. Przed nimi ekran pokazujący, co dzieje się w Warszawie, a także oko kamery wyglądające jak HAL 9000 z „Odysei kosmicznej”.

Gdy już przestali mnie obmacywać i ustawiać, zerknąłem na Robala. Miałem nadzieję, że udzieli mi się choć trochę jego optymizm i pewność siebie, ale mój kumpel i wspólnik też nie miał zbyt tęgiej miny. No i, jak to ja, spałem się jeszcze bardziej.

A potem pojawił się chyba reżyser i w kilku słowach powtórzył nam to, co już słyszeliśmy od Patrycji. Wreszcie zapytał, czy jesteśmy gotowi, i dał znak, że wchodzimy za pięć, cztery, trzy...

No dobra, i tu mam trochę dziurę. Cholera, możecie mnie przypalać, topić czy cokolwiek, ale i tak wam nie powiem, jak się to wszystko zaczęło. Znaczący z wyjątkiem jednego czy dwóch szczegółów nie pamiętam nic z pierwszych minut programu. Zwyczajnie wywiało mi je z mózgu.

Wiem, że w studiu w Warszawie siedziało czterech gości: dwóch kucharzy – jeden telewizyjny, drugi z jakiegoś miliongwiazdkowego hotelu, zakonnik, który wydał książkę o przysmakach klasztornych, i jeszcze jakiś światowej sławy podróżnik. Facet był profesorem antropologii, badaczem i w ogóle człowiekiem miliarda tytułów.

Wyglądał trochę jak David Niven ze starej ekranizacji „W osiemdziesiąt dni dookoła świata”. Kojarzycie? Cieniutki wąsik tuż nad górną wargą, wysokie czoło i rzadkie włosy starannie zaczesane do tyłu. Miał na sobie trochę staroświecki wełniany garnitur – w zasadzie brakowało mu tylko fajki w zębach i wygodnego fotela, a mógłby reklamować angielskie kluby dla dżentelmenów.

Z początku wszystko szło miło i gładko. Jeśli chodzi o nas, to mówił głównie Robal, najpierw trochę cicho i niepewnie, ale szybko się rozkręcił. Ja wtrącałem tylko pojedyncze zdanka to tu, to tam, żeby nie wyszło, że jestem wyłącznie wątpliwej jakości ozdobnikiem kolegi.

Kucharze i zakonnik wychwalali większość przepisów zawartych w książce i śmiali się z umieszczonych w niej anegdotek. Z pamięci cytowali też fragmenty papieskich listów, doszukując się w nich symboliki i głębi. Zaraz potem prowadząca poinformowała, że nakład książki osiągnął już prawie cztery miliony egzemplarzy, co znaczyło, że w Polsce kupił ją co dziesiąty obywatel. Przypomniała, że Robal dostał listy w spadku, i zapytała go, jakie to uczucie stać się przypadkowym milionerem.

– Niech mi pani wierzy, że naprawdę zaję...fajne.



I znowu zapomniałem o czymś wspomnieć. Z chwilą gdy dostaliśmy coś więcej niż zaliczkę, postanowiliśmy z Robalem przenieść się z akademika gdzieś do centrum miasta. Wicie, wynając jakieś mieszkanie, gdzie nikt nie sprawdza gości na wejściu, a każdy ma osobny pokój i kibel bliżej niż w połowie korytarza.

Mówi się, że trudno dziś znaleźć mieszkanie, ale oczywiście to zależy przede wszystkim od tego, jak bardzo cyckasz się z kosztami. My byliśmy gotowi dać dwa patole za miesiąc na pół roku z góry, więc bazę znaleźliśmy z miejsca. Właściciele mieszkania właśnie wyjeżdżali na roczny kontrakt do Stanów; lokal zostawiali w full wypasie, z plazmą, klimą i dzwonkiem do drzwi grającym „We will rock you”... Mieliśmy się tam z Robalem wprowadzić z końcem tygodnia.

Dlaczego o tym wspominam? Zaraz się dowiecie.



W przeciwieństwie do pierwszej części programu drugą pamiętam wyśmienicie. A zaczęła się ona od krytycznej uwagi zakonnika odnośnie do nieprzetłumaczonych nazw niektórych składników.

Robal oczywiście z miejsca wyjechał ze standardową gadką dla redaktorów, że liczy się również wartość historyczna, literacka, a nie tylko kulinaria i...

...i wtedy do rozmowy wtrącił się profesorek. Mam wrażenie, że w ogóle po raz pierwszy zabrał głos. Wcześniej tylko uśmiechał się tajemniczo, składając ręce w piramidkę nad nogą założoną na nogę.

– W rzeczy samej, jeśli pozwolą państwo, że się wtrączę – powiedział głosem niskim jak miłociwie nam panujący prezydent. – W rzeczy samej, tekst książki przedstawia wartość nie tylko kulinarną. Wiele nam bowiem mówi o obyczajach Jana Pawła II. Odkrywa jego nieznaną stronę. Mroczną, dodajmy.

Na to, co nastąpiło w studiu, mówi się obecnie „zawieszenie Matriksa”. Kojarzycie termin, prawda? Wszystko zamiera w bezruchu i nawet krople potu przestają spływać po twarzach – jak na zdjęciach.

Tylko profesorek najwyraźniej bawił się w najlepsze. Sięgnął za fotel i wyciągnął skórzaną teczkę. A z niej egzemplarz naszej książki naszprycowany zakładkami.

– Pozwólcie państwo, że przytoczę krótki fragmencik jednego z papieskich listów.

Przetarł oczy, otworzył książkę na pierwszej zakładce – miała nadruk z kotem Garfieldem w urodzinowej czapeczce – i zaczął czytać:

Przyrzęczenie, kochany Tadeuszu, potrawy według ostatniego z podanych przez Ciebie przepisów przysporzyło mi ogromnych trudności. Zwłaszcza jej główny składnik, czyli pixii'gai, jest nie do zdobycia w całych Włoszech i musiałem go dyskretnie sprowadzić z Ameryki Południowej, czyli z miejsca, gdzie i Ty byłeś...

Przerwał i popatrzył po zebranych w studiu, jakby już wszystko wyjaśnił i teraz czekał na aplauz. Ale to oczywiście było dopiero przed nim.

– Tak się składa, szanowni państwo – podjął po chwili przerwy – że kiedyś przyszło mi spędzić w amazońskiej dżungli prawie osiem lat. Studiowałem kulturę Indian Piraha, ich język, zwyczaje, wierzenia... Pewnie się państwo nie orientują, ale język Piraha wywodzi się z językowej rodziny Mura i do niedawna uważany był za jedyny wciąż

żyjący. Między innymi za sprawą moich badań udało się odkryć, że to nieprawda.

W tym momencie prowadząca chciała go uciszyć, ale profesorek się nie dał. Uniósł do góry palec, jakby sugerował, że jeszcze tylko jedno zdanie i wszyscy zrozumieją, o czym mówi. W rzeczywistości potrzebował na to troszkę więcej.

– W głębi amazońskiej dżungli, podobnie jak Piraha, nad rzeką Maici zamieszkuje również liczące około dwustu członków plemię nazywające siebie Xaitúiso, i właśnie z ich języka pochodzi słowo „pixii’gai”. A oznacza ono ni mniej, ni więcej, a ludzkie żebra!

Wtedy, wyobraźcie sobie, zemdlałem.



Ocknąłem się dopiero w naszym nowym mieszkaniu. Leżałem na skórzanej kanapie w pokoju gościnnym, Robal siedział w fotelu naprzeciwko, a ktoś trzeci krzątał się w kuchni. Nie chciało mi się podnosić i patrzeć, kto to taki. Myślałem tylko o tym, żeby nie puścić pawia.

– Co się stało? – zapytałem, mając na myśli czas od momentu, gdy byłem nieprzytomny.

– W dupie jesteśmy, to się stało – odparł Robal. – Zrobiliśmy z papieża pierdolonego kanibala na oczach milionów widzów!

Potem streścił mi pokrótce dalszy przebieg programu.

Jeśli dobrze go zrozumiałem, po haśle o żebach tak kucharze, jak i zakonnik najpierw nie wiedzieli, co zrobić, a potem zareagowali oburzeniem i krzykami. Mało brakowało, a doszłoby do rękoczynów.

Profesorek mimo oczywistego zagrożenia zachował spokój, odpowiadając na wykrzyczane zarzuty kolejnymi cytatami. Okazało się, że każda zakładka w książce oznaczała właśnie potrawy z ludzi – tak jakby od pewnego momentu wujo podróżnik zajmował się już wyłącznie kolekcjonowaniem kulinarnych zapisków kanibali ze wszystkich niemal stron świata. A my, kretyni, niczego nie zauważyliśmy!

Coś, pewnie garnek, z brzdękiem uderzyło o kuchenną podłogę, dobiegło mnie też stłumione przekleństwo wymówione ciepłym kobiecym głosem.

– Kto tam jest? – zapytałem.

Robal wzruszył ramionami.

– Ta dziewczyna, co nas wprowadzała. Miała samochód i zgodziła się nas odwieźć. Pomogła też nieść przez korytarz twoje zwłoki.

To ostatnie podkreślił, zapewne po to, by wzbudzić we mnie poczucie winy. Nie wyszło mu – jeśli już, to czułem się bardziej jak ofiara. Ani chybi sam Karol „Santo subito” Wojtyła postanowił nas ukarać za oszustwo i próbę nabijania kabzy jego kosztem. Ukarać, dodajmy, zdecydowanie niewspółmiernie do przewinienia.

Podniosłem się, odrzuciłem na bok koc i w tym samym momencie do pokoju weszła Patrycja, niosąc żaroodporne naczynie z zapiekanką. Pomyślałem, że nie było ze mną dobrze, skoro spałem na tyle długo, że zdążyli mnie tu dowieźć i jeszcze przyrządzić obiad. Ale nic nie powiedziałem.

– Wstałeś w samą porę, zaraz przyniosę talerze. – Patrycja uśmiechnęła się miło i widząc nasze miny, szybko dodała: – No już, nic się takiego nie stało! Przecież to nie wasza wina, że tak wyszło. Wy to tylko wydrukowaliście, nie? Chcieliście dobrze i nikt was nie będzie winił.

– Powiedz to moherom – mruknął Robal. – Spalą nas na stosie, gdy tylko znajdą. Po mnie zostanie wyłącznie ten bajerancki zegarek.

Tak, dokładnie tak powiedział. To taki typ, wiecie, który nigdy nie przepuści okazji, by się czymś pochwalić. Trzeba mu jednak przyznać, że tym razem mógł mieć rację. Jego wypaśny zegarek wytrzymał temperaturę tysiąca stopni. On sam troszkę mniej.

– Nic wam nie zrobią. – Patrycja odłożyła naczynie na stół. – Wystarczy, że na jakiś czas znikniecie, i tyle z tego będzie. Ta cała sprawa z kanibalizmem brzmi tak niedorzecznie, że nie ma prawa być prawdziwa. Ludzie w tym kraju nie są aż tak głupi, nie kupią tego.

Jeszcze raz się uśmiechnęła, po czym odwróciła się na pięcie i wróciła do kuchni. Już stamtąd zapytała:

– Co chcecie do picia?

Wódki, pomyślałem.

– Coli – powiedziałem na głos. W końcu, jak mawiał mój tata, na topienie problemów zawsze jest czas później.

W naszym przypadku owo „później” nadeszło w porze wieczornych „Wiadomości”.



Siedzieliśmy we trójkę na kanapie. My po bokach, Patrycja w środku. Włączyliśmy telewizor nieco za wcześnie, licząc na TVN-owskie „Fakty”, ale póki co kosmiczna plazma w naszym mieszkaniu wyświetlała tylko jedynekę, dwójkę i region, więc obejrzelśmy końcówkę dobranocki i pakiet reklam po niej.

Właściwie nie wiem, czemu Patrycja z nami została. Zapytała, czy może, Robal nie protestował, a i ja – szczęśliwy, że nareszcie jakaś dziewczyna zwraca na mnie uwagę – zaprezentowałem postawę ostrożnie entuzjastyczną. Nie chciałem w końcu wyjść na jakiegoś napaleńca, rozumiecie.

Wreszcie się zaczęło. Odliczanie zegara z widokiem na jakieś miasto, potem czołówka z muzyką Rubika i tadam, prezenterka ogłaszająca newsy dnia.

Dobra, przyznaję, że ustąpiliśmy zamachowi na premiera w Afganistanie, ale nieznacznie. Do tego – jakieś przerażające poczucie dumy każe mi to podkreślić – materiał o „Gotuj z papieżem” był o jakieś dwie minuty dłuższy. I zdecydowanie bardziej zróżnicowany.

Najpierw pokazano księgarskie półki i opowiadano trochę o naszej książce. Potem fragment archiwalnej ulicznej sondy, już kiedyś emitowanej, w której ludzie wyśmiewali bądź chwalili pomysł publikacji. Głosów prawdziwie krytycznych nie było żadnych.

Następnie na ekranie pojawiło się warszawskie studio z dzisiejszego programu i wypowiedź profesorka o ludzkich żebrach. A może żeberkach – w końcu tak danie z mięsa klatki piersiowej nazywa się w każdym menu... Wreszcie przyszła pora na krótki opis osiągnięć naszego wroga – tak aby nikt nie pomyślał, że to tylko tania prowokacja jakiegoś „pana nikt”.

Newsa kończyła wypowiedź arcybiskupa domagającego się oryginalnych zapisków papieża i poddania ich ekspertyzie grafologów. Jakby wcześniej ich nie dostali, dranie! Całe wydarzenie nazwał, a jakże, ohydłą prowokacją.

– Ja myślę, że to jednak nadinterpretacja tego profesora – stwierdziła nasza nowa koleżanka głosem równie pogodnym i rezolutnym jak dotąd. Była teraz prawdziwą kruszyną radości wciśniętą pomiędzy dwie skały

strachu i wyrzutów sumienia. – Może i sobie jest ekspertem, ale ci też się przecież mylą. To niemożliwe, żeby papież...

– Tak, to zupełnie niemożliwe – stwierdziłem stanowczo, wchodząc jej w zdanie. Chyba nie chciałem już więcej słyszeć słowa „kanibal”. – Więcej nawet, wiemy, że to nieprawda. I nie możemy pozwolić, by ludzie tak o nim myśleli.

Robal odwrócił się gwałtownie i spojrzał na mnie.

– Ty! Co ty, kurwa, kombinujesz, hę?!

– Zamierzam iść i się przyznać. – Wzruszyłem ramionami, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem. – Powiemy, co zrobiliśmy, a potem, że zaszła pomyłka. To powinno zamknąć sprawę.

Żebyście wtedy widzieli Robala! Wyglądał, jakby się wahał, czy najpierw ma zabić mnie, Patrycję – jako potencjalnego świadka – czy może złapać nas oboje za łby i tłuc nimi o siebie, aż wypłyną mózgi. Podobne myśli ma pewnie szef gangu zdradzony przez swoich ludzi, gdy tylko zaczyna się robić gorąco.

A potem Patrycja zapytała:

– Możecie mi wyjaśnić, o co chodzi?



Trzeba jej przyznać, że przyjęła wszystko spokojnie. Wyraz jej twarzy nie zmienił się zasadniczo przez cały czas, gdy opowiadałem, nie zadawała dodatkowych pytań – słuchała tylko uważnie. Pomyślałem nawet, czy ta dziewczyna nie jest naszą bratnią duszą albo kimś w tym stylu. Powód jej spokoju był jednak bardziej prozaiczny.

– Nie wierzę – stwierdziła, gdy skończyłem mówić. – To zwyczajnie niemożliwe.

– Znaczą coś? – nie rozumiał Robal. – Że dostałem spadek? Że mój wuj znał papieża? Czy że zbierał przepisy od kanibali?

Mówił bardzo nieprzyjemnym tonem, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie popiera pomysłu wciągania do sypiącego się planu osób postronnych, takich jak nasza nowa koleżanka.

Patrycja jednak na to nie zważała.

– Nie – odparła tym samym co wcześniej rezolutnym głosem. – Zwyczajnie nie wierzę, by udało się wam tak doskonale podrobić pismo, by oszukać grafologów. Pomagałam kiedyś przy reportażu o fałszerzach i wiem, że analiza charakteru pisma...

Przerwała wystraszona, gdy pochyliłem się gwałtownie i sięgnąłem ponad jej kolanami do leżącego na biurku notesika. Wyrwałem z niego dwie kartki i jedną z nich podałem dziewczynie.

– Masz jakiś długopis? – zapytałem.

Miała. W końcu, kurczę, dziennikarka.

– Więc podpisz się na tej kartce imieniem i nazwiskiem.

Popatrzyła na mnie zdziwiona, ale wzruszyła ramionami i zrobiła, o co ją poprosiłem. Potem oddała mi kartkę i długopis.

Przez chwilę przyglądałem się krągłym, nabrzmiałym jak dojrzałe owoce literom, niedomkniętym ogonkom „y”, starannemu „t” i wielkiemu „K”. A potem wziąłem drugą kartkę i z miejsca skreśliłem identyczny podpis.

No nie dziwcie się tak, miałem przecież ułatwione zadanie – mogłem zobaczyć nie tylko jej pismo, ale i to, jak pisze. Widziałem wyraźnie ustawienie łokcia, układ palców na długopisie – a ocenić na tej podstawie nacisk to już banał. Potem wystarczyło obserwować, w którą stronę stawia

litery, i uzupełnić to szczyptą niedowierzania, odrobiną rezolutnej wesołości. No sami przyznacie, że proste, prawda?

Oczywiście nasza nowa koleżanka dostrzegła milion różnic, wystarczyło jednak, że zamieszałem kartki za plecami, a już straciła wcześniejszą pewność. Popatrzyła na mnie z mieszaniną lęku i podziwu.

– Jasna cholera! – powiedziała.

– No właśnie – odparłem. – Więc teraz wiesz już chyba wszystko. Co zamierzasz z tym zrobić?

Powoli wstała i podeszła do torebki. Wciąż patrząc na mnie w ten sam sposób, wyciągnęła telefon i wybrała numer. Robal co prawda rzucił się do niej, ale powstrzymałem go, łapiąc za ramiona. To był chyba pierwszy raz, gdy mu się postawiłem.

Patrycja tymczasem przyłożyła słuchawkę do ucha i stała tak przez chwilę, klepiąc palcami o oparcie kanapy.

– No cześć, mamó – powiedziała wreszcie. – Dzwonię ci powiedzieć, że nie wrócę dziś na noc... Nie, wszystko w porządku... Tak, będę o siebie dbała, zawsze to robię... Całuję... Pa.

Rozłączyła się i spojrzała na nas.

– Dobra, to gdzie mogę spać?

No nie zgadniecie, o czym wtedy pomyślałem!



Następnego dnia wcale nie było lepiej ani spokojniej. Przeciwnie nawet. Chcąc zadzwonić, przypadkiem zorientowaliśmy się, że wyciszona komórka leżąca w kieszeni płaszcza Robala ma na liczniku kilkaset

nieodebranych połączeń. Skrzynka z sms-ami, do niedawna prawie pusta, teraz była wypełniona do ostatniej wiadomości. I wszyscy chcieli się koniecznie spotkać. Natychmiast!

W telewizji wczorajsza rewelacja stanowiła hit dnia. Dyskutowano nad tym we wszystkich niemal programach publicystycznych. W „Wiadomościach” mówiono o stanowczej reakcji Watykanu i polskiego episkopatu, które jednym głosem sprzeciwiły się ohydному zabiegowi mającemu na celu zbrukanie dobrego imienia wielkiego Polaka i świętego męża. Prymas wspomniał coś nawet o ekskomunikowaniu prowokatorów, jeśli tylko należą do Kościoła katolickiego. Zważywszy na okoliczności, chyba nic głupszego nie mógł powiedzieć.

W prasie podobnie. We wszystkich dziennikach, które Patrycja znalazła w kiosku, sprawa kanibalizmu papieża zajmowała pierwszą stronę. A w „Fakcie” było to niemal pół numeru. Mówię wam, szopka, jakich mało!

Żeby nie było wątpliwości – to wcale nie tak, że wszyscy protestowali. Niemal natychmiast odezwało się środowisko akademickie, nie tylko rodzime, broniąc to dobrego imienia profesorka, to znów – gdy wypowiadał się na przykład językoznawca czy antropolog – jego ogłoszonej w programie rewelacji.

Fakt jest jednak faktem, że w porównaniu ze słuchaczami Radia Maryja – nagminnie palącymi nasze książki na stosach – owi obrońcy wypadali blade i niemedialnie. Przedpołudnie pierwszego dnia zdecydowanie nie należało do nich.

Ale jak to bywa w świecie, który nadaje dwudziestoczwierogodzinne kanały informacyjne, wystarczyło parę chwil, by wszystko zmieniło się jak w kalejdoskopie.



– Kiedy zauważyłeś, że masz... no, tę zdolność? – zapytała Patrycja.

Siedzieliśmy przy bufecie w kuchni na wysokich barowych krzesłach, oświetleni blaskiem maleńkich lampek halogenowych. Gdyby przed nami zamiast kuchennych szafek i brudnego blatu stała ściana z alkoholami świata, czułbym się pewnie jak w ekskluzywnej knajpie. Patrycja piła półwytrawne białe wino, ja cudownie chłodnego pilsnera.

– Mówisz o tym, jakbym był jakimś X–manem! – zaśmiałem się. – To nic takiego. Zwyczajnie umiem podrabiać podpisy.

– Wcale nie. – Pokręciła energicznie głową. – Ty się chyba nie słyszałeś. To, co robisz, to jak czytanie w myślach. Poznajesz emocje, nastroje, określasz cechy charakteru. I to nie tylko na odległość! Ty możesz w ten sposób poznawać emocje ludzi, którzy już dawno nie żyją!

Tu miała rację. Pamiętam, jak kiedyś w jakimś muzeum widziałem notatki Mickiewicza i stojąc nad tą gablotą, zastanawiałem się, czy wieszcz był pijany, czy spalony. Słowa w wersach, a wersy w strofach tańczyły jak różowe słonie z najbardziej przerażającej sceny w „Dumbo”. Tej, kiedy mały słonik spał, narąbawszy się uprzednio wodą z szampanem. Pamiętacie?

– No, chyba masz rację – powiedziałem po chwili namysłu. – Trochę tak jest.

– Grafologiczny wehikuł czasu! – zawołała Patrycja, rozkładając ręce, jakby naklejała na szpaltę nagłówek artykułu. – Cudowne!

– Tak, pewnie tak.

Przeprosiłem ją na chwilę, wziąłem swoje piwo i poszedłem do Robala. Właściwie nie wiem czemu. Peszyła mnie rozmowa o moim talencie?

Zauważyłem, że ta rozmowa średnio zmierza w stronę wspólnej kolacji przy świecach? A może zwyczajnie usłyszałem coś, co mnie zaintrygowało? W sumie nieistotne.

Zwałem się na kanapę obok kumpla i pociągnąłem z butelki solidnego łyka.

– I co tam? Mówią coś? – zagadałem głupio.

Mój współlokator, który opuścił posterunek tylko trzy razy od rana – dwa razy na siku i raz, by wziąć z kuchni paczkę płatków, miseczkę i karton mleka – zmierzył mnie gniewnym spojrzeniem.

– Cały czas mówią – odparł z oburzeniem. – Od samutkiego rana. Teraz właśnie wypowiada się grafolog, jeden z tych, którzy wydali opinię, gdy wysłaliśmy im próbki.

Natychmiast przeniosłem wzrok na ekran.

– Daj głośniej! – krzyknąłem, mimo że wcale nie było takiej potrzeby. Nerwy, sami rozumiecie.

Grafolog miał włosy do linii żuchwy i okulary w źle dobranych oprawkach. Ubrany był w sweter z rozpiętym suwakiem, spod którego wystawała biała koszulka. Gdy mówił, grdyka podskakiwała mu zabawnie, przez co kojarzył mi się ze wzburzonym indykiem. Słowa wygłoszone piskliwym głosem chłopca przed mutacją bardzo do tego porównania pasowały.

– To skandal! – zaperzał się. – Nie rozumiem, jak księża biskupi mogą się wypierać naszej ekspertyzy i twierdzić, że rękopis nigdy nie był badany! Pracowałem nad nim osobiście z kilkoma kolegami i ponad wszelką wątpliwość zgodziliśmy się, że jest autentyczny.

Zmarszczyłem brwi.

– Rzeczywiście Kościół się wyparł?

– Tak. – Robał skinął lekko głową, nie odrywając wzroku od ekranu. – Nawet wczoraj w „Wiadomościach”. Nie pamiętasz? Dziś od rana powtarzali to z dziesięć razy.

Coś mi tam rzeczywiście zaświtało. Bardziej moja reakcja niż słowa, które ją wywołały, ale jednak. Pomyślałem, że jeśli rzeczywiście to zrobili, to teraz mają nieźle przewalone.

Tymczasem grafolog nie przestawał mówić:

– Jeśli Kościół zgodzi się raz jeszcze udostępnić próbki, jesteśmy gotowi ponowić badanie. Nie tylko my zresztą. Światowi eksperci w dziedzinie grafologii wyrazili zainteresowanie tematem i są skłonni nieodpłatnie włączyć się do pracy. Niestety, episkopat odmawia ponownego wypożyczenia rękopisów.

Spojrzałem na Robalę. W końcu to on był mózgiem operacji.

– Co nam się bardziej opłaca? – zapytałem.

– Co?

– On pyta, kiedy jesteście mniej w dupie – Patrycja, która właśnie do nas dołączyła, przełożyła moje słowa na język Robalę. – Czy wtedy, gdy ludzie wierzą, że to prowokacja, czy gdy autentyczne papieskie zapiski zdemaskują go ostatecznie jako kanibala.

Kurczę, naprawdę była niezła. I to ja niby umiałem czytać w myślach? Cholera, dokładnie to chciałem powiedzieć. Choć pewnie nie tak ładnie.

Robal zastanawiał się przez chwilę. Teraz to jego czoło pokryło się zmarszczkami.

– Myślę, że lepiej dla nas, jeśli uznają, że listy były autentyczne – stwierdził w końcu. „Rabbi” Judasza, wygłoszone zanim pocałował Jezusa w Ogrójcu, brzmiało pewnie identycznie. – Prowokacja organizowana jest przez prowokatorów, prawda? To nas wystawia przed pluton. Jeśli z tekstami będzie wszystko w porządku, wyjdziemy tylko na Bogu ducha

winnych ignorantów, którzy wydali, co wpadło im w łapy, nie myśląc nad tym, co robią.

– Nie zabija się posłańca? – zadrwiła Patrycja. – Sprytne. Tchórzliwe, ale sprytne.

– Ciekaw jestem, co ty byś zrobiła na naszym miejscu, cwaniaro! – obruszył się Robal.

Odpowiedzią było wzruszenie ramion.

– Nie jestem na waszym miejscu. Ja tylko piję wasze wino, jem z waszych miseczek i...

Nie dokończyła, chyba łapiąc się na tym, jak zabrzmia jej słowa, jeśli pociągnie to bajkowe nawiązanie dalej.

– Wy oczywiście macie te rękopisy, prawda? – zapytała po chwili, wracając do tematu.

– Zostały w akademiku – odparłem. – Znaczą oprócz tego, co chwilowo jest jeszcze u biskupów, bo części nie odebraliśmy. A co?



Mówi Pismo: „Wprawdzie Syn Człowieczy odchodzi według tego, jak jest postanowione, lecz biada temu człowiekowi, przez którego będzie wydany”.

Tak mi się, wiecie, skojarzyło, więc sobie sprawdziłem i wynotowałem. A nawet przełożyłem na ludzki: „Są takie rzeczy, które zrobić trzeba, i prędzej czy później znajdzie się frajer, który się za nie weźmie. I będzie w dupie, oczywiście”.

Do czego piję? Otóż wyobraźcie sobie, wyszło na to, że moje „a co?“, choć pozornie neutralne i na pewno niezobowiązujące, było takim właśnie frajerskim zgłoszeniem się na ochotnika. A w dodatku przez to, że odpowiedziała mi Patrycja, a nie Robal, nie za bardzo miałem się jak wycofać. Znaczący tak, wiecie, z twarzą.

Więc się zgodziłem. Cóż innego mi pozostało? Wymuszony uśmiech na twarz, żartobliwy komentarz dla wzmocnienia efektu, buty, kurtka, klucze, komórka i drałuję na akademiki.

Robal w swej łaskawości chciał mi nawet zamówić taksówkę, ale powiedziałem, że bezpieczniej będzie, jeśli skorzystam z autobusu, wtopię się w anonimowy tłum.

Chciałem mu dać do zrozumienia, że nie chcę jego łaski, i jednocześnie kopnąć go w sumienie – ja idę na pierwszą linię frontu, a on żre płatki przed telewizorem. Tak subtelnej aluzji jednak nie był w stanie załapać, zresztą sami już znacie Robala.

– No dobra – powiedziałem w końcu. – Idę.

– Powodzenia – powiedział Robal.

– Wracaj szybko – dodała Patrycja.

No i poszedłem.



Wysiadłem z autobusu przystanek wcześniej. Było trochę zimno, więc postawiłem kołnierz kurtki, ręce władowałem do kieszeni i ruszyłem poboczem w stronę akademików.

Jeżeli byliście tam kiedyś, to wiecie, że zaraz za ostatnim dużym zakrętem po prawej stronie drogi jest las, a po lewej osiedle mieszkalne osłonięte linią drzew. Domy studenckie są trochę dalej – przed nimi rozciąga się wielgachny trawnik, o tej porze roku zryty przez dziki. Mnóstwo otwartej przestrzeni, pomyślałem więc, że już z daleka będę mógł zobaczyć, czy pod akademikiem nie ma jakiejś pikiety albo czegoś.

Wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale powiedzcie to samo komuś, kto musi... bo ja wiem... wejść do piwnicy po obejrzeniu horroru. Strach, nawet całkiem irracjonalny, też ściska za jaja.

Nikogo nie było ani przed akademikiem, ani w holu. Na recepcji pani Genowefa oglądała telenowelę, co znaczyło, że trzeba samemu wejść do dyżurki i wziąć sobie z półki klucze. Słowo daję, można było zwinąć pół akademika, jeśli się człowiek na jej dyżurze wstrzelił w wieczorne pasmo serialowe.

Wziąłem brelok z numerem trzydzieści dziewięć i poszedłem do pokoju. Trochę się bałem, że ktoś przypadkiem wyjdzie na korytarz i powita mnie radośnie, a co najgorsze – głośno. Szczęśliwie jednak nikt się nie napatoczył. Włożyłem klucz do zamka, przekręciłem...

– No nareszcie, panie Gwózek – dobiegło mnie z wnętrza, ledwie uchyliłem drzwi. Chrypa, jakby ktoś deską po chodniku pociągnął.

A zaraz potem wielka, włochata łapa wciągnęła mnie do środka.



– Radziłbym się nie wyrywać i powstrzymać od krzyków – powiedział ten sam głos co wcześniej. Nie mógł należeć do właściciela kosmatej łapy,

bo dobiegał od strony biurka. Gdy wyteżyłem wzrok, dostrzegłem nawet rysującą się w mroku sylwetkę. Rozsiadł się drań na moim krześle jak jakieś panisko.

– Kim panowie są? – zapytałem. Tak, wiem, że głupio... Jak te biedne ofiary na starych filmach. Pewnie dlatego nie doczekałem się odpowiedzi.

Zamiast tego mężczyzna wykonał ruch ręką i po chwili jego twarz oświetlił płomień zapalniczki. Była to dość surowa, jakby ciosana w kamieniu buźka porośnięta kilkudniową szczecina zarostu. Oczy miał głęboko osadzone, nos prosty, a zmarszczki na czole jakby zrobione tępym bagnetem. Takie, wiecie, szerokie, poszarpane... W wąskich ustach trzymał papierosa.

– Czujniki dymu. – Wskazałem głową sufit i znajdujące się na nim urządzenie.

Gość nie przejął się tym zbytnio.

– Namieszaliście, chłopaki – stwierdził, wypuszczając dym ustami i natychmiast wciągając nosem, jakby chciał stworzyć zamknięty obieg. – Namieszaliście jak jeszcze nikt wcześniej.

Kosmata łapa, która teraz nie tylko mnie przytrzymała, ale i rozdygotanego utrzymywała w pionie, wzmocniła uścisk. To chyba znaczyło, że powinienem coś odpowiedzieć.

– My tak niechący, proszę pana. My...

– Ale nie denerwuj się tak, Remigiuszu – przerwał mi gość i puścił kółko dymu, które rozeszło się w powietrzu, tworząc nad jego głową najpierw aureolę, a potem rogi. – To, co powiedziałem, to przecież komplement. Tylko ktoś naprawdę bardzo dobry mógł zrobić tak poważne zamieszanie, mając do dyspozycji ledwie kilka książek, pióro i papier. Jestem pod wrażeniem.

– Dziękuję. – Kiwnąłem głową. Co innego miałem powiedzieć?

Nieznajomy znowu się zaciągnął i wypuścił kłęb dymu. Tym razem ściana przesłoniła mu na chwilę twarz niczym woal. Urządził mi tam prawdziwy pokaz kunsztu palacza.

– Problem w tym, że niezależnie jak pięknie zrobiony, bałagan to wciąż bałagan. I mnie teraz kazano go posprzątać.

Już miałem zapytać, kto mu kazał, gdy nagle ponownie rozbłysnął ogień zapalniczki. W jego świetle bez trudu dostrzegłem pasek plastiku odcinający się bielą od czerni koszuli i marynarki. Facet miał na szyi koloratkę.



Wróciłem do mieszkania, a Robal zaraz z pretensjami. Że długo, że się martwił, a ja bez słowa, że listy zrolowane zamiast w teczce, że nie zamykam drzwi, jakbym całe życie w oborze mieszkał...

Przyznaję, że na trzy pierwsze zarzuty za wiele na swoją obronę nie miałem, ale czwarty to nie była moja wina. Nie zamykałem drzwi, bo nie przyszedłem sam.

Gdy to powiedziałem Robalowi, ten struchlał i pobladł. Zaraz zresztą jego przerażenie przybrało na sile, gdy zobaczył, kogo przyprowadziłem.

Jego lęk, przyznam, trochę mnie zdziwił, bo w normalnym świetle ksiądz z naszego pokoju wcale nie wyglądał strasznie. Rysy mu się wygładzały, oczy nabierały życia, a uśmiech wzbudzał nawet cień sympatii. Kurczę, jak tak teraz myślę, to naprawdę nie wiem, co by było, gdyby Robal zobaczył w drzwiach właściciela włochatej łapy (którego ja sam nie

widziałem dalej niż do bicepsa i już miałem dość). Pewnie czekałoby nas mycie posadzek, a jego samego pranie spodni i bielizny.

– Szczęść Boże, panie...

– Robal – odparł odruchowo mój współlokator.

Byłem ciekaw, czy ksiądz naprawdę nie znał personaliów Robala, czy tylko wciąż sobie pogrywał. Gdybym miał stawiać kasę, wybrałbym drugą opcję.

– Nie bój się, robaczku Jakubie, nieboraku Izraelu – zadeklamował duchowny, przechodząc przez mieszkanie. Usiadł na barowym krześle i sięgnął po pudełko papierosów. – Ja cię wspomagam. Wyrocznia Pana odkupicielem twoim.

Akurat na ten moment z łazienki wyszła Patrycja. Turban z ręcznika na głowie, za luźny szlafrok ciasno związany paskiem, na ręce białe linie kremu, który właśnie zamierzała wetrzeć. Ksiądz zmierzył ją wzrokiem, po czym uśmiechnął się i wskazał kanapę.

– Skoro jesteśmy już w komplecie, to siadajcie, pogadamy sobie.

Usiedliśmy. Ale gadał głównie on.



Zaczął się od pytania, co zamierzamy teraz zrobić. Odpowiedź Robala, że „nie mamy, kurwa – o, przepraszam księdza... cholera znaczy – bladego pojęcia”, jakoś go nie usatysfakcjonowała.

– Gdybyście nie wiedzieli, kolega nie ryzykowałby wizyty w akademiku – stwierdził, odpalając papierosa od papierosa.

Przypomniały mi się lekcje religii z podstawówki, na których siostra uczyła nas, że palenie to grzech przeciw piątemu przykazaniu. Zastanawiałem się, czy powinienem mu o tym wspomnieć, doszedłem jednak do wniosku, że chyba wie. Powinien wiedzieć... robił z tego studia.

Żadne z nas nie odzywało się przez dłuższą chwilę, więc nasz gość sam podjął wątek:

– Myślę sobie, a wy poprawcie mnie, jeśli się mylę, że chcieliście zdobyć resztę próbek, by móc je wysłać do ekspertyzy i tym samym odsunąć od siebie podejrzenie o prowokację.

Szczeny nam opadły. Całej trójce.

– Teraz natomiast boicie się – kontynuował duchowny, uśmiechając się półgębkiem – że zamierzam wam pokrzyżować plany i ujawnić światu wasz chytry i przebiegły plan, prawda?

Skinęliśmy głowami, ale to zdanie nie wywarło już takiego wrażenia jak poprzednie. Tamto było niemal czytaniem w myślach, to natomiast niczym więcej jak logicznym wnioskiem.

W mieszkaniu robiło się coraz szarzej i coraz bardziej zawiesiście. Czulem, jak dym drapie mnie w gardle, ale jakoś tak głupio było mi odkaszlnąć. Tymczasem ksiądz odpalał już kolejnego szluga. Cholera, brał je chyba na dwa, trzy machy i koniec.

– Pragnę was uspokoić, nic takiego się nie stanie – powiedział po chwili.
– Wręcz przeciwnie, zamierzamy wam pomóc, bo bardzo nam zależy, żeby tekst został uznany za autentyczny. To otwiera nowe, niezwykle perspektywy.

I znowu ta myśl w głowie: „Jacy, kurwa, my?! Kościół? Watykan? Tajny Zakon Braci Palących? Kim ty w zasadzie jesteś, facet?!”.

Wstał i rozejrzał się po mieszkaniu, a potem wyciągnął z kieszeni telefon.

– Jaki tu jest dokładny adres, mili moi?



Jakieś pół godziny później do mieszkania zwalili się kumple księżulka obładowani całą masą sprzętu. Niski chudzielec z garbatym nosem, pucułowaty okularnik ulizany na bok, starszy facet, który wyglądał, jakby Einsteina przerobiono na stracha na wróble, i elegancik o kwadratowej szczęce – to tak, gdybym miał ich scharakteryzować pokrótce. Przywitali się z nami grzecznie, po czym zaczęli rozstawiać swoje graty.

Jakby wam tu tak najprościej, w kilku słowach, wyjaśnić, kim byli? W wielkim skrócie – watykańskimi specjalistami od wizerunku. PR-owcy, rozumiecie? To oni przekopywali biblioteki, gdy trzeba było obalić tezy głoszone przez Dana Browna, odwracali uwagę mediów od księży pedofilów w Niemczech i Francji. Nawet o nich nie słyszeliście, prawda? No właśnie...

Również oni pisali przemówienie papieskie, po tym jak obecny Ojciec Święty – głosząc kazanie o ekumenizmie – niechcący obraził jednocześnie muzułmanów, żydów, buddystów i nawet kilku wyznawców wikki.

Zajmowali się wszystkim kompleksowo, a ich budżet był równie obszerny jak niezmierzone skarbcze Watykanu. I teraz właśnie przyjechali, by zrobić co trzeba w sprawie „Gotuj z papieżem”. Nie ma co, pieliśmy się w górę.



– Wiecie co, chłopaki? – odezwała się nagle Patrycja. – To ja już sobie chyba pójdę.

Staliśmy wtedy we trójkę wciśnięci w róg pokoju. Baliśmy się, żeby nie nadepnąć żadnych kabli i zasilaczy, których wszędzie teraz było pełno. Jak w jaskini jakiegoś cyberpajaka, słowo daję.

– Wybacz, ale nigdzie cię teraz nie wypuścimy – powiedział siedzący na kanapie elegant. Miał założoną nogę na nogę i przez cały czas kołysał uniesioną stopą to w jedną, to znów w drugą stronę. Twarz krył za aktualnym numerem „Newsweeka”.

– A to niby dlaczego? – Nasza koleżanka rezolutnie (ale to słowo do niej pasowało!) wzięła się pod boki. – Czy to znaczy, że chcecie mnie tu trzymać siłą?! Wychodzę i już!

Złapała za torebkę, skinęła nam głową na pożegnanie i ruszyła do drzwi. Nawet je otworzyła i zrobiła krok w stronę korytarza. Zaraz jednak wróciła wepchnięta do środka przez wielką, włochatą łapę. Wciąż oburzona ponownie podeszła do nas, kładąc torebkę na biurku.

– I jak wygląda? – zapytałem. Nie mogłem się powstrzymać.

– Kto?

– No ten od wielkiej łapy.

Wzruszyła ramionami.

– Nie przyglądałam się, łapa jak łapa. I nadal uważam, że to skandal, że nie mogę stąd wyjść!

Te ostatnie słowa, jak łatwo się domyślić, nie były już kierowane do mnie. Elegant jednak nawet na nią nie spojrzął zza swojej gazety. Tylko ta przeklęta stopa w skórzanym półbuciu kołysała się, podrygiwała, kręciła kółka...

Właściwie nie mieliśmy co ze sobą zrobić ani gdzie porządnie przysiąść. Większą część dużego pokoju zajęło teraz wielgachne stanowisko

komputerowo–multimedialne z kilkunastoma monitorami ustawionymi pod kątem, tak by można było oglądać je wszystkie naraz.

W mojej sypialni urządzili za to studio nagrań z ogromną zieloną płachtą na ścianie. Na jej tle kręcili materiały, a potem dzięki odpowiedniemu oświetleniu mogli ją – ścianę znaczy – bez trudu wymazać i wstawić zamiast niej, co tylko chcieli. Watykańskie wnętrza? Proszę bardzo. Morskie Oko z mrowiem turystów? Nie ma sprawy. Wschód słońca nad morzem? Żaden kłopot. Jeśli wierzyć pucułowatemu okularnikowi, mieli całe terabajty teł na każdą okazję.

Sypialnia Robala pozostała sypialnią, tyle że teraz dla zespołu. Dorzucili sobie ekstra kilka materacy, jakieś śpiwory i wentylator, jakby się robiło za gorąco. Nam pozostawała jedynie kanapa i dywan przed nią, czasami kuchnia, jeśli akurat nikt nie parzył sobie kawy. Sami przyznacie, że mało, prawda? A do tego całe, dosłownie calutkie mieszkanie tonęło w mgłę papierosowego dymu.

– Roberto, chodź, będziesz potrzebny! – zawołał nagle okularnik, wychylając się ze studia. – Weź ze sobą któregoś z dzieciaków.

Elegant złożył gazetę, położył obok i wstał. Spojrzał w moją stronę.

– Chodź ze mną – polecił.

– Jeśli chcesz żyć – dopowiedział Robal i obaj roześmialiśmy się nerwowo. Ani elegant, ani Patrycja najwyraźniej nie oglądali Terminatorów, bo jakoś nie załapali żartu.

Przeszliśmy przez mieszkanie i wprowadził mnie do studia. Od reflektorów biła taka fala gorąca, że z miejsca byłem cały mokry, a w gardle miałem sucho, jakbym połknął garść piasku.

Kurdupel z garbatym nosem kazał elegancikowi się przygotować, a mnie rzucił pod nogi zielony kombinezon z mnóstwem połyskujących znaczników.

– Wkładaj to – rozkazał – byle szybko.

Włożyłem i nawet pasowało, choć materiał wpijał się w krocze i trochę pod pachami. Na głowie miałem kominiarkę, która zgniatała mi nos i dociskała uszy do czaszki. Gdy obejrzałem się w lustrze, stwierdziłem, że wyglądam jak ufoludek z gejowskiego musicalu. Nie pytajcie, skąd takie skojarzenie...

Tymczasem elegant wrócił teraz w brudnych krótkich spodenkach, przepoconej koszulce – jedno i drugie barwy khaki – oraz grubych skórzanych butach, ciężkich jak niemiecki dowcip. Na głowie miał kapelusz, spod którego wystawały pojedyncze kosmyki przepoconych włosów. I albo mi się wydawało, albo gdy już wrócił, był brudny i miał na twarzy kilkudniowy zarost.

Ustawił się przed oknem kamery bokiem do niej, wyciągnął rękę, jakby ją komuś podawał, i zamarł wyszczerzony głupio.

– Młody, idź z drugiej strony i podaj mu łapę – polecił mi kurdupel. A potem, gdy już zrobiłem, jak kazał, instruował mnie na bieżąco. – Tylko nie prostuj się, jakbyś kij połknął. Zgarb się trochę. O, idealnie...

Przez chwilę tak staliśmy, elegant gadał do mnie jakieś brednie – miałem pokazywać na zielony materiał ze ściany i kiwać głową. Potem przeszliśmy, robiąc duże kroki i omijając pola zaznaczone zieloną taśmą, aż wreszcie zaczęliśmy przyglądać się podłodze – mówię wam, obłąd.

Gdy skończyliśmy, kazali oddać kostium i odesłali mnie do pokoju.

– Co tam robiłeś? – zapytała Patrycja.

– Idiotę z siebie – mruknąłem zmęczony. Czułem się podle, zbrukany obcisłością kostiumu i na dodatek potwornie zgłodniałem. – Jemy coś?

– Pozwolili nam zamówić pizzę – oznajmił mi z zadowoleniem Robal. Takim głosem przemawiają w filmach ci, którym udaje się wynegocjować ustępstwa na rzecz zakładników. – Wzięliśmy dla ciebie mafiozo.

– Super.

Usiadłem sobie w kącie przy telewizorze i słuchałem, jak ksiądz użera się przez telefon z drukarnią, a zaraz potem z przedstawicielem którejś stacji telewizyjnej. Mówił coś o jakiejś fundacji czy coś tam. Rozmawiając, cały czas palił.

– Myślicie, że co z nami zrobią? – zapytałem po dłuższej chwili. – Znaczy jak już skończą to, co robią?

Patrycja wzruszyła ramionami.

– To zależy, co robią. Bo póki co nie za bardzo mam pojęcie.

Odpowiedź na jej pytanie przyszła już dzień później. W wieczornych „Wiadomościach”.



Okazało się, że wtedy, jak biegałem na zielono, wcale nie byłem ufoludkiem. Przy pomocy *motion capture* – takiej techniki przechwytywania ruchów przez komputer – i jeszcze jakiegoś programu graficznego zrobiono ze mnie wodza amazońskiego plemienia kanibali. I całkiem zgrabnie im to wyszło. Nie tylko Patrycja i Robal, ale nawet ja sam siebie nie poznałem.

No dobra, trochę wyskoczyłem do przodu, ale już wyjaśniam, po co to było.

Rzecz jasna, świat wciąż żył rewelacją na temat kanibalizmu papieża, a sprawa nabrała rumieńców, od kiedy wyszło, że Kościół skłamał w sprawie ekspertyz. Obecnie coraz częściej mówiło się o tym, że być może Watykan kryje przed światem okrutną prawdę i dlatego próbuje mieszać ludziom w

głowach. Najśmielej pisali o tym Francuzi i Holendrzy, najmniej chętnie Polacy i Włosi. Ale tak czy siak wszędzie było na ten temat pełno newsów.

Nasz filmik – materiał prosto z dżungli, podrasowany, by wyglądał jak stary program podróżniczy BBC – wypłynął tak koło szesnastej. Wtedy po raz pierwszy wspomniano o nim na kanałach informacyjnych, zapowiedziano jako news dnia głównych wydań wiadomości i dzienników.

Jak to się stało, że wszyscy uwierzyli w autentyczność materiału? Po pierwsze, przygotowany był perfekcyjnie, nawet zgrano go na odpowiednio starą taśmę. Po drugie, ksiądz przy pomocy swoich dojsć wprowadził taśmę po cichu do rejestru archiwów BBC jako nagranie z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Później wystarczyło już tylko wygłosić kontrowersyjną teorię i podeprzeć się tym właśnie obrazem. Medialne koło zamachowe zrobiło już całą resztę.



Teraz mówię to spokojnie, ale wtedy, gdy dotarło do nas, jaką taktykę obrał PR-owy zespół z Watykanu, trochę nas, przyznam, zmroziło. Siedzieliśmy z wytrzeszczem oczu jeszcze długo po programie, a gdy pierwszy z nas – Robal – wreszcie coś powiedział, zdanie to brzmiało następująco: – Czy wy też to, kurwa, słyszeliście?

Pokiwaliśmy głowami. Słyszeliśmy, a jakże. Ja nawet podwójnie, bo siedzący za mną Einstein na wróble mówił cały tekst równocześnie z teologiem na ekranie. A brzmiało to mniej więcej tak:

– Wszyscy spieramy się, czy to możliwe, by papież jadł ludzkie mięso. Osobiście uważam, że to źle zadane pytanie. Nie szukajmy odpowiedzi

„czy”, skoro dowody na to są jednoznaczne. Zastanówmy się raczej: skoro tak, to dlaczego. Co go do tego pchnęło? Tak rozpatrzone zagadnienie może bowiem doprowadzić do o wiele ciekawszych i co ważniejsze, inspirujących wniosków.

Tu teolog z telewizji – a wraz z nim Einstein na wróble – zrobił krótką pauzę, w sam raz na nabranie tchu. A potem obaj płynnie podjęli przerwany wątek:

– Czy Pismo nie mówi bowiem: „To jest ciało moje, które za was będzie wydane”? Do tej pory traktowaliśmy te słowa jako swego rodzaju metaforę. Chleb staje się ciałem w sensie duchowym, nie fizycznym, i tak naprawdę nie mamy do czynienia z ciałem w potocznym rozumieniu tego słowa. Tak odbieraliśmy eucharystię do dziś. A co, jeśli się pomyliliśmy? Jan Paweł II był mistykiem, który zgłębił nie tylko Pismo Świąte, ale i dostąpił wielu objawień, czytał księgi dla nas niedostępne. Co, jeśli on jako pierwszy poznał prawdziwą tajemnicę naszej wiary?

Tu wtrącił się dziennikarz prowadzący program:

– I co jest tą tajemnicą, panie doktorze? Kanibalizm zamiast miłości?

– Ależ skąd! – zawołał oburzony teolog, a siedzący za mną Einstein na wróble syknął, widząc ten niekontrolowany wybuch emocji. Na szczęście gość w studiu dość szybko się opanował i kontynuował już z pogodnym uśmiechem: – Widzi pan, widziałem kiedyś, dawno temu, program przyrodniczy stacji BBC o kanibalach z amazońskiej dżungli. I niech pan sobie wyobrazi, oni wcale nie jedli ludzi dlatego, że takie mieli kulinarne upodobania. Owszem, szykowali potrawy z ciał poległych, ale miało to przede wszystkim wymiar duchowy. Jeśli cię zjem, zostaniesz we mnie na zawsze. W ten sposób realizowali marzenie o nieśmiertelności.

Pobladłem, słuchając tego, i zrobiło mi się niewyraźnie. Nawet jeśli tylko część była prawdą, to i tak... blee, obrzydliwość.

Tymczasem prowadzący wyraźnie zmierzał do podsumowania:

– Czyli, jeśli dobrze rozumiem, sugeruje pan, że Ojciec Święty naprawdę był kanibalem, ale jedynie dlatego, że chciał się w ten sposób jednoczyć z ludźmi? Przecież to niedorzeczność!

Elegant za nami westchnął z dezaprobatą.

– I to właśnie nazywamy brakiem dziennikarskiego profesjonalizmu – powiedział, przełączając kanał. – Powinni go zwolnić za krzyczenie na gości. Ale tak czy siak zadanie zostało wykonane.

A potem, parę godzin później, zobaczyłem siebie w roli wodza kanibali w filmie, który podobno powstał, gdy byłem jeszcze dzieckiem. I mimo wszystko był to dość zabawny widok.



Następnego dnia, zanim jeszcze opinia publiczna zdążyła należycie skrytykować tezę o uduchowionym kanibalizmie papieża, pojawił się kolejny mocny news. Materiał prosto z katolickiej misji w Ugandzie.

To dopiero był majstersztyk, słowo daję. Tym razem nasi goście nie realizowali filmu w domu, tylko połączyli się satelitarnie z jakimś planem filmowym i zażądali nagrania kilku scen na specjalne zamówienie. W obsadzie sami naturszczycy plus dwóch ludzi, którzy się zgłoszą. Pieniądże jak za nowego Indianę Jonesa, więc kto by się nie zgodził?

Następnie ksiądz mówił, czego potrzebuje w danej scenie, a kurdupel z ulizanym okularnikiem przekładali to na fachowo brzmiące komendy dla reżysera.

W trzy godziny mieli gotowy materiał pod obróbkę.

A wieczorem całość szła w „Wiadomościach”.

– Dwaj katoliccy misjonarze w Ugandzie – mówił dziennikarz prowadzący główne wydanie serwisu – nakarmili głodnych gulaszem z własnych kończyn. Jak mówili, zainspirował ich do tego papież i jego listy. Ostrzegamy, że materiał, który zaraz państwo zobaczą, będzie drastyczny.

Przesadził. Na filmie nie pokazano nic strasznego, tylko wygłodzone plemię wcinające gulasz i dwóch facetów bez rąk. Wszystkie drastyczne sceny wyciemnili, a nawet zniekształcili głosy. Ale trzeba przyznać, że dziennikarskie wprowadzenie zrobiło swoje. Nawet ja nie wytrzymałem, choć wiedziałem, że to wszystko jedna wielka filmowa ściema.

– Potrąca nam ten dywan z kaucji, zobaczysz – powiedział Robal. Grał twardziela, myślę. Sam też był w szoku.



– Czy oni naprawdę liczą na to, że zyskają ludzi w ten sposób? – zapytałem idącą obok Patrycję. Patrzyłem jednak nie na nią, a w szybę wystawową, a konkretniej, na swoje głupio ubrane odbicie.

To był warunek księdza i spółki, zanim zgodzili się puścić nas na spacer. Uznali, że ktoś mógłby mnie rozpoznać, więc dla zmyłki miałem włożyć spodnie z krokiem do kolan, bluzę z kapturem i bejsbolówkę. Tę ostatnią, by ukryć spięte w kok włosy. Dlaczego zrobili mnie akurat na skejta? Zdaniem elegancika, miałem – nawet mimo brody, której za nic nie chciałem zgolić – twarz idealną do takiego stroju, a chód i ogólną prezencję dopasowaną do skejtowskiego sposobu bycia. Wyobrażacie sobie? Nosilem

w sobie małego skejta i nic o tym nie wiedziałem! No strasznie, kurwa, śmieszne.

– Nie mam pojęcia, do czego zmierzają. – Patrycja wzruszyła ramionami. – Wygląda jednak na to, że oni wiedzą. Podchodzą do wszystkiego bardzo profesjonalnie.

Pomyślałem o swoim epizodzie jako wódz plemienia kanibali i skinąłem głową. Nadal byłem pod wrażeniem tego, jak mnie potem obrobili.

Mijaliśmy właśnie jakieś osiedle. Kilku pijanych gości przeszło obok, rzucając w stronę Patrycji jakieś głupie uwagi. Udałem, że chcę zainterweniować, a ona litościwie chwyciła mnie za ramię.

– Przestań – poprosiła. Brzmiało to, jakby uwierzyła, że naprawdę zamierzam się z nimi trzaskać. Schlebiali mi to wtedy, choć teraz jestem święcie przekonany, że zrobiła to dla mnie. Bym poczuł się lepiej mimo kretyńskiej czapki i spodni – bym poczuł się jak facet. Miło z jej strony, prawda?

Przez chwilę szliśmy w milczeniu, a ja udawałem, że myślę nad czymś intensywnie. W rzeczywistości gapiłem się na jej piersi cudownie opięte kusą czarną kurtką. W ogóle zapomniałem dodać, że wyglądała oszałamiająco – prócz kurtki miała jeszcze obcisłe dzinsy i buty na obcasie i wyglądała jak złodziejka z filmu. Jak Zeta-Jones w „Osaczonych”, jeśli kojarzycie film. Jak komiksowa kobieta-kot w cywilu. Jak... No dobra, już wiecie, o co chodzi. W każdym razie robiła wrażenie.

– Dlaczego zostałam dziennikarką? – zapytałem po chwili, unosząc wzrok. Mówiąc szczerze, odpowiedź niewiele mnie interesowała, ale byłem trochę skrępowany przeciągającą się ciszą.

– Szczerze? Bo chciałam, by świat poznał prawdę.

– O czym?

– O wszystkim. – Wzruszyła ramionami. – Po prostu prawdę. Kiedyś podchodziłam do wszystkiego cholernie idealistycznie. Miałam nadzieję, że dzięki telewizji będę w stanie demaskować kłamstwa polityków, korporacji i innych takich. Pokazywać światu, jaki jest i jaki mógłby być, gdyby tylko wszyscy kierowali się sercem i rozumem, a nie tylko wytycznymi z radia czy gazety. Słyszałeś taki termin, jak „opiniotwórcza”? Są gazety, które się tym szczycą, że są właśnie takie. A to przecież nie znaczy nic więcej, jak tylko „mówimy wam, co macie sądzić”, „manipulujemy wami, podając nie same fakty, a już gotowe opinie i wyroki”! I właśnie tego miałam dość! Chciałam zmieniać świat, rozumiesz?! Zmieniać świat!

Zrobiła pauzę i znów wzruszyła ramionami. Potem uśmiechnęła się pogodnie.

– Później mi przeszło. Uznałam, że skoro ludzie dają się tak wkręcać, znaczy, że na to zasługują. I teraz na przykład widzę, że to wszystko może być całkiem zabawne.

Zatrzymałem się i patrzyłem na nią, przez chwilę myśląc o szczytnych ideach, które sobie odpuściła. Wciąż się uśmiechała, ale widziałem w jej oczach, że tak naprawdę sama siebie oszukuje. Bo wcale nie zubożniała na kłamstwa i manipulacje. Chciała tylko przekonać sama siebie, że już nie wierzy, że może być inaczej. Nie umiesz pokonać wroga, przyłącz się do niego – szczyt konformizmu...

I nagle poczułem, że też chcę zrobić coś wielkiego i wspaniałego. Że też chcę zmienić... no, może nie od razu świat. Może najpierw samego siebie. W owym momencie przepełniała mnie przemożna chęć powiedzenia czegoś równie wzniosłego jak jej tyrada. Równie ważnego i głębokiego.

Złapałem ją za ramię i odwróciłem do siebie, a w głowie miałem już ułożoną całą mowę, jak to zamierzam jej pomóc, bo uważam, że kiedyś

miała rację i w ogóle. Że weźmiemy jeszcze Robala i paru chłopaków i zmienimy ten świat. A jak zaczniemy w poniedziałek, to...

No ale mniejsza, co chciałem powiedzieć, wszak ważne jest to, co ostatecznie powiedziałem, patrząc w cudowne oczy Patrycji, czując pod palcami jej ciepło przebijające się nawet przez materiał kurtki...

– Ja... kocham cię – oznajmiłem.

Albo jakoś tak.



Nie był ci to najlepszy pomysł, na jaki wpadłem w owym tygodniu, tyle wam powiem. Co prawda nie wyśmiała mnie wprost, ale widać było, że naprawdę z trudem się powstrzymuje, by nie wybuchnąć.

Przez chwilę było niezręcznie. Unikaliśmy nawzajem swoich spojrzeń i gadaliśmy o bzdurach. Ja na przykład zabrałem się do rozszyfrowywania napisów na murach. To znaczy patrzyłem na ciąg wysprejowanych liter i mówiłem, co mi mówią o autorze. Z początku było to nawet fajne, ale potem się okazało, że większość napisów na dzielnicy zrobił jeden frustrat z puszką, więc za dużo do roboty nie miałem.

Murowy wierszokleta był mańkutem, dysortografem i panicznie bał się dziewczyn. To ostatnie wywnioskowałem już z treści tekstów, nie z charakteru pisma.

– „Chodź tu dziewczę chorze, zaraz ci go...” Oj, chyba skończyła mu się puszką. I to w takim kluczowym momencie – zachichotała Patrycja.

– Wiesz, psikał wcześniej na lewo i na prawo, to jak przyszło co do czego, to zbrakło.

Zgięła się w pół, parskając śmiechem. Patrzyłem na nią przez chwilę totalnie zaskoczony reakcją, aż w końcu i do mnie dotarł sens mojego niezamierzonego żartu. Bo mówiłem wam już, że nie jestem za dobry w te klocki, nie? Z dowcipami na ten temat też jestem raczej nie po ścieżce. Czasami chwytam ze sporym opóźnieniem.

Kiedy już oboje obśmialiśmy się należycie, Patrycja podniosła z ziemi pogięty i zawilgocony numer jakiegoś skrajnie lewicowego dziennika. Elegant wspominał coś w rozmowie z Einsteinem na wróble, że namnożyło się tego natychmiast po aferze, jakby kto robactwo spod kamienia wypuścił. Podobno w ciągu dwóch dni nakłady skoczyły o tysiąc, tysiąc pięćset procent.

Artykuł na pierwszej stronie pokazywał grupę kalekich młodych ludzi w sutannach. Niektórym brakowało rąk, inni zamiast nóg mieli metalowe protezy. Tytuł artykułu brzmiał: „Seminarium Duchowne w Aspen. Wymarzone miejsce dla kleryków kalek czy tajny spichlerz Watykanu?”.

– Jezu! – jęknęła Patrycja. – Chyba powinniśmy to pokazać naszym gościom, nie sądzisz?

Szczerze? Nie mam pojęcia, co myślałem, bo jedyne, co do mnie docierało, to że powiedziała „naszym gościom”. Nie brzmiało to co prawda jak „ja też cię kocham, Remek”, ale sami przyznacie, że od jednego do drugiego to już spacerkiem...

Dziś myślę, że tym całym uczuciem do niej Bóg chciał chronić moje zdrowe zmysły przed zalewem poczucia winy. Znaczący wiecie, wyrzutami, że z wielkiego człowieka zrobiłem kanibala albo że ludzie nie ufają już Kościołowi i boją się dawać na tacę, by nie dofinansowywać przemytów żywej żywności do krajów trzeciego świata.

O tak, w ten sposób – odbierając rozum i przyspieszając rytm serca – Wszechmogący okazał mi miłosierdzie. Niniejszym, korzystając z okazji,

bardzo mu dziękuję.

Mimo wszystko...



Gdy wróciliśmy, okazało się, że gdzieś wcięło Robala. Znajac jego niechęć do spacerów, zaraz zaniepokoiłem się, czy aby nie wyciął jakiegoś głupiego numeru, za który musieliby go... bo ja wiem, sprzątnąć, uciszyć, zapakować w betonowe buty? Wszystko to brzmi tak cholernie filmowo, sztucznie, a ja naprawdę wtedy wydygałem. Tak po ludzku, życiowo.

Na szczęście ksiądz – siedzący właśnie w kuchni, jak zwykle w kłębach papierosowego dymu – szybko mi wyjaśnił, o co chodzi.

– Twój przyjaciel zgłosił się do nas z paroma konstruktywnymi uwagami i uznaliśmy, że może się przydać. Właśnie szykuje ci pracę.

– Mi? – Przezornie cofnąłem się o krok, myśląc tylko o tym, jak szybko można biegać w spodniach z krokiem po kolana. I czy jest szansa, że wielka, włochata łapa nie wrócił jeszcze na stanowisko za drzwiami. – Ale kiedy ja naprawdę niewiele potrafię.

– Nie będziemy naciskać ani prosić o niemożliwe, ale bardzo w ciebie wierzę, Remigiuszu. Wszyscy w ciebie wierzymy.

Tanie gadanie, powiecie. Łatwo się dałem podpuścić. Ale z drugiej strony pamiętajcie, że facet uchodzący za fachowca pochwalił mnie w towarzystwie kobiety mojego życia. Co miałem zrobić? Powiedzieć, że się boję? No litości!

– Potrzebujemy, byście z kolegą dorobili nam kilka listów – powiedział ksiądz, gdy w końcu skinąłem głową. – Nie tylko papieskich. Muszą być

wiarygodne jak te do książki.

To dlatego wciąż nas trzymali, pomyślałem. Zaraz jednak przypomniałem sobie, że Robal sam zgłosił się do nich z uwagami. Czyli chodziło im wyłącznie o mnie i mój talent do fałszerstw? Nie ma co, rosnę we własnych oczach.

Był tylko jeden problem. Nie najlepiej o mnie świadczy, że dopiero w tym momencie o tym pomyślałem, ale sami rozumiecie – nie nadążałem już ze składaniem wszystkich puzzli tej zwariowanej układanki. I tak dobrze, że w ogóle pokojarzyłem. Jakbyście mieli wątpliwości, znowu szło o Patrycję.

– Masz coś przeciwko? – zapytałem otwarcie, patrząc jej w oczy.

– Czemu miałabym mieć?

Wzruszyłem ramionami.

– No bo wiesz, to, co mówiłaś o prawdzie i takich tam. Uważam, że to wszystko ma sens i może rzeczywiście...

– Wystarczy mi, że sama wiem, co jest czym – odparła, wchodząc mi w zdanie. – Znam prawdę, bo jestem w oku tego cyklonu. I bardzo ciekawi mnie, jak się to wszystko potoczy.

Jak to nazywali moi wykładowcy? Ambiwalencja? Nic dziwnego, że tak trudno zrozumieć kobiety. To tak, jakbyś jednocześnie chciał stać na dwóch przeciwnych biegunach. Tkwić w pudełku i poza nim. Być i nie być...

Odwróciłem się w stronę obłoku dymu wokół głowy księdza. Uśmiechnął się do mnie. Książd znaczy, nie obłok.

– Będę potrzebował próbek pisma tych dodatkowych osób – zapowiedziałem. – Im więcej, tym lepiej...

Coś z hukiem upadło na podłogę tuż obok nas. Stos papierowych teczek.

– Tyle chyba wystarczy, nie? – Ulizany okularnik, który przyniósł to wszystko, wyszczerzył się w głupim uśmiechu. – W środku masz listy,

zdjęcia i nawet biografie ludzi, których pismo będziesz podrabiał.

Pochyliłem się i zajrzałem do pierwszej teczki, próbując jednocześnie zapanować nad drżeniem rąk. Słowo daję, że przez ten huk, brzmiący jak wystrzał, dostałem nielekkiej telepawy.

– Wygląda, że w porządku – stwierdziłem. – Na kiedy ma to być?

– No widzisz! – Ksiądz uśmiechnął się. – I takie podejście to ja rozumiem. Masz trzy dni na całość.



OK, za dużo o mnie, za mało o tym, co się działo. Więc teraz dla odmiany opiszę wam monitory. A raczej co na nich wyświetlano.

Było ich w sumie jedenaście, a każdy pokazywał jednocześnie osiem kanałów, które zmieniały się cyklicznie co trzydzieści sekund. Nikt tego nie oglądał, bo i jak, ale jakby co, była możliwość wybrania dowolnego programu i przerwania go na plazmę. Co jakiś czas z drukarki ustawionej w kącie wysuwał się kolejny kawałek zadrukowanej papierowej taśmy z informacją, że na kanale takim a takim padło słowo „papież/papieża/papieżowi/ papieżem”, a zaraz potem lub chwilę wcześniej słówko „kanibalizm/kanibal/kanibale/kanibalizmem”. Bywało, że wtedy ktoś podchodził i przez jakiś czas oglądał dany program. Zwykle jednak nikomu się nie chciało. Wszyscy byli zawałeni pracą.

No dobra, wszyscy z wyjątkiem Patrycji, którą zainteresowały monitory i niewyobrażalny wybór kanałów telewizyjnych. A ponieważ siedziała tam całkiem sama, obejmując się rękami, jakby było jej zimno, po jakimś czasie stwierdziłem, że jednak do niej dołączę. I tak oglądaliśmy: RAI UNO,

gdzie jakiś polityk wymachiwał rękami, szarpał się za włosy i wykrzykiwał coś – zapewne obelgi – w stronę kardynała zajmującego miejsce przy drugim stoliku. W tle za prowadzącym było zdjęcie misjonarza z Ugandy bez obu rąk, ale uśmiechniętego, jakby się właśnie dowiedział, że zniesiono celibat...

BBC – tam prowadząca usiłowała rozmawiać z korespondentem, który – popychany to w lewo, to w prawo przez tłum za jego plecami – żalił się, że władze Ugandy zamknęły granice i wszystkich trzymają na lotnisku. Stwierdził jednak, że nie wszystko stracone, bo swoją obecność na lotnisku zapowiedział jeden z tych dwóch misjonarzy od gulaszu...

TRWAM, na którym to kanale ksiądz prowadzący, podobnie jak wcześniej włoski polityk, miotał się po studiu, że to wszystko to zamach na świętego człowieka, że to spisek tej nierządnicy Unii, papieża Niemca i Żydów z TVN-u. W programie byli też jacyś goście z sejmu, ale tylko gapili się tępo przed siebie jak odstawione pod ścianę marionetki, którymi pewnie byli...

AL JAZEERA z zamaskowanym terrorystą, który poinformował, że ostatnia seria krwawych zamachów bombowych w Europie to sprzeciw islamu – było nie było, religii miłości – wobec barbarzyństwa, jakiego dopuścił się poprzedni papież...

CNN, a tam prowadzący próbował się czegoś dowiedzieć od korespondentki z Ugandy. Ta jednak była akurat zajęta przepychanką z korespondentem BBC, więc dość szybko zdjęto ją z wizji, przeprasząc za drobne kłopoty techniczne...

ABC z trwającym właśnie programem „Jimmy Kimmel Live!”. Prowadzący wyemitował filmik, który widzieliśmy chwilę wcześniej na AL JAZEERZE, i skomentował krótko: „Muzułmanie zazdroszczą katolikom, bo sami ze swoich męczenników mają co najwyżej skwarki”. Potem dodał, że

ponieważ powiedział, co powiedział, już nigdy nie będzie podróżował samolotami.

Obejrzeliliśmy jeszcze ze trzydzieści programów, ale żadnego nie dłużej niż dwie minuty. Zwłaszcza polskie programy – gdzie na przykład przeprowadzano wywiad z aktorem, który dwukrotnie grał papieża – przełączaliśmy szybko i z uczuciem zażenowania.

Właściwie nie wiem czemu. Nasi przynajmniej nie tłukli się mikrofonami na lotnisku w Ugandzie.



Po jakiejś godzinie przyszedł do nas elegant i grzecznie, acz stanowczo pogonił mnie do pracy. Wtedy Patrycja przypomniała sobie o znalezionej gazecie. Przyniosła ją zaraz i rozprostowała na kolanie.

– Trafiliśmy na to na spacerze – powiedziała, wręczając elegancikowi. – Pomyśleliśmy, że się przyda.

– Tak, rzeczywiście. – Ten spojrział na pierwszą stronę, po czym zerknął do środka i pobieżnie przejrzał resztę artykułu. Pokręcił głową, krzywiąc się z niesmakiem. – Przecież to zwykłe seminarium, cholera. Mają tam obecnie sześciu kalekich chłopców, którzy nawrócili się po groźnym wypadku autobusowym. Doprawdy media nie uszanują już żadnych świętości.

Odwrócił się na pięcie i odszedł z gazetą w ręku. Wydawał się autentycznie poruszony.

– Czy tylko ja mam wrażenie, czy ktoś tym artykułem właśnie okradł złodzieja? – zapytała Patrycja.

– To znaczy?

– No wiesz, zmanipulował zmanipulowaną przez naszych gości rzeczywistość. Pokrzyżował im szyki, używając ich własnej broni. Jak sądzisz?

Znowu powiedziała „nasi goście”, ale jak się domyślicie, nie spodziewałem się już za wiele. Na szczęście w tym samym momencie do pokoju wpadł, sapiąc, Einstein na wróble, a za nim kurdupel i ulizany okularnik. Na wyścigi rzucili się do kanapy i rozsiedli na niej jak paniska, rekwirując stojącą nieopodal butelkę coli.

Jeden z nich złapał za pilota i przełączył na CNN. W samą porę, bo właśnie zaczynało się spotkanie z bezrękim misjonarzem od gulaszu.



Mówi się, że życie jest cudem. Że cud to piękny zachód słońca, uczucie zakochania, wiosna z drzewami wypuszczającymi pąki, uśmiech dziecka... Tak się mówi, ale to sranie w banie. To wszystko, choć ładne, miłe i w ogóle, nijak się ma do prawdziwego cudu. Wiem, co mówię, widziałem taki na własne oczy! Ja... i blisko trzy miliardy ludzi na całym świecie.

Oto jak wyglądał:

Lotnisko wypełnione po brzegi, a wszyscy na nim przepychają się i obmacują. Wszyscy bez wyjątku. Reporterzy, operatorzy, dźwiękowcy, ochrona lotniska, policja, wojsko, attache ambasad i reprezentanci rządu. Nawet sprzątaczkę i facet od wózków korzystają z okazji.

Kamery wzniesione wysoko filmują chaos jak leci. Widać ocean głów i rozszalałe fale rąk. Widać torby ze sprzętem i mikrofony, legitymacje

prasowe i pliki dolarów w spoconych dłoniach. Aparaty fotograficzne...

Dźwiękowo też nie lepiej. Kakofonia jak na nowojorskiej giełdzie albo w innej małpiarni. Każdy ma coś do powiedzenia, zaoferowania. Jakąś groźbę na podorędziu, albo też siostrę/żonę/córkę do sprzedania za przepustkę i wyłączność. Dziennikarski odpowiednik duszy...

Od samego oglądania tego robi się gorąco – na lotnisku biedny pan Celsjusz szybciotko dobiega pięćdziesiątki i nie wygląda, jakby miał na tym poprzestać. Temperatura rozprawiła się z makijażem połowy reporterek i przypuszcza szturm na całą resztę. Żaden Rimmel czy inny Maybeline nie przewidział testowania swych produktów w warunkach dziennikarskiej apokalipsy.

I wreszcie otwierają się jakieś drzwi. Na ekranie widać je prawie całe, a nie do połowy, co oznacza, że muszą do nich prowadzić jakieś schodki – teraz niewidoczne z powodu głów i rozkołysanych rąk. Wejście wygląda, jakby prowadziło prosto na ocean ludzi. Skojarzenia z Jezusem? Jak najbardziej na miejscu. Krokodyl Dundee i jego wędrówka po pasażerach metra w finale pierwszej części? Też dobry kierunek dla strumienia myśli.

W progu staje jakiś wojak, potem drugi, a wreszcie brodaty, wychudzony facet bez rąk. Ten ostatni uśmiecha się, szczerząc zęby jak w reklamie pasty do zębów. Chwalić się jednak nie za bardzo ma czym.

– Oto jestem – mówi, zupełnie jakby był Jezusem, a nie kretyńcem, który pod wpływem książki kucharskiej obciął sobie łapy. Język, którego używa, to angielski z dziwnym, nieznanym mi akcentem. – Pytajcie.

I znowu pandemonium. Każdy ma pytanie, każdy proponuje wywiad na wyłączność, każdy chce dotknąć kikuta, jakby to była najświętsza relikwia na całym pierdolonym świecie.

Widzę w podpisach sunących dołem ekranu, że tego dnia pod Londynem rozbił się samolot z dwustoma pasażerami na pokładzie. Ni

stąd, ni zowąd umarła pisarka, zdobywczyni dwóch Nagród Nobla, bojowniczką o prawa kobiet. Terrorysta seksoholik opanował żeński akademik w Paryżu i grożąc wysadzeniem siebie i swych niewolnic, domaga się zwolnienia kilku kolegów, a potem pozostawienia ich w tym akademiku na parę dni.

W kraju z kolei – co również głoszą napisy – pielgrzymka z Torunia do Częstochowy w intencji tych, którzy wierzą, że papież był kanibalem. Żeby ich kotły nigdy nie wystygły, a kolce maczug wpychanych im do tyłków nigdy nie stępiły.

Zamach bombowy na siedzibę „Gazety Wyborczej”, do której przyznała się nieznana organizacja terrorystyczna „To my, Taliby”.

Prezydent w swym orędziu apeluje o spokój i prosi Watykan o „natychmiastową demencję” plotek.

To wszystko pojawia się tylko w formie napisów. Jako wieści drugorzędne, nieistotne. Bo – co uznali niemal wszyscy – teraz ważniejszy był facet, który obciął sobie ręce i nakarmił nimi wioskę. Jeden z dwóch, dodajmy.

– Pytania proszę zadawać pojedynczo – odzywa się wzmocniony mikrofonem głos zza pleców misjonarza. Oczywiście po angielsku. I oczywiście nikt go nie słucha. Do czasu...

Zaraz potem bowiem misjonarz, wyraźnie znużony hałasem, unosi kikuty rąk i... wszyscy cichną. Dosłownie nieruchomieją, jakby to był jakiś pierdolony Matrix, a nie transmisja na żywo. Nawet kamera zamiera – fakt, pod nieco dziwnym kątem – i przestaje się trząść. Nagle na lotnisku robi się tak cicho, że słychać szum klimatyzacji.

– To, co zrobiliśmy z bratem Enzelmem, to ani głupota, ani przejaw ślepego fanatyzmu – mówi po chwili misjonarz. Słowa brzmią jak angielski, ale mam wrażenie, że równie dobrze mogą być dowolnym

językiem świata. Jak apostoł natchniony duchem misjonarz mówi językiem uniwersalnym, zrozumiałym dla każdego: – To było świadectwo wiary i wyraz oddania wobec Boga i Jego planu. Potrzebowaliśmy słów Ojca Świętego, by należycie zrozumieć, o co chodzi naszemu Panu. Modliliśmy się o objawienie i o to, byśmy mogli dać świadectwo. I Bóg nas wysłuchał.

Przerywa na moment i obraca się lekko, spoglądając teraz prosto w naszą kamerę. Znowu macha kikutami.

– Teraz macie nas jeszcze za wariatów, ale dziś w nocy śnił mi się Jan Paweł II i powiedział, że trzy dni nie miną, a odzyskam swoje kończyny. I będzie to znak od Boga dla wszystkich, którzy jeszcze nie wierzą.

I w tym momencie jego kikuty zauważalnie się wydłużają. Ot tak, same z siebie. Cud jak kurwa mać, prawda?



Trzy dni. Tyle potrzebował Jezus, by – jak mówi Pismo – odbudować świątynię swojego ciała. Tyle misjonarz z Ugandy kazał czekać reporterom i ludziom przed telewizorami, zanim znowu będzie im mógł normalnie pomachać. Tyle wreszcie czasu dostałem ja, by napisać swoje listy. Prośby o cud i obietnice cudów, zapisy z pamiętników i relacje sporządzone dla najbliższych. Nawet jeden testament. W sumie siedemnaście tekstów pisanych rzekomo przez dziewięć różnych osób – w tym, rzecz jasna, papieża – na przestrzeni całych lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku.

Oto co czytelnik miał z nich wyczytać: Ludzie chorują. Czasem bardzo poważnie, a zdarza się, że nieuleczalnie. I są wśród nich tacy, którzy godzą się z chorobą, śmiercią i całym tym szajsem, ale są też i tacy, którzy –

nieważne, jak grzesznie żyli – będą ciągnąć Boga za nogawkę i domagać się, kurwa, drugiej szansy. Ciągnąć oczywiście metaforycznie, poprzez żarliwe modły, do tego wznoszone nieosobiście. A przynajmniej nie bez solidnego wsparcia.

Mamy zatem listy z prośbami – ludzie proszą w nich papieża o wstawiennictwo i pomoc w zorganizowaniu cudu. Papież z kolei, co wszyscy wiedzieli, był niezwykle wrażliwy na cierpienie innych i oddałby całego siebie, byle tylko pomóc jednemu z tych swoich braci najmniejszych, o których wspominał Chrystus w swych kazaniach.

Odpowiedzi to druga część listów – papież odpisuje w nich, że jest gotów do wszelkich poświęceń i zgadza się pomóc. Zaznacza jednak, że to kwestia między chorym a Bogiem i nie może być nagłośniona.

Tak to już jednak jest z ludźmi, że ciężko im utrzymać tajemnice, zwłaszcza te związane z czymś naprawdę wielkim. Ci silniejsi ograniczają się do zwierzeń pamiętnikowych, słabsi szukają najbardziej zaufanych bliskich. Są też tacy, którzy uważają, że śmierć zwalnia ich z zachowania tajemnicy. Ci spowiadają się prawnikom i krewnym w swoich testamentach.

To trzecia kategoria preparowanych przeze mnie listów – relacje z cudów napisane dla osób postronnych. Opowieści o tym, jak papież przyjeżdżał osobiście do domów tych, którzy prosili o pomoc, a potem – po odmówieniu modlitw – zamykał się w kuchni i przyrządzał dla chorych jakieś wymyślne potrawy. Podobno smakowały wyśmienicie, a mięso w nich zawarte było pierwszego gatunku.

W każdym z listów napomykano, że papież wychodził z kuchni z zabandażowaną dłonią i wyglądało, jakby mu brakowało palca. Zawsze jednak twierdził, że to złudzenie i że tylko się zaciął, bo taki już z niego stary niezdara.

Listy z trzeciej grupy różniły się między sobą. Niektórzy wysnuwali oczywiste wnioski, inni ograniczali się do sugestii. Lektura całości nie pozostawiała jednak wątpliwości. Papież karmił ludzi swoim ciałem i w ten sposób ich uzdrawiał. Musicie przyznać, że ksiądz i spółka sprytnie to sobie wykombinowali, prawda?



Mówiłem wcześniej o trzech dniach, ale jak się okazało już nazajutrz, wcale nie miałem aż tyle. Znaczący efekty pracy z pierwszej nocy ruszały do akcji już świtem. Postarzone, wygniecione, przyprawione brudem i nasączone zapachem kurzu oraz niemytych rąk wędrowały szybko do miejsc, gdzie rzekomo leżały od lat. Jak ten filmik, gdzie grałem wodza plemienia kanibali. Część z nich, odnaleziona przypadkiem już po południu tego samego dnia, załapała się nawet na wieczorne serwisy wiadomości. Były wspaniałym dodatkiem do materiału o cudzie w Ugandzie.

I to właśnie te listy w cholernych wiadomościach sprawiły, że Patrycja zrobiła, co zrobiła. One i Krzysztof, który... Nie!

Jak mawiał ten koleś od programów historycznych? Nie uprzedzajmy faktów.



– Prawie uwierzyłam, że ten cud był prawdziwy – stwierdziła Patrycja, gdy już skończyliśmy oglądać „Wiadomości”. Przeciągnęła się, dając tym samym do zrozumienia, że jest zmęczona i zaraz będzie się kładła na obleganej przez nas kanapie.

– Co masz na myśli, mówiąc „prawie”? – zaciekawił się Robal. – To było prawdziwe. Nie da się zrobić takiej sztuczki na oczach tylu widzów. Zwyczajnie zaczęły mu odrastać łapy.

– No – przytaknąłem, stając murem za kolegą. Przy okazji broniłem własnej wiary i przekonań, szkoda, że po stronie Robala, ale nie można mieć wszystkiego. – Dziś cud doszedł mu już do nadgarstka.

Patrycja pokręciła głową smutno.

– Och, wy naiwni! Gdyby to był prawdziwy cud, nie potrzebowałby wzmacniania waszymi listami. Cud obroni się sam. Po to, między innymi, jest cudem.

– A co, jeśli to tylko dobry refleks? – zapytałem. – Znaczą nasi goście zobaczyli cud i postanowili się pod niego podpiąć?

– Nie, zbyt grubymi nićmi szyte – stwierdził po namyśle Robal. Zdrajca. Mój własny pierdolony Brutus! – Zwłaszcza że zlecili nam robotę, zanim cud się wydarzył.

– Gównu tam zlecili! – wybuchnąłem. – Sam się zgłosiłeś.

– Ale i tak przed relacją z cudu – to już Patrycja. Mówiłem coś o ambiwalencji? To dodajcie jeszcze pieprzoną niewdzięczność. Czuję się, jakbym przechodził przyspieszony kurs wiedzy o kobietach. Trzydniowe szkolenie, a jako gratis do dyplomu złamane serce.

Machnąłem ręką i poczłapałem do stolika, by skończyć rozpoczęty list. Brakowało jeszcze kilku zdań pisanych krągłymi, pyzatymi kulfonami z wielkim „B” wyglądającym jak ósemka i „T” z falą na daszku. Autorem

listu był rzekomo facet z rakiem trzustki, któremu papież przyrządził ze swoich palców – wskazującego i serdecznego – kotlet mielony z cebulką.

Nie zamierzałem się kłócić o zdarzenia w Ugandzie. Znaczący przeszło mi. I w sercu czułem, że nie było w tym żadnej sztuczki. Powiecie, cud wziął swój początek od kłamstwa? Co z tego, święty Paweł też nie od razu nosił aureolę! To samo święty Augustyn, Franciszek czy Ignacy z Io... Loi... no, ten od jezuitów. Jak to szło? Nieważne, jak się zaczyna, ale jak się kończy, prawda? To wszystko tutaj zaczęło się od kłamstwa, ale dość szybko doszło do prawdziwego cudu. To chyba jednak właściwy kierunek, nie?

Z takimi myślami zabrałem się do roboty.



Gdy się obudziłem następnego dnia – z odciskiem ołówka na policzku i kapcianym posmakiem w ustach – okazało się, jestem w mieszkaniu całkiem sam. Na lodówce pod magnesami w kształcie owoców wisiły przygotowane dla mnie trzy kartki złożone tak, by nie było widać ich treści.

Ta od Robala mówiła: „Idę z Elegantem dogadywać jakąś zajebistą kampanię reklamową. Pracuj spokojnie, opowiem wszystko, jak wrócę”.

Ta od Patrycji: „Wybacz, że tak bez słowa, ale muszę sobie parę rzeczy przemyśleć. Wyszłam na spacer z księdzem, który zaproponował mi rozmowę, taką, wiesz... jak to księża. Nie wiem, ile to potrwa, ale mam nadzieję, że wykorzystasz ten czas na pracę”.

Ta od księdza: „Wszystko jest na dobrej drodze, Remigiuszu. Pracuj, a nie minie cię nagroda”.

Zgniotłem wszystkie trzy notki w jedną kulkę i wywaliłem do kosza. Pracuj, pracuj, pracuj... Kurwa! *Arbeit macht frei* czy jakie gówno? Nagle przestałem się czuć jak wybraniec, jedyny, który może dokonać wielkiego dzieła. Teraz byłem pieprzonym niewolnikiem, szkolnym kujonem, którego jedyną szansą na wejście do towarzystwa jest pisanie za wszystkich prac i sprawdzianów. Świadomość, że przez lata rzeczywiście tak było, nijak mnie nie pocieszyła. Przeciwnie wręcz! W geście buntu zrobiłem sobie bezkofeinową i zamiast przy biurku usiadłem przed telewizorem.

A tam znowu wszędzie o papieżu i cudzie. Albo Uganda i śledzenie kikutów misjonarza, albo wypowiedzi specjalistów, jak bardzo ta regeneracja jest niemożliwa z punktu widzenia współczesnej medycyny. W przerwach reklamy, a wśród nich nasza książka po angielsku, w twardej oprawie i z nową okładką.

„Oprotestowana przez Watykan, wyklęta przez Kościół. Czy słusznie?” – głosi po angielsku napis na specjalnej, promocyjnej obwolucie. A pod spodem jeszcze: „Cena promocyjna, 20% zniżki”.

Zacząłem się zastanawiać, kto sprzedał prawa do tego wydania. Czy Robal, nic mi nie mówiąc? A może ksiądz i jego ludzie? I kto za to wszystko zgarnie kasę?

Tak dumając, wszedłem niechcący w pasmo polskich programów. I w trwające tu zaklinalenie rzeczywistości. Na co drugim kanale księża – udający, że nic nie wiedzą o sprawie kanibalizmu papieża ani o cudzie w Ugandzie – opowiadali, jakim to świątobliwym człowiekiem był Jan Paweł II. W przerwach reklamy, a w nich nowe hiperspecjalne wydania rozszerzone filmów o człowieku, który został papieżem i już nim będąc, nadal pozostał człowiekiem. Takie dwa w jednym, rozumiecie?

Wytrzymałem przed ekranem do „Wiadomości”, w których podano, że toruńska pielgrzymka połączyła się na wysokości Łodzi z bojówkami Młodzieży Wszechpolskiej i razem ruszyli już w stronę Warszawy. Na czele szło trzech osiłków z wielkimi kukłami. Jedna z nich całkiem udatnie przedstawiała prezesa TVN-u z pejsami i w chałacie, dwie pozostałe symbolizowały Robalą i jego wujka. Wtedy właśnie po raz pierwszy ucieszyłem się ze swojego mało istotnego miejsca w redakcyjnej stopce „Gotuj z papieżem”.

Przed wiadomościami sportowymi wyłączyłem telewizor i zabrałem się do pracy. Pół godziny później wróciła Patrycja, ale posłała mi tylko smutne spojrzenie, mruknęła coś na widok leżącego przede mną listu i poszła do sypialni ekipy. Niedługo po niej zjawił się także Robal. Przyniósł ze sobą reklamówkę z kampanii dla Czerwonego Krzyża czy jakiejś innej charytatywnej organizacji masowego rażenia.

– Musisz to zobaczyć – powiedział, szczerząc zęby. – Zajebista sprawa.



To, co przyniósł Robal, nie było jeszcze gotowym spotem – zamiast zdjęć miało storyboardy – ale potencjał reklamy widać było już na pierwszy rzut oka.

Zaczynała się od prezentacji kilku osób po przeszczepach. Radosne zdjęcia ocalonych przeplatały się z białymi napisami na czarnym tle:

ODDAJĄC NERKĘ NA PRZESZCZEP, MOŻESZ CIESZYĆ SIĘ UŚMIECHEM OCALONEGO.

Mała dziewczynka na wózku – uśmiechnięta szeroko, z balonikiem w ręce – wyjeżdża ze szpitala w towarzystwie rozpozgodzonych rodziców. Tuż

przy samych drzwiach przysuwa się do kamery i dyskretnie szepcze: „Dziękuję!”.

ODDAJĄC SERCE BLISKIEJ CI OSOBY, MASZ ŚWIADOMOŚĆ, ŻE JEJ ŚMIERĆ NIE POSZŁA NA MARNE.

Zapłakana kobieta w szpitalnym pokoju nad świeżo zaścielonym łóżkiem. Za przeszkloną ścianą szczęśliwa rodzina zgromadzona wokół chorego na wózku. Jest tort, kartki z życzeniami i ogólne świętowanie. Wreszcie mały chłopiec – wygląda, że synek chorego – odchodzi od wózka i idzie do kobiety w pokoju. Bierze ją za rękę. „Dziękuję!” – mówi.

WĄTROBA

Uśmiechnięte zdjęcie i podpis: „Nicole, lat dziewięć”.

TRZUSTKA

„Jean, lat trzydzieści siedem”.

SZPIK KOSTNY

„Barbara, lat dwadzieścia dwa”.

A CO Z CAŁĄ RESZTĄ CIEBIE?

Zdjęcia z Afryki. Dzieci o wzdętych z głodu brzuchach obgryzające wysuszone kostki, na których już dawno nie ma mięsa. Ich rodzice wyglądający jak szkielety obciągnięte skórą.

AFRYKA GŁODUJE. NAKARM JĄ!

Afrykańska dziewczynka uśmiechająca się szeroko. „Dziękuję, że dałeś nam coś z siebie!” – mówi.

A potem logo i lokalny numer kontaktowy.

Mówcie, co chcecie, ja wymiękłem. Robal zresztą też, choć – jak twierdził – spece od kampanii proponowali też mocniejsze rzeczy. Na przykład wijące się na ekranie białe robaki, a zaraz po nich afrykańska wioska i hasło: SKORO MASZ WYBÓR, CZEMU NIE KORZYSTASZ? I takie tam.

Zastanawiałem się, ile trzeba czasu, by jakaś telewizja zgodziła się puścić choć jeden taki spot.

– Trzy dni – wyjaśnił mi Robal. – Pierwszy spot idzie za trzy dni od dzisiaj.



Jeszcze trochę o Patrycji. Po części dlatego, że chciałbym, żeby ktoś prócz mnie o niej pamiętał, ale przede wszystkim dlatego, że naprawdę odegrała w tej całej historii ważną rolę. Poważnie! Może i to, co powiedziałem do tej pory, wyglądało jak tanie harlequinowe love story, ale... zresztą nieważne. Sami ocenicie.

Po powrocie ze spaceru Patrycja kilka razy wychodziła z sypialni do łazienki albo kuchni, jednak nic nie mówiła i nie odpowiadała na żartobliwe zaczepki. Nie ukrywam, że trochę to bolało, ale szybko się zorientowałem, że reaguje tak nie tylko na mnie, ale na wszystkich. No, może z wyjątkiem księdza, którego obdarzyła parę razy nawet uśmiechem. On ze swej chmury dymu odpowiadał jej tym samym.

W końcu nie wytrzymałem i poszedłem do niego zapytać, co się, kurwa, wyrabia.

– Po co te nerwy, Remigiuszu? – Ksiądz wzruszył ramionami. – Patrycja potrzebowała tylko rozmowy. Czuła się trochę zagubiona.

– I co jej ksiądz doradził? – zapytałem pewien, że nie odpowie. Tajemnica spowiedzi czy jakoś tam, rozumiecie.

On jednak odpalił kolejnego papierosa i mrugnął do mnie.

– Powiedziałem, żeby nie dała się zwieść pozorom, bo nikt, nawet my, nie może być pewien obranej drogi, zanim nie dojdzie do jej końca i nie spojrzy za siebie. Kazałem jej też kierować się sercem i przeczuciem.

Popatrzyłem na niego jak na jakiegoś debila. Nie wiedziałem, czy robi sobie ze mnie jaja, czy też poważnie przyznaje się do tego, że zasiał w niej wątpliwości co do całej... bo ja wiem... misji? Akcji? Znowu brzmi strasznie filmowo, prawda?

– A co, jeśli ona teraz uzna, że nie może żyć w kłamstwie? – zapytałem.

– A jeśli postanowi powiedzieć światu prawdę o tym, co zrobiliśmy? Zabijecie ją?

Wiem, że z tym ostatnim wystrzeliłem jak fetyszysta w sklepie z bielizną, ale naprawdę byłem wstrząśnięty.

Mrużąc oczy od dymu, przegryzając się przez siwą maskę przesłaniającą oblicze kapłana, czekałem na jego odpowiedź.

– Nam nie wolno nikogo zabijać, Remigiuszu. Jedyne, co robimy, to wskazujemy drogę.

Nie uspokoiło mnie to. W końcu dróg może być nieskończenie wiele, prawda? Na szubienicę, przed pluton czy na krzesło elektryczne też pewnie jakieś prowadzą...



Dobra, a teraz czas, by wspomnieć wreszcie o Krzysztofie. Naprawdę nazywał się jakoś inaczej – jak to Ukrainiec – ale tak mówił na niego ksiądz, bo jego zadaniem było – uwaga! uwaga! – niesienie Chrystusa. Jeśli ktoś nie załapał żartu, imię Krzysztof to właśnie znaczy. No, mniejsza...

Gdy przyszedł do nas po raz pierwszy, robiliśmy sobie z Robalem kolację, szykując się na wielkie wydarzenie, czyli kolejny występ misjonarza w telewizji. Od wczoraj wszyscy zastanawiali się, jak tam jego ręce. Czy już ma wszystkie palce? Czy może nimi ruszać? Jak się ma sprawa z paznokciami i czy nie będą mu aby odstawać skórki?

Dla tych, co jeszcze nie widzieli, ale już uwierzyli, biura podróży maści wszelakiej proponowały specjalne pielgrzymki do Ugandy. W programie przewidziano między innymi „wizytę w wiosce nakarmionych”, gdzie jako poczęstunek szykowano gulasz z niespodzianką. Większość ofert wspominała o możliwym spotkaniu z misjonarzami, ale żadna nie wpisała w koszta cudów ekstra. Zrozumiałe – nawet all inclusive ma przecież swoje granice.

No ale miałem o Krzysztofie...

Przyszedł pod wieczór, gdzieś tak koło siódmej, może ósmej... w każdym razie, jak już mówiłem, przed transmisją. Zwrócił naszą uwagę od razu, bo wchodząc, wyrznął głową o framugę. Aż zadzwoniło.

Wyglądał trochę jak szwedzki model – duży, muskularny, o niebieskich oczach i szczęce kwadratowej, jakby ją kto kreślił od linijki. Dopiero po chwili – gdy się uśmiechnął – dostrzegłem, że trochę przypomina Jana Pawła II z jego dawnych dni. Gdyby tylko niegdysiejszy Ojciec Święty był trochę szerszy w barach i bardziej kanciasty na twarzy, mogliby uchodzić za bliźniaków. A tak... no cóż, pozostawała tylko jedna opcja.

– Przedstawiam wam, kochani, Krzysztofa – powiedział ksiądz, kładąc rękę na ramieniu nowo przybyłego. – Dołącza do projektu jako...

– Niech zgadnę – wtrącił się Robal, chcąc błysnąć dowcipem – syn papieża?

Ksiądz spojrzał na niego z mieszaniną zaskoczenia i podziwu.

– Skąd wiedziałeś?

Parsknąłem śmiechem. Cóż innego mogłem zrobić w takiej sytuacji? Zgiąłem się wpół i najzwyczajniej w świecie rechotałem dłuższą chwilę, plując nieprzetrawionymi okruchami pszennej bułki. Gdzieś tam przez łązy dostrzegłem Patrycję. Stała w progu sypialni i przyglądała nam się z dziwną miną. Tak dziwną, że od razu przestało mi być do śmiechu.

Wyprostowałem się i przetarłem usta. A potem podałem rękę Krzysztofowi.

– Remigiusz, fałszerz – przedstawiłem się. Zabijcie mnie, ale naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego właśnie tak.



I znowu kilka słów wyjaśnienia, bo pewnie zastanawiacie się, po cholere był nam jeszcze syn papieża. Jaki interes mogli mieć kościelni spece od PR-u w tym, by do listy fałszywych przewinień – którą otwierał, rzecz jasna, kanibalizm – dołożyć jeszcze utrzymywanie stosunków cielesnych z kobietą? Odpowiedź okazała się tyleż prosta, co niezwykła.

– Niezależnie od cudu, jaki zaraz zobaczymy – zaczął ksiądz – kwestia kanibalizmu papieża z pewnością podzieli Kościół, i to mocno. Nastąpi schizma, a nowo powstały twór, czyli zwolennicy dosłownego traktowania zapisu o jedzeniu ciała, szybko rozpadnie się na dziesiątki małych wspólnot. Te z kolei równie szybko zmienią się w sekty, nad którymi nikt

nie będzie już w stanie zapanować. Określą własne zasady, prawa i przykazania, w tym także podejście do konsumowania bliźnich. Czemuś takiemu chcemy właśnie zapobiec.

Zaczął wchodzić w skomplikowane szczegóły, z których udało mi się wyłowić mniej więcej tyle, że nowy Kościół będzie potrzebował wyrazistego przywódcy, tak by ledwie powstanie, już stał się jednością. Dzięki temu zamiast tysięcy małych grupek będziemy mieli dwie formacje, które dość szybko uda się skleić z powrotem. Znaczy w nie więcej niż dwieście lat. I syn papieża, odpowiednio uzasadniony, rzecz jasna, mógł być właśnie kimś takim. Miał... jak to się mówi... rozpoznawalną markę? No, w każdym razie coś w tym stylu.

– Nie będzie problemu z wytłumaczeniem ludziom okoliczności poczęcia Krzysztofa – powiedział ksiądz, kończąc swój wywód. – A przynajmniej nie będzie on większy niż usprawiedliwienie kanibalizmu Ojca Świętego, nie uważacie?

Uśmiechnął się, zapalił kolejnego papierosa i dodał już zupełnie na koniec: – Gdyby w czasach pierwszej schizmy istniała w Kościele grupa taka jak nasza, Kościół Chrystusowy trwałby dziś jako niepodzielny.

Jakoś nie miałem wątpliwości, że ma rację.



Relacja nie zrobiła na nas szczególnego wrażenia. Owszem, misjonarz miał już obie ręce, machał nimi, podawał je różnym ludziom, a nawet zagrał coś na pianinie – choć wcześniej tego nie umiał – ale przygotowałem się na większą sensację.

Robal, również rozczarowany, nazwał to syndromem zamkniętych drzwi. Znaczy, wiecie, zawsze wyobrażamy sobie, że to coś, na co czekamy, jest większe niż naprawdę. Niezależnie, czy dobre, czy złe.

Gdy program się skończył i oddano głos do studia, Einstein na wróble – tego wieczoru niepodzielny władca pilota – wyłączył telewizor i gratulując wszystkim, kazał wracać do roboty.

Mógł sobie pozwolić na takie krzyki i rządzenie się tylko i wyłącznie dlatego, że ksiądz był zajęty w kuchni rozmową z Krzysztofem. Mimo to nikt się nie stawiał, wszyscy znali swoje role i zadania. Chyba tylko ulizany okularnik rzucił jakiś uszczypliwy komentarz, ale nie mam co do tego stuprocentowej pewności.

Jako że my z Robalem odwaliliśmy swoją robotę już wcześniej, poszliśmy spać. I tak nie było co robić, skoro zabrano nam pilota.

Ja oczywiście wolałbym pobyć z Patrycją – tęskniłem za nią i chętnie bym pogadał lub chociaż się na nią pogapił – ale skoro ona sama nie wychodziła, znaczyło, że sobie nie życzy. A ja nie chciałem się narzucać.

– Mogę spać na kanapie? – zapytał Robal.

– Jasne. – Wzruszyłem ramionami. Nie zależało mi.

Wziąłem swój koc, poduszkę i walnąłem się na dywanie przed telewizorem. Zasnąłem, zanim Robal zaczął chrapać.



– Remek? Remek, obudź się.

To dopiero było przebudzenie – ledwie rozwarłem powieki, spojrzałem prosto w oczy mojej miłości. Nie wyglądała tak dobrze jak we śnie, który

właśnie mi przerwała, ale i tak nieźle.

– Co się sta... – zacząłem, jednak położyła mi palec na ustach.

– Chodź ze mną do łazienki – poleciała, podnosząc się z kolan. – Szybko.

No dobra, powiedzcie szczerze, co byście sobie pomyśleli, słysząc coś takiego od dziewczyny? Zwłaszcza gdyby was właśnie wybudzono ze snu, w którym ta dziewczyna – niekoniecznie kompletnie ubrana – grała główną rolę?

Ja oczywiście zerwałem się najszybciej jak tylko mogłem i pognałem za nią w stronę łazienki, tak że mało nie pogubiłem nóg na kablach rozciągniętych wzdłuż przedpokoju. A potem jeszcze nadziałem się na klamkę w drzwiach, tak mi było spieszno. Nazwijcie mnie desperatem, proszę uprzejmie.

Patrycja czekała, siedząc na skraju wanny, co wciąż jeszcze mogło wróżyć przygodę. Po chwili jednak wyciągnęła spod bluzki stos kartek i podała mi je do przejrzenia. A tego nawet taki laik jak ja nie uznałby za grę wstępną.

– Co to? – zapytałem, starając się, by zabrzmiało to możliwie pogodnie. Nie chciałem dać po sobie poznać, jak bardzo się napaliłem. Choć w sumie zdziwiłbym się, gdyby jeszcze tego nie zauważyła.

– To są notatki Krzysztofa – wyjaśniła. – Parę wskazówek, co ma robić, jak się zachowywać i w ogóle. A pod spodem jest nawet scenariusz jego pierwszego wystąpienia. Przeczytaj.

Co miałem zrobić? Usiadłem na toalecie i zakładając nogę na nogę, by ukryć wciąż sporą erekcję, zabrałem się do lektury.



Wiecie, że wiele hymnów skomponowanych na potrzeby telewizyjnych kaznodziejów stworzono tak, by człowiek, śpiewając, jednocześnie się hiperwentylował? Wystarczyło tylko tak rozłożyć akcenty, by wersu nie kończyć na pełnym wydechu, a chwilę wcześniej. Śpiewający ma wtedy w płucach jeszcze trochę powietrza, ale już nabiera więcej, by na pewno wyśpiewać swoje. Dodajmy do tego klaskanie i kołysanie się, a także gorąco wywołane żarem tysiąca ludzi zamkniętych w nagrzanym namiocie i już mamy jazdę jak po LSD. Takim ludziom wciśniesz wszystko.

Rozbłysk światła podczas cudu? Nic prostszego. Podczas uzdrawiającego położenia rąk na głowie chorego naciśnij kciukami jego gałki oczne.

Sam cud? Uważnie dobierz chorego, a wówczas wystarczy ci efekt placebo. Po dokonaniu „uzdrowienia” szybko skup uwagę na sobie, zanim siła chorego wywołana wiarą i euforią ustąpi mocy choroby...

Strona po stronie, kartka za kartką – notatki Krzysztofa pełne były podobnych uwag. Powiedziałbym, że stanowiły skrypt poradnika „Jak zostać Mesjaszem – dla opornych”.

Odłożyłem je i popatrzyłem na Patrycję.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– Ujawnić – odparła stanowczo.

Zrobiło mi się przykro, bo jej głos brzmiał jak wyzwanie. Zupełnie jakby miała mnie za swojego wroga.

– Chciałam coś zrobić, gdy pokazali w telewizji te listy z relacjami o cudach... Twoje listy – kontynuowała. – Ale wtedy jeszcze pomyślałam, że może być z tego coś dobrego. Że może jednak ja czegoś nie łapię, a to wszystko...

– Rozumiem – skłamałem. Nie rozumiałem ni w ząbek, ale chyba nie chciałem, by mi tłumaczyła.

Spojrzała na mnie spod rzęs i uśmiechnęła się smutno.

– To chyba moja szansa, by naprawić świat, nie?

Skinąłem głową, choć wcale tak nie uważałem. Dziś, gdy tak o tym myślę... Chyba nie byłem wobec niej zbyt szczery, prawda? Szkoda, bo była to nasza ostatnia rozmowa.



Wymknęła się, gdy wszyscy jeszcze spali. Zabrała ze sobą kilka taśm z nieobrobionym materiałem, notatki Krzysztofa i coś tam jeszcze. Nie orientowałem się, co jeszcze mogła mieć ekipa księdza, ale uważałem, że i tak wybrała całkiem nieźle. Same smakowite kąski, że tak powiem.

Jej zniknięcie nie wywołało jakiegoś szczególnego popłochu czy zamieszania. Kurdupel zrobił listę, co zginęło, ulizany okularnik zanotował wszystko w grubym notesie, a Einstein na wróble oraz elegant stwierdzili, że teraz muszą pilnie poćwiczyć role. I poszli...

Byłem pewien, że chociaż ksiądz zareaguje, ale ten tylko wzruszył ramionami i powiedział Krzysztofowi, że muszą się zbierać. Zero paniki, zero nerwów, mówię wam – jakby nic się nie stało. I nagle doszedłem do wniosku, że to dużo straszniejsze, niż gdyby zaczęli svirować. Bo ich zachowanie mówiło wyraźnie, że wszystko, co Patrycja zrobiła – te materiały, które ukradła i zamierzała ujawnić – nie miało najmniejszego znaczenia. Nie była w stanie zagrozić ani całej akcji, ani samej grupie watykańskich PR-owców. Motyka kontra słońce! Runda pierwsza! Fight!

Z głową pełną czarnych myśli poszedłem do łazienki umyć zęby. Gapiąc się na własne odbicie, odkręciłem wodę, wyciągnąłem szczoteczkę i...

poczułem, że jest czymś owinięta. Spojrzałem – to była kartka dociśnięta gumką recepturką.

Rozejrzałem się uważnie na wszystkie strony – bardziej z wyrobionego przez filmy odruchu niż z prawdziwej obawy, że ktoś mnie szpieguje – i rozwinąłem liścik. Był krótki, raptem trzy zdania:

Jeśli mi się uda to, co zamierzam, niedługo rozpęta się burza. Nie chciałabym wtedy zostać sama. Pomożesz mi zmieniać świat?

Patrycja

– Pewnie, że tak – odpowiedziałem ciągowi pospiesznie nakreślonych literek. – Ale to nie jest takie proste.

Wiedziała o tym. Wodząc palcem po tekście tam i z powrotem, czułem jej strach i zdenerwowanie. Chwilami niemal widziałem Patrycję oglądającą się niepewnie przy każdym podejrzanym dźwięku. Podziwiałem ją, że zrobiła, co zaplanowała – sam pewnie bym się nie odważył.

I chyba właśnie ta myśl, świadomość własnego tchórzostwa, pchnęła mnie w końcu do działania. Zrobiłem groźną minę, mierząc w swoje odbicie żółtą szczoteczką z rozlazłym włosiem.

– Teraz, skurwiele, zatańczymy inaczej – ostrzegłem. A potem wyszedłem z łazienki.

Czułem się wspaniale. W głowie huczała mi adrenalina, mięśnie napinały się pod skórą, a krok nabrał sprężystości. Wzrok mi się wyostrzył, słuch i węch uwrażliwiły, tak że słyszałem każdy szept, wyczuwałem nawet lekki swąd strachu, zapachową nutkę niepewności. Byłem drapieżnikiem, prawdziwym twardzielem. Byłem Willisem ze „Szklanej pułapki”, Johnem Rambo, Terminatorem... Na odcinku między salonem a drzwiami wyjściowymi byłem nawet przez chwilę Abaddonem – wcielonym zniszczeniem i końcem wszystkich światów...

A potem, gdy już otworzyłem drzwi na korytarz, wielka, włochata łapa pierdolnęła mnie między oczy i tyle z tego miałem.



Przywiązali mnie do krzesła. Nie powiem, całkiem wygodnie, ale sami rozumiecie – nie wiąże się kogoś, by zaproponować mu coś miłego, prawda? A jeśli nawet, umawiasz się wcześniej na słowo klucz czy jakoś tak. Coś, co przerywa zabawę i przywraca światu naturalny porządek. Tu nie było niczego takiego.

Przedemną na kanapie siedzieli Robal z Einsteinem na wróble. Mówili coś, sprzeczali się, ale widać było, że dobrze im się razem współpracuje. Dumali właśnie nad oświadczeniem dla prasy. Czyim i po co? Nie pytajcie, ledwo się obudziłem, do tego skupiony byłem bardziej na przetrawianiu kumplowskiej zdrady niż na treści zasłyszanych słów. Bo że Robal dołączył do ekipy, widać było na pierwszy rzut oka. Za dobrze się dupek bawił.

Zebrałem ślinę w ustach i splunąłem, by pokazać, że już nie śpię. Taki tam, wiecie, znak protestu. Ślina była ciemnoróżowa.

– O, już nie śpisz? – Robal uśmiechnął się szeroko. Szpinak między jego zębami sprawił mi nie lada satysfakcję.

– Co z Patrycją? – zapytałem.

Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok, z miejsca tracąc ochotę do rozmowy.

– Nie żyje – powiedział za niego Einstein na wróble. – Zmarła dziś rano.

Wielki, stukilogramowy młot walnął mnie w klatkę piersiową – tak właśnie się poczułem. Przez chwilę nie mogłem złapać tchu, że już nie mówię o skupieniu myśli.

– Za... zabiliście ją? – szepnąłem.

– Ależ skąd, Remigiuszu – odparł ksiądz zza moich pleców. – Mówiłem ci, że my nie zabijamy.

A potem w skrócie opowiedział mi, jak było.



Wiść o cudzie w Ugandzie rozniosła się błyskawicznie. Nic dziwnego, skoro relacja na żywo z prezentacji nowych rąk misjonarza miała większą oglądalność niż wszystkie olimpiady razem wzięte. Potem relacje ekspertów i jeszcze te moje listy.

Tabuny prywatnych detektywów zabrały się do sprawdzania ich autentyczności – nikt nie zgłosił zastrzeżeń. Rzeczywiście żyli tacy ludzie i rzeczywiście byli swego czasu nieuleczalnie chorzy. W szpitalach leżały ich kartoteki, a oni sami przysięgali na wszystkie świętości, że było tak, jak wyduł Robal.

Zapytacie: „Skoro księdzu udało się ich kupić, dlaczego nie poprosił o osobiste napisanie listów?”. Odpowiedź jest prosta – żaden z „uleczonych” nie umiał już pisać tak, jak pisał w latach osiemdziesiątych. Listy byłyby zbyt nowe i każdy grafolog by to wychwytał. Do tego brakowało im wyobraźni Robala i jego talentu do uwiarygodniania nawet największej bzdury.

W każdym razie, jak już powiedziałem, wieści rozeszły się szybko, a ludzie odpowiedzieli – zgodnie ze swoją naturą – jak na nową modę. Rozumiecie, jest sezon na kratę, na grzywkę pod kątem i na sakralny, uświęcony kanibalizm. Twarzą akcji został, a jakże, Jan Paweł II, a biblią nasze „Gotuj z papieżem”. Wszystkich wzięło!

No dobra, a gdzie w tym wszystkim Patrycja?

Wspominałem wam chyba o pielgrzymce z Torunia do Częstochowy, prawda? I o tym, jak zmieniła kierunek po połączeniu się z bojówkami niedorozwiniętych łysoli w ortopedycznych butach? Było powszechnie wiadomo, że idą do stolicy, by ogniem, laską, glaniem i parasolem mścić się za papieskie krzywdy; odpowiedzieć zbrojnie na kanibalistyczną zniewagę. Zwłaszcza że kanibalistyczna brzmi niemal jak kabalistyczna, kabalistyczna jak żydowska, żydowska jak masońska, masońska jak unijna i tak dalej...

Potem jednak okazało się, że ktoś tam – zapewne sam ojciec dyrektor idący na czele, zaraz za kukłami – miał ze sobą radioodbiornik i usłyszał o cudach. Nadano to przez megafony i znowu kruczata stała się pielgrzymką.

Pątnicy postanowili pójść na plac budowy świątyni Opatrzności Bożej i tam odprawić mszę dziękczynną, że Bóg w wielkości swojej nawet prowokację wiadomych sił potrafił przekuć na pomnik swej chwały.

I właśnie na ten moment trafiła Patrycja ze swoimi rewelacjami, wyobrażacie sobie? Oni wszyscy – mohery i łyse oszołomy pławiący się w zbiorowym orgazmie duszy – i ona z informacją, że to wszystko, w co właśnie uwierzyli, to jedna wielka blaga. Nie najlepiej wyczuła chwilę...

Na początku tylko ją lekceważyli. Ktoś tam zwyzywał od żydówek z Unii Wolności, ktoś odepchnął i kazał spierdalać. Patrycja jednak była nieustępliwa.

Wybaczcie, ale ciężko mówić o tym spokojnie! Nie widziałem, jak było, ale wyobraźni mam dość, by zobaczyć, jak wspina się na wóz transmisyjny i krzyczy do skradzionego megafonu, że żadnych cudów nie było, że to wszystko to tylko spisek speców z Watykanu. Oczyma wyobraźni widzę, jak macha dowodami i domaga się puszczania taśm i płyt.

Jak zawsze w takich przypadkach nie udało się dojść, kto pierwszy rzucił kamień. Lekarz stwierdził, że zginęła właśnie od niego – kostki brukowej wielkiej jak pięść dorosłego mężczyzny – a pozostałe, które posypały się gradem, nie miały już znaczenia. Jego zdaniem nie cierpiała.



I to już w zasadzie wszystko, reszta jest nieistotna. Dziś, za parę godzin, ekipa ujawni Krzysztofa. Odbędzie się to w jakichś bunkrach na wschodzie Polski – przy pochodniach, w tajemnicy... na wzór spotkań pierwszych chrześcijan.

Czy rzeczywiście nastąpi rozłam Kościoła? W to akurat nie wątpię. Kampania społeczna z oddawaniem ciał Afryce spotkała się z ogromnym pozytywnym odzewem. Dostojnicy kościelni podzielili się prawie równo po połowie, a w niektórych państwach – w Polsce na przykład – oficjalnie wypowiedziano posłuszeństwo papieżowi Niemcowi. Bo przecież nie będzie pluł nam w twarz, jak mówią słowa pieśni...

I jeśli jest coś, co mi w tej historii nie gra, to oczywiście sama ekipa księdza. Na kogo w zasadzie grają? I kto jest ich zwierzchnikiem, skoro nie liczą się nawet z papieżem? Rozłam tylko na dwa kawałki, by za dwieście lat znowu się połączyć? Jakoś tego nie łykam...

No dobra, kończę, bo widzę, że trochę się rozgadałem i kończy się miejsce na tym cholernym dyktafonie. Teraz tylko dobrze go schowam, zanim wróci po mnie Robal. Tak dobrze, żeby nie znalazł tego nikt przez lata, a nawet dziesięciolecia. Może w rurze kanalizacyjnej?

Chciałbym, żeby to nagranie trafiło do was, ludzie, dopiero gdy już gorączka ucichnie, a nowy Kościół przyjmie się i uklepie. Pewnie większość z was uzna to nagranie za fałszerstwo, ale liczę, że przynajmniej garstce da ono do myślenia. Jak dziś apokryfy. Bo jak to mawiają? Kropla drąży skałę...

Każdy kiedyś umrze. Ale są tacy, na których odejście nigdy nie będziemy gotowi. Bo sprawiają wrażenie nieśmiertelnych. Kojarzycie piosenkę „Gravedigger” Dave’a Matthews’a? Świetny poetycki kawałek, ze znakomitą linią melodyczną – polecam. Pierwsza zwrotka tej piosenki brzmi w tłumaczeniu (dzięki, Spike!) mniej więcej tak:

Cyrus Jones żył 103 lata

Dzięki czemu jego prawnuki uwierzyły

Że można żyć tak długo

Sto trzy lata to wieczność, gdy jesteś dzieckiem

Więc dla nich Cyrus Jones żył wiecznie

Coś w tym, kurczę, jest. Znam wielu ludzi, którzy żyją tak, że gdy umrą, będę nie tylko smutny, ale i naprawdę solidnie zdziwiony. Dla jednego z nich – Piotra W. Cholewy – napisałem to opowiadanie. Tekst o nim, i to podwójnie, ponieważ postrzegam go tak naprawdę zarówno jako wiecznie wesołego i szalonego Piotrusia, jak i jako dojrzałego, doświadczonego życiem Haka. Cudowna kombinacja, która może zaistnieć i działać tylko wtedy, gdy ma się przy sobie kogoś, kto potrafi docenić uroki życia z wcieleniem chaosu. I w tym kontekście przypadek Piotra świadczy, że Szczęście kocha ludzi szalonych...

Dedykuję: Piotrowi na imieniny

POKÓJ PEŁEN CIENIA

Śmierć przestała tykać. Odkrył to zaraz po przebudzeniu. Mniej więcej tydzień po tym, jak trafił na oddział. W ostatnim tygodniu zdarzały się co prawda chwile, gdy na krótko odzyskiwał przytomność, a sił wystarczało mu, akurat by poprosić o odrobinę wody dla zwilżenia warg. Zdolność logicznego myślenia odzyskał jednak tak naprawdę dopiero po tym, jak podłączono go do pompy. Gdy urządzenie zredukowało do zera przerwy pomiędzy dawkami środków przeciwbólowych, pozbierał się wreszcie na tyle, by pomyśleć o czekającym go losie.

Nie przerażała go nadchodząca śmierć, w jego zawodzie człowiek na co dzień z nią obcował. Od jakiegoś czasu, można powiedzieć, spodziewał się jej. Zaskoczyło go tylko, że najprawdopodobniej nie będzie miała nic wspólnego z zegarami. Za to całkiem sporo z bólem i bezsilnością. Zwłaszcza z tym ostatnim nie umiał się pogodzić.

Podniósł rękę i sięgnął do stoliczka po pastylki. Jakies pół godziny temu przyniosła je młoda siostra, najpewniej stażystka – nie miał okazji poznać jej wcześniej. Powiedziała, że to właściwie jeszcze nie czas, ale jest ich za mało na zmianie, dlatego zaczynają roznosić leki wcześniej. Zapytał, czy naprawdę te dwa kwadransy robią wielką różnicę, a potem zapewnił, że weźmie lek o właściwej porze. Uśmiechnęła się i ostrzegła, że sprawdzi. Liczył na to. Czuł, że przebywanie samemu w tym pokoju, gdzie ciszę przerywało tylko ciche brzęczenie podłączonej do prądu aparatury, doprowadzi go w końcu do utraty zmysłów.

Przełknął garść białych i różowych tabletek i popił je wodą. Zrobił to nieuważnie albo miał naprawdę opuchnięte gardło, bo pastylki utkwily w

przełyku i musiał kilka razy przełknąć ślinę, zanim w końcu przeszedł. Niektóre zdążyły się już częściowo rozpuścić, drażniąc i piekąc. Mimo to nie zadzwonił z prośbą o wodę. Obiecała, że przyjdzie, wtedy poprosi. Był przecież prawdziwym mężczyzną, a tacy radzą sobie z problemami. Nie skamla z byle powodu.

Sięgnął po pilota i zmienił ustawienie łóżka, by móc usiąść. Naciskając kolejne przyciski, odsłonił żaluzje w wielkim na niemal całą ścianę oknie i wyłączył światło.

Bezchmurne niebo mieniło się miliardami gwiazd. Patrzył na nie w zachwycie, zastanawiając się, czy potrafiłby znaleźć tę właściwą. Było to oczywiście bez znaczenia. I tak nie zapowiadało się, by miał wrócić. Opuścił swój świat, a on nie zamierzał się o niego upominać.

Zaskrzypiało krzesło. Odwrócił błyskawicznie głowę, ale na małym obrotowym taborecie ustawionym obok łóżka nie było nikogo. A przynajmniej...

Włączył małą lampkę stojącą na stoliczku i skierował snop jej światła w stronę krzesła. Nadal pozostawało puste, lecz na jego rozciągniętym na ścianie cieniu ktoś siedział. Cień chłopca.

Mężczyzna na łóżku uśmiechnął się.

– Sam przyszedłeś? – zapytał.

Cień pokręcił głową energicznie.

– Więc gdzie on jest?

Gość ze ściany przyłożył dłoń do piersi i odsunął ją, trzymając cały czas na tym samym poziomie. Pokazywał coś niewysokiego. Albo kogoś.

– Nietrudno zgadnąć. – Pacjent uśmiechnął się. – Często bywa na dziecięcym, co?

Cień wzruszył ramionami. Przyłożył rękę do głowy, jakby osłaniając oczy od światła.

– Razi cię? – zdziwił się mężczyzna. – Przecież jesteś cieniem.

– Ale wrażliwym – odparł ktoś stłumionym głosem.

Pacjent odwrócił głowę. Za oknem unosił się w powietrzu mały chłopiec. Był blady, miał krwistoczerwone usta i szczyrzył białe kły.

– Wpuścisz mnie, Jakubie? – zapytał.

Mężczyzna sięgnął do pilota i nacisnął przycisk. Poruszyło się hydrauliczne ramię i okno stanęło otworem.

– Dla ciebie nadal pozostaję kapitanem, Piotrusiu. U piratów to tytuł dożywotni.

Chłopiec machnął ręką.

– Istotnie, dożywotni – stwierdził, uśmiechając się paskudnie – ale twoi ludzie mają cię już za martwego, łysy kapitanie Bezhaku.

Wleciał do środka, po drodze wyjmując sztuczne kły. Wykonał salto i wylądował na krzeselku koło łóżka. Zerknął w stronę cienia.

– Znowu masz inną fryzurę – skarcił go.

Cień kolejny raz wzruszył ramionami, ale przejechał dłonią po włosach, układając je na wzór rozwichrzonej grzywy Piotrusia Pana.

– Co mówiłeś o moich ludziach? – zainteresował się kapitan.

– Że mają cię za martwego. Wybrali już nowego przywódcę.

– Kto to jest? Plama?

Piotruś pokręcił głową. Ruda grzywa znów zmieniła ułożenie, zmuszając cień do wprowadzenia poprawek.

– Uznali, że byłby za miękki. Wybrali Krwawego Toma.

Hak skrzywił się.

– Ale on jest taki...

– Głupi i okrutny? – wszedł mu w zdanie chłopiec. – To prawda. Nie trzyma się też zasad. Zaczęli wytwarzać prąd... i wczoraj zabili nim krokodyla. Dziś go pewnie zjedzą.

„Dlatego tykanie ucichło” – pomyślał pirat.

Nagle zrobiło mu się niedobrze. W ustach poczuł gorzki smak przełkniętych pastylek. Nie zwymiotował, nie za bardzo miał czym, ale targnęły nim suche torsje. Przez chwilę walczył z kurczącym się żołądkiem i własną słabością, nie zdając sobie sprawy, że chłopiec siedzący na krześle obok obserwuje go z niepokojem. Podobnie jak jego cień.

– Co ci się stało, kapitanie? – zapytał w końcu Piotruś.

Hak uśmiechnął się słabo. Zdecydowanie było z nim coraz gorzej.

– Nic takiego, Piotrusiu – odparł. – Tylko umieram. Co zamierzacie zrobić z Tomem? Znaczą ty i twoi chłopcy.

Nocny gość poderwał się z krzesła i podparł rękami pod boki.

– Oczywiście zabiję go – stwierdził dumnie. – Raz już z nim walczyłem i obciąłem mu nawet lewą dłoń. Rzuciłem ją na pożarcie takiemu wielkiemu Krakenowi, który akurat wtedy przebywał w porcie. Bardzo mu smakowała.

– Nie wątpię. – Kapitan sięgnął do szuflady i wyciągnął z niej srebrny hak. – Dasz mu to ode mnie? Powiedz, że życzę mu, by zjadły go rekiny. Nazwij go też nikczemnym buntownikiem, to go na pewno ucieszy.

Chłopiec i jego cień wymienili niepewne spojrzenia.

– Nic nie będę dla ciebie robił – stwierdził Piotruś. – Jesteś przecież moim wrogiem.

Ktoś poruszył klamką u drzwi. Chłopiec obejrzał się gwałtownie i skoczył pod łóżko. Cień przez moment nie był pewien, co zrobić, ale kapitan pomógł mu, wyłączając lampkę.

Drzwi otworzyły się, a w progu stanęła młoda pielęgniarzka. W rękach trzymała tacę.

– Co tutaj tak ciemno? – zapytała.

Ramieniem sięgnęła do włącznika.

– Patrzyłem w gwiazdy – odparł Hak.

Uśmiechnęła się i przeszła przez salę. Postawiła tacę na stoliczku koło lampki. Pirat ucieszył się, gdy dostrzegł dwie małe butelki wody mineralnej. Zaraz sięgnął po jedną z nich.

– Nie żebym się skarżył – powiedział, gdy już wypłukał z ust gorycz – ale strasznie dużo było tych tabletek. Ledwie przełknąłem.

Pielęgniarka rozłożyła bezradnie ręce.

– To, niestety, standard po chemioterapii, panie Jakubie. Ma pan zbyt wiele rozregulowanych pokręteł.

– Ładne określenie – stwierdził Hak.

Od siebie dodałby, że kilka z nich jest już nawet pourywanym. Kątem oka dostrzegł, że cień wysuwa się zza kardiomonitora, i dyskretnie pogroził mu palcem. Tamten schował się błyskawicznie.

– Dlaczego otworzył pan okno? Coś nie tak z klimatyzacją?

– Nie, w porządku. Chciałem uciec gwiazdną ścieżką do domu, tyle że nie pamiętam drogi.

Pielęgniarka roześmiała się.

– Pierwsza gwiazdka na lewo i prosto aż do świtu, panie Jakubie – odparła. – To jedyna droga przez gwiazdy, o jakiej słyszałam.

Hak również się roześmiał.

– Brzmi nieźle. Ktoś już kiedyś próbował?

Popatrzyła na niego jak na wariata.

– Nie zna pan historii Piotrusia Pana?

– Przykro mi – powiedział. – Ale nadrobię... Jak zdążę.

Zapewniła, że z całą pewnością będzie miał jeszcze wiele okazji. Kłamstwo w jej ustach brzmiało tak słodko, że kapitan niemal w nie uwierzył.

Sprawdziła jeszcze przepływ leków w pompie, wpisała coś na karcie chorego, pożegnała się, wreszcie wyszła. Hak sięgnął do szuflady i wyjął z niej paczkę papierosów. Wyciągnął jednego, włożył do ust, lecz w porę spojrzął do góry. Czujnik dymu łytał na niego groźnie czerwoną diodą. Przerwał szukanie zapalniczki, ale nie wyjął papierosa. Z nim czuł się jakoś pewniej.

Cień zdążył w tym czasie zająć swoje miejsce na cieniu krzeselka. Kiwał głową i pstrykał bezgłośnie widmowymi palcami, jakby wsłuchany w jakąś rytmiczną muzykę. Piotruś wciąż siedział w swej kryjówce.

– Wyłaź, potworze, spod łóżka – polecił Hak.

Odpowiedział mu głośny chichot, a chwilę później chłopiec wysunął się, pchając przed sobą basen.

– Hak sika do nocnika – powiedział do cienia, nie kryjąc drwiny.

Cień klepnął się w czoło i odchylił do tyłu. Kapitan niemal słyszał jego śmiech. Piotruś pokręcił głową.

– Oj, kapitanie, mój kapitanie, najpierw ta łysina, teraz to. Nie przypominasz już w niczym dumnego pirata.

Hak wzruszył ramionami. Sam myślał o tym przez cały czas. Na stole wciąż leżała książka, o którą poprosił rano, dość jednoznacznie mówiąca o dolegliwościach, jakie mogły go czekać w najbliższej przyszłości. Konieczność korzystania z basenu i najgorsze nawet skutki uboczne chemioterapii miały się do nich jak lekkie nudności do skrajnego przypadku choroby morskiej.

„Będziesz umierał długo i w bólu, kapitanie – pomyślał – zjedzony nie przez krokodyla, ale przez to, co masz w sobie”.

Westchnął ciężko. Ciekawe, ile jeszcze zostało... dni, tygodni, a może miesięcy? Jedno pewne, nie zapowiadało się, żeby miał to być dobry czas.

I wtedy właśnie kapitan wpadł na pomysł. Rozważał go przez chwilę, patrząc na chłopca. Właściwie to mogło się udać.

– Powiedziałeś, że jako mój wróg nic dla mnie nie zrobisz – powiedział powoli, ostrożnie dobierając słowa. Wyciągnął papierosa z ust i włożył z powrotem do paczki. – Ale powiedz, Piotrusiu, co myślisz o małej wymianie?

– Wymianie? – zdziwił się chłopiec.

Hak pokiwał głową z lekkim uśmiechem. Każde kolejne zdanie coraz bardziej przekonywało go do konceptu sprzed chwili.

– Wrogowie czasem handlują między sobą. Zwykle wymieniają jeńców, ale to przecież nie jest żadna tam reguła, prawda?

Piotruś wydawał się zmieszany. Zerknął w stronę cienia, ten jednak tylko rozłożył ręce.

– No chyba – Hak uśmiechnął się szeroko – że przyszedłeś mnie zabić, jak to kiedyś obiecałeś?

Ręce chłopca znów powędrowały na biodra.

– Nie walczę z kalekami, kapitanie! – krzyknął oburzony. Jego okrągła twarz zrobiła się czerwona. – Ani z niedołącznymi starcami. Powinieneś to wiedzieć.

– Tak, wiem, Piotrusiu. – Kapitan spróbował się uśmiechnąć, ale nagły skurcz bólu sprawił, że wyglądało to raczej jak groteskowy, teatralny grymas. Poza tym pirat poczuł się nagle bardzo śpiący. Wkraczał w moment, gdy poprzednia dawka leków przestawała działać, a nowa jeszcze nie zaczęła. – Ale handlować z nimi możesz, czyż nie?

– Oczywiście, że mogę, jeśli zechcę – stwierdził hardo chłopiec, unosząc głowę. – Co masz do zaoferowania?

Kapitan raz jeszcze sięgnął do szuflady i wydobył swój hak. W pełnym świetle wyglądał on naprawdę imponująco. Kunsztownie rzeźbiony w

srebrze, z misternymi zdobieniami w kształcie morskich fal o grzywach ze szmaragdów. Gdzieś z toni wyłaniał się piękny rumak o oczach z maleńkich rubinów. Mocowanie na rękę wykonane było z czarnej skóry i ozdobione srebrnymi zapięciami.

– Symbol mojej władzy – powiedział Hak – w zamian za odrobinę pyłku wróżki.

Chłopiec popatrzył na kapitana z niedowierzaniem.

– To wszystko, czego chcesz? – zdziwił się. – Odrobina pyłku za hak? Przecież do niczego ci się nie przyda. Nie masz miłych myśli.

– Starzy ludzie są głupcami, czyż nie? – uśmiechnął się kapitan.

Cień skwapliwie pokiwał głową.

– Zgoda – rzekł poważnie Piotruś. – Zgadzam się na wymianę.

Sięgnął za pazuchę i wydobyl maleńki woreczek. Rzucił go na łóżko.

– Oto twój proszek, kapitanie Bezhaku.

– A oto twoja zapłata, Piotrusiu – odparł pirat, oddając protezę.

Biorąc hak w ręce, chłopiec uniósł go do światła, by pojawił się i na ścianie. Cień zatarł dłonie.

– Będzie mi służył za wieszak – zapowiedział Piotruś.

Kapitan skinął głową.

– Jak tylko troszkę go stępisz. Ale miłej zabawy. – Zajrzał do woreczka. Tak jak podejrzewał, zakręciło go w nosie. W Nibylandii był, jak przystało na czarny charakter, uczulony na pyłek wróżki, ale teraz leżał chory w innym świecie, w którym wcale nie należał do najgorszych istot.

Cień przymierzył swój hak, a potem stoczył z Piotrusiem pojedynek na wyciągnięte dłonie. Przy okazji omal nie wywrócili kardiomonitora.

Kapitan uśmiechnął się. Był pewien, że Piotruś nie wytrzyma tu długo i zaraz poleci, by pochwalić się zdobyczą swoim chłopcom. Z całą

pewnością urosnie w ich oczach. Miał w końcu broń najgorszego wroga. Zdobył ją w zamian za mały woreczek złotego proszku.

Piotruś wzbił się w powietrze, wykonał pół salta i odbijając się nogami od sufitu, pognął w stronę cienia. Tamten nie zdążył zareagować. Rozległo się głośne plaśnięcie i cień oberwał z otwartej ręki w kark. Aż podskoczył z bólu.

Chłopiec wylądował i roześmiał się.

– Hak zawsze przegrywa – ogłosił, a jego postawa dawała jasno do zrozumienia, że gotów jest walczyć z każdym, kto twierdzi inaczej. Nikt taki się nie zgłosił, więc Piotruś powoli odwrócił głowę w stronę łóżka.

– Muszę już lecieć – stwierdził. – Ale było... no wiesz, okropnie.

Hak pokiwał głową.

– I nudno – dodał chłopiec. – Myślałem, że flaki mi się powywracają.

– Też się cieszę, że mogłem cię zobaczyć, Piotrusiu. – Kapitan uśmiechnął się.

Chłopiec odpowiedział tym samym.

– Trzymaj się, łysy kapitanie Bezhaku – powiedział, wzlatując lekko. – Z pewnością odwiedzę cię jeszcze.

– Będę czekał – zapewnił pirat.

Patrzył, jak chłopiec podlatuje do okna, ostatni raz spogląda za siebie i gwizdże przeciągle. Cień poruszył się, jakby wzdychał ciężko, po czym machnął Hakowi ręką i zniknął.

Piotruś pognął ku gwiazdom.

Kapitan wyłączył światło i na moment zamknął oczy. Kolejny raz poczuł mdłości, tym razem połączone z silnym bólem. Zacisnął zęby i trwał tak, dopóki wszystko nie minęło. Wtedy ponownie otworzył maleńki woreczek.

Pomyślał o morzu, czarnych żaglach napiętych tak mocno, że aż trzeszczących, ludziach biegających po linach i wyglądających z pokładu

jak wielokolorowe mrówki. Nieomal poczuł na twarzy orzeźwiający powiew wiatru niosącego słone krople. Ster pod palcami i kołyszący się pokład wystawiony na łaskę żywiołu. A może rzucający mu wyzwanie...

Wysypał na siebie odrobinę proszku i odrzucił na bok kołdrę. Niemal w jednej chwili uniósł się kilka centymetrów. Działo.

Opadł ponownie na materac i z szuflady wydobył notatnik, pióro i małą szkatułkę. Nabazgrał kilka słów, podpisał się zamaszystym „Kapitan Jakub Hak”, po czym odłożył swój list na stół. Ze szkatułki wydobył srebrny naparstek, by docisnąć nim karteczkę.

Wyszarpnął wenflon i wysypał na siebie zawartość woreczka, myśląc o linii horyzontu oraz zachodzącym za nią słońcu. O ubraniu sztywnym od soli... i Piotrusiu wznoszącym swój mieczyk i czekającym kolejnego starcia.

Uniósł się, kierując w stronę okna. Wiedział, że jego szczęśliwa myśl nie jest wystarczająco silna, by zanieść go do domu. Proszku też dostał zdecydowanie za mało na taką podróż. Ale powinno wystarczyć, by znów poczuł wiatr na twarzy. A potem... Czy to ważne?

Odwrócił się i ostatni raz spojrział na szpital, który z tej odległości wyglądał jak kartonowe pudełko. Przed nim była już tylko noc... i gwiazdy.

To właściwie jest i nie jest historia o Harrym Houdinim.

Jest, ponieważ pisząc, opierałem się na faktach z jego życia, a także wykorzystałem nie tylko pseudonim sceniczny, ale i prawdziwe nazwisko iluzjonisty. Imiona członków jego rodziny i wielkiej życiowej miłości również nie są wyssane z palca. To akurat wszystko prawda...

To, co się nie zgadza z rzeczywistością, to – oczywiście pomijając wątek fantastyczny – czas. „Mój Houdini” urodził się piętnaście lat później, a wszystkie wydarzenia w jego życiu dzieją się szybciej i z większą częstotliwością. Z początku miałem z tego powodu wyrzuty sumienia, ale potem mi przeszło. Dokładnie – gdy zobaczyłem filmową biografię Raya Charlesa, która tak się ma do rzeczywistych faktów, jak współczesne Chiny do respektowanych przez rząd praw człowieka. Po obejrzeniu tego skądinąd bardzo interesującego filmu doszedłem do wniosku, że przecież *licentia poetica*! Owszem, biorę postać prawdziwą i to trzeba uszanować, ale z drugiej strony robię z niej przecież bohatera literackiego w opowiadance fantasy. Mam prawo go przyciąć tu i tam, żeby mi potem nie wyszły sześciotomowe „Lata dziecięce Stalina. Od kołyski po podstawówkę”.

Dodam jeszcze, że pomysłem wyjściowym na to opowiadanie była pojedyncza myśl, która przyszła mi do głowy, kiedy oglądałem archiwalne pokazy iluzjonisty: „Co by było, gdyby mistrz ucieczek był tak dobry dzięki wędrowni między światami?”.

A Pani, którą za parę stron poznacie... jakoś tak sama przyszła.

Dedykuję: Ani Kańtoch i Alex, które pomogły mi przy tym tekście na wiele sposobów

MIEJSCE, KTÓRE JEST

Król upadł. James Stud westchnął, ale nic nie mógł zrobić. Przegrał. Zajęło mu to dwa miesiące i czternaście dni, wliczając ten poranek.

Zrezygnowany podszedł do biurka, by raz jeszcze spojrzeć na list. Nawet nie wyciągnął go do końca z koperty. Nie musiał, bo wszystko, co go interesowało, zostało zapisane starannym pochyłym pismem na wizytówkowym kartoniku, który niemal sam wypadł z koperty: *Koń na D4. Szach–mat.*

James był pewien, że gdyby wydobył cały list, przeczytałby pozdrowienia i zobaczył zamaszysty podpis Steve’a Perkinsa. Mógł się założyć o cały kram wokoło, że w postscriptum są podziękowania za partię i zapewnienie, że była to niezwykle satysfakcjonująca rozrywka.

– Pewnie, że satysfakcjonująca – sapnął. – W końcu udało ci się ją wygrać, sukinsynu.

Usiadł za biurkiem, zgniótł list w kulkę i cisnął w stojącą przy oknie szachownicę. Trafił w białego gońca. Figura obróciła się w niezgrabnym piruecie i spadła na podłogę.

James, który grał czarnymi, uśmiechnął się krzywo. Mógł mieć celne oko, ale to niczego nie zmieniało. Przegrał partię. Jak zwykle sam był sobie winien.

Sięgnął do szuflady i wyciągnął srebrną papierośnicę. Trzymał w niej ostatnie z tych długich indyjskich papierosów, najlepszych na całym bożym świecie. Rzadko po nie sięgał, zostawiał je raczej dla klientów, na których chciał zrobić wrażenie, ale dziś coś mu się od życia należało. Nie mógł

sobie pozwolić na przygnębienie od samego rana. Biznes wymagał dobrego humoru.

Odpalił papierosa i zaciągnął się. Dym smakował jak pieczone jabłka.

Ktoś zapukał, drzwi uchyliły się lekko, do środka zajrzał Bill Stetham. Zbyt długa grzywka kleiła się do jego wiecznie spoconego czoła, a krągłe policzki drżały.

James pokręcił głową z dezaprobatą. Wolał, gdy w sekretariacie siedziała żona Stethama, ale jej urlop macierzyński kończył się dopiero za półtora miesiąca. Nie chciał zatrudniać nikogo obcego, musiał więc radzić sobie z grubasem.

– Następnym razem, zanim tu zajrzysz, skończ przeżuwać, dobrze?

– Jasne, szefie. – Bill pchnął drzwi, tak że Stud mógł go zobaczyć w całej krągłej okazałości. – Przyszedł ten chłopak, po którego pan posłał.

– Jaki chło... a tak, jasne, wpuść go. Tylko jeden?

Tłuszcioch wzruszył ramionami.

– Podobno nie pracują już razem – wyjaśnił. – Ale gra muzyka, szefie. Przyszedł ten lepszy.

Usunął się, robiąc miejsce drobnemu chłopcu w kraciatej kurtce i czapce zawadiacko zsuniętej na lewe ucho. Dzieciak, mimo że ubrany jak Irlandczyk, na pewno nie pochodził z Wysp. Zdaniem Jamesa, który widywał dziesiątki młodych emigrantów i wiedział o nich więcej niż niejeden celnik, ten mały pochodził skądś ze Wschodu. Polak, może Ruski... Uśmiechnął się i wskazał mu krzesło.

– Może usiądziesz? Bill, pytałeś, czy nie chce czegoś do picia?

Grubas pokiwał głową.

– Nie chciał, szefie. Pączków też nie – dodał z wyrzutem, a nawet ze szczerym zdziwieniem.

Chłopiec uśmiechnął się nieśmiało i wzruszył ramionami. Sprężystym krokiem przeszedł przez pokój i usiadł na starym drewnianym krześle. Ręce położył na udach.

– Dziękuję, Bill, możesz nas zostawić – powiedział James.

Z początku Studowi wydawało się, że jego gość nie może mieć więcej niż trzynaście lat. Teraz jednak dostrzegł dojrzałe rysy, a także kielkujący zarost – z pewnością musiał się golić przynajmniej dwa razy w tygodniu. Przyglądał się Jamesowi z zaciekawieniem.

– Więc bracia Houdnini już nie pracują razem? – zapytał Stud bez złośliwości, zgniatając niedopałek w popielniczce. – A może macie tylko przerwę?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie zarabialiśmy... na dwóch – mówił powoli, starannie dobierając słowa.

Akcent potwierdził podejrzenia. Z pewnością wschodnia Europa.

– Tak, to się zdarza – stwierdził James. – Ale osobno też idzie nie najlepiej, co?

Znów wzruszenie ramion.

Stud sięgnął do szuflady i położył na biurku policyjne kajdanki, tak by Houdni mógł im się przyjrzeć.

– Miałbym dla ciebie pewną propozycję – zaczął standardowo. – Ale najpierw chciałbym wiedzieć, czy jesteś tak dobry, jak mówią. Uporałbyś się z tym?

– Jasne! – Chłopak uśmiechnął się szeroko i wyciągnął ręce ponad biurkiem.

James pokręcił głową.

– Tak będzie za łatwo, odwróć się.

Skuł mu ręce na plecach. Przejechał palcem po łańcuszku łączącym bransolety i cofnął się o krok.

– To są kajdanki Kraivnitza – powiedział. – Ogniwa z hartowanej stali, regulowana wielkość bransolet i zamek z trzema zapadkami. Obecnie najlepsze na rynku. – Wygrzebał skądś stoper. – Światowy rekord to trzydzieści jeden sekund. Będę zadowolony, gdy ty uporasz się w minutę. Uwaga... Czas start.

Houdini rzucił się na podłogę i błyskawicznie przełożył ręce do przodu. Proste, nieraz to ćwiczył. Niestety, reszta nie wyglądała już na łatwiznę.

Dotąd nieźle radził sobie z kajdankami, zwykle jednak miały jakąś wadę. Zbyt luźne obręcze bransolet, źle zaciśnięte ogniwo łańcucha... Nie żeby chłopiec chciał oszukiwać. Po prostu udawało mu się szybko wychwycić każdy feler.

Te kajdanki jednak sprawiały wrażenie doskonałych. Nie było w nich niczego, co pozwoliłoby je zdjąć bez pomocy narzędzi. Na szczęście on miał narzędzie.

Wygiął nadgarstek, po czym palcem serdecznym i wskazującym wysunął z mankietu kurtki zakrzywiony drucik. Kątem oka zerknął na Jamesa, który śledził poczynania Houdiniego zza biurka, coraz to spoglądając na stoper.

Chłopiec wsunął drucik do zamka i zamknął oczy. Majstrowanie w zapadkach wymagało absolutnego skupienia. Nie potrzebował innych zmysłów niż dotyk. Palce delikatnie obracały wytrychem... Szczęknęła pierwsza zapadka, zaraz potem druga i trzecia.

To samo w drugim zamku i otwarte kajdanki wylądowały na podłodze, a drucik zniknął w rękawie.

Stud pokiwał głową.

– Brawo. Zawsze uważałem, że takie umiejętności to coś niesamowitego. Ja nie dałbym rady.

Houdini wyszczerzył zęby.

– Tyle tylko – dodał James, zerkając na stoper – że zajęło ci to minutę i dwadzieścia sekund. A to nie jest imponujący wynik jak na zawodowca. Ludzi to nie powali, a ja zatrudniam najlepszych. Przykro mi.

Wstał i podszedł do okna. Schylił się po białego gońca, który wciąż leżał na dywanie, i umieścił go na szachownicy. Podniósł też przewróconego czarnego króla.

– Myślę, że jest w panu potencjał, panie Houdini. Ale jeszcze nie teraz. Musi pan po...

– Czy ma pan łańcuchy? – przerwał chłopiec. Słysząc było, że ćwiczył te słowa wiele razy, by w odpowiednim momencie wyrzucić je z siebie stanowczo. Ale i, czego nie umiał ukryć, z nutką desperacji. Wielka szansa właśnie wyslizgiwała się spomiędzy palców.

– Jakie łańcuchy? – zapytał James ze zdumieniem.

– Coś panu pokażę, ale musi mieć pan łańcuchy – Houdini nie zdołał ukryć ekscytacji. – Takie, jakimi oplatają siłaczy w cyrku, tylko... prawdziwe. Bez słabych ogniw i takich tam. I jeszcze parę kłódek.

– Pewnie mam. – Stud wzruszył ramionami. Jako impresario trzymał cały magazyn cyrkowych dziwactw. – Ale mówiłem już...

– Niech je pan przyniesie. Proszę.

James postanowił dać chłopakowi szansę i kazał Billowi przynieść łańcuchy.

Grubas wrócił, ciężko sapiąc.

– To wszystko, co znalazłem – powiedział, rzucając na ziemię brzęczącą płataninę stalowych ogniw. Sięgnął do kieszeni i położył na stos trzy kłódki firmy Wolf. – Wystarczy?

– A teraz niech mnie pan nimi owinie, skuje kajdankami i zamknie tam.
– Houdini wskazał stojący w kącie otwarty pusty kufer. – Wystarczą mi trzy minuty.

James długo nań patrzył, próbując dociec, gdzie tkwi haczyk. W końcu westchnął:

– Bill, zrób, o co prosi. Tylko wiąż ciasno.

Stetham pospiesznie zabrał się do pracy, a chłopiec zamknął oczy i czekał, aż będzie w skrzyni. Dopiero gdy wieko zamknęło się nad nim, rozwarł powieki.

– Wpuść mnie, Pani – szepnął. – Wpuść, proszę! Nie zawieźdź mnie w takiej chwili.

Rozbłysło białe światło i nagle nie było więzów.

– Witaj, Eriku – rozległ się kobiecy głos.



Stud zaczynał się niepokoić. Według stopera minęła druga minuta, a z kufra nie dobiegał żaden dźwięk. „Może się udusił?” – pomyślał z przerażeniem. Jednak przypomniał sobie, że kiedyś używali kufra do przemycenia rzadkiego okazu papugi. Zostały po tym niewielkie dziurki w ściankach. Powietrza dzieciakowi wystarczy.

Dlaczego więc się nie rusza?!

– Hej, Houdini! – zawołał Bill. Też wyglądał na zaniepokojonego. – Jesteś tam?

„Głupie pytanie – pomyślał James. – A gdzie niby ma być?”

Zerknął na stoper. Dwie minuty trzydzieści sześć sekund. Trzydzieści siedem...

Usłyszeli stłumiony brzęk i wieko kufra uniosło się z impetem. Houdini stanął wyprostowany i rozłożył ręce. Czekał na oklaski.



Są rzeczy, które się nie udają nawet w Ameryce.

Tak mówiono. Zwykle wieczorami w przyportowych pubach, gdzie robotnicy odpoczywali po całodniowej harówce za psi grosz. Powtarzały to przekupki stojące całymi dniami w słońcu i deszczu, bez skutku próbując wyjść na swoje.

Ale tego dnia Erik Weisz, znany w kilku dzielnicach Nowego Jorku jako Harry Houdini, za nic miał porzekadło rozczarowanych emigrantów. Bo oto otworzyła się droga na szczyt. W jego kieszeni spoczywał złożony na czworo angaż podpisany przez Jamesa Studa. Klękaj, Nowy Jorku, Ameryko... Świecie! Mijając panią O'Donnel, kwiaciarkę o twarzy czerwonej jak rozstawione wokół róże, musnął palcami daszek czapki. Pomachała mu.

– Co tak skaczesz, Harry? – zapytał stojący w progu swej piekarni pan Tallbot. Ten chudy mężczyzna o ziemistej cerze i z haczykowanym nosem zawsze siedział w pierwszym rzędzie, gdy bracia Houdini dawali w parku pokaz magicznych umiejętności.

– Mam pracę! – odkrzyknął chłopak. – U Studa.

Piekarz zaklaskał, roześmiał się serdecznie i wszedł do swego sklepu, by przekazać nowinę żonie.

Chłopiec pędził ulicą, odkrzykując na podobne pytania, tak że po kwadransie o jego sukcesie wiedziała cała dzielnica.

Nikt, nawet sami zainteresowani, nie rozumiał, jak bracia Houdini zdobyli taką sympatię Irlandczyków. Nie pochodzili z Wyspy, a na dodatek rabin Samuel, ojciec Erika i przewodniczący gminy niemieckich Żydów na Manhattanie, nie wyrażał się pochlebnie o katolikach. Dla irlandzkich emigrantów nie miało to jednak znaczenia.

Bracia Houdini nie byli rodzonymi braćmi. Poznali się przypadkiem już w Ameryce, a połączyła ich fascynacja magią. Czy też raczej magicznymi sztuczkami jak te, które pokazywali wędrowni Cyganie obok śpiewów i tańców.

Po roku mieli już spory repertuar. Część sztuczek wyćwiczyli ze starego podręcznika o pożółkłych stronach i nadpalonej okładce, inne opracowali sami. Rolę aranżera pokazów wziął na siebie starszy z „braci”, Jack Hayman, specjalnością Erika były akrobacje i wydostawanie się z więzów.

Zdarzało im się wystąpić na balu czy przyjęciu ku uciesze bankowców i dostojnych gości, najczęściej jednak stawali na rogu ulicy, próbując zarobić na obiad. Różnie bywało, ale zabawę zawsze mieli świetną. Aż pewnego dnia, nie wiedzieć czemu, Jack postanowił odejść. Bracia Houdini przestali być braćmi.



Erik zatrzymał się przed obskurną, pozbawioną okien kamienicą. Jej ściany były poczerniałe, ze środka dochodził zapach spalenizny, mimo że od pożaru minęło już pół roku.

Chłopiec mieszkał kilka domów dalej, w lepszych warunkach, ale ten budynek był dla niego ważny. W nim po raz pierwszy spotkał Panią. Rozejrzał się, po czym przestąpił próg.

W środku panował półmrok. Na ziemi leżały szczątki mebli, nadpalone szmaty i trzeba było uważać, by nie zrobić sobie krzywdy. Śmieci zasłaniały dziury w podłodze, czasem stanowiły kryjówkę dla szczurów.

Smród i mokre ślady na ścianach świadczyły, że nadpalona kamienica pełniła funkcję darmowej toalety. Erik wciągnął powietrze ustami i ruszył na pierwsze piętro. Drogę tarasowało łóżko, które ktoś próbował uratować z pożaru, dopóki schody nie okazały się zbyt poważną przeszkodą.

Przeszedł po materacu i zeskoczył po drugiej stronie. Zamknął oczy i złożył ręce na piersi.

– Przeszedłem ci podziękować, Pani – powiedział do pustego korytarza.

Odczekał chwilę i na oślep ruszył przed siebie. Po dwóch krokach zrobiło mu się cieplej. Otworzył oczy.

Znajdował się w przestronnym apartamencie o oślepiająco białych ścianach. Pod stopami, odgródzone grubą taflą szkła, pływały egzotyczne ryby i wiły się jasnozielone glony. Erik pamiętał strach, gdy stanął tu po raz pierwszy, a dołem przepłynęła ogromna płaszczka. Teraz, chociaż bywał tu często, wciąż czuł się nieswojo i odruchowo stawał na palcach na widok co szkaradniejszych mieszkańców podwodnej krainy.

Dokładnie na wprost znajdowało się ogromne okno z widokiem na sinozielony ocean. Zawsze otwarte, nieruchome pomimo szalejącego morskiego wiatru, kusiło chłopca obietnicami niezwykłych widoków, które mógłby zobaczyć, gdyby się troszkę wychylił, a potem jeszcze bardziej... Przyjemne podniecenie, jakie budziła ta pokusa, przerażało bardziej nawet niż stwory spod podłogi. Zacisnął pięści i postąpił kolejny krok do przodu.

– Witaj, Pani – powiedział, chociaż nie mógł jej dostrzec. Zaniepokoił się. A jeśli jej tu nie ma? Kto w takim razie wpuścił go do środka? I co gorsza, jak wróci do domu?

Obejrzał się i jak zwykle zobaczył miliony, miliardy drzwi. Wyglądały identycznie, a ich szeregi zdawały się nie mieć końca. I z tego, co mówiła gospodyni, rzeczywiście nie miały.

– Witaj, Eriku.

Gdy teraz się obejrzał, Pani była na swoim miejscu. Siedziała w fotelu, rozczesując długie kruczoczarne włosy. Uśmiechała się.

Wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia lat i była najpiękniejszą kobietą, jaką oglądał. Miała pociągłą twarz o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych, wąski, nieco zadarty nos i śnieżnobiałe zęby. Na drobne piersi ukryte pod materiałem obcisłej zielonej sukni, na kształtną nogę widoczną z sięgającego uda rozcięcia chłopiec starał się nie patrzeć. Podejrzewał, że Pani potrafi czytać w myślach, a w owej chwili swoich wstydził się bardzo.

– Przyszedłem ci podziękować, Pani – powiedział drżącym głosem – za pomoc tam, w gabinecie pana Studa.

Odłożyła grzebień i zabrała się do zaplatania warkocza.

– Ależ mnie nie było w gabinecie pana Studa – odparła, odchylając głowę. – Nigdy nie wychodzę z tego pokoju.

„Ależ wychodzisz – pomyślał chłopiec – przecież nie było cię tutaj przed chwilą”.

Nie powiedział tego jednak. Nie musiał.

– Owszem, czasem przebywam w innym jego aspekcie – wyjaśniła Pani. – Muszę wtedy przyjąć inną postać, ale to zawsze jest to samo miejsce. I ja wciąż jestem ta sama. Choć nie zawsze tak piękna.

Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się głośno. Chłopiec dołączył do niej niepewnie.

– Ale wtedy byłaś tam, żeby mi pomóc, prawda? To byłaś ty?

– Nigdy więcej nie odwiedzaj mnie na tak krótko, byś nie miał co do tego pewności, Eriku. A pokój pełen światła to nie tylko moja domena. Zapamiętaj sobie.

– Dobrze, Pani. I przepraszam, że byłem tak krótko, ale powiedziałem panu Studowi, że wyjdę po trzech minutach i...

Skończywszy zaplatanie warkocza, odrzuciła go na plecy.

– Jeszcze nie zauważyłeś, że tu czas płynie inaczej? Jak wszystko tutaj, Eriku, jest on posłuszny mej woli i spełnia wszystkie moje zachcianki. Jeśli zechcę, miną wieki, zanim w twoim świecie drgnie wskazówka zegarka. I odwrotnie.

Chłopiec zadrżał. W głowie pojawiła mu się wizja lat mijających podczas tej rozmowy. Jego braci, tych prawdziwych, jeden po drugim starzejących się i łysiejących jak niegdyś ich ojciec. Siostry, maleńkiej Carrie, teraz grubej i otoczonej gromadką umorusanych dzieci. I w końcu matki, martwej i zakopanej na żydowskim cmentarzu nieopodal siedziby gminy. Jej skóra naciąga się, żółknie, aż w końcu rozdziera jak papier, odsłaniając czaszkę...

– Ile teraz minęło tam czasu? – zapytał.

Pani podniosła się z fotela. Przejechała palcem po jego brodzie i uśmiechnęła się zalotnie.

– A już chcesz mnie opuścić? Zapomniałeś, że obiecałeś okazać mi wdzięczność?

Chłopiec pokręcił głową, a nim zdążył odpowiedzieć, zamknęła mu usta pocałunkiem. Dłonią przesunęła po jego piersi, brzuchu, aż sięgnęła krocza. Ścisnęła lekko, po czym odsunęła się i wybuchnęła śmiechem.

– Lepiej już idź – powiedziała. – Jestem dziś w stanowczo za dobrym humorze, a to nie wróży nic dobrego.

Zdezorientowany Erik wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczyma.

– Wybierz drzwi, którymi wszedłeś – starała się mówić poważnie, ale w jej oczach tańczyły isierki rozbawienia. – Wciąż są za tobą.



– Panie i panowie! O naszego następnego artystę modli się cała policja świata, prosząc Wszechmogącego, by nie zszedł na złą drogę. Wówczas, nawet gdyby go pojмали, nie zdołaliby go upilnować. Oto przed państwem człowiek, któremu niestraszne są żadne więzy, prawdziwy Król Kajdanek... Harrrryy Houdini!

Jak zawsze po zapowiedzi Studa, owacje brzmiały długo. Stojący za kulisami Erik był ciekaw, czy choć część oklasków jest przeznaczona jemu. Przecież jeszcze nic nie zrobił, występ miał dopiero nastąpić...

Przygotowania zajęły mu ponad dwa tygodnie. Były dni, gdy prawie nic nie jadł, a w nadgarstkach czuł nieustanny pulsujący ból, ale mimo to nie ustawał w ćwiczeniach. Nie chciał ryzykować wpadki.

Z tego też powodu dzień przed występem udał się do Pani z prośbą o pomoc – numer z łańcuchami i skrzynią miał być finałem jego show. Zgodziła się, zastrzegając, by nie ściągnął ze sobą setek wielbicielek. Obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy.

Wszedł na scenę i zmrużył oczy oślepiiony blaskiem reflektorów. W jednej chwili zrobiło mu się strasznie gorąco. Nie wiedział, czy sprawiła to

trema, czy nagrzane lampy. Strużka potu popłynęła wzdłuż kręgosłupa, wzdrygnął się.

W pierwszym rzędzie siedziała cała jego rodzina. Nie widział się z nimi od czasu, gdy zaczął przygotowania do występu, a znając podejście matki do swoich „magicznych wygłupów”, nie miał pewności, czy w ogóle przyjdą. Widać więzy rodzinne zwyciężyły. Kto wie, może i duma – matka naprawdę wyglądała na szczęśliwą, gdy powiedział jej o pracy u Studa. To nazwisko coś znaczyło.

Po jednej i drugiej stronie pani Cecylii Weisz, niczym kurczaki wokół kwoki, rozsiadło się rodzeństwo Erika. Z jednej strony dorosły już Leopold z małą Carrie na kolanach, a z drugiej trójka chłopców: Theodore, William i Nathan. Wszyscy odświętnie ubrani. I z poważnymi minami, jakby przyszli na pogrzeb, a nie na pokaz magicznych sztuczek.

Chłopak uśmiechnął się do nich, wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni pożyczonego fraka i wydobyl talię kart. Ludzie lubili karciane sztuczki, a już najbardziej, gdy prowadzący robił idiotę z kogoś z publiczności. Czuli ulgę, że to nie ich wybrano do pokazu.

– Poproszę teraz o pomoc – powiedział Erik, rozkładając ręce.

Wiedział, że jeżeli nikt się nie zgłosi, rękę podniesie człowiek podstawiony przez Studa, więc wszystko było w porządku. Choć wolałby kogoś przypadkowego. Tacy reagują zdecydowanie zabawniej.

Ku jego radości zgłosiło się aż kilka osób. Wybrał szczupłego, bladego mężczyznę w kraciastej marynarce. Jegomość z pozoru nieszczególnie nadawał się na asystenta – nosił okulary z grubymi szklami, łysiał, a po jego bladej twarzy spływały wielkie krople potu. Na dodatek, co chłopak zauważył, gdy facet wgramolił się na scenę, miał tik nerwowy – opuszczał i unosił brwi.

Mimo to młody magik był pewien swego wyboru. Gdyby wskazał na zgrabną blondynkę z trzeciego rzędu, pojawiłyby się plotki, że dziewczyna jest podstawiona. A wolał uniknąć takich oskarżeń, zwłaszcza podczas pierwszego wielkiego występu.

– Zawsze wybieraj brzydkich, a także tych, którzy wyglądają na zwykłych i nudnych – doradził mu wcześniej Stud. – Ci ciekawi i piękni odkryli już swoją magię.

Chłopiec uściśnął dłoń mężczyźnie i podał mu karty.

– Dziękuję, że postanowił pan mi pomóc, panie...

– Albert Clumb – przedstawił się chudzielec, szczerząc poźółkłe zęby w uśmiechu. – Z Chicago.

– Kawał drogi, panie Clumb – stwierdził Erik i wskazał karty. – Grywa pan czasem?

– W każdy czwartek urządzamy sobie z kolegami małego pokerka... oczywiście tylko na zapalki.

Ktoś parsknął głośno, wzbudzając ogólne rozbawienie. Młody magik pozwolił publice na tę chwilę wesołości. Gdy umilkła, uniósł w górę karty.

– Teraz poproszę pana, by wyciągnął pan jedną z kart i pokazał ją wszystkim prócz mnie. Potem schowa ją pan do talii w dowolne miejsce, a ja zgadnę, jaka to karta. Gotowy? Proszę więc wylosować... Znakomicie, teraz ja się odwracam, a pan pokazuje kartę wszystkim... Świetnie... i wkładamy ją do talii. Wielkie brawa dla pana Alberta Clumba z Chicago!

Rozległy się owacje, a Erik zerknął w stronę rodziny. Szkoda, tylko Theodore i mała Carrie okazali zainteresowanie. Pozostali przyglądali się scenie ze znużeniem ukrytym pod sztucznymi uśmieszkami. Miał nadzieję, że za chwilę zainteresują się bardziej. Bo jeśli nawet rodzina się nudzi...

Tymczasem Albert Clumb wrócił na miejsce. Nadszedł czas na drugą część sztuczki. Chłopiec ponownie uniósł karty i zaczął je przeglądać. Doszedł do końca talii i... nie znalazł. Wystraszonym wzrokiem spojrzął na widzów i ponownie, tym razem dużo szybciej, obejrzał karty.

Publiczność zamarła. Ucichły rozmowy, szelest papierowych torebek, nawet głośne oddechy cierpiących z gorąca ludzi w środkowych rzędach. Ukryty za kulisami Stud nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

Erik bezradnie opuścił ręce i karty posypały się na deski sceny. Westchnął głośno.

– Wygląda na to, drodzy państwo – powiedział lekko łamiącym się głosem – że pan Clumb mnie nie lubi. Nie chce, by udała mi się sztuczka.

Spojrzenia widzów w jednej chwili przeniosły się na niedawnego pomocnika „wielkiego Houdiniego”, który choć wydawało się to niemożliwe, pobladł jeszcze bardziej. Brwi skakały mu w górę i w dół niczym kauczukowa piłeczka. Chłopcu niemal zrobiło się go żal.

– Niech pan pozwoli do mnie, panie Clumb, jeszcze na chwilę – poprosił. – Dosłownie na momencik.

Mężczyzna wstał i rozglądając się na boki, jakby szukał wsparcia, powoli podszedł do sceny.

– To... to jakieś nieporozumienie. Ja... – zaczął już na schodkach, ale Erik nie dał mu dokończyć.

Złapał go za krawat i wyciągnął spod niego kartę.

– Tu ją pan schował! – zawołał radośnie i pokazał publiczności damę trefl. Rozległy się głośne brawa, słychać też było zdumione okrzyki.

Erik skłonił się i wskazał na Clumba. Ostatecznie on również zasłużył na aplauz.

Pierwszy numer dobiegł końca, a serca publiczności należały już do Harry’ego Houdiniego.



Potem szło jak z płatka. Erik zademonstrował jeszcze kilka karcianych sztuczek, nim zabrał się do pokazu z kajdankami. Trzeba przyznać, że Stud nieźle to zorganizował. Kiedy na scenę wkroczył Bill Stetham, by zakuć Houdiniego, z widowni poderwał się postawny mężczyzna w mundurze policyjnym i powiedział, że nie wierzy, by kajdanki były prawdziwe.

– Tak się składa, że mam tu swoje – powiedział z tryumfem. – I chętnie ich użyczę.

Rzecz jasna, żadne kajdanki nie były felerne. Erik nie zgodziłby się na takie oszustwo. Uznał jednak, że drobne przedstawienie z całą pewnością nie zaszkodzi, a tylko zwiększy zainteresowanie.

Oczywiście chłopiec udał wzburzenie i wypadł o wiele bardziej wiarygodnie niż Stetham, który nie był stworzony do kłamstw. Przez chwilę toczył ostrą dyskusję z policjantem, potem pozwolił się zakuć.

Ponarzekał, że za ciasno, a potem... uwolnił się w niecałe trzydzieści sekund. Podał kajdanki któremuś z widzów w pierwszym rzędzie, a potem każdy mógł ich dotknąć, potrząsnąć czy nawet spróbować rozgiąć. Były autentyczne i nikt nie miał co do tego wątpliwości, zwłaszcza że mundur policjanta, który chodził wśród rzędów, jakby nie chciał stracić z oczu swojej własności, też robił swoje.

Tymczasem Erik pomógł wtaszczyć na scenę kufer i łańcuchy. Od finałowego numeru dzieliło go kilka sztuczek, ale chciał wzbudzić ciekawość, sprawić, by ludzie drżeli z niecierpliwości. Bo to miał być... Najlepszy numer świata.



– Następnym razem przynieś mi kota – powiedziała Pani, gdy Harry zamknął drzwi. – Myślę, że dojrzałam do następnego.

– Następnego? – zapytał chłopiec.

Pani skinęła głową i odrzuciła koc z kolan. Wstała.

Mimo że, przynajmniej zdaniem Erika, temperatura w pokoju nigdy się nie zmieniała, gospodyni wyglądała na przemarzną. Miała na sobie grubą, sięgającą kostek wełnianą spódnicę i równie ciepły pulower, a na dłonie naciągnęła rękawiczki bez palców.

Włosy zaplotła w kok, przez co wyglądała jak nauczycielka z pensji dla panien.

„Chociaż nie – poprawił się w myślach chłopiec. – Nauczycielki to zwykle stare, zgorzkniałe panny, żadna z nich nie jest nawet w połowie tak piękna”.

– Kiedyś miałam już kota – wyjaśniła Pani, podchodząc do okna. Wyjrzała, po czym zamknęła je po raz pierwszy, odkąd Erik zaczął się tu pojawiać. – Aż pewnego dnia zwierzak po prostu wyskoczył. Bez powodu.

Chłopiec pokiwał głową. W głębi serca wiedział, dlaczego tak się stało. Okno go zawołało, skusiło swym widokiem. Wolał tego głośno nie mówić, ale był pewien.

– Jak idzie występ? – zapytała Pani. Bez zainteresowania, z czystej grzeczności. Wyczuł to, więc zdawkowo odpowiedział, że nieźle.

– Oczywiście najważniejszy numer właśnie trwa – dodał, licząc, że te słowa wywołają jej uśmiech.

Nic z tego. Pani przejechała smukłymi palcami po framudze, w ogóle nie zwracając na swego gościa uwagi. Myślami była daleko.

Erik stał przez chwilę, odwrócił się i postąpił krok w stronę drzwi.

– Wybierz trzecie na lewo od tych, którymi wszedłeś – rozległ się głos za plecami. – I nie zapomnij o kocie.



Stud był wniebowzięty. Biegał między rzędami, przyjmował gratulacje, ścisnął ręce widzów, zapraszając na inne pokazy. Zerknął też w stronę Harry'ego i chwalił się, jak to odkrył chłopca i dał mu szansę. Ludzie pytali o następny występ. Niektórzy już chcieli kupować bilety.

Młody magik zszedł ze sceny i podszedł do rodziny. Mała Carrie rzuciła mu się na szyję.

– Byłeś świetny! – zawołał podekscytowany Nathan. Przerastał Erika o głowę, patrzył więc nań z góry i schylił się, by uścisnąć brata.

– To prawda, byłeś niesamowity – potwierdził Leopold, głaszcząc wąsa. Odkąd zatrudnił się jako specjalista od promieni Roentgena, starał się wyglądać i zachowywać jak angielski lord.

Erik, wciąż z Carrie uczeponą szyi, uścisnął jego dłoń, potem pozostałych braci, aż z niepewnością skupił wzrok na matce.

Cecylia Weisz nie kryła wzruszenia. Otarła łzę chustką i uśmiechnęła się...

– Mój mały Erik... – wydusiła wreszcie. – Gdyby tylko twój ojciec mógł cię zobaczyć.

– Na pewno by się wściekł – szepnął Theodore.

Chłopiec mrugnął do niego. Jego brat miał rację. Samuel Weisz, jak przystało na konserwatywnego rabina, nie byłby zadowolony. Choć z

drugiej strony... trwał w końcu dzień cudów.

– Myślę, że czas na obiad, mamó – powiedział łagodnie Houdini. – Magia to wyczerpujące zajęcie.



Wieczorem Erik ze Studem poszli, jak to określił Bill Stetham, na spotkanie z nocą. Impresario uparł się, że przedstawi chłopcu piękniejszą część Nowego Jorku, tę zarezerwowaną dla ludzi z pełnymi portfelami.

– Już niedługo będziesz do nich należał – obiecał, klepiąc Houdiniego po ramieniu. – Zaczynaj się przyzwyczajać.

Wbrew buńczucznym zapewnieniom impresaria, który chwalił się dobrą znajomością lokali, trochę pobłądzili, nim znaleźli miłą i przytulną knajpę. Nosila nazwę „U Joego” i sprawiała wrażenie nijakiej, ale przynajmniej nie śmierdziała w niej wódka.

Rozsiedli się na kanapie nieopodal wejścia. Mieli widok na całe wnętrze, a w razie czego mogli sprawnie i po cichu opuścić lokal. Nie żeby spodziewali się czegoś złego, ale ostrożności nigdy za wiele. Stud skinął na kelnera i zamówił whisky.

– I jak się czujesz jako gwiazda? – zapytał, częstując chłopca ze srebrnej papierośnicy.

Erik wzruszył ramionami.

– Nie widzę różnicy, panie Stud – stwierdził zgodnie z prawdą.

Impresario roześmiał się.

– A powinieneś, masz przed sobą wielką przyszłość, Houdini. Ty po prostu czujesz scenę. – Pochylił się lekko i polecił, by chłopiec zrobił to

samo. – Przy pierwszym numerze myślałem, że naprawdę ci się posypało. Nabrałeś takiego wygę jak ja. Jesteś mistrzem, chłopcze.

– Ale kraivnitze dalej zajmują mi ponad minutę.

– Nieważne! – Stud machnął ręką. – Kto by się martwił głupimi kajdankami, gdy udało ci się zrobić ten cały numer z kufrem i łańcuchami?! Raz jeszcze powtarzam, jesteś wielki. Prawdziwie wielki Houdini.

Kelner postawił przed nimi butelkę whisky i dwie szklanki wypełnione lodem. Skinął głową, po czym oddalił się pospiesznie.

Gwar w lokalu powoli zaczął cichnąć. Erik odwrócił się i już wiedział dlaczego. Na małą scenę wkroczyła owinięta w boa młoda dziewczyna i rozległy się dźwięki fortepianu. Artystka zaczęła śpiewać.

Erik patrzył na nią urzeczony. Miała sympatyczną twarz o pełnych policzkach i lekko zadarty nos. Włosy barwy ciemnych kasztanów zgodnie z modą upięła wysoko.

Dziewczyna podobała mu się, ale z całą pewnością nie chodziło mu tylko o urodę. Owszem, była całkiem ładna, ale daleko jej było do Pani. Głos też miała nieco za niski i chropawy. Erik pamiętał, że słyszał kiedyś podobnie śpiewające czarnoskóre pokojówki – głęboko, jakby z wnętrza studni.

Jednak coś w tej dziewczynie sprawiało, że nie mógł oderwać od niej wzroku. Położył łokcie na oparciu fotela i wsparł na nich brodę.

Stud uśmiechnął się i skinął na kelnera.

– Co to za dziewczyna?

Kelner, młody chłopak o pociągłej, pryszczatej twarzy i posturze wieszaka, wzruszył ramionami.

– Ma na imię Bess i śpiewa tu od miesiąca. Ale tak naprawdę jest tancerką. Tak przynajmniej mówiła. I to słysząc.

Impresario uniósł brwi.

– Że jest tancerką?

– Że nie jest piosenkarką – odparł chłopak. Brodą wskazał Erika. – Ale goście ją lubią.

Stud skrzywił się na widok szklaneczki stojącej przed Erikiem. W lokalu było gorąco i z całą pewnością zrobiła się już ciepła. A impresario niewiele znał rzeczy gorszych niż ciepła whisky.

Tymczasem Bess skończyła śpiewać. Rozległy się owacje i gwizdy. Houdini klaskał tak mocno, że impresario zląkł się o jego dłonie. Czym jest magik bez swoich dłoni? Odchrząknął głośno.

– Przepraszam, panie Stud. – Erik odwrócił się, na jego twarzy widać było zmieszanie. – Ja tylko...

– Nie masz za co przepraszać. Sam się dziwię, dlaczego ja tak nie reaguję.

Sięgnął do portfela i wyciągnął dwadzieścia dolarów.

– Myślę, że powinienesz zaprosić gdzieś tę dziewczynę, gdy już skończy – stwierdził, podsuwając chłopcu banknot. – Dzisiejszą wypłatę schowaj sobie na później. Tu masz zadatek na poczet przyszłych występów. Nie przynieś mi wstydu.

Wstał i ruszył w stronę baru, zostawiając zdumionego Erika samego.

Erik przez chwilę chciał pójść za nim, upewnić się, czy wszystko w porządku, ale Bess zaczęła drugą piosenkę. Impresario przestał być istotny.



Po raz pierwszy stał w tak czystym zaułku. Do niedawna nie miał pojęcia, że takie istnieją. Nie było porzrzuconych śmieci wokół kubła,

schody prowadzące na zaplecze „U Joego” ktoś starannie pozamiatał, a wisząca nad wejściem lampa rzucała żółte światło na całą niemal uliczkę.

Przestąpił z nogi na nogę. Czuł, że zaschło mu w gardle, i zaśmiał się nerwowo. Kilka godzin temu bez śladu skrępowania zabawiał pełną salę, a teraz miał tremę przed spotkaniem z jedną dziewczyną. Pomyślał, że może tak właśnie przyjdzie mu reagować na wszystkie ładne kobiety. W końcu przy Pani też czuł się niepewnie.

„To jednak nie to samo – pomyślał. – Tej dziewczyny się nie boję”.

Westchnął i przyjrzał się kupionemu bukietowi. Kwiaty były lekko przywędnięte, ale czy ktokolwiek w Nowym Jorku zdobyłby coś lepszego o tej porze. Chłopak, który mu je przyniósł, zachowywał się, jakby robił wielką łaskę, a na dodatek policzył jak za kilka świeżych wiązanek. Erik zapłacił bez słowa. Tego wieczoru stać go było na cały świat.

Drzwi od zaplecza uchyliły się i serce chłopca zabiło żywiej. Zamiast Bess wyłonił się łysy pianista.

– Czekasz na Bess?

Erik skinął głową.

– Kazała mi powiedzieć ci, że to jeszcze potrwa. Szef wezwał ją do siebie i pewnie troszkę tam posiedzi. Zaczekasz?

– Jasne – uśmiechnął się magik. Wbiegł po schodkach i zza ucha pianisty wyjął jednodolarowy banknot.

– To pewnie któryś z napiwków – powiedział, podając go mężczyźnie. – Szkoda byłoby zgubić.

Muzyk roześmiał się zaskoczony.

– Skoro potrafisz wyczarowywać pieniądze, nadajesz się dla małej Bess – stwierdził. – Zasługuje na wszystko, co najlepsze.

Pożegnał się i zniknął za drzwiami.

Chłopiec odwrócił się, wsparł ręce na barierce... i wtedy go dostrzegł.

Siedział na kubie, lekko przechylając łebek i przyglądając się Erikowi swymi szmaragdowymi oczami. Był cały czarny, jeśli nie liczyć białej obwódki wokół prawego oka, przez którą wyglądał, jakby nałożył monokl.

„I nie zapomnij o kocie” – chłopiec przypomniał sobie słowa Pani. Ten z całą pewnością mógłby jej się spodobać. Był... dziwny.

Młody magik zerknął za siebie. Jeżeli dobrze się uwinie, zdąży, zanim wyjdzie Bess. Nie chciał mieć długu u Pani. Położył kwiaty na poręczy i powoli zszedł po schodach. Poruszał się na palcach, w pełnej gotowości do skoku.

Kiedyś, gdy ćwiczył jeszcze akrobatykę, kazano mu łapać koty, by poprawiać szybkość i koordynację. Większość z tamtych dachowców wyglądała groźniej i bardziej dziko niż ten, Erik nie spodziewał się więc kłopotów. Gdy od kubła dzieliły go jakieś trzy stopy, rzucił się do przodu, wyciągając ręce. Niewiele brakowało, ale kot błyskawicznie przeskoczył na śmietnik obok, potem odbił się od głowy chłopca i wylądował na balkonie zejścia przeciwpożarowego. Tam usiadł i ponownie przechylił łebek. Erikowi wydało się, że mrugnął.

– Jesteś w sam raz dla Niej – westchnął chłopiec, włączając na kubek. Podciągnął się i po chwili stał już na balkonie. – Tylko spokojnie, futrzaku – szepnął.

Sięgnął do kieszeni i udał, że coś z niej wyciąga. Potem zaciśniętą pięść skierował w stronę kota. Wystarczyłoby, żeby zwierzak zrobił choć jeden krok do przodu, a już by go miał. Ale ten ani drgnął.

Erik zerknął w stronę drzwi od zaplecza.

– Pani, jeśli naprawdę zależy ci na tym zwierzaku – westchnął – proszę, byś mnie wpuściła do swego domu... teraz!

Skoczył i tym razem udało mu się złapać zwierzaka. Mocno przyciskając go do piersi, wpadł prosto w światłość.

Gdzieś przed nimi rozległ się radosny pisk i klaskanie.



– Jest śliczny, Eriku – powtórzyła Pani, tuląc kota. Ten nie protestował. Przeciwnie, mruczał cichutko, jakby spotykała go najwspanialsza rzecz w życiu.

„A tak się wzbraniałeś” – pomyślał chłopiec i zerknął na swoją marynarkę. Kocie pazury zrobiły swoje i teraz nadawała się do wyrzucenia. Westchnął. Nie robi odpowiedniego wrażenia na Bess.

Pani chwyciła kota za kark i podniosła do oczu. Potarła nosem o jego nos i zapiszczała wesoło. Tego dnia ubrana była jak niektóre dziewczyny z Bulwaru Złamanych Serc – te, które chciały uchodzić za młodsze. Erik słyszał, jak jedna z nich mówiła, że skończyła niedawno trzynaście lat, choć wyglądała na trzydzieści. Miała dwa kucyki zupełnie jak teraz Pani i ubranko przypominające strój uczennicy z dobrej szkoły. Rzecz w tym, że Pani również zachowywała się jak dziewczynka. Nawet głos jej się zmienił.

– Muszę już wracać, Pani – powiedział Erik, robiąc dyskretny krok do tyłu. – Ktoś na mnie czeka.

– To niech czeka! – Tupnęła. – Nie pokazałam ci jeszcze, jakich nauczyłam go sztuczek.

Szepnęła coś kotu do ucha i postawiła go na podłodze. Zwierzak powoli podszedł do Erika, pociągnął go za nogawkę. Wypadł z niej dolarowy banknot.

– To pewnie któryś z napiwków! – zawołała Pani, z radością klaszcząc w dłonie. – Szkoda byłoby zgubić.

Chłopiec uśmiechnął się pod nosem.

– Naprawdę, Pani, muszę już iść. Następnym razem zostanę dłużej.

– Lepiej już tutaj nie wracaj. – Zrobiła poważną minę. – Co za dużo, to niezdrowo. A ty dość już zmieniłeś.

– Jak to? – zapytał chłopiec, ale gospodyni już na niego nie patrzyła.

Wyciągnęła ręce w stronę kota i szeptała w niezrozumiałym języku.

Erik odwrócił się.

– Jedenaste drzwi na prawo – powiedziała Pani.

Chłopiec ponownie znalazł się w zaułku. Świtało.



Wieczorny występ Bess okazał się jej ostatnim w Nowym Jorku. Nikt z pracowników „U Joego” nie miał pojęcia, ani gdzie mieszkała, ani gdzie zamierzała wyjechać. Najzwyczajniej w świecie znikła.

Erik szedł ulicą z rękami w kieszeniach i ze spuszczoną głową. Był wściekły na Panią, że tak zabawiła się jego kosztem. W końcu przyniósł jej cholernego kota, a ona nie dość, że zabrała mu noc z życia, to jeszcze przekreśliła szansę na miłą znajomość.

Kopnął kamień leżący w wyschniętym rynsztoku i patrzył bezmyślnie, jak toczy się na środek ulicy. Od domu dzieliła go jeszcze jedna przecznica, ale nie miał ochoty tam iść. Do matki też nie. Przyszedł mu do głowy impresario, tyle że on z całą pewnością spyta, jak poszło, a Erik nie miał ochoty wymyślać kłamstw.

Zdecydował się na salę pokazową. Stud wynajął ją na cały miesiąc i dał chłopcu komplet kluczy, gdyby chciał potrenować w samotności. I może

właśnie tego było mu teraz potrzeba.

Gdy dotarł na miejsce, na schodkach siedział młodszy brat Theodore.

– Co ty tu robisz? – zapytał Erik. – Mama wie, że tu jesteś?

– Wie – odparł chłopiec. Jak przystało na dziesięciolatka, nogi miał poobijane, a łokcie i kolana w strupach. Teraz ciężko pracował nad zdrapaniem jednego z nich z nogi. – Kazała ci powiedzieć, że masz mnie zrobić swoim pomocnikiem.

Erik oparł ręce na biodrach i wybuchnął śmiechem.

– A w czym niby masz mi pomóc, Theo?

– No jak to w czym?! W sztuczkach! – Chłopiec popatrzył nań jak na idiotę. – Żebyś nie musiał brać do pomocy takich łazęgów jak ten gość z Chicago. O mało nie zepsuł ci numeru.

– Ale jakoś się udało. – Erik wszedł na schody i był już u drzwi. – A ty idź lepiej do domu, zanim się matka dowie, że zwiąłeś.

Włożył klucz do zamka i zamyślił się.

– Albo wiesz co, Theo? Chodź, nauczę cię paru rzeczy. Może mi się przydasz.

Chłopiec poderwał się z szerokim uśmiechem.

– Od dziś nazywam się Hardeen, Hardeen Houdini – oznajmił, po czym podbiegł do brata i mocno go przytulił. – I dziękuję.



Nie minęły dwa miesiące, a Harry Houdini dawał średnio dziesięć występów w tygodniu. I zawsze mógł liczyć na pełną salę. Niektórzy przychodzili po kilka razy, próbując zrozumieć tajemnicę jego sztuczek.

Inni dla drobnych zmian, które Erik wprowadzał z każdym spektaklem. Ani jeden pokaz nie wyglądał tak samo. Najczęściej zmieniał karciane triki, ale czasem dodawał coś do numeru z kajdankami. Na przykład rozkuwał się, wisząc głową w dół, przywiązany stopami do belki nad sceną.

Theo, a właściwie Hardeen, spisywał się lepiej niż znakomicie. Nawet starszy brat nie wiedział, jakie ma zdolności aktorskie i jak świetnie udaje zaskoczenie i podziw – mimo że wyjaśnił mu działanie większości sztuczek. A przynajmniej tych, które dało się wyjaśnić.

Na styczeń zaplanowali pierwszą trasę po północnych stanach, a na kwiecień szykowali się na podbicie Zachodu. Wszystko szło wspaniale. Do czasu...



Erik siedział w garderobie i bębniąc palcami po blacie, wpatrywał się w marynarkę Studa wiszącą na drzwiach szafy. Był zły – jeśli impresario się nie zjawi, rola zapowiadającego spadnie na Theo, a chłopiec nie radził sobie z przemówieniami. To osłabiłoby występ, a Houdini nie mógł sobie pozwolić na potknięcia. Na pewno jeszcze nie teraz.

Ktoś zapukał i w drzwiach stanął Theo. Po policzkach ciekły mu łzy, cicho pociągał nosem. Za jego plecami stał blisko olbrzymi, barczysty mężczyzna w mundurze policjanta.

– Czy pan Houdini? – zapytał, miętosząc czapkę w ogromnych dłoniach. Erik skinął głową.

– To ja, stało się coś, panie oficerze?

Policjant delikatnie odsunął na bok Theo i wszedł do środka. Musiał się schylić, by nie uderzyć głową o framugę.

– Chodzi o pana Studa.

– Co z nim?

– Został napadnięty wczoraj wieczorem, gdy wracał do domu. Obrabowano go, a on sam ciężko pobity trafił do szpitala.

– Którego?! – Erik doskoczył do szafy i wyciągnął płaszcz. – I jak się teraz czuje? Jest przytomny?

– On nie żyje, panie Houdini – odparł policjant. – Zmarł nad ranem.



Pani wyglądała na obojętną. Siedziała w fotelu owinięta ciepłym szalem i wpatrywała się w okno. Tylko kot zwinięty w kłębek na jej kolanach przyglądał się Erikowi z zaciekawieniem.

– I nic nie powiesz, Pani? – wypalił chłopiec.

– A co, twoim zdaniem, mam zrobić? – odparła gospodyni, wzruszając ramionami. Nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem. – Wskrzесиć zmarłego? Zresztą ostrzegałam cię. Teraz możesz mieć pretensje tylko do siebie.

– Jak to?! Kiedy?

– Wtedy, gdy przyniosłeś mi kota – wyjaśniła Pani. – Powiedziałam, byś lepiej nie wracał. Że i tak zmieniałś za dużo. Ale ty wiedziałeś lepiej. Więc teraz masz, czego chciałeś, o wielki Houdini.

Mówiła spokojnie, nie podnosząc głosu, bez zmian intonacji.

„Jest obojętna – pomyślał Erik, a przecież tam umarł człowiek. – Cholera, umarł sam James Stud! I ona jeszcze śmie mówić...”

– Dokładnie tak, Eriku – powiedziała Pani, zgadując jego myśli. – To wszystko przez nas. To my zabiliśmy twojego przyjaciela. – Zajrzała mu głęboko w oczy.

– Nie patrz na mnie w ten sposób, nie żartuję. Za każdym razem, gdy stąd wychodzisz przez inne drzwi niż te, którymi przyszedłeś, odrobinę zmieniasz rzeczywistość. Wkraczasz w inny jej wymiar. Zwykle nie jesteś w stanie dostrzec tych zmian, bo są to małe drobiazgi. Czasem ktoś nosi czarny płaszcz zamiast szarego, czasem w cukiernicy zamiast cukru znajduje się sól albo jakieś kłódki nieoczekiwanie same się otwierają. Ale są i odleglejsze wersje świata. Nawet takie, gdzie brak jest całych miast, krajów czy nawet planet. Niezliczone są wersje przyszłości, więc wszystko jest możliwe. A w tym miejscu terażniejszość łączy się z jedną ze ścieżek przyszłości. To miejsce to wieczne Teraz, Centrum wszystkiego.

Erik cofnął się o krok.

– Czy to oznacza, że jesteś Bogiem?

Parsknęła śmiechem, zaraz jednak spoważniała. Poprawiła szal i ukryła dłonie w rękawach swetra.

– Nie, Eriku. Ja niczego nie tworzę. Jeśli już koniecznie chcesz szukać Wszechmogącego, to jest nim to miejsce. Ono losowo wybiera, jak dalej potoczy się życie na twoim świecie, i ciągnie to dalej. A właściwie wybierało, zanim się tutaj pojawiłeś. A teraz... no cóż, chyba ty jesteś Bogiem, Eriku. I możesz dowolnie zmienić przyszłość.

– A przeszłość? – Przystąpił nerwowo z nogi na nogę. – Bo jeśli mógłbym...

– Przeszłości już nie ma – przerwała mu Pani. – Istnieje w twoich wspomnieniach. A te, jak się postarasz, możesz zmieniać do woli.

Chłopiec pokręcił głową i obejrzał się. Za nim stał równy rząd identycznych drzwi ciągnący się w nieskończoność. Z przerażeniem odkrył,

że nie pamięta, którymi wszedł. Wcześniej nie miało to znaczenia, teraz stało się istotne. Nie chciał zmieniać niczego więcej... Chyba że...

– Czy istnieje wersja przyszłości, w której James wciąż żyje? – zapytał.

Pani machnęła ręką.

– Zapewne całe miliony, ale drzwi do nich są bardzo daleko, bo to poważna zmiana. Zresztą nie, nie powiem ci które! Ty nie mógłbyś żyć w tamtych wersjach. A ja wciąż cię lubię, Eriku. I nie pozwolę ci umrzeć.

Zwiesił głowę i stał tak, oddychając głęboko i próbując ogarnąć umysłem, co właśnie usłyszał. Nagle się wyprostował.

– Chcę wrócić drzwiami, którymi tu wszedłem.

Pani skinęła głową.

– Teraz to trzecie drzwi na lewo. Uważaj na siebie.

Erik ukłonił się lekko i podszedł do drzwi.

– Żegnaj, Pani – powiedział, wychodząc.

– Do widzenia, Eriku – odparła cicho.



Publiczność Nowego Jorku okazała wielkoduszność i bez awantur przyjęła informację o odwołaniu pokazów do końca roku. Większość tych, którzy wpłacili rezerwację, nie żądała zwrotu pieniędzy, prosząc jedynie o kupon, który pozwoli im wejść za darmo, gdy wielki Houdini wróci do formy. Wszyscy rozumieli stratę, jaką była dla Erika śmierć impresaria.

Niestety, ustalonych już tras po całym kraju nie dało się odwołać tak łatwo. Zwłaszcza mieszkańcy małych miasteczek, którzy spotykając się z Królem Kajdanek, chcieli zakosztować nowojorskiego życia, nie zgadzali

się na zwrot pieniędzy. Chcieli zobaczyć Houdiniego, który, o ironio, prócz paru marnych sztuczek nie miał im nic do pokazania.



Mieszkanie Leopolda pełne było książek. Stały nie tylko na rozlicznych regałach, ale też na szafkach w kuchni i na stole w salonie. Z większości tomów wystawały zakładki. Erik zastanawiał się, czy to możliwe, by jego brat przeczytał wszystkie. A może taka właśnie panowała moda wśród naukowców – zastąpić meble książkami.

Chłopiec usiadł w fotelu, liczył jednak, że uda mu się szybko stąd wyrwać. Nie był w nastroju do rodzinnych spotkań, nie chciał wysłuchiwać wciąż tych samych kondolencji i wyrazów współczucia. Przyszedł tu tylko, bo Leopold zagroził, że powie matce, co się dzieje z jej synem. A Erik – jak żaden z braci – nie chciał, by cierpiała. Choć podejrzewał, że Leo blefuje, wolał tego nie sprawdzać. On zawsze był dziwny.

No i jeszcze coś – Erik martwił się o Theo. Dzieciak stanowczo odmówił, gdy padła propozycja, by wrócił do matki. A potem za punkt honoru postawił sobie opiekę nad załamany bratem. Zaczął mieć podejrzenie dużo wolnego w szkole i ani myślał o wychodzeniu na podwórko. Spacer na drugi koniec miasta mógł mu dobrze zrobić. Tym sposobem obaj wylądowali w książkowym przytułku, które ich najstarszy brat nazywał mieszkaniem.

– Myślę, Eriku, że powinieneś odpocząć od tego wszystkiego – stwierdził Leopold, gdy usiedli przy obiadowym stole. Patrzył na brata spod zsuniętych na czubek nosa okularów. Uwielbiał je nosić w ten sposób,

bo uważał, że tak wygląda poważniej. Reszta rodziny zgodnie twierdziła, że tylko się ośmiesza. Choć, jak słusznie kiedyś zauważyła matka, był słynnym doktorem i może wiedział coś, o czym oni nie mieli pojęcia. – Wysłałem telegram do jednego z przyjaciół w Kanadzie. Jest dyrektorem sanatorium i powiedział, że chętnie cię przyjmie. Jako gościa, nie pacjenta, oczywiście.

Erik smętnie wpatrywał się w pełen talerz. Wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem, Leopoldzie? Już parę miesięcy nic nie robię, tylko odpoczywam. A muszę wymyślić nowy numer finałowy. I to jak najszybciej.

– Nie rozumiem – wtrącił się Theo. Był rozdrażniony, lubił swoją pracę, a wszystko wskazywało, że śmierć impresaria przekreśli karierę braci Houdinich. – Przecież stary numer był dobry. Ludziom się podobał, a ci w innych miastach jeszcze go nie...

– To był zły numer! – uciał Erik, posyłając młodszemu bratu groźne spojrzenie.

Na chwilę przy stole zapanowała cisza.

– Wiesz dobrze, że nie znam się na tej twojej magii i sztuczkach – Leopold spróbował od innej strony. Odruchowo wygładził wąsa. – Ale mnie, jeśli napotkam problem, zwykle pomaga zmiana otoczenia. Słyszałem, że wszystko, co nas otacza, usiłuje nam powiedzieć coś ważnego. Ale jeśli całe życie widzimy wokół siebie to samo, nie usłyszymy nic nowego, bo te głosy stają się tłem naszej codzienności. W Kanadzie możesz myśleć równie dobrze jak tutaj, a przynajmniej poodychasz świeższym powietrzem. – Skinął głową na najmłodszego. – Nastawisz wodę na herbatę, Theo?

Chłopiec odłożył widelec.

– Mam teraz na imię Hardeen. Hardeen Houdini.

Przejechał ręką po włosach, odgarniając długą grzywkę, i wyszedł.

– Erik – Leopold ściszył głos – wiem, że w końcu sobie poradzisz. Pewnie dużo ci to zajmie, zmarnujesz mnóstwo czasu, ale jesteś twardy. Powinieneś jednak zobaczyć, jak ten dzieciak na ciebie patrzy. Jesteś dla niego bohaterem. Nie ja, nie ojciec, tylko ty. Jeżeli nie chcesz tego zrobić dla siebie, zrób dla niego. Uwierz, nawet jeśli nie pomoże, to taki wypad na pewno wam nie zaszkodzi.

Houdini skinął głową. Co racja, to racja.



Miłe sanatorium okazało się zakładem dla obłąkanych. Erika to nie zdziwiło. Zdążył poznać kilku znajomych Leopolda i dyrektor zakładu psychiatrycznego doskonale do tego grona pasował. Chłopiec był tylko ciekaw, czy też nosi głupie okulary.

Nie nosił. W ogóle nie przypominał naukowca. Dobrze zbudowany, przystojny trzydziestolatek wyglądał na zawodowego sportowca. Dodatkowo był znakomicie opalony, co w Kanadzie w przededniu zimy nie zdarzało się często.

Przywitał braci Houdinich dopiero w bramie zakładu, przepraszając, że nie mógł odebrać ich z dworca. Przedstawił się jako Trevor Wood, dla przyjaciół Trevor. Żadnych tam doktorów, jak zwykł akcentować swój tytuł Leopold. Erik uznał, że to dobry znak, skoro mają być jego gośćmi przez kilka tygodni.

Chciał wierzyć, że słowo „gość” bardziej pasuje do sytuacji niż „pensjonariusz”. Po starszym bracie mógł się spodziewać wszystkiego.

– Mam nadzieję, że będziecie się tutaj dobrze czuć – powiedział Trevor, prowadząc ich wzdłuż wysypanego żwirem podjazdu. – Czasem w nocy słyszeć dziwne dźwięki, ale to jedyna niedogodność. To wspaniałe miejsce.

Trudno było się nie zgodzić. Główny budynek zakładu stanowiła budowla przypominająca baśniowy pałac, o wielkich oknach zakończonych ostrymi łukami, ze zdobionymi gzymsami i co najmniej kilkunastoma małymi wieżyczkami. Do wejścia prowadziły schody, z obu stron strzeżone przez kamienne gryfy.

Trevor dostrzegł zachwyty gości. Uśmiechnął się.

– Nie zdążyłem jeszcze poznać dobrze historii tego miejsca, ale podobno jest to dom któregoś z angielskich książąt. To znaczy był, zanim został splądrowany, a potem odremontowany, rozbudowany i oddany na zakład. W każdym razie robi wrażenie, czyż nie? Z drugiej strony wygląda mniej ciekawie. Panowie rozumiecie, inny architekt, inne przeznaczenie! – Roześmiał się. – Ale wasze pokoje są w ładniejszej części. Po tym, co słyszałem o wielkim Houdinim, nie śmiałybym trzymać go w zamknięciu.



Zaraz po obiedzie, który zjedli w salonie gospodarza, Erik postanowił udać się na mały spacer. Dla kogoś, kto większość życia spędził w Nowym Jorku, okoliczne lasy stanowiły nie lada atrakcję. Chłopiec nie zamierzał jej zmarnować.

Idąc wzdłuż wysokiego muru szpitala, a potem ścieżką pomiędzy potężnymi drzewami, zastanawiał się, czy dobrze zrobił, przyjeżdżając do Kanady. Przepełniało go dziwne i nieprzyjemne uczucie, że poczynił zbyt

mało wysiłków, by znaleźć nowy finał. Jakby podświadomie pragnął nie pozostawić sobie innej możliwości jak tylko powrót do pokoju Pani.

I nagle przed oczami stanęła mu twarz Studa. Jego znaczące spojrzenie, gdy zostawiał chłopakowi dodatkowe pieniądze na spotkanie z Bess. Duma, jaka była od impresaria, gdy Erik zapraszał go na scenę i dziękował przed publiką po każdym występie...

Za żadne skarby nie mógł wrócić do Pani. Nigdy więcej zmieniania rzeczywistości!

Nawet nie zauważył, kiedy zaczęło się ściemniać. Nie miał ochoty wracać, rozumiał jednak, że mogą się o niego martwić. Zmęczenie podróży też dawało o sobie znać. Zawrócił i ruszył w stronę szpitala.

Gdy wrócił, oczy same mu się zamykały. Wybąkał przeprosiny zaniepokojonym Trevorowi i Theo, po czym poszedł spać.



Obudził go potworny wrzask. Poderwał się błyskawicznie i nie marnując czasu na nakładanie szlafroka, wybiegł z pokoju.

Korytarz pogrążony był w ciemności. Tylko na końcu, przy samych schodach, paliła się mała lampka naftowa rzucająca akurat tyle światła, by obudzić złowrogie cienie.

Erik wrócił do pokoju po kaganek. Miał zamiar sprawdzić, czy u Theo wszystko w porządku. Wrzask z całą pewnością nie był krzykiem jego brata, poza tym, jak sobie przypominał, Trevor przestrzegał, że w zamku słyhać czasem dziwne odgłosy. Ale ostrożności nigdy za wiele.

Włożył szlafrok, zapalił świecę i ruszył korytarzem. Pokój Theo znajdował się na przeciwnym krańcu. Chłopiec sam go sobie wybrał, bo w tamtej sypialni stało największe łóżko, jakie widział w całym zamku, a do tego z baldachimem. Erik też chętnie przespisałby się w takim, ale uznał, że bratu bardziej się należy.

Cichutko otworzył drzwi i zajrzał do środka.

Theo spał w najlepsze z rękami rozrzuconymi na ogromnych poduchach i błogim uśmiechem na twarzy. Erik westchnął cicho i wycofał się na korytarz. Przynajmniej tę sprawę miał z głowy. O małego Hardeena Houdiniego nie trzeba się martwić.

Pozostawała kwestia upiornego wrzasku. Erik domyślał się, że był on dziełem któregoś z pacjentów. Ciekawe, co mogło skłonić człowieka do tak upiornego wrzasku. Postanowił to sprawdzić. Zdmuchnął świecę i cicho przekradł się do schodów, a potem do głównego holu i zamkniętego skrzydła.

Świadomość, że nie powinno go tam być, tylko dodawała smaku nocnej wyprawie. Po raz pierwszy od dawna poczuł się jak na scenie. Tyle że tym razem nie miał publiczności.



Dobudowana część szpitala nie wyglądała miło: ceglane ściany i co kilka kroków metalowe drzwi z niewielką klapą wizjera. Do tego stojące tu i ówdzie wypełnione wodą pompy z węzami zakończonymi czymś na kształt strzelb oraz fotele z kółkami i skórzanymi paskami, którymi przypinano pacjentów do poręczy. Na końcu korytarza znajdowała się

stróżówka pielęgniarzy. Erik widział z boku jednego z nich, odchylonego do tyłu, kołyszącego się na krześle. W ręku trzymał wachlarzyk kart.

Zza drzwi po lewej dobiegł przeciągły jęk, a potem seria stłumionych uderzeń, którym towarzyszyły niezrozumiałe słowa.

Chłopiec ostrożnie zakradł się tam i odsunął zasuwkę przy wizjerze. Zerknął do środka.

Pomieszczenie było dużo mniejsze niż pokój, który mu przydzielono, i nie dostrzegł w nim żadnych mebli. Wszystkie ściany i podłogę wyłożono brązowymi materacami. Jedynym oświetleniem pomieszczenia było światło księżycy wpadające przez zakratowane okienko pod sufitem.

Przy lewej ścianie stał mężczyzna ubrany w dziwną koszulę z rękawami zawiązanymi na plecach. Miarowo uderzał barkiem o ścianę, cały czas mówiąc do siebie. Z ust zwisała mu strużka śliny.

– Nie wolno ci tu być, Eriku.

Obejrzał się błyskawicznie. Obok stał Trevor. Dyrektor uśmiechał się, ale jego oczy mówiły, że nie jest zadowolony. Zapalił zapałkę i przytknął ją do knota świeczki.

– Nie ma chyba potrzeby, by zapalać główne światło, prawda? – zapytał.
– Pacjenci robią się od tego niespokojni, a ty zdołałeś dotrzeć tu po ciemku.

– Ja... ja tylko – plątał się Erik. Było mu strasznie wstyd, a z drugiej strony jego myśli zaprzętała tajemnicza koszula. Ten chory mężczyzna miał problem z wyplątaniem się z niej...

– Myślę, że powinieneś wypocząć. – Trevor podał chłopcu świecę i poklepał go po ramieniu. – To był męczący dzień, prawda? Wróć do pokoju i złap trochę snu.

Erik skinął głową i posłusznie wrócił do pokoju. Ale zasnąć udało mu się dopiero nad ranem.



– Cóż za strój miał na sobie ten człowiek? – zapytał Erik przy śniadaniu. Było to pierwsze nawiązanie do nocnych wydarzeń, bo Trevor zachowywał się, jakby nic się nie stało.

– Kto? – zapytał Theo, unosząc głowę znad talerza z jajecznicą. Popatrzył najpierw na brata, a potem na dyrektora. – O kogo chodzi?

Trevor wytarł usta chusteczką, uśmiechnął się.

– O jednego z pacjentów – wyjaśnił. – Twój brat zobaczył pensjonariusza w kaftanie bezpieczeństwa. To środek stosowany przy najbardziej niebezpiecznych przypadkach.

Położył nacisk na ostatnie słowo, z nadzieją, że wywoła w chłopcu skruchę. Srogo się przeliczył. Myśli wielkiego Houdiniego krążyły wokół innego problemu.

– Czy mógłbym zobaczyć taki kaftan z bliska? – zapytał Erik.

– Nawet przymierzyć! – Dyrektor roześmiał się. – Ale może najpierw skończ śniadanie.

Magik zgodził się niechętnie. Był pewien, że znalazł to, czego szukał, i nie zamierzał marnować ani chwili.



– ...zawijasz rękawy z tyłu... o, w ten sposób... i gotowe! – Trevor cofnął się o krok i przyjrzał skępowanemu Erikowi. – Jak rozumiem, masz

zamiar się z tego wyplątać, tak? Zapewniam cię, że nie będzie to łatwe nawet dla ciebie. Kaftan skutecznie spełnia swoje zadanie.

Erik skinął głową i szarpnął się kilka razy dla próby. Rzeczywiście nic nie zapowiadało, by mógł łatwo odzyskać wolność.

– On uwielbia wyzwania – powiedział Theo, z podziwem patrząc na brata. – A teraz szuka numeru, który pozwoliby...

– Hardeen! – przerwał mu Erik. Rzadko używał przybranego imienia brata, uważając je za dziwne, ale to działało, gdy chciał, by mile podłechtany chłopiec przestał paplać. – Pamiętasz, co mówiłem o tajemnicy zawodowej?

Theo pokornie spuścił głowę, a Trevor uśmiechnął się.

– I jak? Co myślisz? – zapytał. – Wyśliźniesz się z tego czy mam cię rozwiązać?

– Myślę, że potrzebuję troszkę czasu – odparł Erik, próbując poruszyć ręką. – Najlepiej na osobności.



Dwie godziny później Houdini wciąż tkwił w kaftanie. Nie wściekał się jednak. Przeciwnie, był zadowolony. Kaftan okazał się prawdziwym wyzwaniem. Już nie musiał szukać pomysłu na numer, wystarczy, że nauczył się z tego wychodzić, i po sprawie. Nie potrzebował żadnej magii, żadnych czarów. Tylko trochę pracy.

Najpierw doszedł do tego, jak wydostać się z kaftana w przypadku zagrożenia życia. Musi mocno uderzyć o ścianę, by wybić obojczyk. Wiązałoby się to z ogromnym bólem, toteż nie wchodziło w grę na

pokazach, ale stanowiło jakiś początek. Zachętę, by szukać innych sposobów. Bo skoro istnieje jeden, może ich istnieć dużo więcej.

– Jak idzie? – zapytał Theo, stając w progu. Wydawał się niepocieszony, że brat tak długo się męczy.

Erik odpowiedział mu pogodnym uśmiechem.

– Strasznie tu duszno i ciężko się skupić. Powiedz Trevorowi, że jednak wybiorę się na spacer.

– W tym?! – zdziwił się chłopiec.

– Jak dobrze pójdzie, wrócę bez tego. Ale lepiej mu o tym nie wspominać. Powiedz, że mnie z tego rozpiął i wziąłem kaftan ze sobą, by znaleźć w nim słaby punkt.

Theo zmarszczył nos.

– Mama mówi, że nie wolno kłamać.

– A nie mówiła czasem, kogo masz słuchać podczas tej wycieczki, cwaniaczku?



Jezioro wyglądało wspaniale. Krystalicznie czysta woda, w której odbijały się korony drzew i kłęby białych chmur, zmarszczona lekko tafla przy każdym powiewie wiatru... Ukryty w niej świat drżał i falował.

Erik siedł wzdłuż plaży, zupełnie nie przejmując się skrępowanymi rękami. Cicho pogwizdując, chłonał piękne widoki. Przez chwilę był naprawdę szczęśliwy. Zapomniał o wyrzutach, o problemach z występami, trasą i Theo. Liczyło się tylko tu i teraz. On i piękno dookoła.

Nagle zahaczył nogą o korzeń i poleciał do przodu. Balansując ciałem, wykręcił się w powietrzu, by nie zaryć twarzą w wystający kamień. Uniknął uderzenia, ale potoczył się w dół spadzistej skarpy prosto do jeziora. Szarpnął skrępowanymi rękami, ale bez skutku. Nagle całe jego ciało ogarnął przesywający chłód. Znalazł się pod wodą.

„Tylko bez nerwów – uspokajał się w myślach – przecież tu woda sięga nie głębiej niż do kolan. Radziłeś sobie z większymi problemami”.

Postanowił, że obróci się na brzuch, po czym spróbuje uklęknąć. Najważniejsze, by zaczerpnąć świeżego powietrza, a potem już pójdzie.

Przeturlał się na bok... i nagle przestał czuć dno. Po krótkim odcinku, gdzie linia brzegowa opadała łagodnie, natrafił na głębię. Erik szarpnął się gwałtownie, ale zrozumiał, że utonie niezależnie od swoich wysiłków. Zaczynało brakować mu powietrza. Z każdym uderzeniem serca coraz bardziej ulegał panice. Umierał. Wielki Houdini, Król Kajdanek i mistrz spektakularnych ucieczek, dał się pokonać przez płócienną koszulę o za długich rękawach. I to zanim świat zdążył go naprawdę poznać! Zanim pokazał, jak wiele potrafi...

„To nie może się tak skończyć!” – wrzasnął w myślach. Przestał się szarpać i wyciszył umysł. Płuca paliły go coraz bardziej, ale na to nie zważał. Uśmiechnął się i otworzył usta. Ku powierzchni pomknęły uwolnione pęcherzyki powietrza.

– Pani! – wybulgotał Erik.

I wówczas nastąpiła światłość.



– Miło cię znowu widzieć, Eriku – uśmiechnęła się Pani. Siedziała na parapecie ubrana w zwiewną białą sukienkę. Na głowie miała wianek ze stokrotek, a w rękach trzymała lutnię. – Powiedz mi łaskawie, w coś ty się ubrał?

Chłopiec popatrzył po sobie i zauważył, że nadał jest uwięziony w kaftanie.

„Dziwne – pomyślał – przecież zawsze wchodziłem tu wolny”.

– Dziękuję, Pani, że mnie uratowałaś – powiedział.

– Uratowałaś? – zdziwiła się. – Czyżbyś zamierzał tam wrócić, Eriku? Przecież gdy tylko wrócisz przez te drzwi, utoniesz. Wiesz o tym przecież.

– Wiem – potwierdził chłopiec. Rozejrzył się po pokoju. – Co się stało z twoim kotem, Pani?

– On nie był mój. Koty nie należą do nikogo. Odszedł... jak wszystkie one ruszył dalej.

Cisnęła lutnię za okno i zeskoczyła z parapetu. Podeszła do chłopca, stanęła za nim i zajęła się rozpinaniem skórzanych pasków.

– Właściwie to nigdy ci za niego nie podziękowałam, prawda? A należało ci się. Staraleś się.

– Ależ, Pani... – Erik poczerwieniał. Dotyk jej smukłych palców i jej gorący szept sprawiały, że poczuł ciepło w okolicach podbrzusza.

– Zasłużyłeś na moją wdzięczność, Eriku, więc jej dostąpisz. W zamian za kota dam ci drzwi i dobrą radę.

– Które drzwi? – zapytał bez namysłu.

– Ruszysz w lewo i będziesz szedł tak długo, jak zdołasz – odparła. – Te, przed którymi upadniesz, będą właściwe. Za nimi kryje się twoja sława i pamięć potomnych.

– A rada, Pani?

– Gdy już wrócisz, nie dziw się niczemu.



Z wysokości ostatniego piętra hotelu „Plaza” świat wygląda zupełnie inaczej. Zwłaszcza gdy wisi się głową w dół w kaftanie bezpieczeństwa.

Erik szarpnął się kilka razy całym ciałem dla lepszego efektu, po czym z łatwością wyplątał się z kaftana. Nie miał pojęcia, na czym polegał ten dar, ale odkąd wrócił, wszystkie sztuczki wychodziły mu bez żadnego trudu.

Zrzucił z siebie kaftan i pomachał publiczności. Odpowiedziała mu gorąca owacja, która nie ucichła, aż opuszczony przez strażaków znalazł się na dole. Tam otoczył go tłum wielbicieli. W jednej z kobiet rozpoznał swą niedoszłą dziewczynę, Bess. Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała uśmiechem.



W nocy długo nie mógł zasnąć. A właściwie mógł, ale nie chciał w ten sposób zakończyć jednego z najwspanialszych dni w swoim życiu. Leżąc obok Bess oddychała płytko z twarzą wciśniętą w poduszkę. Erik zastanawiał się, jak to możliwe, że dziewczyna w ogóle jest w stanie oddychać. Wstał i nalał sobie drinka.

– Twoje zdrowie, Pani – powiedział, wznosząc kieliszek. – I dziękuję.

Wypił jednym haustem, po czym wrócił do łóżka. Chwilę później spał.



Rano jak zwykle przed drzwiami jego pokoju leżała gazeta. Wyszedł po nią w szlafroku, z kubkiem kawy w ręku. Odkąd informacje o wyczynach Houdiniego zaczęły zajmować pierwszą stronę, nie wyobrażał sobie śniadania bez porannej prasówki.

Położył gazetę na stole i przeszedł do kuchni po talerz kanapek. Za chwilę miał zamiar obudzić Bess, ale nadzieja na fotografię wszech czasów z wczorajszego pokazu, jak zwisa w kaftanie bezpieczeństwa na wysokości trzydziestu paru metrów, nie dawała mu spokoju.

Podszedł do stołu, rozłożył gazetę i... kubek wysliznął się z jego bezwładnej dłoni. Z trzaskiem upadł na podłogę.

Erik stał przerażony, zamykając i otwierając usta. Czuł, że brakuje mu powietrza, a wzdłuż pleców cieknie wąziutka strużka zimnego potu.

– Ja, ja... – usiłował powiedzieć, ale słowa zamierały mu w gardle. – Ja... przepraszam.

Na pierwszej stronie nie było jego zdjęcia. Nikt nawet o nim nie wspomniał. Był natomiast ogromny nagłówek ozdobiony całą serią wykrzykników. **WOJNA!!!** – krzyczał. – **ZAMACH W SARAJEWIE PRZYCZYNA MIĘDZYNARODOWEGO KONFLIKTU!**

Erik zachwiał się i upadł na podłogę, wprost w brązową kałużę kawy. Przez chwilę miał wrażenie, że ogarnia go światłość, ale był to jedynie refleks porannego słońca.

Nastał kolejny dzień.

Telewizyjny tasiemiec z aktorami pracującymi metodą Stanisławskiego. Niewyobrażalne, prawda? Ale zaraz, od czego mamy współczesną technikę i wielkie korporacje gotowe wyłożyć szmal na każdą nowinkę, jeśli tylko ma w sobie potencjał? Wnet okazuje się, że można nawet z naturzszczykami pójść dużo dalej niż Stanisławski. I to bez zbędnego wysiłku. To opowiadanie, zanim stało się tym, co zaraz przeczytacie, przeszło mnóstwo zmian. Można powiedzieć, że po raz pierwszy w życiu miałem koncepcję świata (trochę za dużo powiedziane, ale co tam!) i wymyślałem do niej fabułę, przechodząc przez całą masę różnych wariantów od love story po kryminał. Ostatecznie wyszło, jak wyszło, nie mnie oceniać, ale pamiętam, że kończąc ten tekst (a właściwie jego drugą wersję), czułem, że na temat telewizji, reality show i seriali powiedziałem, co chciałem. A to, oprócz uznania Czytelników, rzecz dla autora najważniejsza.

*Dedykuję: Darkowi Kurzawie, księdzu,
wnikliwemu obserwatorowi rzeczywistości
i, szczęśliwie się składa, mojemu przyjacielowi*

ZWIĄZEK IDEALNY

Krzysztof Wolski uczcił swą boskość skromnie, szklaneczką whisky z lodem wypitą na werandzie domku letniskowego w Bieszczadach. Stał tam ubrany jedynie w szlafrok, z lewą ręką opartą na zdobionej barierce, praktycznie w bezruchu, jeśli nie liczyć szklanki wznoszonej co parę chwil w kierunku ust, a następnie opadającej na wysokość piersi.

Na niebie pojawiły się już pierwsze gwiazdy, a wiatr marszczący tafłę Zalewu Solińskiego studził podmuchami rozpalone gorącym dniem powietrze.

„Jeszcze chwila i zrobi się za chłodno, by stać tu boso” – przemknęło Wolskiemu przez głowę. Tymczasem jednak wciąż napawał się wspaniałym widokiem i wiadomością, która wprawiła go w tak dobry nastrój. Jedyne zmartwienie, jakie miał w tej chwili, to jak powiedzieć o wszystkim żonie? Jak zacząć, by nie zabrzmiało to banalnie?

„Kochanie – po raz setny spróbował ułożyć w głowie pierwsze zdanie – pamiętasz tę ważną sprawę, dla której musiałem lecieć do Chicago? Otóż okazało się, że mój zaginiony ojciec to sam Greg Jackson. Na pewno kojarzysz, ten potentat telewizyjny. Jego prawnicy właśnie poinformowali mnie, że zmarł, a ja...”

Potrząsnął głową. Brzmiało to jak kwestia z jakiegoś głupiego serialu. A może wystarczy poczekać do rana, wówczas Blanka wszystkiego dowie się z gazet?

Odwrócił głowę i popatrzył w głąb salonu. Siedziała pochylona przy monitorze, z jedną ręką na klawiaturze komputera, a drugą na klawiszach ustawionego obok hammonda. Ostatnimi dniami przyzwyczał się do tego

widoku – Blanka, jego śliczna żona z rudymi falującymi włosami spiętymi ciasno w kucyk, w okularach na nosie i z cieniutkim papierosem w kąciku ust. Każda z tych rzeczy nawet osobno była u niej niezwykła, razem stanowiły zupełną nowość. Jej twarz wyrażała zacięcie i zniecierpliwienie, a długie, smukłe palce śmigały po przyciskach klawiatury numerycznej bądź klawiszach syntezatora...

Z początku myślał, że w ten sposób daje mu do zrozumienia, że jest wściekła za jego wyjazd, ale gdy przyszedł do niej z kwiatami, uśmiechnęła się, a nawet pocałowała go, zanim zdążył bąknąć „przepraszam”.

– Wybacz, że poświęcam ci tak mało czasu – powiedziała zaraz potem – ale znalazłam coś w naszym mieszkaniu i teraz naprawdę muszę to sprawdzić. Jestem już blisko, więc daj mi jeszcze z dzień albo dwa, dobrze?

Oczywiście zgodził się i być może właśnie to, a nie kłopot z pierwszym zdaniem, sprawiło, że wciąż nie przekazał jej wspaniałej nowiny. Gdy skończy, jej radość będzie tym większa, bo skumulowana.

Dopił whisky i cisnął szklanek daleko przed siebie, pomiędzy drzewa.

„Tłuczone szkło, na szczęście” – zaśmiał się w duchu. Ale nie usłyszał brzęku.

Odsunął szklane drzwi i wszedł do salonu.

– Będę na górze – powiedział, ruszając w stronę schodów. Blanka skinęła głową, nie odrywając wzroku od monitora.

Gdy był już na piętrze, usłyszał kilka taktów dziecięcej melodyjki, jednej z tych, które nawet gdy słyszysz po raz pierwszy w życiu, masz wrażenie, że znasz je od zawsze. Kilkanaście pojedynczych dźwięków wzmocnionych dźwięcznym, durowym akordem. Takt, może dwa...

„Tylko tyle?” – zdziwił się. Zawsze uważał, że jego żona miała prawdziwy talent i nawet pisząc reklamowe dzingle, wykazywała się większą inwencją. To, co zagrała przed chwilą, było zwykłą, prymitywną

melodyjką. Równie dobrze mogła coś zaimprovizować i wyszłoby jej lepiej. Nie potrzebowałyby na to kilku dni...

Wzruszył ramionami, uśmiechając się do swojego odbicia w lustrze zamocowanym na przeciwległej ścianie, i wszedł do sypialni.



Zdążył włączyć odstraszasz komarów i otworzyć okno, gdy usłyszał, że Blanka wchodzi do sypialni. Uśmiechnął się, ponieważ niemal w tym samym momencie przyszedł mu do głowy pomysł, jak przekazać wspaniałą nowinę.

– Pamiętasz, jak marzyłaś kiedyś o własnej wytwórni płytowej? – zapytał, odwracając się. – *Takiej, w której mo...*

Kątem oka dostrzegł ruch ręki żony i poczuł nagle potworne pieczenie w piersi. Słowa uleciały z niego wraz z oddechem, a twarz wykrzywiła się w grymasie bólu i niezrozumienia. Uniósł ręce, próbując złapać Blankę, powstrzymać ją przed kolejnym ciosem, nie był już jednak panem własnych dłoni. Zdążył tylko zacisnąć palce, zanim kolejny cios sięgnął jego twarzy.



Dziś około godziny 22 na planie popularnego serialu „Związek idealny” realizowanego techniką RLTV dokonano brutalnego morderstwa. Ofiarą jest popularny aktor William McCole, który na oczach milionów widzów

otrzymał kilkanaście ciosów zadanych ostrym narzędziem w okolicę serca przez Theresę Wójcik–McCole, jego serialową partnerkę, a prywatnie żonę. Para do niedawna uchodząca za związek idealny ogłosiła niedawno, że planuje rozwód...



Komórka na nocnym stoliku Theo Kowalsky’ego zadrżała, błyskając jaskrawym niebieskim światłem, a następnie zagrała kilka pierwszych taktów „Satisfaction”. Stojący obok elektroniczny zegarek wskazywał godzinę czwartą trzydzieści.

Telefon zawirował na blacie i powtórzył melodyjkę, nie przestając błyskać na niebiesko... A potem jeszcze raz... I kolejny...

W końcu spod koca wystrzeliła ręka, wymacała aparat i przysunęła go do częściowo skrytej pod poduszką głowy.

Theo zerknął na wyświetlacz, po czym spokojnie operując kciukiem, najpierw rozłączył rozmowę, a potem wyłączył dźwięk i wibrację.

Niebieskie światło, które tej nocy rozbłyskało jeszcze kilka razy, zupełnie mu już nie przeszkadzało.



Punktualnie o siódmej trzydzieści rozległ się dźwięk domofonu. Theo kończył właśnie poranną kawę, słuchając zapętlonego na odtwarzaczu

„Brown Sugar” Stonesów – nazywał to zestawem śniadaniowym.

Gdy usłyszał dzwonek, wstał, zatrzymał odtwarzacz i podszedł do drzwi. Zerknął na ekranik.

– Poczekaj chwilę – polecił. – Będę gotowy za dwie i pół minuty.

Wrócił do kuchni, by dokończyć poranny rytuał. Co prawda na moment jego głowę opanowała niepokojąca myśl, co takiego się wydarzyło, że nagle wszyscy chcą z nim rozmawiać, ale zaraz znów obchodziły go tylko soczyste dźwięki gitary Richardsa.

Dopiero gdy piosenka wybrzmiała do końca, a w kubku został tylko osad, Theo wpuszczał gościa do budynku. Potem otworzył drzwi i oparł się o framugę wpatrzony w drzwi windy.

– Miło cię znowu widzieć, Greg – powiedział, gdy niski, łysiejący grubasek z cieniutkim wąsikiem, ubrany w mocno już przepoconą i pomiętą błękitną koszulę, znalazł się na korytarzu.

Mężczyzna naprawdę nazywał się Grzegorz Chaszcz, ale odkąd stację telewizyjną, dla której pracował, przejęli amerykańscy inwestorzy, sam o sobie mówił: „Jestem Greg”. Nazwisko, którego nie zmienił z przyczyn osobistych, podawał wyłącznie w ostateczności.

– Coś ci się chyba stało z telefonem – wysapał, jakby wbiegł na to jedenaste piętro, a nie wjechał właśnie windą. – Dzwoniłem całą...

– Wiem. – Theo gestem zaprosił go do środka. – Napijesz się czegoś?

Greg pokręcił głową i minął gospodarza w drzwiach.

– Oglądałeś już dzisiaj jakieś wiadomości? – zapytał, zatrzymując się przed lustrem, i nerwowym gestem przeczesał przerzedzone włosy.

Oprócz tego lustro i ustawionej pod nim szafki na buty w przedpokoju nie było nic więcej. Tylko białe ściany, czyste, jakby malowano je wczoraj.

– Od trzech lat nie mam telewizora, a gazetę dostaję raz w tygodniu. I czytam w niej wyłącznie horoskopy. – Theo zamknął drzwi i oparł się o

nie. – Wybacz, że nie zapraszam cię dalej, ale nie zdążyłem posprzątać. Stało się coś?

– Stało się. Jak kurwa mać się stało – Greg spojrzał gospodarzowi w oczy. Theo nie mógł się oprzeć wrażeniu, że taką właśnie minę przybierali aktorzy sprzed ery RLTV, gdy mieli ogłosić jakąś straszną prawdę. W głowie kołatał mu się obraz przystojnego brazylijskiego amanta, który grając lekarza, oznajmiał pacjentowi, że ma raka. A może to była pacjentka? – Kojarzysz „Związek idealny”? – zapytał Greg. – Tę wielką produkcję naszej... to znaczy WatcherTV?

Theo skinął głową. Trudno było nie kojarzyć, skoro emitowano to od ponad dwóch lat, wszędzie wisiały billboardy reklamujące nowe sezony, a para grająca główne role co rusz pojawiała się na okładkach kolorowych gazet. Kowalski żadnej z nich nie czytał, ale nie dało się przecież nie zauważyć kioskowych wystaw.

– Co z nim? – zapytał.

– Właśnie dziś zdjęto go z anteny!

– No i? Zdarzało się lepszym produkcjom. Pamiętam, jak...

W nagłym odruchu Greg doskoczył do Theo i złapał go za koszulkę. Wyglądało, jakby chciał nim potrząsnąć. Zaraz jednak, spuściwszy głowę, cofnął się i wytarł spocone ręce w spodnie.

„Znowu typowe zachowanie serialowego bohatera” – pomyślał Theo, uśmiechając się lekko. Nagle przyszło mu do głowy, że produkcje sprzed dekady lepiej naśladowały życie, niż powszechnie sądzono.

Greg wziął głęboki oddech i ponownie spojrzał gospodarzowi w oczy.

– Wczoraj zamordowano Williama McCole’a – powiedział. – Zginął na planie podczas kręcenia serialu zadźgany nożyczkami. Zamordowała go Teresa Wójcik-McCole. Prywatnie i serialowo jego żona.

Theo zmrużył oczy.

– Czy oni...

– Tak. – Greg pokiwał głową. – Oboje mieli wgrywkę. To jak, wpuścisz mnie dalej, żebyśmy mogli pogadać?

Theo odsunął się od drzwi i otworzył je.

– Już mówiłem, że nie zdążyłem posprzątać – odparł. – Ale zaczekaj na mnie na dole. Będę za pięć minut. Tylko się przebiorę.



Znajdujemy się właśnie pod budynkiem prokuratury, do którego przed kilkoma godzinami wprowadzono Theresę Wójcik–McCole, oskarżoną o zamordowanie męża Williama McCole’a na planie serialu „Związek idealny”. Jak państwo widzicie, wszędzie wokół tłoczą się fani serialu. Większość z nich z całą pewnością jeszcze się nie otrząsnęła po wieczornych wydarzeniach.

Jak udało nam się dowiedzieć, aktorka jest już po pierwszych testach mających wyjaśnić, czy wgrana do jej głowy pamięć jej serialowej bohaterki Blanki Wolskiej została w jakiś sposób uszkodzona. Jeśli okaże się, że z tak zwaną wgrywką wszystko jest w porządku, pani Wójcik najprawdopodobniej zostanie zwolniona do domu jeszcze dzisiaj...



Pięć minut przeciągnęło się do ponad dziesięciu, ale Greg ani myślał popędzać Theo. Siedział teraz na ławeczce, jedząc rodzynki w czekoladzie, na które przerzucił się, z chwilą gdy po ciężkich bojach wreszcie rzucił palenie. Zawsze miał przy sobie zapasową paczuszkę, bo w sytuacjach stresowych potrafił zjeść naprawdę dużo. Teraz właśnie kończył drugą.

Właściwie całe jego dorosłe życie wiązało się z Real Live Television, zatrudnił się bowiem zaraz po studiach (ukończył organizację produkcji filmowej i telewizyjnej), niemal dokładnie w chwili, gdy wprowadzano ten projekt. Mógł się poszczycić tym, że pracował przy „Ot, codzienność”, pierwszym programie z użyciem wgrywek, gdzie do ich tworzenia wykorzystano aktualną wiedzę historyczną, próbując przy pomocy aktorów odtworzyć życie codzienne w dawnych epokach.

Pomysłodawcą i producentem wykonawczym tamtej serii był właśnie Theo Kowalsky – pomysłodawca i spiritus movens całego RLTV. Wtedy jeszcze uważano, że pomysł wgrywania aktorom sztucznej pamięci i obserwowania ich lekko tylko stymulowanych reakcji będzie kolejną przelotną modą. Nikt nie przypuszczał, że w ciągu ośmiu lat zrewolucjonizuje on telewizję, a Polskę, kraj przodków Theo, w którym najtaniej było prowadzić badania, uczyni serialową stolicą Europy...

„Dlaczego się wycofałeś, Theo? – pomyślał teraz Greg, wzdychając ciężko. – Ty jeden naprawdę miałeś serce do tej roboty. I z tobą mogło to pójść we właściwą stronę...”

Drzwi otworzyły się i Kowalsky wyszedł z budynku. Dopiero w świetle słonecznym było widać, jak bardzo się postarzał od dnia, gdy zrezygnował z show-biznesu. Wedle informacji Grega Theo miał sześćdziesiąt cztery lata, ale wyglądał na co najmniej siedemdziesiąt. Przystojną niegdyś twarz pokrywały głębokie bruzdy zmarszczek, włosy zmieniły kolor na mlecznobiały, a plecy ugięły się pod ciężarem lat. Ubrany był w stary

sztruksowy garnitur i jasnoblękitną koszulę niczym ubogi wykładowca uniwersytecki, a nie człowiek mający na koncie kilkadziesiąt milionów euro.

Greg wstał i wskazał ręką na stojące nieopodal luksusowe audi.

– Jeśli pozwolisz, wszystko wyjaśnię ci po drodze – powiedział. – Skoro i tak będziemy rozmawiać na mieście, równie dobrze możemy tam, gdzie od początku chciałem cię zabrać.

– Stacja myśli, że coś wiem? Albo że pomogę na coś trafić? – Theo uśmiechnął się, mrużąc oczy. – Na litość, przecież ja się na tym nie znam! Cała techniczna strona należała do Grabowskiego i Rzeszutki, a potem jeszcze Stanwycka.

Sięgnął do kieszeni po plastikowy pokrowiec i wyciągnął z niego okulary przeciwsłoneczne.

– Ale co tam, jeśli chcą, powiem im to osobiście.

– I o to właśnie chodzi – odparł Greg. – Mógłbym mieć kłopoty, gdybym cię nie doprowadził – dodał, gdy wsiadali do samochodu. – Wiesz, jak to jest, skoro nie wyszło, znaczy, że za mało się starasz.

– Nie znają mnie, co?

– Wyłącznie z legend i zdjęć. – Chaszczał odpalił samochód i wyjechał z parkingu. – Kilku z pewnością się zdziwi, gdy skończysz zdanie, a za oknem nie zagrzmie piorun. Pod siedzeniem masz laptopa, tam znajdziesz wszystko na temat show, co udało mi się zebrać od wczoraj.

Zerknął na bok i mrugnął do Theo.

– Są też słuchawki i playlista ze Stonesami. Wiem, jak ich lubisz. – Uśmiechnął się.

Kowalsky skinął głową i sięgnął pod siedzenie. Uśmiechu jednak nie odwzajemnił.



Dane w laptopie Grega podzielone były na trzy części.

Pierwsza z nich dotyczyła wyłącznie serialu. Wyjściowy pomysł, lokacje, twarze postaci, opis pierwotnych wgrywek i dotychczasowy przebieg akcji wraz z dokładnymi streszczeniami poszczególnych dni. Theo musiał przyznać, że sama idea „Związku idealnego” nawet mu się podobała.

Była to opowieść o bogatym, nieźle się zapowiadającym informatyku Krzysztofie Wolskim (William McCole), który pewnego dnia zakochuje się w ulicznej skrzypaczce Blance (Teresa Wójcik–McCole).

Dziewczyna to prawdziwa „twarda sztuka”. Pomimo wypadku, w którym zginęli jej ojciec i młodszy brat, matka zapadła w śpiączkę, a ona sama straciła wzrok, nie poddała się przeciwnościom losu i wytrwale kontynuowała studia na akademii muzycznej.

Resztę Theo już tylko przejrzał. Gdzieś pod koniec pierwszego sezonu (złożonego z dziesięciu cykli po trzy tygodnie każdy) Krzysztof, ryzykując stabilność firmy, wyklada olbrzymie fundusze na operację oczu ukochanej, dzięki czemu dziewczyna może jeszcze zobaczyć matkę, na chwilę zanim ta umrze. Dwa miesiące później młodzi pomimo trwającej żałoby postanawiają wziąć ślub. Dość długo starają się, by mogli powiedzieć sobie „tak” na tatrzańskich Wiktorówkach (bardzo opłaczalny ukłon w stronę spółki inwestycyjnej Bachledy–Curusia). Ceremonię wyemitowano jako specjalny odcinek i by podkreślić jego wyjątkowość, był to pierwszy przypadek w historii RLTV, gdy wśród statystów znajdowali się ludzie bez wgrywek – zwycięzcy konkursu z wiedzy o serialu.

Potem ten zabieg powtórzono jeszcze raz, gdy w pierwszej połowie drugiego roku Blanka grała pierwsze skrzypce podczas koncertu noworocznego. Wtedy wstęp miał praktycznie każdy, kto kupił cegielkę na budowę szpitali dziecięcych i podpisał zobowiązanie, że nie będzie krzykami zdradzał aktorce jej prawdziwej tożsamości. Zebrano ponad dwa miliony euro, nie licząc zysków z reklam puszcanych w przerwach transmisji telewizyjnych.

Wczorajszy dzień na planie serialu nie wyróżniał się niczym szczególnym. Państwo Wolscy odpoczywali właśnie w swej posiadłości letniskowej nad Zalewem Solińskim. Krzysztof wrócił z kilkudniowej podróży do Stanów, gdzie dowiedział się, że jest zaginionym synem jednego z trzech najbogatszych ludzi świata i że właśnie odziedziczył cały jego majątek. Liczono na to, że przejmie go w ciągu trzech dni i będzie można zakończyć serię, bo właśnie kończył się trzytygodniowy cykl i aktorzy rozpoczynali tygodniowy urlop...

Część druga dotyczyła życia aktorów. Zawierała skany artykułów, linki do stron fanowskich i całe mnóstwo zdjęć. Te ostatnie przedstawiały wszystkie postacie przewijające się przez życie państwa Wolskich, najwięcej jednak było fotografii pary głównych bohaterów. Złapanie ich razem nie nastęczało zresztą kłopotów. Zachęceni sukcesem serialu postanowili przenieść go także na sferę prywatną, pobierając się w tym samym drewnianym kościółku co ich bohaterowie. Z tego, co donosiła prasa, wykorzystali nawet te same dekoracje.

Wytrwali razem, sumując czas tygodniowych urlopów od serialu, trzy miesiące. Był to okres pełen sukcesów, ale i licznych ataków i oskarżeń ze strony środowisk prawicowych. „Związek idealny” był bowiem pierwszym serialem RTLTV, w którym – choć nie został sformatowany jako erotyczny –

ukryte kamery znajdowały się także w sypialni bohaterów. Mimo wszystko para sprawiała wrażenie równie szczęśliwej w obu rzeczywistościach...

Potem wraz z nadejściem dwumiesięcznej przerwy wakacyjnej nastąpił kryzys. Nikt nie znał dokładnie jego przyczyn, choć w niemal wszystkich brukowcach spekulowano na temat romansu Williama z młodą stażystką, którą jako Krzysztof Wolski poznał w Stanach. Doszło nawet do tego, że grającej ją dziewczynie (Milana Sedlaćkowa, pochodząca z Pragi, wcześniej modelka) policja przydzieliła ochronę, po tym jak ktoś próbował oblać jej twarz kwasem.

Ostatni artykuł, jaki pojawił się na temat państwa McCole przed informacją o tragicznej śmierci aktora, zatytułowano wymownie „Czas na rozwód – wstydz się, Williamie”.

Trzeciej części, zawierającej dane techniczne, budżet serialu i rankingi popularności, Theo już nie zdążył obejrzeć, bo właśnie dotarli na miejsce. Zamknął więc laptop, wziął go pod pachę i wysiadł z samochodu.



Scarlett Kwiatkowska, nie zwracając uwagi na kamerę zaledwie trzydzieści centymetrów od jej twarzy, kończyła właśnie robić makijaż. Przejechała po ustach zieloną szminką i zawinęła wargi, rozprawdzając ją równomiernie. Na widok jej miny Sasza, operator siedzący na fotelu obok, parsknął śmiechem.

– Zobaczysz, kiedyś włączę kamerę i to nagram – powiedział. – Jak już będziesz sławna, klip będzie miał na Sieci miliony ściągnięć.

Dziewczyna spojrzała na niego z uśmiechem. Miała cudownie zielone oczy zdradzające jej irlandzkie korzenie. Włosy, kiedyś pewnie kasztanowe, obecnie farbowała w czarno–białe pasemka i mimo że u każdej innej dziewczyny zestawienie tych barw z zielenią oczu i ust wyglądałoby dziwacznie, jej pasowało.

– Ja już jestem sławna, słodziutki – odparła. – I dlatego właśnie nie wytniesz mi takiego numeru. Nie chciałbyś przecież, żeby ktoś odciął cię od źródła pierwszoligowych zleceń, prawda? Że nie wspomnę o innych atrakcjach.

Zerknęła na zegarek, po czym rozejrzała się po galerii. Na śnieżnobiałych ścianach przestronnej sali czterdziestocalowe ekrany plazmowych telewizorów wyglądały jak okna do strefy mroku. Zgodnie z umową, jaką jej telewizja zawarła z menadżerem galerii, wszystkie powinny być już włączone, ale ona sama uznała, że mają czas. Główny widz jeszcze nie przybył, a jej samej jazgotliwa i pstrokata sztuka nowoczesna przeszkadzała się skupić.

– Powinien już tu być – powiedziała zaniepokojona. – Za piętnaście minut otwierają galerię dla widzów, a za godzinę materiał musi już być gotowy, bo leci w południowym serwisie.

– Nie na żywo? Myślałem, że gwiazda twojego formatu...

Popatrzyła na Saszę z udawanym gniewem.

– Dokończ to zdanie, kochanie, a najbliższe noce spędzisz na kanapie. Wiesz dobrze, że dużo bym zaryzykowała, puszczając wypowiedzi doktora Stanwycka na żywo. Są słowa, które mogłyby pójść tylko w RLTV, a nie na porządnym kanale informacyjnym. A poza tym...

– No, no, strasznie nudna ta wystawa – rozległ się głos od strony drzwi.
– Ciekawszą widziałem ostatnio w sklepie z RTV.

Scarlett odetchnęła głęboko, poprawiła ułożenie piersi, odwróciła się i ruszyła w stronę gościa, posyłając mu najpiękniejszy ze swych uśmiechów. Sasza, z trudem kryjąc rozbawienie, podniósł się z fotela i włączył kamerę.

Doktor Terrence Stanwyck był typem człowieka, dla którego ostatnim etapem życia jest dojrzałość. Pomimo że dwa miesiące wcześniej skończył sześćdziesiąt lat, patrząc na niego, nie można było z czystym sumieniem nazwać go starym. Wygładzana chirurgicznie twarz pokryta była akurat taką ilością zmarszczek, by doktor wyglądał dostojnie, a siwe włosy wyrastały mu tylko na skroniach i małej kępcie brody tuż pod dolną wargą. Reszta jego zarostu wciąż pozostawała czarna, choć nie wiadomo, czy naturalnie, czy dzięki sprytnemu fryzjerowi.

Ubrany był w białą koszulę, w której rozpiął trzy górne guziki, by lepiej prezentować opaloną pierś, oraz czarne dżinsy ze skórzanymi frędzlami na szwach.

– Terrence Stanwyck – przedstawił się, całując dłoń reporterki. Gdy unosił głowę, rzucił wcale nie przelotne spojrzenie na jej dekolt. – Już wiem, dlaczego wyłączono te wszystkie monitory. Jakże mogłyby...

– Scarlett Kwiatkowska – weszła mu w zdanie. – Telewizja BBC Polska. Proszę, niech pan usiądzie.

Wskazała mu miejsce, z którego przyszła, specjalnie przygotowany kącik złożony z dwóch białych skórzanych foteli i szklanego stolika. Stojący przy kamerze Sasza właśnie poprawiał ekrany redukujące pogłos.

– Wystawę włączą za chwilę, a tymczasem mam nadzieję, że uda się nam troszeczkę porozmawiać.

Stanwyck skinął głową.

– To bardzo miło ze strony BBC, że zorganizowali mi to prywatne zwiedzanie, do tego tak szybko i prowadzone przez tak śliczną dziennikarkę – powiedział, a z tonu jego głosu nie dało się wywnioskować,

czy mówi poważnie, czy drwi. – Obawiam się jednak, że jeśli tematem naszej rozmowy ma być wczorajsze wydarzenie na planie „Związku idealnego”, to niewiele pani pomogę. Nawet tego nie widziałem, jeśli nie liczyć powtórek końcówki w serwisach informacyjnych.

– O to również zapytam – odparła Scarlett – ale bardziej zależy nam na przybliżeniu samego RLTV. No wie pan, jak to działa i jakie wiążą się z tym zagrożenia.

– Już tyle razy gadające głowy wałkowały ten temat, że naprawdę nie wiem, czy dodam coś nowego. Ale oczywiście się postaram.

Usiedli przy stoliku i reporterka nalała im obojgu kawy. Już wcześniej zasięgnęła informacji, że doktor o tej porze pija wyłącznie mocną, do tego gorzką i bez mleka. Postarała się więc o najlepszą dostępną markę.

– To ma być taka luźna rozmowa. – Zerknęła ukradkiem w stronę Saszy. Ten pokazał jej wzniesiony kciuk. – Chciałbym, żeby czuł się pan swobodnie i...

– ...nie używał brzydkich wyrazów – dokończył za nią Stanwyck, rozpierając się w fotelu. – Postaram się. Możemy zaczynać.

Operator założył słuchawki i wlepił wzrok w moniterek. Następnie włączył nagrywanie.

– Poszło – oznajmił.

– Nie tylko Polska – zaczęła Scarlett poważnie, prostując się w fotelu – ale i cała Europa żyje dziś tragicznym wydarzeniem, które miało miejsce wczorajszego wieczora na planie serialu „Związek idealny”. Jak mogło dojść do tak potwornej zbrodni na oczach milionów widzów? Kto zawinił? Czy jest możliwe, by doskonale sprawdzony system zabezpieczeń nie sprawdził się? A może zawinił czynnik ludzki?

Na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech.

– Mam nadzieję, że nasz dzisiejszy gość pomoże choć w części rozwiązać nasze wątpliwości i odpowie na choć niektóre z zadanych przed chwilą pytań. Doktor Terrence Stanwyck, współtwórca RLTV, a także scenarzysta i reżyser...

– Preferuję określenie aranżer – Stanwyck wszedł jej w zdanie, prostując się i splatając dłonie. – To bardziej pasuje do formuły RLTV.

Scarlett skinęła głową, na moment zaciskając usta. Zaraz jednak uśmiechnęła się promiennie.

– No właśnie, panie doktorze, formuła RLTV. Grzebanie ludziom w głowach, wgrywanie i kasowanie wspomnień. Przyzna pan, że wciąż jeszcze brzmi to przerażająco.

– Jak voodoo? – Doktor sięgnął po filiżankę i upił łyk kawy. – Może dlatego, że rzeczywiście ma to ze sobą trochę wspólnego. Obrzęd przejmowania ciała przez loa... Theo Kowalsky pewnie wytłumaczyłby to lepiej, jest kulturoznawcą. Klechy mówią czasem, że wgrywki to nic innego jak opętanie, ale...

Zauważył, że dziennikarka mocniej zacisnęła wargi, i westchnął głęboko.

– Przepraszam, zagalopowałem się – powiedział. – Da się wyciąć to o klechach?

– Tak, proszę kontynuować – odparła Scarlett. – Albo najlepiej, jeśli zacznie pan od początku.

Stanwyck odstawił filiżankę, złożył dłonie w piramidkę i zabrał się do wyjaśniania.

– Real Live Television powstała w wyniku pewnej obserwacji poczynionej dawno temu przez Theodora Kowalsky'ego, kulturoznawcę polskiego pochodzenia. Zauważył on mianowicie, że widzowie telewizyjni bardzo chętnie oglądają tak zwane prawdziwe życie. Nic nadzwyczajnego,

od dawna mówi się, że wielu ludzi ma naturę podglądaczy; dzięki temu karierę robiły wszelkie reality show, jak chociażby popularny swego czasu „Big Brother”. Z drugiej strony formuła takich programów wyczerpała się dość szybko. Ich bohaterowie, wiedząc, że są podglądani, nie zachowują się naturalnie i cały czar podglądactwa pryska. Bo ludzie, nazwijmy ich dla wygody aktorami, choć akurat nie uważam tego za właściwe określenie, nawet jeśli chcą, nie potrafią być naturalni przed kamerami. Nie są w stanie się otworzyć, opowiadać o własnej przeszłości, zdradzać sekretów. I tu wkracza RLTV dająca i niezbędną naturalność podglądanych, i strzegąca ich sekretów. Kowalski wykorzystał pracę kilku swoich przyjaciół, informatyków i fizyków. Wspólnie stworzyli urządzenie pozwalające na...

Przerwał na moment i odruchowo zasłonił się ręką, jakby chciał powiedzieć coś na stronie.

– Czy mam wyjaśniać szczegóły techniczne, czy mówić prosto? – zapytał. – Nie wiem, do jakiego widza będzie to kierowane.

– Niech pan mówi najprościej jak się da. – Scarlett dyskretnie wygładziła fałdy spódnicy. W myślach już zastanawiała się, jak potnie ten materiał, żeby zmieścić go w krótkim czasie antenowym.

Stanwyck podrapał się po nosie, niby przypadkiem skupiając wzrok na nogach dziewczyny.

– No dobra, jestem gotowy.

Odczekał chwilę, po czym podjął wątek.

– Urządzenie pozwala przede wszystkim na tymczasowe zablokowanie pamięci epizodycznej, czyli odpowiadającej za nasze wspomnienia. Po nałożeniu blokady wgrywa się specjalnie przygotowaną nową pamięć i w ten sposób otrzymujemy nowego człowieka, takiego, którego swobodnie możemy podglądać.

– Tylko pamięć? Bez odruchów? Ale to oznacza, że taki człowiek może zrobić wszystko – stwierdziła dziennikarka z błyskiem radości w oczach. Nie sądziła, że tak łatwo jej będzie skierować rozmowę na te tory, i była z siebie bardzo dumna. – Cóż blokuje takiego aktora, gdy ochrona jest daleko?

– Właśnie chciałem do tego przejść – odparł Stanwyck. Dolał sobie kawy. – Po pierwszych próbach i testach okazało się, że niezbędne są pewne zabezpieczenia, i w tym celu podjęto próby wprowadzenia zmian w podświadomości. To było niezwykle trudne zadanie, bo wciąż nie wiemy na jej temat tyle, ile chcielibyśmy wiedzieć. Ostatecznie jednak udało się nam, bo z dumą przyznaję, że zaproszono mnie do zespołu, stworzyć coś na kształt dekalogu zakorzenionego w umyśle. To taki wgrany wirtualny esperal, jeśli wie pani, co to takiego. Dzięki temu człowiek nawet nie myśli o zabójstwie czy gwałcie.

– Jak skuteczne jest to zabezpieczenie?

Doktor wzruszył ramionami.

– Proszę przejrzeć statystyki wypadków na planach od początku istnienia RLTV. Czy nie było okazji? A jakoś nic takiego nie miało miejsca.

Za ich plecami po kolei zaczęły się włączać monitory. Równocześnie jeden po drugim gasły umieszczone na ścianach lampiony. Scarlett zerknęła na Saszę, ale ten gestem dał jej znać, by kontynuowała.

– Czyli twierdzi pan, że to niemożliwe, aby Teresa Wójcik–McCole zabiła męża z własnej woli?

Stanwyck pokręcił głową.

– Cała rzecz w tym, o której tożsamości pani McCole mówimy. Czy o Teresie, czy o Blance. To dwie zupełnie różne kobiety, choć w tym samym ciele. Któraś z nich jest winna, ale z naszego punktu widzenia interesujące jest tylko to, czy zabójczynią jest Teresa, bo wówczas mamy do czynienia

ze słabością czynnika ludzkiego. Jeśli jednak okaże się, że jakimś cudem winna jest Blanka, czyli inaczej mówiąc, zawiódł cały system...

Zawiesił głos i zanim dokończył, upił łyk kawy. Scarlett nie przeszkadzała mu, domyślając się, że w ten sposób doktor stopniuje napięcie. Mogłoby to mieć sens, gdyby szli na żywo, ale i tak była mu wdzięczna za starania.

– Gdyby tak się zdarzyło, mogłoby to oznaczać koniec RLTV – dokończył, odkładając filiżankę na spodeczek, jakby sędziowskim młotkiem pieczętował wyrok.



Groziła mu śmiercią?

Czy Theresa Wójcik–McCole groziła śmiercią swojemu mężowi? Od dawna wiadomo, że w ich związku działo się źle, a do prasy coraz częściej przeciekały skandale o bijatykach i awanturach urządzanych w domu McCole’ów. Dwa miesiące temu prezentowaliśmy zdjęcia sińców na przedramionach popularnej aktorki i ślady pobicia na twarzy tuszowane grubą warstwą makijażu.

Wójcik–McCole miała już dość bycia ofiarą. W zeszłym tygodniu podczas spotkania w klubie „Columbus” groziła swojemu mężowi, że go zabije...



Greg zatrzymał się przed biurowcem WatcherTV. Po placu krążyła pilnowana przez ochronę spora grupka fanów „Związku idealnego” z transparentami domagającymi się przywrócenia serialu. Jak uznał Theo, chodziło im pewnie o kontynuowanie wątków pobocznych.

– Dawno tu nie byłem – powiedział, zdejmując okulary i chowając je do pokrowca. – Kto jest teraz szefem?

– Michael Schwimmer – odparł Greg. – Jego rodzina wykupiła sporo udziałów. Większość dały im najpierw twoje, potem te od wnuczki Rzeszutki.

Kowalsky pokręcił głową.

– Michael? Mógłbym być jego ojcem.

– Firma stawia teraz na ludzi młodych i przedsiębiorczych, a on...

– Nie w tym sensie. – Theo spojrział na Chaszczę z rozbawieniem. – Ja znałem jego matkę.

Greg przystanął. Zastygł na chwilę, po czym parsknął śmiechem.

Tymczasem Theo minął szklane drzwi i wszedł do przestronnego holu.

Wnętrze urządzone stylowo i co rzadkie w podobnych gmachach, z pomysłem. Antyczne kolumny płynnie przechodziły tu w na wskroś współczesne szklane łuki krzyżujące się na sklepieniu niczym w gotyckiej katedrze. Na wprost od wejścia była recepcja oddzielona od reszty holu półkolem marmurowego blatu, a po obu jej stronach niczym strażnicy wznosiły się przezroczyste szyby szybkobieżnych wind.

Jak przystało na budynek stacji telewizyjnej zadowolonej ze swoich osiągnięć, wszędzie wisiły umiejętnie wkomponowane ogromne ekrany emitujące programy produkowane przez WatcherTV.

Można je było podziwiać z rozmieszczonych równomiernie ławeczek, które – podobnie jak ustawione w kątach stoliki – zdawały się wyrastać z wyłożonej płytami podłogi. Stalowe konstrukcje wytryskające spomiędzy

rozerwanych, wystrzępionych płytek niczym szybko stygnąca lawa – pewnie jakoś tak ujął to architekt we wstępnej prezentacji. Na tych metalowych stelażach zamocowano marmurowe blaty i siedziska – z pewnością mało wygodne, za to prezentujące się wyśmienicie.

Kowalsky przeszedł przez hol i przywołał windę. Zaczekał na Grega, a następnie wcisnął przycisk ostatniego piętra. Drzwi zamknęły się z sykiem i pomknęli na górę.

– Właściwie to czego oni tak naprawdę ode mnie chcą, co? – zapytał Theo. Starał się zachowywać naturalnie, a przy tym nie patrzeć za przeszkloną ścianę windy na gwałtownie malejący parking, drzewa i budynki. Przyszło mu to z trudem.

Greg westchnął. Sięgnął do kieszeni po chustkę i otarł nią spoczone czoło.

– Tak zupełnie szczerze, to myślę, że przede wszystkim obecności – odparł. – Znaczący mają pewnie nadzieję, że obejrzysz ostatni epizod i wskażesz im przyczynę problemu, ale przede wszystkim chodzi o to, by stworzyć chociaż pozory, że coś robią. Jesteś tu, bo przecież my wszyscy z ciebie... Z Grabowskiego i Rzeszutki też, ale...

– Tak, im akurat z cmentarza nie byłoby po drodze.

– No właśnie. – Greg pokiwał głową i niemal w tym samym momencie winda się zatrzymała. Usłyszeli cichy dzwonek, a potem drzwi stanęły otworem.



Prezes Schwimmer, szczupły, drobny chłopak w okularach, ledwie widoczny zza swojego olbrzymiego biurka, powitał ich, wstając i rozkładając szeroko ręce.

– Panie Kowalsky – powiedział po angielsku z wyraźnym niemieckim akcentem – jak miło poznać osobiście człowieka legendę!

Theo skinął głową. Oślepiiony słońcem bijącym zza przeszklonej ściany za plecami Schwimmera, dopiero po chwili zauważył, że w głębokich skórzanych fotelach przed biurkiem siedzą dwaj mężczyźni w czarnych garniturach i z teczkami na kolanach. Jeden z nich wyglądał na kogoś w wieku Kowalsky’ego, drugi mógł być niewiele starszy od prezesa. Żaden z nich nawet nie drgnął, gdy Theo z Gregiem weszli, a ich twarze wyrażały napięcie.

„Prawnicy – pomyślał Kowalsky. – Z pewnością nie grzeczności się od nich wymaga. I nie za nią się im płaci...”

– Witam panów – powiedział głośno, podchodząc do ostatniego wolnego fotela. Obejrzał się za Gregiem, ale ten gestem dał mu do zrozumienia, że wszystko jest w porządku, i ruszył w stronę kanapy w części wypoczynkowej na lewo od drzwi. On swoje zadanie już wykonał, teraz mógł swobodnie poczytać gazetę.

Theo uśmiechnął się pod nosem i przeniósł wzrok na Schwimmera.

– Wybaczcie panowie obcesowość – zaczął, siadając – ale wczoraj wziąłem się za lekturę nowej książki i bardzo jestem ciekaw, co będzie dalej. Dlatego proszę szybko, czego ode mnie chcecie?

Młody prezes, wyraźnie zaskoczony takim obrotem sprawy, zerknął ukradkowo na starszego prawnika, a potem odchylił głowę do tyłu i roześmiał się. Nawet taka spontaniczna reakcja wyglądała w jego przypadku jak wyreżyserowana. Tak mógłby się śmiać model w telewizyjnej reklamie.

– Napije się pan czegoś, panie Kowalsky? – zapytał, opanowując wesołość i kładąc palec na przycisku interkomu. – Mamy wspaniałą mrożoną kawę. Naprawdę polecam.

– Poproszę.

Schwimmer, nie pytając nikogo więcej, zamówił pięć kaw, po czym odwrócił się i popatrzył na panoramę za oknem.

– Piękny kraj ta Polska – powiedział. – I bardzo cieszy, że tak wykorzystwała szansę, jaką stała się dla niej RLTV. Te wszystkie studia filmowe i telewizyjne, budowa zaplecza... I to w tak krótkim czasie.

– To wszystko było już wcześniej – odparł Theo. – Projekt stworzenia bazy filmowej dla Hollywood był realizowany już w pierwszej dekadzie wieku. Potem wymagało to tylko zmian adaptacyjnych, a na to dostaliśmy pieniądze ze Stanów.

Przerwał na chwilę, poprawiając się w fotelu, i założył nogę na nogę.

– A mówiąc, że mi się spieszy, miałem nadzieję, że oszczędzimy sobie właśnie takich gadek. Choćby nie wiem jak się pan starał, nie wmówi mi pan, że gdy upadnie WatcherTV, w tym kraju nastąpi gospodarczy regres.

– Dlaczego mielibyśmy upadać? – Schwimmer bardzo nieprzekonująco udał zdziwienie. – Przecież wczorajsze wydarzenie, mimo całej jego tragiczności, było tylko pojedynczym incydentem...

– ...który rzuca cień na samą ideę wgrywek – dokończył Theo. – Jeśli szybko nie udowodnicie, że jakimś cudem pani McCole oszukała system, to wszystko skupi się na was. Zapłacicie wysokie odszkodowania, przyczepi się do was rząd, a pewnie poprze go także Parlament Europejski. I zaczną się zakazy.

Przerwał, gdy za jego plecami ktoś otworzył skrzydło ogromnych drzwi. Do środka weszła zgrabna dziewczyna ubrana w białą bluzkę z dużym

dekoltem i idealnie dopasowaną minispódniczkę. Przed sobą niosła tacę z wysokimi szklankami.

Theo wiedział, że krzywdzi tym dziewczynę, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że zbyt idealnie pasuje do stereotypu sekretarki zatrudnionej z innych powodów niż biegła obsługa komputera.

Dziewczyna rozstawiła napoje, po czym odwróciła się w stronę Grega, by zanieść mu jego szklankę.

– Oczywiście sytuacja, w której pani McCole znajduje lukę w systemie i z niej korzysta – podjął Kowalsky, gdy dziewczyna zniknęła za drzwiami – również nie jest dla firmy dobra, ale przynajmniej można rozwiązać kryzys, zaostrzając testy eliminacyjne, poprawiając zabezpieczenia wgrywane do podświadomości... Będzie to kosztowało, ale da się z tego wyjść.

W nagłym przypiływie rozbawienia popatrzył na starszego prawnika.

– Tak w ramach ciekawostki, wiecie, po ile chodzą teraz czarnorynkowe filmy chińskie, gdzie stosuje się wgrywki, ale bez zabezpieczeń? Dwadzieścia pięć euro za zwykłą przegrywaną płytę... i to w kopercie. A te, na których ktoś kogoś zabija, i po trzy razy tyle.

Adwokat skinął głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie potrzebował tej informacji, ale mimo to dziękuje. Theo odpowiedział mu tym samym.

– My działamy legalnie, panie Kowalsky – odezwał się po krótkiej chwili ciszy Schwimmer. – Pod tym względem od pańskich czasów nic się nie zmieniło i nie chcemy, by stało się tak w przyszłości. Dlatego potrzebna nam pańska pomoc. Doskonale przedstawił pan sytuację firmy, a także to, co chcielibyśmy teraz osiągnąć. Rzecz jasna, pracuje nad tym już sztab naszych ludzi, ale uważam, że ktoś, kto był w tym od początku...

– Weźcie Stanwycka – zaproponował Theo. – On swego czasu pracował przy zabezpieczeniach i zna się na tym lepiej niż ja. Osobiście dbałem

raczej o treść wgrywek niż o to, jak się ich dokonuje.

– Złożyliśmy już podobną propozycję doktorowi Stanwyckowi. Powiedział, że poczeka, aż złożymy odpowiednią ofertę. Obecnie zaś korzysta z tego, że wszyscy mają go za znawcę i...

– Czyżbym słyszał nutkę zawiści w pańskim głosie, Schwimmer? – Theo sięgnął po szklankę i upił łyk. Odstawił ją i wstał. – Dobra, kończmy to, przecież obaj wiemy, o co chodzi. Duży pokój, telewizor, ostatni odcinek waszego serialu i ktoś spełniający wszystkie moje zachcianki. Aha, i DVD z warszawskim koncertem Stonesów, na chwilę, gdy będę miał dość pracy. To moje warunki. Efektów nie obiecuję, ale będę oglądał uważnie.

– Oczywiście – powiedział Schwimmer, podnosząc się i wyciągając rękę. Tym razem wstali także prawnicy. – Czy mogę jeszcze zapytać, z którego koncertu? Było ich w Polsce kilka.

– Z jedyne go słusznego, panie Schwimmer. – Theo uśmiechnął się. – A kawa rzeczywiście smakuje nieźle.



– To już wszystko? Mogę iść? – zapytał Stanwyck.

Zdziwiona Scarlett uniosła brwi, a u nasady jej nosa pojawiła się pozioma kreska.

– Nie chciał pan obejrzeć wystawy?

– Ależ skąd! – odparł z rozbrajającą szczerością doktor. – Ciekawiło mnie tylko, jak bardzo waszej stacji zależy na tym spotkaniu. Osobiście uważam, że sztuka skończyła się na Salvadorze Dalim.

– Szkoda, że tego nie nagrałem – powiedział Sasza ze śmiechem. – Podrzucilibyśmy to tym z kulturalnego jako komentarz do wystawy.

– Mogę powtórzyć, jeśli pan sobie życzy – zaoferował się Stanwyck. Przeniósł wzrok na Scarlett. – Mam jeszcze parę kontrowersyjnych poglądów, o których chętnie opowiem przy kawie.

– Dziękuję za propozycję, ale nie mamy już na to czasu. Zaraz otworzą wystawę, a my musimy lecieć zmontować materiał. Swoją drogą, przyznam, że kilka nieznanych mi wcześniej aspektów wgrywek przedstawił pan bardzo interesująco. Zwłaszcza to, że teoretycznie można dzięki nim modyfikować prawdziwe wspomnienia.

– Tak, zupełnie jak u Dicka w „Przypomnimy to panu hurtowo”. – Stanwyck wstał z fotela. – Pewnie pani nie czytała, bo to starość, ale w wolnej chwili może pani poszukać na Sieci. Albo to, albo film ze Schwarzeneggerem. Też niezły.

Scarlett również wstała, odruchowo poprawiając bluzkę i spódnicę. Doktor uważnie śledził jej ruchy, lekko przechylając głowę.

– Dick? Słyszałam, jak kiedyś pan Kowalsky mówił o inspiracjach twórczością Williama Gibsona, ale...

– Wybacz pani dwuznaczność stwierdzenia – przerwał jej z niechęcią – ale on ma Gibsona, a ja Dicka. Nie wiem, kto na tym wyszedł lepiej.

Reporterka parsknęła śmiechem. Sasza zwijający właśnie kabel zasilania wykorzystał ten moment.

– Jedna rzecz mnie dręczy – zaczął. – Skoro można zaprogramować aktorów, żeby nie zabijali i nie gwałcili, to dlaczego nie robi się tego ludziom powszechnie?

Śmiech Scarlett urwał się niemal natychmiast. Wściekła mina dziennikarki mogła znaczyć tylko jedno – że też jej to pytanie nie przyszło do głowy! Zwłaszcza podczas nagrania.

Stanwyck wzruszył ramionami.

– Tak poza kamerami i zupełnie prywatnie? Uważam, że aktor jest jak dziwka. Sprzedaje swoje ciało i bierze pieniądze za to, że daje sobie coś wsadzić. Nie mam nic przeciwko takim zawodom, zdarzało mi się w życiu korzystać z jednych i drugich, ale sam nie dałbym się zaprogramować, nawet za cenę bezpieczeństwa i powszechnej szczęśliwości. Stamtąd byłby już tylko krok do mówienia nam, co mamy jeść, co pić i jak głosować. Cieszy mnie, że póki co świat myśli podobnie.

Zerknął na zegarek, po czym sięgnął do kieszeni i wydobył wizytówkę.

– Na mnie już czas, ale jeżeli będzie pani chciała dowiedzieć się czegoś więcej, tak na prywatny użytek, oto mój adres – podał kartonik Scarlett, po czym ucałował jej dłoń. – Ze swojej strony mogę obiecać, że przyjrzę się tej całej sprawie i jeśli coś odkryję, pani dowie się pierwsza. Do widzenia.

Skłonił się Saszy i ruszył w stronę wyjścia.



Theo wcisnął pauzę, gdy nożyczki po raz kolejny wysunęły się z ciała ofiary. Gejzer szkarłatu zastygł w jednej chwili, podobnie jak pojedyncze krople krwi wokół zatrzymanej w pół ruchu ręki.

Obraz był na zbliżeniu, nie widział więc twarzy ani zabójcy, ani ofiary, Kowalski jednak nie potrzebował ani jednego, ani drugiego. Dość się już napatrzył, oglądając to ze wszystkich możliwych ujęć. Kamer w sypialni było pięć i jak zawsze wszystkie były na noc włączone.

Odetchnął głęboko, odchylił się w fotelu i sięgnął po szklankę z tonikiem. Kostki lodu zdążyły się już niemal całkiem rozpuścić, przez co

ucieł gdzieś cierpki posmak napoju. Mimo to wypił go duszkiem.

– W co ty się wpakowałaś, Theo? – powiedział na głos, odstawiając szklankę. – Jakby trzeba ci było, żeby cię z tym wiązano...

W gruncie rzeczy jednak wiedział, że nie trzeba go było specjalnie wiązać. Oczywiście, idea RLTV należała do tych, które prędzej czy później musiały zostać wymyślone, jak koło, proch czy telefon. Nie zmieniało to jednak faktu, że w tym świecie to nie kto inny, a właśnie on przyniósł światu nową rozrywkę.

„Wprawdzie Syn Człowieczy odchodzi, jak jest o Nim napisane, lecz biada temu człowiekowi, przez którego Syn Człowieczy będzie wydany. Byłoby lepiej dla tego człowieka, gdyby się nie narodził”. Czy fakt, że coś musiało się wydarzyć, umniejsza zasługę bądź winę wynalazcy?

Nie mieściło mu się to w głowie, ale naprawdę kiedyś wierzył, że RLTV będzie wykorzystana wyłącznie do takich programów jak „Ot, codzienność”? Przecież już wtedy znane były wszelkiego rodzaju reality show i można było przewidzieć, jak to się potoczy. A może liczył na to, że będzie mógł w jakiś sposób panować nad tym wszystkim i nieważne, jak wiele pieniędzy wyłożą sponsorzy, to on, nie oni, będzie panem sytuacji? Niezależnie od przyczyn nie tylko stracił kontrolę, ale i dał się wciągnąć w zabawę ludzkimi umysłami. Grę, która dwukrotnie doprowadziła do śmierci.

– Tylko że wtedy nikt nawet o tym nie pisał – znów powiedział na głos. – Tamto nie wydarzyło się na oczach kamer.

Może i nie, ale nie było wątpliwości, że za śmierć Janusza Gąski odpowiadało RLTV. A najbardziej ze wszystkich odpowiadał właśnie Theo Kowalsky.

To on znalazł młodego studenta i namówił go do udziału w eksperymentalnym show polegającym na wgrywkowej zmianie orientacji

seksualnej. Program ten miał zapoczątkować całą serię podobnych prezentacji, wspierających rozwój nauki i dających przy okazji niezłą rozrywkę.

Nie udało się. Gaska, choć przeszedł wszystkie testy i nic nie wskazywało, że mógłby się załamać, w tydzień po załadowaniu nowej pamięci, a dokładnie w pierwszym dniu, gdy usunięto mu wgrywkę po pierwszym wyemitowanym cyklu, popełnił samobójstwo. Łaskawie dla Watchertv i samego Kowalsky'ego zrobił to, przedawkowując narkotyki. Tylko Theo i ci, którzy mieli wgląd do testów, wiedzieli, że chłopak nigdy wcześniej nie brał.

– Może byś się tak skupił, co? – warknął na siebie Kowalsky, potrząsając głową. – Skoro już obiecałeś.

Wstał z fotela. Nucąc pod nosem jakąś melodię, podszedł do półki i podniósł z niej pudełko z koncertem Stonesów. To nie była płyta, o którą mu chodziło, ale gdy Greg przyniósł ją osobiście, zdyszany, jakby szukał nagrania po całym mieście, nie miał sumienia mu tego powiedzieć. Wyciągnął płytę z pudełka i odwrócił się, by otworzyć czytnik...

Ręka zastygła mu w połowie ruchu niczym uzbrojona w nożyczki dłoń Blanki Wolskiej. Ta melodia, muzyczka, która właśnie przykleiła mu się do umysłu... nagle skojarzył, skąd ją zna.

Wciąż trzymając kompakt, sięgnął po pilota, przełączył na płytę z właściwym układem kamer i przewinął „Związek idealny” do momentu, gdy Krzysztof wchodził po schodach. Wtedy nacisnął play.

„Pracowała nad tym – pomyślał, słysząc kawałek, który sam nucił ledwie chwilę temu. – Dżingiel idealny, taki, który słyszysz raz i jesteś pewien, że znasz go od dawna... i że już nigdy cię nie opuści”.

Pracowała nad tym, zagrała tę melodię, a potem go zabiła.

Sięgnął do stojącego na podłodze pudełka i przejrzał znajdujące się tam płyty. Każda zawierała ujęcie jednej kamery w domu, w ogrodzie, na werandzie... w sumie trzydzieści sześć kompaktów, nie licząc tych w czytniku.

Znalazł tę skupioną niemal przez cały czas na pracującej Blance, odszukał moment, gdy przed kamerą przeszedł Krzysztof, a potem znów wcisnął play. Ujęcie nie było idealne, część twarzy zasłaniał przestawiony monitor, ale i tak dostrzegł to, co chciał.

Niezwykle łatwo przeoczyć coś takiego. Zwykły grymas, zmrużenie oczu i palce dociśnięte do skroni. Wyglądała, jakby nie była zadowolona z właśnie odegranego kawałka albo jakby jej głowę przeszył w jednej chwili nagły ból Theo poskubał dolną wargę, po czym podszedł do stolika z telefonem.

– Archiwum, słucham.

– To jeszcze raz Kowalsky. Czy możecie mi podesłać płyty z nagraniami od dnia, gdy Blanka zabrała się za pracę nad tym dzinglem?

W słuchawce zaległa cisza.

– Wszystkie? – zapytał w końcu pracownik archiwum z rezygnacją w głosie. – Ze wszystkich epizodów i...

– Nie! – Theo wszedł mu w zdanie. – Potrzebuję tylko tych głównowątkowych. I na początek może być tylko to, co wyemitowane. Jak nie znajdę, będę szukał dalej.

– Aaa – pracownik wyraźnie odetchnął. – Skoro tak, to nie ma problemu, podesłamy panu wszystko, od chwili gdy kupili mieszkanie po tym kompozytorze.

– Będzie idealnie – odparł Theo, kompletnie nie wiedząc, o jakim mieszkaniu mówi tamten. Potem pożegnał się i odłożył słuchawkę.

Na ekranie widać było teraz pusty fotel, częściowo przysłonięty monitorem, i białą ścianę za nim. Kowalsky raz jeszcze, tym razem świadomie, zanucił graną przez Blankę melodyjkę.

Wpadała w ucho.



Podczas dzisiejszej modlitwy „Anioł Pański” papież w ostrych słowach wypowiedział się na temat wydarzeń w Polsce. „Kto zaślepiony materialnymi korzyściami podejmuje diabelskie gry, nie może liczyć na zwycięstwo, a jedynie na wieczne potępienie, jakie stanie się jego udziałem” – powiedział Karol I.



– Jak to jednak nie wejdzie? Znowu?! – Scarlett, cała czerwona na twarzy, zupełnie nie przejmowała się zgromadzonymi wokół ludźmi. Stała w odległości metra od zastępcy dyrektora do spraw programowych, drąc się tak, jakby go dostrzegła w ostatniej chwili po przeciwnym końcu korytarza. – To już trzecia zmiana decyzji w tej sprawie. Kurwa mać, Michał, to jest dobry materiał i w temacie! Nie traktuj mnie jak jednej z tych twoich pierdolonych stażystek.

Jej rozmówca, szczupły mężczyzna pod trzydziestkę, o pyzatej twarzy i postawionych na żel tlenionych włosach, wzruszył ramionami.

– Nic nie poradzę – powiedział, uśmiechając się drwiąco. – Wójcik–McCole i jej konferencja ma absolutne pierwszeństwo. Potem komentarze do niej i odpowiedź tych od Watchera. Sama rozumiesz, tyle się dzieje.

Uniósł rękę, by dotknąć jej policzka, ale Scarlett odsunęła się gwałtownie.

– Znaczą kiedy?

– Pewnie w podsumowaniach dnia – odparł, cofając dłoń. Wsadził rękę do kieszeni. – Podeślij cały materiał, jaki masz, to coś tam z niego weźmiemy.

Odwrócił się i ruszył w stronę wind, czując na sobie ciężar kilkunastu spojrzeń. W drzwiach każdego biura na całej długości korytarza stała jedna, dwie osoby przyglądające się konfrontacji.

– Ty... – zaczęła Scarlett, ale przerwała, zaciskając zęby i tłumiąc w sobie wściekłość. Szybkim ruchem ręki otarła łzy z twarzy i odetchnęła kilka razy głęboko.

Właściwie, choć kryła to przed samą sobą, mogła się domyślić, że tak będzie – już w chwili, gdy szefostwo przekazało sprawę „Związku idealnego” właśnie temu nadętemu dupkowi. On jednak podczas nocnego nadzwyczajnego zebrania zachowywał się tak miło i był tak konkretny, przydzielając zadania, że naprawdę uwierzyła – oto wreszcie dojrzał w niej reporterkę, a nie tylko niezłą dupę, która kiedyś dosadnie dała mu do zrozumienia, co myśli o jego propozycji. Jak się właśnie okazało, była w błędzie.

– Masz teraz te swoje zasady, idiotko – burknęła pod nosem.

Zawibrowała wisząca na jej szyi komórka.

– Scarlett Kwiatkowska, BBC Polska, słucham.

– Tu Stanwyck – głos doktora brzmiał spokojnie, ale dziennikarka odniosła wrażenie, że było w nim jakieś napięcie.

– Właśnie miałam do pana dzwonić, doktorze – powiedziała. – Niestety, emisja wywiadu została właśnie przesunięta na bliżej nieokreślony termin. McCole i jej prawnicy zwołali konferencję prasową i nasza stacja...

– Chyba wiem, jak to było z tym zabójstwem – Stanwyck wszedł jej w zdanie. – Mam wrażenie, że coś znalazłem. Proszę do mnie przyjechać.

Serce Scarlett zabiło szybciej. Sprawdziła, czy wciąż ma przy sobie wizytówkę doktora.

– Oczywiście – powiedziała, patrząc na kartonik. – Już biorę Saszę... znaczy operatora i...

– Proszę przyjechać sama i bez kamery – ostro zaoponował Stanwyck. Po chwili już łagodniej dodał: – Gdy pani przyjedzie, dowie się, skąd ten warunek.

– Oczywiście, doktorze! – Wręcz promieniała radością. – Za kwadrans u pana.

„A najdalej za godzinę po nadętym panu zastępcy dyrektora zostaną strzępki urażonej dumy” – dorzuciła w myśli. Sukces, który jeszcze przed chwilą wydawał się równie odległy jak wtedy, gdy dopiero zaczynała tu pracę, teraz miała nieomal na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło zadzwonić po taksówkę.



Blanka musnęła ścianę koniuszkami palców i zrobiła kilka niepewnych kroków, wychodząc z krótkiego przedpokoju wprost do ogromnego salonu. Przez chwilę patrzyła na śnieżnobiałe ściany, glazurę ułożoną w karo i czarny skórzany zestaw wypoczynkowy ustawiony w kącie. Na wprost niej

za oknami rozpościerał się wspaniały widok: las – tak bliski, że niemal na wyciągnięcie ręki.

– *Naprawdę tu mieszkał?* – zapytała.

Stojący w progu Krzysztof roześmiał się.

– *Jeśli nie, znaczy, że potwornie przepłaciłem.*

Wciągnęła powietrze i niemal na bezdechu podeszła do królującego w pomieszczeniu fortepianu. Pokrywający go lakier lśnił w słońcu, a czarno-białe klawisze zachęcały, by choć na chwilę położyła na nich dłonie.

Nie odważyła się. Zamiast tego podbiegła do Krzysztofa i zarzuciła mu rękę na szyję.

– *Dziękuję* – powiedziała, całując go delikatnie. W jej oczach pojawiły się łzy. – *To najwspanialszy prezent, jaki mogłam sobie wymarzyć.*

– *Bardzo się cieszę, że ci się podoba.* – Krzysztof pogładził ją czule po policzku. – *Chcesz zobaczyć łazienkę?*

– *Jasne, że chcę* – odparła. – *Chcę zobaczyć wszystko w tym mieszkaniu!*

Zaczął ją więc oprowadzać.

– *Jest tam świetna kabina prysznicowa akurat dla dwóch osób* – mówił, gdy mijali niewielką kuchnię urządzonej w ciepłych barwach, przez co zupełnie niepasującą do reszty mieszkania. – *A wiesz, co mówią. Nie jesteś prawdziwym gospodarzem, dopóki nie weźmiesz prysznic w nowym domu.*

Otworzył drzwi i ustąpił żonie miejsca, by mogła wejść pierwsza.

Blanka rozejrzała się po łazience.

– *No tak, kabina rzeczywiście imponująca* – stwierdziła. – *A do tego to lust...*

Przerwała i postąpiła krok do przodu. Wokół lustra pomiędzy jasnobłękitne kafelki wmurowano niewielkie metalowe płytki. Na każdej z

nich znajdował się chropowaty, jakby usypany z piasku wzorek.

– *Coś nie tak, kochanie?* – spytał Krzysztof zaniepokojony.

– *Co... a, nie, w porządku!* – Uśmiechnęła się. – Będę musiała coś później sprawdzić.

Podeszła do niego i przejechała mu palcem po piersi.

– To co z tym prysznicem?



Theo zatrzymał odtwarzacz, po czym cofnął do momentu, gdy na ekranie widoczne były metalowe płytki. Przez chwilę przyglądał im się, to przybliżając, to znów oddalając obraz. Następnie odwrócił się do komputera. Jeżeli tylko miał rację, to wyglądało na to, że właśnie trafił na rozwiązanie zagadki.

Po półgodzinie przeglądania Internetu miał już pewność. Z przepełniającym go uczuciem tryumfu złapał za telefon.

– Greg? Przyjdź tu do mnie szybko, chyba coś znalazłem.



Taksówka zatrzymała się tuż przed otwieraną elektrycznie bramą. Scarlett zapłaciła kierowcy, zostawiając pokaźny napiwek, po czym wysiadła, cudem tylko unikając wbicia obcasa w szczelinę kratki

ściekowej. Zachwiała się, ale błyskawicznie odzyskała równowagę i pewnie podeszła do słupka z domofonem. Wcisnęła przycisk.

Dom za bramą nie należał ani do szczególnie wielkich, ani też porażających przepychem. Ot, zwykły jednopiętrowy biały budynek ze spadzistym czerwonym dachem, garażem i wielkim oknem na frontowej ścianie. Od bramy do drzwi prowadził ułożony z kostki podjazd, od którego mniej więcej w połowie odchodziły ścieżki wiodące w głąb trawnika.

– Proszę – rozległ się nagle głos Stanwycka, a zaraz potem zabrzączał otwierany zamek.

Scarlett pchnęła furtkę i weszła do ogrodu.

Gdy doszła do bocznych ścieżek, otworzyły się drzwi frontowe, a w progu stanął doktor Stanwyck. Ubrany był w koszulkę z logo Iron Maiden, a włosy miał zaczesane na mokro do tyłu. Scarlett, która robiła kiedyś reportaż o wiekowych fanach rocka (nosił tytuł „Za starzy na rock&roll, za młodzi, by umrzeć”), stwierdziła, że doktor wygląda teraz jak jeden z nich – niepokodzony ze swoim wiekiem, starający się, by dziś było wiecznym wczoraj.

– Co to za rewelacja, doktorze? – zapytała bez ogródek.

Stanwyck pokręcił głową.

– Nie tutaj, proszę wejść do środka. Tu za dużo osób może nas zobaczyć.

Przepuścił dziewczynę, rozejrzał się uważnie i wszedł za nią do przedpokoju.

– Proszę się rozgościć, salon na lewo – powiedział, zamykając drzwi. – Czegoś się pani napije?

– Jeśli to możliwe, panie doktorze – powiedziała, patrząc na znajdujące się pod schodami otwarte drzwi prowadzące najpewniej do piwnicy – chciałabym od razu przejść do rzeczy. Właściwie to...

Stanwyck doskoczył do niej nagle, jednym ramieniem obejmując ją i blokując ręce, w drugiej dłoni trzymał zakończony igłą dozownik.

Zdażyła się tylko szarpnąć, gdy poczuła ukłucie na szyi, po czym bezwładnie upadła na podłogę.



Greg wpadł do pokoju zdyszany, jakby goniło go sto diabłów. Krople potu spływały mu po policzkach, a brzuch trząśł się jak galareta w takt chwytanego łapczywie oddechu.

– Co masz? – wycharczał, zginając się wół.

Theo, dotąd pochylony nad laptopem, wyprostował się i uśmiechnął tryumfalnie. Lewą ręką odwrócił komputer, tak by Greg mógł zobaczyć ekran.

– Wszystko wskazuje na to, że ktoś znalazł sposób na złamanie systemu – powiedział. – To nie błąd programowy, to sabotaż.

Greg, uspokoiwszy wreszcie oddech, wyprostował się.

– Jak to? Przecież widzieliśmy wszyscy, jak było – powiedział, podchodząc do barku i sięgając po butelkę wody. – Eksperci sprawdzili też wgrywki i wszystko było u niej w porządku. Niby jak udało się to komuś obejść?

– Z tego, co wywnioskowałem, ktoś mógł spróbować dograć coś na bieżąco. Coś, co potem wykasowało się samo. – Theo poskrobał palcem dolną wargę. W jego głowie brzmiało to jakoś bardziej przekonująco. – Jeśli tak było, to chyba nawet wiem, jak to się stało.

Sięgnął po pilota i włączył telewizor. Na ekranie znajdowało się teraz lustro otoczone metalowymi płytkami – fragment łazienki w mieszkaniu serialowych Wolskich.

– Nie mam pojęcia, jak działają obecne wyzwalacze wgrywek, ale na samym początku, jak pamiętasz, robiło się to tonowo. Odpowiedni, skomplikowany kod dźwiękowy aktywujący wgraną pamięć. A teraz popatrz tutaj. – Theo wskazał najpierw ekran telewizora, a potem obrazek na monitorze, gdzie znajdowały się niemal identyczne wzory jak te z płytek. – To nie są zwykłe blaszki, a raczej coś w rodzaju obrazkowego zapisania dźwięków, tak zwane wzory czy też figury Chladniego. Na pewno kojarzysz, na taką płytkę sypiemy piasek, a ten w zależności od częstotliwości drgań układa się w inny wzór. Pamiętam, że kiedyś odtworzono w ten sposób cały utwór zapisany na ścianach jednej z katedr. Swego czasu było o tym głośno w środowisku historyków sztuki. Myślę sobie, że tutaj... Co?

Greg patrzył na niego z mieszaniną zdumienia i bezradności. Tak mógłby patrzeć ktoś, komu właśnie na jego oczach kasowano ukochany samochód.

– To jest ta twoja rewelacja? – zapytał, odstawiając butelkę. – Że w łazience Wolskich znajduje się zaszyfrowana muzyczna wiadomość? To chciałeś mi powiedzieć?!

Zaskoczony Theo zdołał tylko pokiwać głową.

– Wiem, że tam są! – wrzasnął Greg. – Sam je tam, kurwa, wstawiłem, wiedząc, że Blanka odkryje to dzięki swojemu jebanemu wykształceniu! To miał być taki naukowy smaczek, który później wyjaśnilibyśmy w jednym z programów edukacyjnych. Nakręcaliśmy w ten sposób kampanię na Know How Channel, który wystartował miesiąc temu. W każdej gazecie daliśmy

ogłoszenie, że tam właśnie widzowie dowiedzą się, jak to dokładnie działa. Też byś wiedział, gdybyś czytał gazety!

Zasłonił twarz rękami i stał tak przez chwilę, oddychając głęboko. Theo przyglądał się temu wszystkiemu w osłupieniu.

– Nie wiedziałem... ja...

– Wystarczyłoby, żebyś obejrzał dwa odcinki dalej – stwierdził Greg już spokojniej. Rozmasował palcami wskazującymi nasadę nosa i cofnął ręce.

– Ona sama odkryła te figury i właśnie za dwa odcinki dzieli się tą wiadomością z kumplem z akademii muzycznej.

Kowalsky zamknął laptop i wyłączył telewizor. Zdecydowanie nie nadawał się na detektywa. Choć musiał przyznać, że gdy odkrył rozwiązanie, poczuł się naprawdę wspaniale. Tyle że nie o to odkrycie chodziło...

– Muszę się przejść – zdecydował, wstając – pomyśleć...

Greg skinął głową.

– A wiesz, co jest w tym, kurwa, najzabawniejsze? – rzucił, gdy Theo stał już w drzwiach. – To ty powiedziałeś mi o tym całym Chladnim, pamiętasz? Jeszcze za czasów „Ot, codzienność”. Zastanawiałeś się, jak to wpleść w któryś z epizodów.

– Możliwe. – Theo pokiwał głową, chwytając za klamkę. – Wtedy kręciły mnie takie ciekawostki. A skąd miałeś dżingiel?

Greg uśmiechnął się.

– Z twojego starego kompa. To jedna z propozycji na kawałek otwierający do „Ot, codzienność”. Możesz go nie kojarzyć. Wątpię, byś kiedykolwiek przesłuchał je wszystkie. Trafiłem przypadkiem.

Kowalsky westchnął i wyszedł na korytarz.



„To była dobra teoria” – myślał, jadąc windą. Obok jakiś młody mężczyzna w prążkowanym garniturze przyglądał mu się badawczo, jakby próbował skojarzyć jego twarz. Wyraźnie bez powodzenia, za co Theo był losowi naprawdę wdzięczny.

To była dobra teoria, a te mają to do siebie, że nawet jeśli zawiodą, trudno wyrzucić je z głowy. Złapał się na tym, że wciąż kombinuje, jak sprawić, by mimo wszystko było to jednak możliwe. Dziewczyna nienawidzi męża, ale nie może go zabić w realu, więc zastawia pułapkę na samą siebie w rzeczywistości serialowej, a wpadając w nią, na moment się budzi, dokonuje morderstwa, po czym wraca do stanu uśpienia. Teoria śliczna, ale jak to wszystko dopasować do faktu, że wzory i muzyka, którą kryły, to część scenariusza? Czyżby winny był Greg?

– Ale czy wtedy by się przyznał? – ostatnie słowa Theo burknął pod nosem, co sprawiło, że facet w garniturze najpierw posłał mu zaciekawione spojrzenie, a następnie ponownie wlepił wzrok w widok za szklaną ścianą.

A może inaczej: ktoś dowiedział się, co planuje Greg i gdzie szuka muzyki, więc podrzucił dzingiel na komputer, co pewnie nie było jakoś wariacko trudne, albo nawet wymienił folder z dzinglami, tak że niezależnie od wyboru Greg i tak trafiłby na taki z komunikatem... Brzmiało to wariacko i paranoicznie, ale mimo wszystko realnie. A jak mawiał Holmes: „Wyklucz to, co niemożliwe, a to, co zostanie, choćby nieprawdopodobne, musi być rozwiązaniem”.

Po chwili winda zatrzymała się i Theo ruszył w stronę parkingu. Jeszcze przed chwilą myślał, że skoczy choć na moment do domu, bo tam zawsze myślało mu się najlepiej, teraz jednak wiedział, że nie będzie w stanie

myśleć o niczym innym, dopóki nie zweryfikuje swojej teorii. A był tylko jeden człowiek, który mógł mu w tym pomóc. Jedyne niezwiązane z WatcherTV.



Terrence Stanwyck zszedł po schodach, zawiązując pasek szlafroka. Dzwonek wideofonu brzęczał natrętnie, jakby ktoś tam, przy bramce, chciał dać jednoznacznie do zrozumienia, że nie odejdzie, dopóki gospodarz z nim nie porozmawia.

– Aż się zdziwisz, cholera – burknął pod nosem Stanwyck. Nacisnął przycisk... i zaskoczony aż zamrugął.

– Theo?

– No, jesteś wreszcie – rozległo się z głośnika. Kowalsky stał przy furtce z zadartą głową i patrzył wprost w oko kamery. – Mam sprawę, wpuścisz mnie?

– Nie wiem, czym zasłużyłem sobie na taką wizytę, ale jasne, wchodź. – Nacisnął przycisk z wizerunkiem klucza i przytrzymał go, dopóki nie zobaczył, że Kowalsky otworzył bramkę. Ostatnimi czasy trochę opadła i teraz zdarzało jej się zacinać. Potem uchylił drzwi wejściowe i wrócił na górę.



Pomimo otwartych drzwi Theo nie wszedł do środka. Rozejrzał się po ogrodzie, ściągnął marynarkę i przewiesił ją przez rękę. Wyprostował się i w tej pozycji czekał, aż gospodarz zaprosi go do środka.

Właściwie nie wiedział, czemu to robi. Kiedyś, za dawnych czasów, zwyczajnie wszedłby do mieszkania, potem do salonu i rozsiadłby się w fotelu. Dziś jednak nie był pewien, na ile może sobie pozwolić. Nie było go tu przeszło dwa lata, a wymiana kartek z okazji urodzin to jednak zbyt słaby sposób na podtrzymanie kontaktu z przyjacielem. Zwłaszcza gdy ten mieszka w tym samym mieście i odwiedzenie go to tak naprawdę żadna wyprawa.

„Wyglądasz jak kretyn” – pomyślał, ale mimo to wciąż nie przestąpił progę. Być może liczył, że Terrence go zbeszta i powie, żeby się nie wygłupiał. Że ma wejść, bo przecież wszystko jest po staremu. Dziwne, ale do tego momentu Kowalsky nawet nie zdawał sobie sprawy, jak mu zależy, aby to usłyszeć.

Rozległy się coraz głośniejsze dźwięki rozmowy, po czym drzwi stanęły otworem.

– Wejdz, proszę. – Stanwyck uśmiechnął się lekko. – Miło cię widzieć.

– Wzajemnie. – Theo przestąpił próg i skłonił się stojącej przy schodach Scarlett. Dziewczyna obdarzyła go miłym uśmiechem i postąpiła krok do przodu, wyciągając rękę.

– Scarlett Kwiatkowska, BBC Polska – przedstawiła się. – Bardzo miło mi pana poznać, panie Kowalsky. Zawsze chciałam...

– Tak, tak, jemu z pewnością również, kochanie – wtrącił się Stanwyck – ale tobie przecież bardzo się spieszy. Do zobaczenia niebawem. Jeszcze kiedyś porozmawiacie.

Delikatnie, ale stanowczo wypchnął dziennikarkę za drzwi, całując ją po drodze w policzek. Następnie odwrócił się i gestem zaprosił Theo do

salonu.

– Wejdz i wybacz bałagan.



Theo rozsiadł się w wygodnym skórzanym fotelu i sięgnął po otwarty kryminał znaleziony na stoliku obok.

– Jak to możliwe, że z twoim wyglądem masz takie powodzenie? – zapytał mimochodem. – Za dawnych czasów żadna nie raczyła nawet spojrzeć, a teraz...

– Pamiętasz Seana Connery’ego? – roześmiał się gospodarz. – To ta sama zasada. Poza tym dzięki twojemu pomysłowi jesteśmy teraz żywymi legendami, laski na to lecą. Wiedziałyś, gdybyś nie spędzał tyle czasu w domu.

Przeszedł przez pokój, mijając regał z płytami i sprzętem hi-fi, a także rozstawione na aluminiowym stelażu organy Hammonda. Otworzył barek i wyciągnął z niego butelkę whisky. W drugą rękę wziął dwie szklanki.

– Z lodem?

– Bez. – Theo poprawił się w fotelu. – Właściwie przychodzę do ciebie w sprawie wczorajszych wydarzeń.

– Domyśliłem się. Przecież nie po to, by odnawiać stare przyjaźnie. No i cóż innego oderwałoby cię od odprawiania kretyńskiej pokuty po śmierci tego Gąski, jeśli nie szansa, by załatać lukę w systemie? – Stanwyck zakręcił butelkę, podniósł szklanki i podszedł do fotela Theo. Wręczył mu jedną i usadowił się na kanapie naprzeciw, lewą ręką obejmując oparcie. – Niestety, nie pomogę ci. Od naszych czasów wiele się zmieniło, a poza tym

nawet tego nie oglądałem. Jedynie powtórki. Nie wiem, jak to się mogło stać.

Theo w zamyśleniu upił łyk.

– Miałem dzisiaj pewną teorię – powiedział po chwili. – Trochę ryzykowna, ale myślę, że przy pewnych założeniach może stanowić rozwiązanie.

– Dawaj. – Stanwyck uśmiechnął się. – Bardzo chętnie wytknę ci w tym wszystkie błędy.

– Będę wdzięczny. – Kowalsky poprawił się w fotelu i w kilku słowach wyłożył swoje domysły na temat wyzwalacza i szyfru w postaci figur Chladniego wokół lustra. – Jak myślisz, jest to realne?

– Trudno powiedzieć – odparł Stanwyck, a uśmiech w jednej chwili zniknął z jego twarzy. Mówił, starannie dobierając słowa: – Teoretycznie tak. Musiałoby to działać na zasadzie zakłócenia działania wgrywki w podświadomości. W takim przypadku dżingiel albo znosi blokadę i wtedy winna jest aktorka, albo powoduje zakłócenia, sprawiając, że z podświadomości wypęła na górę najmocniejsze uczucie. Jeśli rzeczywiście nienawidziła męża, to właśnie mógłby być powód. Nie dlatego, że chciała to zrobić, ale dlatego, że nie mogła tej myśli zastopować. Czy wiadomo, kto odpowiadał za dekoracje?

Theo pokiwał głową.

– Tak, i tu, niestety, teoria trochę się sypie. Bo to był pomysł Grega. Pamiętasz go? Grubasek, który latał za wszystkim za czasów „Codzienności”.

– Aha...

– To właśnie on, zainspirowany zresztą moim dawnym pomysłem z figurami Chladniego, wpadł na ten pomysł. Dżingla znalazł na moim kompie wśród propozycji na motyw przewodni do serialu. Jego bym raczej

nie podejrzewał, stąd tu już wkraczam na grząski grunt. Ale myślę sobie, że istnieje szansa, że ktoś dowiedział się o planach Grega i podmienił pliki na moim komputerze, tak by zawierały w sobie przekaz, i wtedy...

– Zaraz, zaraz! – Stanwyck wyraźnie się zaniepokoił. – Chcesz powiedzieć, że on to wygrzebał z twojego komputera? Tego z czasów „Ot, codzienność”?

– Dokładnie tak. – Theo skinął głową trochę zaskoczony nagłą reakcją doktora. – Sam mi tak powiedział.

– A czy potrafiłbyś zanucić ten utwór? Znaczący dzingiel? Takie rzeczy wpadają w ucho.

– Pewnie. – Kowalsky, wciąż zdumiony, wzruszył ramionami. – Czepiło się mnie jak gównu okrętu i teraz żyć mi nie daje. Zupełnie jak w tej książce Bestera...

– Theo, zanuć!

Kowalsky zanucił dzingiel. Stanwyck milczał przez chwilę, zaciskając dłoń na szklance, aż pobieleły mu kostki. Potem nagle wstał.

– Wybacz – powiedział. – Muszę się odlać.

Wyszedł, zostawiając Theo samego w pokoju.

Kowalsky siedział przez chwilę, po czym wstał i podszedł do regału z płytami. Nie musiał długo szukać Stonesów, pod tym względem zawsze świetnie się ze Stanwyckiem dogadywali. Wyciągnął płytę z pudełka i otworzył czytnik. Z wieży wysunęła się tacka z kręcącą się na niej płytą CD. Ktoś napisał na niej flamastrem „Scarlett”.

„A to co takiego?” – pomyślał Theo, wsuwając płytę z powrotem do czytnika. Maksymalnie ściszył dźwięk, po czym włączył.

Muzyczka, nagrana niewątpliwie na organach, różniła się znacznie od dzingla odtworzonego przez Blanę, ale napisana została wedle podobnego schematu. Kilka prostych dźwięków łatwo wpadających w ucho, ale nie

kojarzących się z żadną znaną melodią. Theo zerknął na hammonda i zauważył zamocowaną nagrywarke.

Wiedziony nagłą myślą wyciągnął płytę z czytnika i szybkim krokiem przeszedł do przedpokoju.

– Przypomniałem sobie, że muszę coś pilnie załatwić! – krzyknął. Zdjął z wieszaka marynarkę i otworzył drzwi. – Wpadnę później.

Wybiegł z domu, po drodze wyciągając telefon. Za jego plecami Stanwyck zaklął i coś krzyknął, ale Kowalsky zdążył już dopaść bramki i wybiec na ulicę.

– Greg? – rzucił do komórki. – Znajdź mi numer do Scarlett Kwiatkowskiej. Dziewczyna pracuje dla BBC Polska. To pilne.

Rozłączył się i pognął w stronę pobliskiego postoju taksówek.



Zdążył przejechać dwie przecznice, gdy zadzwoniła Scarlett. Numer dostała od Grega, który uznał widocznie, że tak szybciej nawiążą kontakt. Zapytała, co się stało, a gdy poprosił ją o spotkanie, zapytała tylko, gdzie jest, i – po krótkiej rozmowie z kierowcą swojej taksówki – obiecała być tam za nie więcej niż pięć minut. Zapytała jeszcze, czy to ma coś wspólnego ze sprawą Wójcik–McCole.

– Bardzo prawdopodobnie – odparł Kowalsky. – Wyjaśnię pani, kiedy się spotkamy.



Jedynym lokalem, który Theo znał w tej okolicy, była pizzeria „Tatiana”. Za czasów „Ot, codzienność” często zamawiali tam posiłki, bo na plan było stąd nie dalej niż kwadrans jazdy.

Kowalsky usiadł przy dwuosobowym stoliku pod oknem i z uwagą przyjrzał się wnętrzu. Właściwie niewiele się zmieniło. Te same ciemnożółte ściany pełne drewnianych ozdób, trójnożne stoliki na środku i długie ławy ustawione równoległe do ścian. Na wprost wejścia szeroki kontuar, nad którym na drewnianej belce wywieszono ozdobny drzeworyt z nazwą lokalu. A całkiem po lewej, nad szafą grającą – ustawioną tam wyłącznie dla ozdoby, bo od dawna nie działała – wisiał oprawiony w drewniane ramy plakat z „Butcha Cassidy’ego i Sundance Kida”.

Inne były za to reklamy browarów, doszła też półka z mocniejszymi alkoholami i postawiono ściankę oddzielającą kuchnię od głównej sali. To ostatnie odebrało „Tatianie” resztki klimatu. Kiedyś, czekając, można się było przyglądać kucharzowi rozrabiającemu ciasto, kręcącemu nim nad głową czy nakładającemu plasterki salami, jakby to były karty. Theo zawsze świetnie się bawił, obserwując te popisy, zwłaszcza że zatrudniali tu naprawdę świetnych fachowców i nie przypominał sobie żadnych kompromitujących wpadek.

Scarlett pojawiła się po kilku minutach. Weszła do lokalu, ściągnęła okulary przeciwsłoneczne i rozejrzała się po wnętrzu. Gdy dostrzegła Theo, z uśmiechem pomachała mu i podeszła do stolika.

– To dla mnie niezwykle miła niespodzianka – powiedziała, kiedy podali sobie ręce. – Myślałam, że wycofał się pan z branży.

– Wycofałem się – przyznał Theo. – Ale teraz wystąpiła nagła sytuacja i poproszono mnie o konsultacje.

– Przepraszam. – Scarlett sięgnęła do torebki i zaczęła przerzucać znajdujące się w niej rzeczy. – Proszę mówić, ja tylko...

– Nie pozwolę pani nagrywać tego, co pani usłyszy – stwierdził Theo obojętnie. Podniósł stojącą przed nim filiżankę kawy i palcem wskazującym wytarł kroplę rozlaną na spodeczku. – Może pani tylko słuchać.

Scarlett wyciągnęła rękę z torebki, odwróciła się i uśmiechnęła.

– Nigdy nie zaszkodzi spróbować, prawda?

– Prawda. – Theo również zmusił się do uśmiechu, choć nie przyszło mu to łatwo. W głębi duszy wcale nie chciał, by potwierdziła się teoria, jaką obracał właśnie w głowie. – Pani Kwiatkowska, czy...

– Po prostu Scarlett.

– Tak, dobrze. – Wciągnął powietrze coraz bardziej zniecierpliwiony i odetchnął głęboko. – Scarlett, czy pozwolisz, że zanim podzielę się z tobą moją rewelacją, zadam ci pytanie natury osobistej?

Jeśli dziewczynę zdziwiło bądź zaskoczyło to pytanie, nie dała tego po sobie poznać.

– Jasne – odparła.

– Jak poznaliście się z Terrence'em?

– Z panem Stanwyckiem? Poprosiliśmy go o wywiad i udzielił go nam dziś rano. Wymieniliśmy się numerami telefonów, a potem on zadzwonił, że ma jakąś rewelację o śmierci McCole'a. Jakąś teorię...

Przerwała na moment i na jej twarzy pojawił się wyraz skupienia, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć. Trwało to chwilę, zaledwie sekundę czy dwie, ale Theo znał tę minę. Widział ją u Blanki Wolskiej, czyli Theresy Wójcik-McCole, na chwilę zanim zamordowała męża.

– ...ale okazało się, że to ślepy zaułek – dokończyła dziewczyna. – To tyle z naszej znajomości.

Rozejrzała się po wnętrzu restauracji i pochyliła do przodu, by móc zniżyć głos, a także by Theo miał możliwość zajrzeć jej w dekolt. To

zawsze działało.

– Panie Kowalsky, proszę wybaczyć bezpośredniość, ale ja naprawdę potrzebuję tej rewelacji. Wie pan, jakie są dzisiejsze media informacyjne. Jeżeli do wieczora nie będę nic miała, wylecę z tej sprawy. A to może być temat miesiąca, a może i roku.

– Hmm... tak. – Theo przymknął oczy i wyprostował się na krześle. Teraz był już pewien. To, co zamierzał, było już wyłącznie formalnością. Kropką nad i, strzałem kontrolnym oddanym w trupa. Wstał.

– Proszę wybaczyć na chwilę – powiedział, uśmiechając się przepraszająco. – Zaraz wracam i wszystko pani opowiem. Będzie pani miała swój udział w rozwiązaniu tej sprawy. Daję słowo.

Z kieszeni marynarki powieszzonej na krześle wyciągnął portfel i płytę. Potem ruszył w stronę baru.

Sądząc po minie, stojący za ladą chłopak poznał go, choć raczej jako minioną sławę z telewizji niż klienta. Nie wyglądał na takiego, który pracuje tu od kilku lat.

– W czym mogę pomóc? – zapytał grzecznie.

– Mam taką maluteńką prośbę – zaczął Theo. – Czy mógłby pan włączyć na moment tę płytę? Ale tak, żeby była słyszalna na cały lokal.

Chłopak zawahał się.

– A co na niej jest?

– Nic strasznego. – Theo położył obok płyty dwadzieścia euro. – Taka tam melodyjka, ale moja znajoma dobrze ją wspomina.

Głową wskazał na Scarlett, licząc, że jej widok przypomni dzieciakowi o męskiej solidarności. Nie zawiódł się. Chłopak wziął płytę i włożył do wieży, wyłączając radio.

– Dzięki wielkie. – Theo schował portfel do tylnej kieszeni spodni. – Włącz, jak już usiądę, dobra?

Westchnął głęboko i wrócił do stolika.

– Myślę, że możemy zacząć – powiedział. – Być może dotarło już do pani, że wczoraj zaproszono mnie do Watchertv...

I w tym momencie z głośników rozległy się znane już Kowalsky'emu dźwięki. Prosta, sklecona pewnie na oczekaniu melodyjka, zbyt prosta nawet jak na dzingle do programów dla dzieci – nic dziwnego, że wprawiała w konsternację klientów, którzy rozglądali się po lokalu zdumieni, że coś takiego może lecieć w radiu.

Tymczasem Theo wbił wzrok w twarz Scarlett, uważnie obserwując jej reakcje. Widział, jak źrenice dziewczyny rozszerzyły się gwałtownie, a potem niemal natychmiast zwężyły, jakby dostała po oczach fleszem. Zamrugła kilka razy, by nagle wstać od stołu.

– Przepraszam – mruknęła. Jej głos brzmiał obco i nieobecnie.

– Nic nie szkodzi – odparł Theo, choć wiedział, że dziewczyna tak naprawdę już go nie słyszy. Przez chwilę siedział w bezruchu i patrzył, jak wychodzi, a potem wstał, położył na stół pięć euro, po czym ruszył w stronę wyjścia. Nie musiał się spieszyć, doskonale wiedział, dokąd zmierza Scarlett.

– Panie Kowalsky! – zawołał za nim chłopak zza lady. Podszedł i podał mu płytę. – Chyba nie wyszło, co?

– Przeciwnie – westchnął Theo. – Niestety, wyszło dokładnie, jak się spodziewałem.



Gdy dojechał pod dom Stanwycka, ten właśnie stał przy furtce, czekając na taksówkę. Theo wysiadł ze swojej i skinął doktorowi głową.

– Wybacz, że wcześniej wyszedłem, ale miałem pewne podejrzenia – powiedział. – Wejdziemy?

Stanwyck popatrzył na niego błagalnie.

– Theo, naprawdę spieszę się w tej chwili. Nie ma możliwości, byśmy to przełożyli... na kiedyś? Przez wzgląd na stare czasy.

Kowalsky uśmiechnął się lekko i pchnął furtkę. Tym razem drzwiczki ustąpiły bez większych problemów.

– Właśnie przez te dawne czasy myślę, że musimy pogadać.

Ruszył podjazdem w stronę domu, nie patrząc za siebie. Wiedział, czy raczej wierzył głęboko, że Stanwyck podejmie właściwą decyzję. Taką, która nie zmusi Theo do dzwonięcia na policję.



– Strasznie długo się zbierałeś – powiedział Kowalsky, gdy już weszli do mieszkania. – Rozumiem, że usuwałeś dowody. Maszyna do wgrywek, nagrywarka w hammondzie...

Znów przeszedł do salonu, ponownie rozsiadł się w fotelu. Zauważył, że na stoliczku nie ma już kryminału, i przez głowę przemknęła mu zabawna myśl, że najprawdopodobniej jest on teraz w podręcznym bagażu doktora. Nawet z potencjalnym pościgiem na karku nie zapomina o lekturze.

– Słuchaj, Theo... – zaczął Stanwyck, ale Kowalsky nie dał mu dokończyć.

– Podesłałem ci dziewczynę – powiedział, wyciągając płytę i kładąc ją na stole. – Mam nadzieję, że dobrze się bawiliście.

Doktor nie odpowiedział i przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Nie zabiłem McCole’a – westchnął w końcu Stanwyck. – Nie mam pojęcia, czy rzeczywiście to, że Greg trafił przypadkiem na moje nagranie, miało jakiś wpływ na to zabójstwo. Być może było tak, jak ci powiedziałem: dwie wgrywki w podświadomość spowodowały, że dominujące uczucie, w tym wypadku nienawiść do męża, wypłynęło na powierzchnię. Do tego doszło otumanienie, być może szok spowodowany tym, że nagle ta nienawiść była jedynym, co znała, co rozumiała, a być może i pamiętała, i *voilà*... Theo, nie wiem, ale nawet jeśli do tego doszło, to był przypadek. Nie chciałem jego śmierci. Niczyjej śmierci.

Kowalsky pokiwał głową.

– Też mi się tak wydaje – przyznał. – Mam jednak wrażenie, popraw mnie, jeśli się mylę, że w chwili gdy tu przyszedłem, gdy zacząłem ci wyklądać sprawę, jeszcze nie domyślałeś się, że to może mieć coś wspólnego z tobą. Naprawdę próbowałeś mi pomóc, nie mając pojęcia, że tą drugą wgrywką jest twój fundowany panienkom odruch Pawłowa. Swoją drogą, zastanawiam się, czemu to zrobiłeś? Przecież gdybym to upublicznił, skończyłyby się twoje zabawy.

– Są rzeczy ważne i ważniejsze. – Stanwyck usiadł na skraju stołu i podniósł stojącą na blacie pustą szklankę. – Przyszedłeś tu taki zaaferowany własnym pomysłem, więc stwierdziłem, że dlaczego nie.

– Mam rozumieć, że to była przyjacielska przysługa, tak? – parsknął Kowalsky. – Że zrobiłeś to przez wzgląd na stare, dobre czasy i teraz ja powinienem zachować się podobnie? – Brodą wskazał drugą szklankę. – Nalej, a potem opowiedz, jak to się zaczęło. Pierwsza była McCole?

– Tak. – Doktor wstał i podszedł do barku. – Wtedy jeszcze nie była mężatką. Możesz nie pamiętać, ja sam nie kojarzyłem, dopóki nie zanuciłeś tego dżingla, ale grała u nas w „Codziennosci”. Była bodaj rzymską niewolnicą w jednym z epizodów... Chciała zobaczyć, jak by to było, gdybym wgrał jej Kleopatrze. I wtedy wpadłem na ten pomysł. Stworzyłem odpowiednią wgrywkę do podświadomości, wyzwalacz skomponowałem na szybko na syntezatorze i zapisałem sobie na przyszłość. Potem dorzuciłem ci go do plików, myśląc, że będzie zabawnie, gdy ilekroć w telewizji puszcza „Ot, codzienność”, do moich drzwi zapuka gorąca suczka... Teraz wiem, że zawałem, ale...

– A potem? Ile ich było? Dziesiątki? Setki?

– Trochę było – stwierdził Stanwyck – ale naprawdę żadnej nie zrobiłem krzywdy. Chodziło tylko o seks.

Theo pokiwał głową, jakby rozumiał, że to wystarczająca motywacja. Po chwili jednak dodał już zupełnie innym tonem:

– Ale, chcesz tego czy nie, masz na sumieniu człowieka. Gdyby nie twoje zabawy...

Doktor odwrócił się gwałtownie, tak że trzymana przez niego whisky chlapanęła na dywan. Już otwierał usta, by coś powiedzieć, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Zwiesił głowę.

– Co zamierzasz teraz zrobić?

Kowalsky wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł zgodnie z prawdą. – Nie mam pojęcia.

Po raz drugi zapadła cisza. Tym razem przeciągała się przez długie minuty, podczas których obaj mężczyźni siedzieli, popijając whisky. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że zwyczajnie delektują się zawartością szklanek.

– Jeśli pozwolisz mi zniknąć, dam ci słowo, że więcej tego nie zrobię – obiecał w końcu Stanwyck. – Dam ci kolekcję płyt i listę dziewczyn.

Chcesz, zniszczysz, chcesz, zachowasz... Co do McCole, jest szansa, że śledczy nigdy nie wykryją mojej wgrywki, bo to tak naprawdę niewielkie zmiany w kodzie. Wtedy okaże się, że to błąd systemu, i oberwie się Watchertv. Pamiętasz, jak po sprawie Gąski chciałeś to wszystko rozwalić? Teraz oberwą tak, że nigdy się nie pozbierają, Theo! Oni...

– Oni? – Kowalsky popatrzył na dawnego przyjaciela z uśmiechem pobłażania. Pomyślał o Gąsce, którego sam zatwierdził, o tych wszystkich dziewczynach Terrence'a i wreszcie o Williamie McCole'u. – Nie ma żadnych onych. To my.

Wstał i odstawił szklankę na blat.

– Masz czterdzieści osiem godzin – powiedział. – Przez wzgląd na stare, dobre czasy.

A potem wyszedł, zostawiając Stanwycka samego.

Chciałem napisać opowiadanie o Indianach. Akurat czytałem sobie troszeczkę na ich temat, zapoznawałem się z wierzeniami, legendami, opowiastkami i anegdotkami – rozumiecie, tak hobbystycznie, z ciekawości. No i mnie naszło. Czasami tak mam. Pod wpływem filmów zmieniam ubiór bądź fryzurę, dobra muzyka skłania mnie do kolejnych nieudolnych prób komponowania, a ciekawe tematy kuszą, by coś o nich napisać. Nieważne co, cokolwiek...

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności moja fascynacja rdzennymi mieszkańcami Ameryki Północnej (konkretnie szczepem Szoszonów) zbiegła się z pomysłem mojego wydawcy, Fabryki Słów, by wydać antologię opowiadań o aniołach. Oczywiście zostałem do niej zaproszony.

Piszę to „oczywiście” nie dlatego, że nadymam się jak balon, jakim to niby wielkim twórcą jestem. Tak się jednak złożyło, że jestem jednym z dwojga autorów w tym kraju, którzy jaki taki sukces odnieśli dzięki skrzydlatym właśnie. Dziwne by było, gdyby mnie zabrakło, nie uważacie?

Trudno to stwierdzić kategorycznie, ale mam wrażenie, że wydawca spodziewał się kolejnego tekstu o Kłamcy. Wiem z całą pewnością, że liczyli na to niektórzy Czytelnicy – widać to chociażby w recenzjach antologii. Cóż jednak mogłem poradzić na to, że w głowie siedzieli mi wyłącznie Indianie? Ukryci za niemal każdą mózgową fałdką kosili z łuków wszystkie inne koncepcje. Wreszcie uległem i zacząłem myśleć, jak połączyć anioły i Indian. Owoc tych przemyśleń macie na kolejnych stronach.

*Dedykuję: Mojemu Tacie i mojemu Synowi.
Pisząc, sam nie wiedziałem, z której perspektywy –
ojca czy syna – patrzy mi się lepiej. Ale z każdej
z nich miałem przed oczami kogoś, kogo kocham.*

NEWEGWASU'U

Ne hinni? „Kim jestem?”

Kinniih, przyczajony w krzakach, powoli naciągnął cięciwę.

„Jestem niczym puma, moje ruchy są zwinne, a kroki bezgłośne...”

Nabrał w płuca powietrza i znieruchomiał, skupiając wzrok na przyczajonej pod krzakiem ofierze. Nie mógł sobie pozwolić na żaden dźwięk. Uszy Kammu długie, duch płochliwy, a gdy wyczuwa niebezpieczeństwo, gna tak, że nikt go nie dogoni.

„...Jestem wilkiem, pierwszym pośród zwierząt. Nocnym łowcą o ostrych kłach i silnych łapach...”

Zwolnił cięciwę, równocześnie wypuszczając powietrze.

„...Jestem łowcą Shorouki, a ciało me napełnia mądrość i siła mych przodków”.

Strzała o dwa palce minęła łeb zwierzęcia i utkwiała w drzewie za nim. Spłoszony Kammu rzucił się do ucieczki.

Kinniih wyskoczył z krzaków, sięgając do kołczanu po kolejną strzałę. Wciąż jeszcze miał szansę, choć ta malała wraz z coraz dalszą kicającą sylwetką.

Zatrzymał się, naprężył cięciwę... i w tym samym momencie z nieba spadł orzeł. Leciał w dół jak kamień rzucony do strumienia, ledwie jednak szpony drapieżnika dotknęły futra Kammu, zaraz wzbił się w powietrze, unosząc ze sobą zdobycz. Zdawało się, że kpi sobie z młodego Shorouki, poruszając skrzydłami majestatycznie, jakby płynął w powietrzu. Zachęcał, by chłopiec pognał za nim.

„Łowca nie złorzeczy lepszemu, ale uczy się od niego” – Kinnih przypomniał sobie słowa ojca. Poglądził zawieszona na piersi krogulcze pióro.

– Bądź pozdrowiony, Kwinaa, starszy bracie! – zawołał do ledwie już dostrzegalnego orła. Wrócił w zarośla po włócznię, którą zabrał, na wypadek gdyby napotkał grubsze zwierze, a potem powoli, z uczuciem porażki w sercu, ruszył w stronę strumienia.



Łowienie ryb, w przeciwieństwie do polowania, szło mu zawsze bardzo dobrze. Wielu starszych, których duchy radowały się już na myśl o wiecznych łowach, nazywali go nawet Witsapainkwi – rybka. Znosił to dzielnie, zaciskając usta i powtarzając sobie, że nadejdzie dzień, kiedy dostrzegą w nim prawdziwego łowcę. Na razie jednak wspomagał plemię tym, co potrafił.

Ostrożnie wszedł do strumienia, zacierając ręce. Głowę trzymał nisko i wypatrywał czujnie najmniejszego choćby ruchu pod wodą. Jak zwykle rozpraszał go widok własnej chudej twarzy o lekko spłaszczonym nosie i małych, osadzonych blisko siebie oczach. Nie lubił swojego wyglądu i z dnia na dzień coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że nigdy nie będzie podobny do ojca, któremu poprzedni wódz oddał za żonę córkę, doceniając jego zasługi dla plemienia.

„Jestem Weda – niedźwiedź o zręcznych łapach”.

Młody łowca spróbował odgonić nieprzyjemne myśli i skupić się na łowieniu.

Tuż obok jego nogi przepłynął pstrąg. Wił się, nie chcąc poddać prądom, które ciągnęły go w dół strumienia.

Kinniih podziwiał jego dzielność. Poruszył lekko głową w geście szacunku. A potem zaatakował...

Jego dłoń uderzyła w taflę wody i zanim wzbite przez nią krople zdążyły opaść, już wyciągał rękę z powrotem. Nie starał się złapać ryby, ale wzorem niedźwiedzia ogłuszył ją i cisnął z wody na brzeg. Podobnie uczynił z kolejnymi...

Gdy uznał, że już wystarczy, wytarł mokre ręce o włosy i wyszedł na brzeg, rozglądając się za jakimś kijem, na który mógłby nabić ryby. I wtedy właśnie usłyszał ten dźwięk po raz pierwszy.

Brzmiał jak pogrzebowa pieśń i był tak cichy, że z łatwością zagłuszał go szum wody. Lecz Kinniih, łowca, słuch miał lepszy niż większość plemienia. Niektórzy powiadali nawet, że najlepszy ze wszystkich.

Śpiew urwał się przerwany atakiem kaszlu, zaraz jednak rozbrzmiał na nowo. Nie padło żadne ze znanych chłopcu słów, ale mimo to Kinniih był pewien, że rozumie sens pieśni. Mówiła o utraconej wolności i zamknięciu. O śmierci – darze przewrotnego kojota, a także o pięknie, które przepadło na zawsze.

Indianin zacisnął palce na krogulczym piórze, a drugą ręką dotknął rzeźbionej w jelenim rogu rękojeści noża.

„Łowca Shorouki nie boi się niczego. Strach jest dla ofiar”.

Chwycił łuk, nałożył nań strzałę i powoli, zostawiwszy pod opieką duchów ryby i włócznie, ruszył w kierunku, skąd dobiegał głos.

Im bardziej się zbliżał, tym głos stawał się mocniejszy, a słowa wyraźniejsze. Niektóre z nich Kinniih potrafił nawet zrozumieć, chociaż – był tego pewien – słyszał je po raz pierwszy.

Wspiął się na niewysokie, porośnięte gęsto wzgórze i... zamarł.

Tuż przed nim kilka stóp nad ziemią wisiał rozpostarty na gałęziach mężczyzna. Jego skórę znaczyły drobne i większe szkarłatne kreski, z ust ciekła cieniutka strużka krwi. Wszystko wskazywało na to, że nie żył – kręgosłup miał złamany na wysokości krzyża, o czym świadczyło nienaturalnie wygięte ciało. Lecz nie z tego powodu serce młodego łowcy napęliło się przerażeniem. Nieraz widywał już martwych współplemieńców, a wielu z nich wyglądało po śmierci gorzej niż ten tutaj.

Mężczyzna na drzewie różnił się od wszystkich Shorouki. Miał niespotykane jasną skórę i włosy barwy spalonej słońcem trawy. Ubrany był w poszarpaną teraz, wciąż jednak białą szatę, która sięgała mu do kolan, a na rękach i nogach połyskiwały w słońcu ozdoby. A co najbardziej zaskakujące – miał skrzydła.

Wygięte na gałęziach nie wyglądały imponująco, do tego jedno było najprawdopodobniej złamane, ale i tak na młodym łowcy zrobiły ogromne wrażenie. No i mimo że martwy, mężczyzna na drzewie wciąż śpiewał.

Kinniih odrzucił łuk i schylił głowę.

„Stając przed wielkim duchem, okaż, żeś tego godny” – zwykł mawiać Tshuin Godoko, wioskowy szaman, z którego zdaniem liczył się nawet wódz. Chłopiec ostrożnie postąpił krok do przodu.

– Bądź pozdrowiony, o duchu, który zstąpiłeś na ziemię Shorouki – powiedział, starając się, by jego głos brzmiał poważnie, jak przystało na łowcę. Nie potrafił w jednej chwili pozbyć się z pamięci wszystkich opowieści o złych duchach, które pożerają nieposłusznych chłopców, gdy ci oddalą się od wioski. Matka i inne kobiety zbyt często je powtarzały. Wszak dzieckiem był niemal całe swoje życie, a łowcą stał się dopiero dwa księżyce temu.

Na dźwięk jego słów mężczyzna przestał śpiewać i otworzył oczy. Były zielone jak liście, gdy kończy się zima, a nastaje *Dimbi wa sopita* – Czas,

gdy świat znowu nabiera barw.

– *Lo waa'cin* – rzekł cicho, a z jego ust pociekła strużka krwi. – Jestem głodny.

Chłopiec skinął głową. Nie były to słowa jego ludu, ale znał je dość dobrze. Tak mówili Lakhota, których duchy obdarzyły płodnością. Ich wojowników więcej było na świecie niż gwiazd na niebie, a przyjaźń z nimi warta była więcej niż tysiąc niedźwiedzich skór.

– Mam ryby, o wielki duchu – powiedział, schylając się po nóż. Jeżeli zdziwiło go, że duch może być głodny, nie dał tego po sobie poznać. Zresztą do tej pory znał duchy tylko z opowieści, a szaman był już stary i mógł o czymś zapomnieć.

– *Han* – skinął głową skrzydlaty i ponownie zamknął oczy. Zgadzał się na ryby.



Kinniih biegiem wrócił nad strumień i znalazłszy kijek, ponabijał nań wszystkie złapane ryby. Drżały mu ręce, a w ustach zrobiło się sucho. Z jednej strony był dumny, że to właśnie on znalazł dobrego ducha, ale z drugiej – bóstwo mówiło w języku Lakhota, co znaczyło, że właśnie ich uważa za pierwszy wśród ludów.

„I co sprawiło, że osłabł i runął z nieba?” – pomyślał łowca, łapiąc za włócznię. Przypomniał sobie, jak szaman tłumaczył kiedyś, że świat duchów pozostaje w równowadze. Czyżby prawdą było, że ostatnio dobre duchy słabną, a złe duchy rosną w siłę?

Ponownie wspiął się na wzgórze i ostrożnie zbliżył do skrzydlatego. Jak sądził, tamten zaraz zechce, by chłopiec pomógł mu zejść. Mógł się do tego zabrać od razu, ale czekał na prośbę, nie chcąc obrazić ducha zbytnią śmiałością.

Skrzydlaty poruszył się lekko i jego twarz wykrzywił grymas cierpienia. Gałęzie, na których wisiał, zatrzeszczały ostrzegawczo, żadna jednak nie ustąpiła. Kinniih wątpił, czy obejdzie się bez noża.

– Przyniosłem ryby – powiedział, opierając o drzewo włócznię i kij z rybami. Spróbował sobie przypomnieć, jak mówi się „ryby” w Lakhota. – *Hogan* – dodał po chwili.

Duch z drzewa uśmiechnął się lekko.

– Język, w którym mówię, nie jest twoim? – zapytał szeptem.

Młody łowca opuścił wzrok.

– Nie jestem Lakhota, o wielki duchu – odparł zły na siebie, że mówi to tak, jakby się wstydził swego ludu. Zaraz więc powiedział już pewniej: – Jestem Shorouki... Moim ojcem jest Dedowaga’, któremu zwierzęta oddają pokłon, mówiąc: „Oto idzie wielki łowca”.

Jak zawsze, gdy mówił o ojcu, jego oczy błyszcząły, a głos przybierał na sile. Skrzydlaty zauważył to, bo mimo bólu roześmiał się.

– Wybacz mi, łowco – rzekł z wyraźnym trudem. – Dotąd spotkałem tu samych Lakhota, a nikogo z twego ludu. Mówisz, Shorouki? Znam wszystkie języki, ale wciąż mi się mieszają. Poprawiaj mnie zatem, jeśli się pomylę.

Kinniih otworzył usta zdumiony, nagle niezdolny do wymówienia choćby jednego słowa. Wielki duch prosi, by go poprawiał?!

– Nie jestem również duchem, chłopcze – skrzydlaty zdawał się czytać w jego myślach. – Kiedyś nim byłem, ale dawno temu. Pomożesz mi stąd zejść? Naprawdę jestem głodny.



Zdjęcie skrzydlatego z drzewa nie było łatwe, ale okazało się niczym wobec rozpalenia ognia. Młody łowca bardzo się przejął, że szykuje posiłek dla bóstwa. Nie był w stanie ani uspokoić drżenia rąk, ani powstrzymać się od ciągłego, nerwowego zerkania w stronę niezwykłego towarzysza.

Duch jednak zdawał się tego nie zauważać. Siedział wsparty o ogromny głaz i patrząc przed siebie, nucił cicho. Okrył się jednym skrzydłem, a drugie, złamane, trzymał rozpostarte. Kinniih, który nieraz opiekował się rannymi ptakami, sporządził dlań specjalną konstrukcję z patyków i rzemienia, tak by szybciej się zrosło.

Chłopiec chciał również opatrzyć pozostałe rany, ale skrzydlaty odmówił.

– *Aishendaga*, Kinniih – powiedział – dziękuję ci za twe chęci, ale spędziłem na tym drzewie kilka dni i nie marzę o niczym innym, jak tylko by zaspokoić głód.

– Jak sobie życzysz, wielki duchu – odparł młody łowca, szykując się do układania stosu na ognisko. Skrzydlaty powiedział *Aishendaga* – dziękował mu jak bratu. Niech no się tylko ojciec o tym dowie...

„Nie możesz mu powiedzieć!”

Kinniih nie był pewien, czy usłyszał te słowa, czy też rozległy się one tylko w jego głowie. Spojrzał na skrzydlatego. Ten wbijał w niego swe zielone oczy, a jego twarz przybrała nieprzyjemny wyraz.

– Nie możesz powiedzieć nikomu, że mnie spotkałeś, rozumiesz?

– Rozumiem, wielki duchu – odparł chłopiec, czując, jak ze strachu podnoszą mu się włoski na karku. – Nie powiem nikomu.

Wyraźnie uspokojony skrzydlaty ponownie oparł głowę o kamień i podjął nuconą pieśń.

Kinniih zaś, uporawszy się wreszcie z ogniem, zaczął oporządzać ryby.



Dedowaga' kolejny raz przerwał ostrzenie grotu, by spojrzeć najpierw w stronę lasu, a potem w niebo. Wszyscy widzieli, że się martwi, nikt jednak nie odważył się podejść i go uspokoić. Nikt też nie zaproponował, by poszukać młodego Kinniiha, który nie wrócił z polowania, chociaż słońce kończyło już dzienną wędrówkę. Wiedzieli, że takie chwile są ciężką próbą zarówno dla syna, jak i dla rodziców, była to jednak cena, z którą każdy musiał się liczyć. Plemię potrzebowało dobrych, samodzielnych łowców.

Ktoś pojawił się na skraju lasu, ale to tylko któryś z najmłodszych wrócił z naręczem chrustu na całonocne ognisko.

Pozostali młodzi łowcy spisali się tego dnia nadzwyczaj dobrze i upolowana przez nich zwierzyna zapowiadała wspaniałe obchody ostatniego dnia *Na ga ha da thun* – Księżycy małego lata. Mężczyźni malowali ciała i szykowali stroje, kobiety zaś ćwiczyły tańce, które miały zapewnić im wszystkim łaskawość duchów i łagodną zimę. W wiosce panowała więc radość, której nie był w stanie zmącić ojcowski lęk wielkiego wojownika.

Musi sobie poradzić sam, cóż to za łowca, który boi się lasu.

Dedowaga' wiedział o tym dobrze, podobnie jak zdawał sobie sprawę, że jeśli teraz wyruszy na poszukiwania, jego syn okryje się hańbą na długie lata.

„Tylko jeśli się ktoś dowie – podpowiedział dobry duch w jego głowie. – Nikt nie musi wiedzieć”.

Wojownik odłożył na bok trzymany w dłoni grot i wstał. Wyprostował się, wciągnął nosem powietrze, jakby chciał w ten sposób już teraz złapać trop. Sprawdził umocowanie noża przy pasie i przez chwilę rozważał, czy nie zabrać łuku. Uznał jednak, że wtedy wszyscy by się domyślili.

– Idę nad rzekę – oznajmił głośno, pozornie kierując te słowa do siedzącej w namiocie żony, tak naprawdę jednak do wszystkich, którzy mogli go teraz słyszeć. – Potrzebuję więcej kamieni.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę lasu.

Gdy tylko wszedł między drzewa, pochylił się i zaczął wypatrywać śladów. Rozpoczął łowy...



Kinniih mimo lęku, jaki odczuwał, nie chciał zostawiać skrzydlatego. Zdał sobie jednak sprawę, że pora najwyższa, by wracać do wioski. Zmartwił się, że nie ma już ryb i wszyscy zobaczą go z pustymi rękami. Z drugiej jednak strony nakarmił przecież wielkiego ducha, opatrzył go, a nawet postawił mu schronienie. Zachował się jak prawdziwy Shorouki.

Skrzydlaty odrzucił rybią skórę i oblizał palce. Ku zdumieniu młodego łowcy wyglądał teraz nadspodziewanie dobrze. Większe rany zaczynały się już goić, po mniejszych nie został nawet ślad. Miał już czucie w nogach, jakby przetrącony krzyż znowu był cały. Próbował też poruszyć złamanym skrzydłem. Na to było za wcześnie, ale przy tym tempie zdrowienia do rana powinien całkowicie wyzdorzeć.

– Dziwi cię, że tak szybko się lecę, prawda? – Skrzydlaty uśmiechnął się lekko. – Mówiłem ci, że potrzebuję tylko coś zjeść, by nabrać sił. To, że nie odczuwam już bólu, też ma znaczenie.

Chłopiec wzruszył ramionami, udając, że uważa to za coś normalnego. Krępowało go, że duch zna jego myśli.

– Jesteś Newegwasu’u Tso’ape – powiedział Kinniih. – Niezbadane są wasze ścieżki.

– Duch ubrany w skrzydła? – Mężczyzna roześmiał się. – Ładne. Ale jak ci powiedziałem, nie jestem już duchem. Teraz więc bardziej pasowałoby do mnie Newegwasu’u Dainape’ – ubrany w skrzydła człowiek... Albo po prostu Anioł. Tak nazywał nas kiedyś ojciec.

– Aa’nhil – młody łowca spróbował wymówić nowe słowo. Przyszło mu to z trudem, ale obiecał sobie, że poćwiczy w drodze do wioski.

Słońce zniknęło już za górami i tylko ostatnie jego promienie oświetlały jeszcze dolinę. Wyglądało na to, że wbrew najważniejszej ojcowskiej zasadzie wróci z polowania po zmroku. Musiał też wymyślić powód, dlaczego nie było go tak długo. Na razie nic nie przychodziło mu do głowy.

Wstał i otrzepał brudne kolana. Podniósł łuk i założył go na plecy.

– Muszę już iść, wiel... Aa’nhil – powiedział, chyląc głowę. – Dziś jest ostatni dzień Na ga ha da thun i...

– Rozumiem. – Skrzydlaty znowu się uśmiechnął. – Tylko pamiętaj o naszej tajemnicy, Kinniih, łowco Shorouki.

Chłopiec skinął głową i podszedł do drzewa, by zabrać włócznię.

– Przyjdę jutro – obiecał.

Kąciki ust Anioła uniosły się po raz kolejny.

– Dobrze.



Szedł pewnym, szybkim krokiem wzdłuż strumienia, zupełnie nie zważając na to, co dzieje się wokół. Jego głowę wypełniały niezliczone myśli, z których większość dotyczyła skrzydlatego nieznanego. Skąd się wziął i jak to się stało, że kiedyś był duchem, a potem już nie? Słyszał o wielkich duchach, które wstępowały w ciała zwierząt i ludzi, ale nigdy o duchach, które stały się ludźmi. Aa'nhi oll... Newegwasu'u Dainape'...

Po co przybyłeś, skrzydlaty?

Gdy usłyszał szelest, było już za późno. Z krzaków po lewej stronie wyskoczyła czarna jak noc puma. Chłopiec zrobił unik i tylko wrodzonej zręczności zawdzięczał, że nie sięgnęła go łapa zwierzęcia. Kocur wpadł do wody, przez chwilę usiłował odzyskać równowagę, po czym stając pewnie na łapach, wygramolił się na brzeg.

Ręce Kinniiha drżały, gdy unosił włócznię do rzutu, a po nodze pociekła mu ciepła strużka moczu. Prawie jej nie poczuł, tak bardzo był przerażony.

„...Jestem łowcą Shorouki, a ciało me napełnia mądrość i siła mych przodków” – próbował powtarzać sobie w duchu, wiedział jednak, że to nieprawda. Był teraz tylko przerażonym chłopcem. Dzieckiem patrzącym w żółte oczy śmierci.

Puma otrząsnęła się z wody i postąpiła parę kroków, tak by ustawić się naprzeciw Kinniiha. Ani na moment nie spuszczała z niego wzroku. A potem odchyliła się lekko, prostując przednie łapy i uginając tylne... i skoczyła.

Chłopiec nie pamiętał, co dokładnie wydarzyło się później, był jednak pewien, że usłyszał krzyk, a potem poczuł szarpnięcie i ktoś cisnął go prosto do strumienia.

Zachłysnął się wodą, nogi w panice szukały oparcia. W końcu udało mu się odbić rękami od dna i stanąć w miarę pewnie. Płuca zaboląły z braku powietrza, ale Kinniih bał się wynurzyć. Zrobił to dopiero wtedy, gdy był pewien, że nie wytrzyma ani chwili dłużej.

Na brzegu stał jego ojciec wsparty na włócznie, a u jego stóp leżała martwa puma. Dedowaga' wyszedł ze starcia bez szwanku.

– Plemię martwiło się o ciebie, Kinniih – powiedział do ociekającego wodą chłopca. – Twoja matka szykowała już pogrzebowe skóry.

Młody łowca wiedział, jak rozumieć te słowa. Mówiąc „plemię”, ojciec miał tak naprawdę na myśli siebie – to on martwił się tak bardzo, że złamał odwieczną tradycję i poszedł go szukać. A o skórach i matce wspomniał po to, by nastraszyć syna i wzbudzić w nim poczucie winy. Nie było takiej potrzeby. I bez tego Kinniih czuł się podle.

– Wybacz, *Appe* – wyjąkał. – Zawiodłem ciebie i całe plemię. Nie jestem godny nosić miana łowcy Shorouki.

Wzrok Dedowagi' złagodniał. Mężczyzna postąpił krok do przodu i pomógł synowi wyjść z wody. Obejrzał go przy tym dokładnie.

– Nic sobie nie zrobiłeś? – zapytał.

– Tylko parę zadrapań i siniaki, *Appe* – odparł chłopiec, odgarniając z czoła mokre włosy. Pod nimi kryło się paskudnie wyglądające rozcięcie.

Starszy łowca przykucnął i uważnie obejrzał ranę.

– I tak miałeś szczęście – powiedział, sięgając do pasa po opatrunek z ziół. Przyłożył go do czoła chłopca i obwiązał rzemieniem. – Po spotkaniu z pumą ludzie zazwyczaj wyglądają dużo gorzej.

– Tobie nic się nie stało, *Appe* – zauważył chłopiec. Rana piekła go paskudnie, ale wstydził się choćby syknąć.

Dedowaga' wstał i na jego surową, poznaczoną bliznami twarz wypłynął lekki uśmiech. Wyglądał jak kwiat na skale.

– Mnie tutaj w ogóle nie było, *Dua*'. – Podniósł z ziemi włócznię i podał ją chłopcu. – Tradycja zakazuje ojcom podążać śladem młodych łowców. Ty zaś musisz wyjaśnić swą nieobecność.

Powoli ruszył w stronę krzaków. Pomimo że miał posturę niedźwiedzia, jego ruchy były lekkie, a kroki bezgłośne.

– Myślę, że walka i pokonanie pumy to dobre wyjaśnienie – dodał, nie odwracając się, po czym wszedł między krzaki.

Kinniih został sam, z włócznią czarną od krwi i martwą pumą u stóp.



Gdy wkroczył do wioski, słaniając się pod ciężarem zwierzęcia, obrzędy i rytualne tańce już dobiegły końca. Mężczyźni zdążyli zdjąć barwne pióropusze, ozdobne krucze pasy i zasiedli, by ucztować przy wielkim ognisku. Kobiety posłusznie zajęły miejsce u boku mężów, zaś młodszy, w tym wszyscy młodzi łowcy, zgromadzili się przed namiotem szamana, by wysłuchać opowieści o powstaniu świata.

Każdy z nich znał tę historię na pamięć, mogli jednak słuchać jej na okrągło, wyszukując wśród zwierzęcych duchów opowieści o swoich imiennikach i patronach.

Gdy Kinniih wkroczył w krąg światła, trwała właśnie opowieść o tym, jak Shorouki zdobyli ogień.

Itsappe, syn zmarłego zeszłej zimy wojownika Huuwahani', prężył pierś dumny, że to właśnie kojot, któremu zawdzięczał swe imię, okazał się na tyle sprytny, by wykraść ogień i zanieść go ich ludowi. To, że po drodze

przewinał się jeszcze Kaan – szczur, którego ludzie musieli błagać, by się z nimi podzielił zdobyczą kojota, jakoś umykało jego uwadze.

– ...Szczur rozrzucił płonące gałązki we wszystkich kierunkach i tak... – Tshnin Godoko przerwał opowieść i spojrzał ponad głowami zebranych. – Więc jednak wróciłeś, Kinniih? I cóż widzę, mały krogulec pokonał groźną pumę?

Wszyscy młodzi jak jeden odwrócili się, by spojrzeć zarówno na towarzysza, którego niemal wszyscy uznali już za zmarłego, jak i na zdobycz. Wielu widziało pumę po raz pierwszy w życiu.

– Witaj, *Pohakanten*. – Chłopiec skłonił się lekko szamanowi i postąpił krok do przodu. – Wybacz, że się spóźniłem, lecz...

Starzec uniósł rękę, nakazując mu milczenie, po czym podszedł bliżej. Jak zwykle uczynił to powoli, wsparty na lasce, a jego ciało trzęsło się, jakby cały czas dźwigało ogromny ciężar. Niektórzy powiadali, że jest nim mądrość i wiedza Tshnin Godoko. Kinniih gotów był przyznać im rację.

Z trudem wytrzymał przenikliwe spojrzenie szamana i dopiero gdy tamten odwrócił wzrok, opuścił głowę.

– Uważaj na słowa, chłopcze – rzekł starzec, uśmiechając się lekko. – Gdy rzucisz jedno, nie powstrzymasz lawiny następnych. A teraz idź do matki, martwi się o ciebie. Pociesz ją i razem z ojcem świętujcie twoje zwycięstwo.

Kinniih skinął głową, poprawił chwyt i ruszył powoli w stronę namiotu rodziców.



– On wie, ojciec – powiedział, gdy nieco później siedzieli razem przed namiotem, wpatrując się w gwiazdy. Twarz i tors Dedowagi’ wciąż ozdobione były rytualnymi malowidłami, a jego głowę zdobił czerep białego basiora. Od kilku zim to właśnie ojcu, jako największemu spośród łowców, przypadał zaszczyt wcielania się na uroczystościach w Wilka – ojca wszechrzeczy.

Ogniska powoli dogasały, a większość ludzi poszła już na spoczynek. Nieliczni, którzy zostali wyznaczeni, by tej nocy strzec obozu, przemykali się między namiotami, by zająć stanowiska. Kinniih widział ich cienie – długie i koślawe. Tańczyły na ziemi w rytm, jaki narzucały im kapryśne płomienie, przybierając najdziwniejsze, niekiedy przerażające kształty.

– Spojrzał mi w oczy i już poznał całą prawdę – dokończył chłopiec takim tonem, jakby właśnie odkrył największą tajemnicę świata.

Ojciec roześmiał się.

– Myślałeś, że zwiedzisz starego Tshnin Godoko? – zapytał. – Szamanem nie zostaje byle kto, Kinniih. Duchy wybierają mądrze.

Odwrócił się i przyjrzał synowi. Nietrudno było stwierdzić, o czym młody łowca teraz myśli.

– On nikomu nie powie, jutro wyrusza odwiedzić Lakhota – powiedział uspokajająco. Zaraz jednak dodał: – A nawet jak wróci, będzie obserwował, jak sobie z tym poradzisz.

– Z czym? – chłopiec nie zrozumiał. – Z czym miałbym sobie poradzić?

Dedowaga’ wstał i położył rękę na głowie syna.

– Z własną legendą – wyjaśnił. – Jesteś najmłodszym łowcą, jaki kiedykolwiek pokonał pumę. Rówieśnicy będą cię podziwiać i zazdrościć, a ci, którzy teraz ssą jeszcze mleko matki, gdy dorosną, będą opowiadać o tobie i śpiewać pieśni. A ty musisz teraz zrobić wszystko, by na tę legendę zasłużyć. Tylko nie zrób przy okazji czegoś głupiego.

– Dobrze, *Appe*.

– I nie siedź za długo, od jutra dni są coraz krótsze, a pracy coraz więcej. Nadchodzi sroga zima.

Zmierzył włosy syna i odszedł, by po chwili zniknąć w namiocie.

Kinniih został sam, dumając nad tym, co usłyszał. Skrzydlaty nieznajomy, tajemnica, która jeszcze niedawno wydawała się najważniejsza na świecie, teraz niemal zupełnie wyleciała mu z głowy.



Przypomniał sobie o nim dopiero rano, gdy zziębnięty wygrzebał się spod skór. Zdał sobie sprawę, że przecież nie dał mu nic, co pomogłoby skrzydlatemu przetrwać noc. Ani skóry, którą tamten mógłby się nakryć, ani włóczni, by mógł się obronić. Nie zostawił mu nawet noża...

Zły na siebie wypadł z namiotu, wciągając na plecy skórzane *gwasu'u*. Było naprawdę zimno, więc po chwili dygotał, a każdy oddech zamieniał się w kłęb pary. Mimo wszystko nie wrócił po coś cieplejszego. Miał zamiar rozgrzać się, biegnąc...

Jeszcze wczoraj, zanim się położył, postanowił, że wyśliźnie się, nim ktokolwiek w wiosce wstanie, i ruszy na łowy. W ten sposób chciał uciec od pochwał, pytań i poklepywań. Od zachwyty najmłodszych brzdąców i pełnych zazdrości spojrzeń rówieśników. Przede wszystkim zaś od drwiącego uśmiechu szamana.

„Udowodnię ci, *Pohakanten* – pomyślał wtedy, niemal już zasypiając. – Udowodnię, że potrafię być prawdziwym łowcą Shorouki. Takim, jakim widzą mnie dziś oczy niemal wszystkich”.

Teraz, gdy sen nie plątał już jego myśli, takie zapewnienia wydały mu się słowami szeptanymi na wiatr – cczą gadaniną dziecka, które udaje wojownika i w swym zapamiętaniu w to wierzy. Postanowił jednak, że da z siebie wszystko, i liczył, że tym razem się uda.

Najpierw jednak miał zamiar odwiedzić skrzydlatego.

Zabrał kawałek pieczeni pozostały z nocnych uroczystości, zawinął go starannie w liście i skórę, oplótł rzemieniem i zarzucił sobie na ramię. Następnie przytroczył kołczan, w jedną rękę wziął łuk, w drugą włócznię i po cichu ruszył w stronę lasu.



Anioła nie było ani pod drzewem, ani nigdzie w pobliżu.

Kinniih mocniej zacisnął palce na włóczni i powoli, rozglądając się uważnie, minął wzgórze. Podeszedł do legowiska przybysza, spodziewając się najgorszego, ale nie dostrzegł ani śladów krwi, ani żadnych innych oznak walki. Wyglądało, jakby gość po prostu odszedł.

„Uraziłem go – pomyślał chłopiec – tym, że nie przyniosłem skór ani więcej jedzenia. Nie poprosił o to, ale czekał. A gdy nie przyszedłem, poczuł gniew i odszedł”.

Zląkł się, nie mając pojęcia, co może zrobić z nim zagniewany duch, który nie był już duchem. Jak wiele zostało w nim dawnej mocy? Czy może pragnąć zemsty?

– Przepraszam, Aa’nhi oll! – zawołał w niebo najgłośniejszym jak potrafił. – Wybacz mi, proszę!

Coś błysnęło w krzakach obok. Kinniih podbiegł w to miejsce i dostrzegł leżące na gałązkach srebrzyste pióro. Świeciło mocnym, jasnym blaskiem, a gdy tylko wziął je w dłonie, rozbłysło jeszcze bardziej.

Chłopiec, który był pewien, że jeszcze przed chwilą nic na krzaku nie leżało, uznał to za znak, że skrzydlaty się na niego nie gniewa. Odetchnął z ulgą.

„Żegnaj, Aanhi oll – pomyślał – i niech Duch Wiatr prowadzi cię swymi ścieżkami”.

Schował pióro i ruszył w las. Na łowy.



Itsappe powiesił na gałęzi schwytanego Kammu głową w dół i wprawnie rozplatał mu brzuch na całej długości. Ciął głęboko, inaczej, niż gdyby szykował zwierzę do spożycia, gdy ważne jest, by nie naruszyć żadnego z wewnętrznych organów. Teraz jednak ważny był przede wszystkim zapach. Woń, która ściągnie wygłodniałą pumę.

Łowca cofnął się o krok i przyjrzał swemu dziełu. Krew ściekała po nigdyś szarym futrze i skapywała z długich uszu zwierzęcia, tworząc na ziemi sporą ciemnoczerwoną kałużę. Poranek był naprawdę chłodny, toteż Kammu nie powinien za szybko zacząć gnić. Puma to dumne zwierzę, a jej duch jest porywczy i łatwo mógłby poczuć się urażony, że ktoś częstuje go padliną. Mógłby wówczas opowiedzieć o tym innym duchom i wszystkie one obraziłyby się na łowcę, zaczęłyby dmuchać na jego strzały i włócznię, by zawsze chybiały celu.

Itsappe podniósł łuk, po czym ruszył w głąb polany. Specjalnie wybrał drzewo stojące na skraju lasu, tak by samemu móc ukryć się wśród wysokich traw, gdzie Duch Wiatr tańczy, rozwiewając woń łowcy, czyniąc go niewidzialnym.

Szedł powoli, pewnym krokiem, głęboko wciągając mroźne powietrze poranka. Przed nim rozpościerał się doskonały widok na szaro-białe szczyty Kusi Doyaabinee', które były domem dla orłów, a dla Shorouki granicą ich krainy. Jak zwykle piękne i niedostępne od lat ciągnęły młodego łowcę, by spróbował je zdobyć. Jak mawiał jego ojciec: „Nie jest mężczyzną, kto nigdy nie zajrzał do gniazda Kwinaa”.

Chłopak wątpił, by szczenię Kinniih, młodsze od niego o niemal dwie zimy, a teraz – za sprawą pokonanej pumy – uznane za największego spośród młodych łowców, kiedykolwiek zdobyło choćby i najniższy ze szczytów...

Zatrzymał się po odliczeniu stu kroków i przykucnął, kładąc na ziemi włócznię. Zdjął z pleców łuk, sięgnął po skórzaną sakwę wypełnioną łojem. Nie spuszczać wzroku z przynęty, starannie natarł cięciwę tłuszczem. Był gotów.

– Dodaj mi swej siły i mądrości, *Appe* – wyszeptał. – Spraw, bym z twoją pomocą stał się najwspanialszym łowcą. Lepszym nawet niż Dedowa... niż ty, zanim odszedłeś do krainy wiecznych łowów.

Skarcił się w myśli za przejęzyczenie, a serce ścisnął mu żal, czuł bowiem, że nie była to zwykła pomyłka. Obraz ojca zacierał się z każdym dniem coraz bardziej, a jego miejsce zajmowały opowieści i legendy zasłyszane od matki. Już niedługo nie będzie w stanie przypomnieć sobie surowego oblicza Huuwahaniego, na którym jednak czasem pojawiał się pogodny uśmiech. Bał się, że zatraci pamięć o jego oczach, mądrych jak u

samego Tshnin Godoko, czy głosie, głębokim i donośnym jak pomruk niedźwiedzia w jaskini.

To właśnie dla niego postanowił zostać najlepszym łowcą. A że był szybki, zręczny i łatwo się uczył, przychodziło mu to bez trudu... do wczorajszego wieczoru. A potem przyszło krogulcze piskłę Dedowagi', taszcząc pumę...

Niebo pociemniało nagle, jakby słońce skryło się za ogromną deszczową chmurą. Łowca zadarł głowę pełen obaw, wiedział bowiem, że woń deszczu jest w stanie stłumić zapach krwi. Spojrzał w niebo... i przez chwilę nie dowierzał własnym oczom. Przelatywał nad nim bowiem klucz ludzaco podobny do ptasiego, jednakże lecące w nim postaci miały prócz skrzydeł ludzkie sylwetki.

Itsappe przywarł do ziemi i z tej pozycji przypatrywał się, jak z podniebnego szyku odrywają się kolejne rzędy, krążą nad polanką coraz niżej i niżej, aż w końcu lądują na ziemi, składając skrzydła.

Mieli białe twarze i włosy barwy wyschniętej trawy. Na ich piersiach połyskiwały pancerze, a do ud przytroczyli najdłuższe noże, jakie chłopiec kiedykolwiek widział.

„Ciekawe po co – pomyślał. – Przecież takim ostrzem nie da się patroszyć zwierzyny”.

Tymczasem z nieba sfrunął ostatni skrzydlaty. Był wyższy i potężniejszy od pozostałych i miał trzy pary skrzydeł. Jego rysy były kanciaste, szczeka mocno wysunięta, a wąskie oczy głęboko osadzone. Nie miał włosów, brakowało mu też prawego ucha, a pół jego twarzy wyglądało, jakby ktoś wsadził ją do ognia i przytrzymał. Długą bliznę po oparzeniu miał także na lewym przedramieniu i na okrytym jedynie skórzaną *gwasu'u* udzie.

Pozostali rozstąpili się, gdy opadł na ziemię. Zrobił to niezręcznie, koślawo – jedna noga ugięła się pod nim, tak że z miejsca padł na kolana.

Zacisnął zęby, z wyraźnym wysiłkiem tłumiąc jęk, po czym powiedział coś w języku, którego Itsappe nie był w stanie zrozumieć. Pozostali roześmiali się.

Jeden ze skrzydlatych podszedł, wyciągając rękę, ale kaleki przywódca odtrącił pomocną dłoń i wstał o własnych siłach. Wciągnął powietrze...

Gwałtownie zamrugał i jeszcze raz pociągnął nosem jak łowca chwytający trop. Nagle jego twarz zaczęła się zmieniać. Na głowie zaczęły rosnać włosy, a blizny wchłonęły się i zniknęły zastąpione nieskazitelną białą skórą. Gdy nastąpiła już przemiana, odwrócił się, spoglądając w stronę kryjówki, w której młody łowca czekał na pumę. Tylko na pumę.

– Bądź pozdrowiony, chłopcze – powiedział chrapliwym szeptem skrzydlaty, jednak głos zdawał się odbijać od gór i wracać na polankę wzmocniony po stokroć. Językiem Shorouki mówił jednak nieskazitelnie, jakby urodził się pośród plemienia. – Prowadź nas do wodza.

Itsappe podniósł się powoli, zaciskając rękę na łuku.

– Mnie... – zaczął, czując, że w gardle mu zaschło, a oczy bolały go od blasku piór przybyszów – mnie nie wolno... jesteście obcy.

Sześcioskrzydły uśmiechnął się pogodnie.

– I to właśnie chcemy zmienić – oznajmił. – Nie pozwolisz chyba, by Duchy Stwórcy błąkały się po krainie, nie poznawszy najwaleczniejszego z plemion...

Przerwał, przyglądając się chłopcu. Oczy błękitne jak niebo odbite w tafli jeziora przeszywały młodego łowcę na wylot, spojrzenie wnikało jak lodowa strzała, wypełniając głowę chłodem i przyprawiając o dreszcze.

– Przybyliśmy poznać lud słynnego od gór po wielką wodę Huuwahaniego – powiedział. Jego uśmiech poszerzył się, gdy dostrzegł reakcję Itsappe. Wiedział, że teraz chłopiec zrobi dlań wszystko...



Tego dnia duchy wyjątkowo sprzyjały Kinniihowi. Słońce nie wspięło się jeszcze na szczyt południa, a on już upolował dwa Kammu i jedną rączą Deheya'. Bardzo dobry wynik nawet dla doświadczonego łowcy, jednak chłopiec nie czuł się usatysfakcjonowany. Wiedział, że wiele zawdzięczał szczęściu, poza tym nie uważał, aby te łowy były w stanie potwierdzić jego wielkość w oczach innych. Czuł brzemień legendy, cięższe niż dźwigana wczoraj pumą, i przeczuwał, że długo jeszcze będzie je nosił.

Postanowił, że wróci do wioski wcześniej. Stara zasada, którą od dziecka wpajał mu ojciec, brzmiała: „Szanuj las i nigdy nie bierz odeń więcej, niż jest ci potrzebne”.

Kinniih wiedział, że to dobra rada. Duchy karały tych, którzy chcą mieć za dużo. Ile razy widział ludzi zatrutych zepsutym mięsem, cierpiących, a czasem nawet umierających z bólu?!

„Wystarczająco często – odpowiedział sam sobie. – Dość, by słuchać dobrych rad”.

Przytroczył Kammu rzemieniami do pasa, Deheyə', chwyciwszy ją za nogi, zarzucił na plecy. Podniósł z ziemi broń i ruszył ku wiosce.



Już z daleka dostrzegł, że wśród plemienia panuje wielkie poruszenie. Większość kobiet stała przed namiotami, a mężczyźni gromadzili się wokół

wznoszącej się ponad inne siedziby wodza. Otaczali kogoś, kto właśnie rozmawiał z przywódcą.

Kinniih przyspieszył. Jeszcze nigdy niczyja wizyta nie wzbudziła takiego zainteresowania. Gdy Lakhota przybywali zza lasu, wioska ożywiała się, nigdy jednak na tyle, by mężczyźni okazali otwarte zainteresowanie. Owszem, handlowali z Lakhota, kupowali drzewce na włócznie, czasem wymieniali skóry lub proponowali starannie rzeźbione groty. Nigdy jednak nie gromadzili się, by popatrzeć czy posłuchać. Uważano powszechnie, że patrzeć na handlarzy skór i rozmawianie o nich to zajęcie właściwe kobietom. Tym bardziej dziwił młodego łowcę wyjątek od tej reguły.

Wszedł między namioty i chyląc głowę przed siostrą ojca, zrzucił przy niej zwierzynę.

– Zaraz wrócę, *Paha* – powiedział i nie czekając na odpowiedź, pognął w stronę namiotu wodza.

Nie należał do najwyższych w plemienu, toteż niewiele mógł dojrzeć, zwłaszcza że dorośli ustawieni jeden obok drugiego byli zwarci jak skała. Chłopiec wiedziony ciekawością przemyślał nawet, czy nie wspiać się po plecach stojących przed nim, ale szybko z tego zrezygnował. Zwłaszcza że zaczynał się domyślać, co jest przyczyną zbiegowiska.

Nad zgromadzeniem wznosiła się lekka, prawie niewidoczna w porannym świetle, jednak dostrzegalna łuna światła. Kinniih pamiętał, że podobna biła od jego skrzydlatego gościa. Tylko dlaczego, skoro chciał się ujawnić, kazał chłopcu dotrzymać tajemnicy?

– Ja ich znalazłem – rozległ się głos tuż za plecami młodego łowcy. – Zstąpili do mnie, gdy polowałem, i wypowiedzieli imię mojego ojca.

Chłopiec odwrócił się i spojrzał prosto w oczy Itsappe. Ten promieniał z dumy.

– Nie uważasz, krogulczyku, że to więcej niż jakaś tam puma? – rzucił z pogardą.

W odpowiedzi Kinniih sięgnął za koszulę i wydobył srebrzyste pióro. Skoro Aa'nhii oll i tak się ujawnił, tajemnica przestała obowiązywać.

– To dostałem od jednego z nich, Itsappe – powiedział, z radością obserwując, jak uśmiech na twarzy dawnego towarzysza zabaw, starszego ledwie o niecałe dwie zimy, gaśnie. – Poznałem go wczoraj, gdy...

Zdążył dostrzec wymierzony weń cios, ale było już za późno na jakąkolwiek reakcję. Pięść trafiła go odrobinę poniżej oka. Poczł ból, pociemniało mu w oczach, a zaraz potem zachwiał się i zwałił na ziemię. Stojący nad nim Itsappe dyszał ciężko, jakby po forsownym biegu.

– Łżesz, pisklaku! – wycedził. – Znalazłeś je pewnie na ziemi, a teraz chcesz zagarnąć moją chwałę.

Kinniih nie zamierzał odpowiadać na ten zarzut. Podniósł się ostrożnie, rozcierając szczękę, i gdy był już na nogach, ale wciąż zgięty wpół, zaszarżował niczym ranny Pia kuittsun'. Uderzył głową w pierś Itsappe i razem runęli na ziemię, szarpiąc się i siłując.

Czyjeś ręce zaczęły ich rozdzielać, gdy nagle ze środka tłumu, przy wtórze głośnego westchnienia, uniosła się w górę świetlista kula. Przez chwilę wisiała w powietrzu, po czym eksplodowała, bezgłośnie sypiąc wokół srebrzystymi iskrami. Mężczyźni kulili się, chcąc osłonić ciało przed poparzeniem, ale drobinki światła były chłodne jak płatki śniegu i jak on szybko się rozpuszczały.

Chłopcy przerwali bójkę i leżąc, przyglądali się zjawisku z otwartymi ustami. Potem ktoś podciągnął ich, by wstali, a tłum rozstąpił się, by przepuścić zgromadzonych przy wodzu skrzydlatych.

Było ich zaledwie trzech, ale zdaniem Kinniiha biła z nich moc i przekonanie, że są potężniejsi niż niejedno plemię. Idący w środku miał

trzy pary skrzydeł i lekko utykał.

„Czyżby spadł z nieba zupełnie jak tamten – pomyślał chłopiec – a może...?”

„Witaj Kinniih, łowco Shorouki!” – rozległo się we wnętrzu jego głowy.

Chłopiec zamrugał gwałtownie i dopiero wówczas dostrzegł, że jeden z idących to ten sam, którego uratował wtedy pod drzewem. Skrzydlaty uśmiechnął się, gdy dostrzegł, że młody łowca podniósł wzrok.

„Pamiętaj o naszej tajemnicy – podszeptał głosem umysłu. – Nikomu ani słowa o naszym spotkaniu”.

Kinniih skinął głową. Wiedział, że będzie to trudne, zwłaszcza że Itsappe na pewno pochwalił się przed wszystkimi, że pierwszy zobaczył przybyłych, ale co tam. Dotrzyma tajemnicy, bo tak robią prawdziwi mężczyźni. Tak robią wielcy Shorouki...

Gdy tylko skrzydlaci opuścili wioskę, wódz zwołał radę, zaś pozostali wrócili do swoich zajęć. Nawet Itsappe, któremu wyraźnie odechciało się bójek, odszedł w stronę namiotu swoich rodziców, zabrawszy upuszczone anielskie pióro.

Tylko Kinniih pozostał na miejscu. Wpatrywał się w totem stojący przy namiocie wodza. Tuż nad nim, nie wyżej niż na dwa palce, unosiła się mała kula światła – dar skrzydlatych.



Słońce dawno już skryło się za górami, gdy Dedowaga' wrócił z obrad. Nie wyglądał na zadowolonego. Kinniih ustąpił mu miejsca na ławie i stanął obok, składając ręce na piersi.

– Co uradziliście, ojcze? – zapytał, nie mogąc się przy tym powstrzymać, by nie zerknąć w stronę namiotu wodza. Mimo że od zmierzchu aż do tej pory nie robił nic więcej, tylko podziwiał świetlistą kulę nad totemem wodza, wciąż nie mógł nasycić się jej widokiem. Blask był mocniejszy niż największego ogniska, nie ranił jednak oczu i nie powodował pomroków, można było weń patrzeć bez mrugnięcia powieką. Młody łowca był tylko ciekaw, jak wódz zdoła zasnąć przy takiej jasności...

– Nic dobrego dla plemienia. – Dedowaga’ westchnął ciężko, przechwytyjąc spojrzenie syna. – Małe słońce od skrzydlatych, które tak ci się podoba, poraziło im wszystkie zmysły. Ech, gdyby chociaż Tshuin Godoko wybrał sobie inny czas na wyprawę! Nie byłbym teraz sam...

Chłopiec zamrugął gwałtownie i zawstydzony błyskawicznie odwrócił głowę, skupiając wzrok na skórach namiotu.

Dedowaga’ uśmiechnął się smutno.

– Mówią o nich Newegwasu’u Tso’ape i wierzą, że przybyli od samego Wielkiego Ducha. Ale ja widziałem krople potu na czołach skrzydlatych i słyszałem ich oddechy... Czułem także ich niepokój, gdy stali wśród nas, choć bardzo chcieli go ukryć pod malowanymi uśmiechami. Czy duchy mogą się bać, Dwa’? Albo czy przychodzą, by wymieniać swe dary na jedzenie, jakby byli Lakhota?

– Nie wiem, *Appe* – odpowiedział zgodnie z prawdą Kinniih. Kolejny raz był pod wrażeniem mądrości ojca, który jako jedyny odkrył, że Aa’nhii i jego towarzysze nie są duchami. Po raz kolejny dostrzegł również, że musi się jeszcze wiele nauczyć, by być do niego podobnym.

– Wódz Washakie mówił, że obcy przybywają w pokoju, że chcą nam służyć swą mocą i darami – kontynuował Dedowaga’, nie patrząc już na syna, tylko przed siebie, na korony drzew, które niemal sięgały gwiazd. Brakowało im może kilku stóp. – Ja jednak dostrzegłem w ich oczach tylko

pogardę. Niedobrze, gdy do wioski przybywają silni obcy. A jeszcze gorzej, gdy są świadomi swej siły.

Kinniih pokiwał głową.

– Czy skrzydlaci pojawią się jeszcze? – zapytał. Dedowaga’ westchnął znowu, po czym wstał i z powagą popatrzył synowi prosto w oczy.

– Tego możesz być pewien, *Dua’* – odparł smutno. – I to pewnie częściej, niż wszyscy byśmy tego chcieli.



Słowa Dedowagi’ znalazły potwierdzenie już następnego dnia. Skrzydlaci przybyli, gdy tylko słońce wspięło się nad szczyty gór.

Mieszkańcy przyjęli ich z radością, każdy z gości niósł bowiem na ręce kulę światła, identyczną jak ta, która lśniła nad totemem wodza. Sam Washakie powitał ich przy swoim namiocie, przekazując decyzje rady. Specjalnie na tę okazję przywdział *gwi’yadeezo’woi’* – pióropusz z orlich piór noszony jedynie w święta lub gdy Shorouki szykowali się na wojnę. Tym razem jednak o walce nie było mowy. Skrzydlaci wołą starszyzny stali się przyjaciółmi plemienia i w ich władanie oddane zostały wszystkie szczyty Kusi Doyaabinee’...

Nocą zaś cała wioska pławiła się w blasku małych słońc.



– Co oni robią? – zapytał Sacajaweja, najmłodszy spośród łowców plemienia.

Itsappe, jakby nie usłyszał pytania ani nie poczuł wymownego spojrzenia towarzysza, milczał.

Podobnie jak pozostali łowcy, których ścieżki łowów dziwnym zrządzeniem losu zaprowadziły na polanę spotkania, nawet na chwilę nie odrywał wzroku od widowiska.

Nie dalej jak sto kroków od linii lasu, w którym ukryli się Shorouki, dwóch skrzydlatych uzbrojonych w długie, skrzące w słońcu ostrza tańczyło w powietrzu kilka stóp nad ziemią.

Ich skrzydła poruszały się lekko niczym liście drgające na wietrze, gdy wznosili się, przyglądając sobie nawzajem, po czym nagle łopotały gwałtownie przy zwrotach. Nagły wzlot w powietrze, złożenie skrzydeł i wirowanie przy pikowaniu. A potem tuż nad ziemią przybysze znowu rozkładali skrzydła, jakby bali się dotknąć trawy...

– Czy to *dasa'yee gwii*? – dopytywał się Sacajaweja, który, podobnie zresztą jak większość jego towarzyszy, był za młody, aby widzieć w życiu choćby jeden prawdziwy taniec wojenny.

– A widzisz tu wszystkich wojowników plemienia? – odburknął niecierpliwie Itsappe.

Z polany dobiegł szcęk, gdy zderzyły się ze sobą dwa ostrza, po czym jeden ze skrzydlatych uciekł w bok, wzleciał nieco wyżej i wyciągnął przed siebie broń. Czekał...

– *Dasa'yee gwii* tańczy się, by przebłagać duchy o zwycięstwo w bitwie – wyjaśnił ze znawstwem Itsappe. – Oni nie szykują się teraz na wojnę, bo obiecali nam pokój. Poza tym sami są przecież duchami, kogo mieliby prosić o pomoc?

Pozostali łowcy przyznali mu rację – po części dlatego, że rzeczywiście się z nim zgadzali, przede wszystkim jednak pragnęli, by zamilkł. Szkoda było czasu na gadanie i słuchanie, gdy tyle się działo.

Bo oto z nieba sfrunęli kolejni dwaj skrzydlaci, również uzbrojeni w długie ostrza. Natychmiast zaatakowali parę, która walczyła wcześniej, zmuszając niedawnych rywali do połączenia sił. Sparowali ataki, po czym odlecieli kawałek, wzbili się w górę i łapiąc wiatr, poszybowali wprost na przeciwników. Walka nad polaną nabrała tempa.

– Ciekawe, jak by sobie poradził ten o sześciu skrzydłach – zastanowił się syn wodza Nekantan, chłopiec o niezwykłych, jasnych oczach i włosach zaplecionych w sięgający pasa warkocz. – Pewnie walczyłyby zupełnie inaczej.

Itsappe pokiwał głową.

– Ma władzę nad Duchem Wiatrem – oznajmił z przekonaniem, wiedząc, że nikt nie sprzeciwi się jego zdaniu. Od kiedy przyprowadził do wioski skrzydlatych, uchodził wśród młodych łowców za prawdziwego znawcę tego niezwykłego plemienia przybyszów. – I nie mów „ten o sześciu skrzydłach”. Oni nazywają go Lu’sii’pher, a twojemu ojcu kazał nazywać się Kwaya Tso’ape – Duch, Który Upadł.

– Nikt nie może rozkazywać mojemu ojcu! – oburzył się Nekantan. – On jest wodzem i służy tylko plemieniu, i duch... – umilkł zawstydzony, spuszczać wzrok.

Przez chwilę panowała cisza, a młodzi łowcy w milczeniu podziwiali powietrzne akrobacje.

Jeden ze skrzydlatych wzbil się w górę, przelatując pomiędzy dwoma innymi, po czym złożył jedno skrzydło i opadł, wirując szybko jak tornado. Jego ostrze, które wyglądało teraz jak złocista smuga, zazgrzytało o

pancerze towarzyszy, co wywołało westchnienie zachwytu niemal u wszystkich chłopców.

– Muszę sobie takie zrobić – wyszeptał Sacajaweja. – To wspaniała broń. Gdybym tylko mógł zobaczyć z bliska, jak wygląda...

– Poproś Itsappe – rozległ się głos za nimi. Wszyscy odwrócili się niemal równocześnie i dostrzegli wspartego o drzewo Kinniiha Pogromcę Pумы.

Syn Dedowagi’ uśmiechał się z drwiną.

– Młody Kojot twierdzi, że jest przyjacielem skrzydlatych, więc na pewno mu nie odmówią – powiedział, patrząc prosto w oczy najstarszego z chłopców. – A on pokaże nam, że nie kłamał i rzeczywiście jest ich ulubieńcem. Tym, który pierwszy dostał łaski ich obecności.

Spojrzenia młodych Shorouki przeniosły się na Itsappe, któremu nie pozostało nic więcej, jak tylko się zgodzić. Nawet zmusił się do uśmiechu, ale oczy mówiły swoje.

Tymczasem skrzydlaci zakończyli swój taniec i sfrunęli na ziemię, by zjeść przygotowany uprzednio posiłek. To nie było już tak ciekawe, więc łowcy jeden po drugim opuszczali chaszczę, by zniknąć w lesie.



Następnego dnia trzech skrzydlaci przynieśli kolejny niezwykły dar – Nekade Naboope – tańczące obrazy. Gdy trzymali je w dłoniach, wyglądały jak kule błota, ale i tak wzbudziły ogromne zainteresowanie. Przybysze rozsmarowali najpierw glinę na namiocie wodza, gdzie z miejsca pokazał się obraz złożony z kropek i kresek, przedstawiający ludzkie sylwetki w

walce z niedźwiedziem. Wszystkie postaci ruszały się jak na prawdziwym polowaniu, a gdy ludzie w końcu ubili zwierza, z jego boku popłynęła czerwona farba. Następnie skrzydlaci, za którymi podążała już większość mieszkańców wioski, udali się przed siedzibę szamana, który mimo że nieobecny, również dostąpił zaszczytu dekoracji namiotu. Na jego skórach pojawiły się ludzkie sylwetki tańczące wokół ruchomego ogniska. Z obrazkowego ognia wyskakiwały plamki iskier, a wszyscy Shorouki zgromadzeni wokół kołysali się, podchwytyjąc takt z ruchu postaci.

Kinniih jednak, który tego dnia wyjątkowo pozostał w wiosce, nie na obrazy zwracał największą uwagę. Wśród skrzydlatych był bowiem ten, którego kiedyś uratował – Aa'nhi oll.

Tym razem nie zauważył chłopca, ale młody łowca miał nadzieję, że uda im się zamienić ze sobą choć słowo. Najlepiej na oczach wszystkich. Być może skrzydlaty pożyczycy mu nawet ostrze, które teraz lśniło przypasane u jego boku? Itsappe musiałyby wówczas uznać, że to on, Kinniih, jest najlepszym łowcą. I kto wie, może syn Dedowagi' sam by w to uwierzył. Wszak to on „wytropił” pierwszego przybysza, a to, jak stwierdził młody Szakal, dużo więcej niż jakaś tam puma.

Tymczasem skrzydlaci zakończyli pokazy i ruszyli z powrotem pod namiot wodza, by dobić targu.

– Potrzebne nam mięso i skóry... – powiedział jeden ze skrzydlatych, sądząc po zachowaniu, przywódca przybyłej do wioski trójki. Miał krótko obcięte włosy i oczy czarne jak spalone drewno. – Dużo ciepłych skór. Najlepiej jeszcze dziś.

Wódz uśmiechnął się niepewnie.

– Rada plemienia powie...

– Duchy nie rozmawiają z radą, tylko z pierwszym pośród plemienia – wtrącił się Aa'nhi oll. – Przybywamy paktować z tobą jak z równym. Okaz

się godzien.

Wódz zmrużył oczy, zerkając ukradkiem na reakcje zgromadzonych wokół niego ludzi. Nie potrafił jednak wyczytać z ich twarzy, jak powinien postąpić.

„Okaz się godzien” – usłyszał głos w głowie, głos łądząco podobny do jego własnych myśli, a jednak zupełnie inny. Wraz z nim pojawiły się obrazy: dostrzegł w nich siebie niesionego na ramionach przez wojowników Lakhota, którzy nie wyglądali już tak dumnie jak zawsze, gdy przychodzą kupować skóry. Nad nimi przelatywały skrzydlate postaci, które pozdrawiały Washakiego, a on odpowiadał im gestem uniesionej dłoni. W oddali zaś rozpościerała się wioska pełna magicznych świateł i malowanych postaci tańczących na płachtach namiotów. Mieszkali w nich Shorouki, najszcześniejsze plemię świata...

– Jak brzmi odpowiedź, wodzu? – zapytał czarnooki. Sprawiał wrażenie lekko zniecierpliwionego.

– Zgoda – odparł Washakie. – Otrzymacie skóry i mięso.

– Potrzebny nam będzie także ktoś do pomocy, by to wszystko przenieść – stwierdził Aa'nhi oll. Rozejrzył się wśród zebranych. – Tamten chłopiec będzie najlepszy.

Wskazał palcem Kinniiha i uśmiechnął się.

„Witaj, młody łowco Shorouki”.



Itsappe po raz kolejny uderzył kamieniem w krwawą miazgę rozwleczoną na nadbrzeżnym głazie. Gdy był mały, jak wielu chłopców

uwielbiał tę zabawę, teraz jednak rozgniatanie *yagwatsa* nie sprawiało mu przyjemności. Zwłaszcza że ta akurat szykowała się do złożenia jajeczek i wszędzie było ich pełno. Masa przyszlących rechoczących i nadymających się, bezużytecznych paskudztw...

– Wybacz mi, *Appe* – powtórzył kolejny już raz, tłumiąc łzy wściekłości. Wiedział, że tym razem przegrał ostatecznie. Nie znał sposobu, by zdobyć ostrze *Newegwasu'u*, a bez niego jego słowo stawało się *ishanai'* – kłamstwem niegodnym łowcy *Shorouki*. Przyjdzie mu odejść z wioski w niesławie, rada spali jego namiot, a dzieciom powie: „Niech duchy pozwolą wam zapomnieć o *Itsappe*, który kłamiąc, stał się Szakalem dla swego ludu”.

A wszystko przez to szczenię *Dedowagi'*, któremu duchy dla żartu pozwoliły zabić pumę.

Raz jeszcze uderzył kamieniem o kamień, gdy nagle usłyszał ciche westchnienie. Poderwał się błyskawicznie, sięgając po nóż, wokół nie było jednak nikogo. Odwrócił się powoli, tak by za plecami mieć rzekę, i uważnie się rozglądając, ruszył w stronę lasu.

Minął stertę głazów spiętrzonych tak, że wznosiły się stopę nad jego głową... i wtedy go dojrzał.

Skrzydlaty leżał nagi z białą togą zawiniętą pod głowę. Najwyraźniej spał, ponieważ oczy miał zamknięte, a jego oddech był równy i spokojny.

Itsappe postąpił krok, przyglądając się śpiącemu. Ze zdumieniem przyjął fakt, że anioł nie ma przyrodzenia, a także że z wyjątkiem głowy jego ciała nie porastały żadne włosy. Tym jednak, co interesowało chłopca najbardziej, było owinięte pasem i leżące na wyciągnięcie ręki ostrze. Podświadomie zacisnął mocniej palce na rękojeści noża i najciszej jak tylko potrafił podszedł bliżej, już miał sięgnąć po broń przybysza, gdy nagle z okolicznych drzew poderwały się wszystkie ptaki.

Skrzydlaty zareagował instynktownie. W jednej chwili, gdy otworzył oczy, dostrzegł uzbrojonego Shorouki, a w następnej już brał zamach dobytym ostrzem.

Itsappe zaskoczony nie zdążył uskoczyć. Poczuł nagle przeszywający chłód, a zaraz potem gorącą falę rozlewającego się po całym ciele bólu. Wrzasnął, łapiąc się za brzuch i cofając o krok. Zgięty wzdół, z wykrzywioną bólem twarzą wyglądał, jakby za chwilę miał zwymiotować. Zaraz potem potknął się i runął na plecy. Z jego ust pociekła strużka krwi.

„Nie chciałem” – odezwał się w jego głowie głos skrzydlatego. Nie było w nim słychać ani lęku, ani żalu. Było to proste stwierdzenie faktu.

Anioł zamierzał podejść, jednak w tym samym momencie dobiegł go dźwięk, jakby całkiem niedaleko ktoś w szybkim tempie brnął przez krzaki. Schylił się więc, podnosząc z ziemi togę i pas, a potem gwałtownie wzleciał w powietrze. Niemal w tym samym momencie z krzaków po przeciwnej stronie rzeki wyłonił się uzbrojony we włócznię Dedowaga’.



Skóry były ciężkie, a do tego Kinniih musiał iść naprawdę szybko, by dotrzymać kroku niosącym mięso skrzydlatym. Mimo to nie narzekał. Wręcz przeciwnie, rozpierała go duma i radość, że to właśnie on został wybrany. I jeśli trzeba będzie, gotów jest nieść te skóry choćby i na szczyt najwyższej z gór... Choć w głębi serca miał nadzieję, że nie każą mu tego robić.

„Jestem Weda – niedźwiedź, którego siła większa jest niż siła dwóch mężczyzn – powiedział sobie w duchu, a zaraz potem uzupełnił: – Jestem

Shorouki, które jest pierwszym spośród ple...”

– Co robisz? – głos Aa’nhii olla, prawdziwy, nie zrodzony w głowie, gwałtownie przerwał towarzyszącą im od początku podróży ciszę. – Jak ci się to udało?

W jego słowach pobrzmiwało autentyczne zdumienie, a także... niepokój.

Chłopiec, zaskoczony tak pytaniem, jak i reakcją skrzydlatego, spróbował wzruszyć ramionami.

– Nie wiem co – odparł zgodnie z prawdą.

Pozostali dwaj skrzydlaci spojrzeli na Aa’nhii olla ze zdumieniem, zaraz jednak pokiwali głowami i nie czekając, ruszyli do przodu, zostawiając towarzysza sam na sam z chłopcem. Ten czuł, że serce zaczyna mu bić szybciej, a nogi drżą.

– Co takiego zrobiłem? – nie chciał, by zabrzmiało to jak pisk, ale tak właśnie zabrzmiało. – Ja naprawdę...

Aa’nhii olla położył mu rękę na ramieniu i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Nic się złego nie stało, młody łowco – zapewnił. – Chcę tylko wiedzieć, jak sprawiłeś, że przestałem słyszeć twoje myśli. Co takiego zaprzętało ci głowę, że umilkłeś dla mnie?

– Modliłem się – odpowiedział Kinniih, opuszczając wzrok. – Tych słów nauczył mnie szaman, gdy byłem jeszcze dzieckiem.

Ostatnie słowa podkreślił wyraźnie, jakby chciał dać do zrozumienia, że było to dawno temu, a teraz z całą pewnością jest już dorosły.

Skrzydlaty przeniósł rękę z jego ramienia na głowę i zmierzwił chłopcu włosy, jak to zwykł robić Dedowaga’.

– To dobrze, że pamiętasz, by oddać duchom cześć i hołd. A gdy już postawicie świątynię, będzie dużo czasu, bym opowiedział ci o naszym

wodzu, a także o tym, kim byliśmy, zanim upadliśmy i zaczęliśmy się błąkać po ziemi.

Kinniih nie zdążył spytać, czym jest świątynia ani dlaczego mają ją budować, gdyż nagle od strony lasu dobiegł ich potworny wrzask.

Młody łowca rzucił skóry na ziemię i z całych sił pognął w tamtym kierunku, zostawiając zaskoczonego skrzydlatego samemu sobie.



Pierwsze, co dostrzegł, gdy wypadł spomiędzy krzaków, to wygięte plecy pochylonego ojca. Dopiero chwilę później zauważył ciało Itsappe.

Dedowaga' nie odwrócił się. Nie musiał. Słuch miał równie dobry jak wzrok.

– Biegnij do wioski, *Dua* – powiedział tak cicho, że jego głos ledwie przebijał się przez szum rzeki. – Powiedz im, że skrzydlaci właśnie zabili młodego Itsappe i że czas, by przybrać barwy i odtańczyć *dasa'yee gwii*. Shorouki wyruszają na wojnę.

Coś przysłoniło słońce i w chwilę później z nieba sfrunął Aanhi oll. Spojrzał najpierw na ciało, a potem na pochylonego nad nim Dedowagę'. Musiał odczytać jego myśli albo dostrzec coś w twarzy łowcy, gdyż zaraz odskoczył, jednocześnie dobywając ostrza.

Shorouki podniósł się z klęczek i sięgnął po nóż. Powoli zaczął obchodzić skrzydlatego niczym czająca się do skoku puma.

– Słyszałeś, co powiedziałem, Kinniih?! – wycedził. – Idź już!

Chłopiec nie odważył się sprzeciwić. Odwrócił się i pognął wzdłuż strumienia. Gdy dotarł do oddalonego o kilkadziesiąt kroków zakrętu rzeki,

obejrzał się – jego ojciec wciąż żył... i walczył.



Wódz Washakie nie potrafił oderwać wzroku od malowanych postaci tańczących na skórach. Zwłaszcza że ciągle robiły coś innego.

Obecnie tańczyły między namiotami, wznosząc ręce w stronę brunatnego księżyca. Nieopodal na pniu, który równie dobrze mógł być rulonem skór bądź zwykłą plamą na płachcie, siedział ludzik, wybijając niesłyszalny rytm na obciągniętym namalowaną skórą *wituai*'. Zarówno wódz, jak i zgromadzeni za nim mieszkańcy wioski wiedzieli, że oto patrzą na dowód sympatii duchów. Czy mogło ich spotkać coś wspanialszego?

Łowcy, którzy jeden po drugim wracali z polowania, rzucali upolowaną zwierzynę na ziemię i podbiegali do namiotu wodza, by popatrzeć. Kilku zatrzymało się przy siedzibie szamana, ale obrazy na jego skórach były niemrawe i wyblakłe, zupełnie jakby ktoś poświęcił wiele dni, by wypracować malunki w strumieniu. Niektórzy uważali nawet, że był to znak – szaman stracił przychylność duchów, bo wyruszył na wędrowkę, gdy te przybyły.

– Zobaczcie! – zawołał ktoś, gdy kreski ułożyły się w pumę i ludzika z włócznią. – Kinniih, syn Dedowagi'.

Przez tłum przebiegł szmer, nikt bowiem do tej pory nie przypuszczał, że Nekade Naboope opowiadają prawdziwe historie. Teraz to, co widzieli, stało się w ich oczach jeszcze wspanialsze.

Ludzik pokonał pumę i przy wtórce radosnych okrzyków Shorouki zarzucił sobie zwierzę na plecy. Byli tej samej barwy, toteż złączyli się w jedno, tworząc totem, znak duchów...

I w tej samej niemal chwili do wioski wpadł zziębnięty Kinniih.

– Wodzu! – krzyknął, zabrakło mu jednak tchu, musiał się zatrzymać i zgiąć wzdłuż, by uspokoić oddech. – Wznoszę *wa'aa'gi* przeciw skrzydlatym – powiedział po chwili. – Wznoszę okrzyk wojenny. Przybysze zabili Itsappe, a teraz jeden z nich walczy z moim ojcem...

Wódz, który z niemałym trudem przecisnął się przez tłum zdumionych Shorouki, podszedł do Kinniiha i położył mu rękę na ramieniu.

– Jesteś pewien swych słów? – zapytał drżącym głosem. Jak się okazało, drżącym nie z gniewu, a ze strachu. – Chcesz powiedzieć, że twój ojciec wystąpił przeciw duchom?

Nie doczekał się odpowiedzi, gdyż nagle zza drzew wyłoniły się sylwetki lecących w szyku skrzydlatych. Ustawieni byli w trójkąt jak klucz ptaków, albo raczej grot włóczyń czy strzały. Lecący na przedzie niósł na rękach *Dedowagę'*, a skrzydlaty obok niego trzymał młodego Itsappe.

Kinniih szarpnął się, widząc ciało ojca, jednak ręka wodza zacisnęła się mocniej na ramieniu chłopca. Wszyscy milczeli, wpatrując się w niebo.

Skrzydłacy tymczasem zawisli nad wioską, łopocząc skrzydłami.

– Oto złamane zostało przymierze! – zagrzmiął głos tego, który trzymał na rękach *Dedowagę'*. – A plemię Shorouki wystąpiło przeciw nam. Nie jesteśmy już waszymi przyjaciółmi, a ziemię waszą i was samych bierzemy w posiadanie. Każdego zaś, kto nie posłucha, spotka to...

Rozłożył ręce i zwłoki wojownika z łoskotem uderzyły w ziemię.

Kinniih wrzasnął, wyszarpnął się i pognał w stronę ciała ojca. Przyklęknął przy nim, podnosząc go do pozycji siedzącej. Zagrzechotały popękane kości, a z ust pierwszego łowcy wioski chlusnęła ciemna, gęsta krew.

Zaraz potem rozległ się kolejny łomot, gdy na ziemię runęło ciało Itsappe.

– Czujcie się ostrzeżeni, Shorouki – powiedział skrzydlaty, zakładając ręce na piersi. – Macie bowiem nowych bogów.

To mówiąc, wzbił się wyżej, a wraz z nim pozostali. Nie było ich wielu, nawet nie trzecia część spośród tych, którzy zamieszkali w górach, ale mimo to robili ogromne wrażenie. Prawdziwa armia Ducha Stwórcy...

Chwilę później zniknęli za linią drzew.

Shorouki długo jeszcze wpatrywali się w niebo z mieszaniną przerażenia i bezsilności. Nikt nic nie powiedział, nikt nie uczynił żadnego gestu... nawet postaci na namiocie wodza zamarły w bezruchu.

Z tłumu powoli wyłoniły się dwie kobiety. Jedna podeszła do Itsappe, a druga, roniąc łzy, uklękła obok Kinniiha przy ciele Dedowagi’.

– Tak musiało być, *Dua*’ – szepnęła, gładząc chłopca po włosach. – Wystąpił przeciw duchom.

– To nie są duchy! – krzyknął młody łowca, odpychając jej rękę. Poderwał się na równe nogi, widząc, że skupiają się na nim wszystkie spojrzenia. I dobrze, uznał, bo tajemnica właśnie przestała obowiązywać.

– Oni są śmiertelni, jak my – powiedział, postępując krok w stronę wodza. Jego oczy, lśniące od łez, pały gniewem i pragnieniem zemsty. – Widziałem ich krew, równie czerwoną jak nasza, i słyszałem chrzęst połamanych kości. Możemy ich pokonać.

Nikt nie odpowiedział. Współplemieńcy, wśród których wielu było prawdziwych wojowników, przyjaciół jego ojca, stali teraz gotowi bez walki oddać wolność skrzydlatym. Kinniih patrzył w ich twarze pozbawione wyrazu, o oczach przepełnionych strachem. Drżeli o swoje kobiety, o dzieci, w większości młodsze niż Itsappe, które wciąż czekała jakaś przyszłość. Bali się stracić spokój wywalczony latami wyrzeczeń i poświęceń. A przecież nikt nie walczy z duchami... czy też raczej – nikt z nimi nie wygrywa.

Chłopiec przynosił wzrok od jednego mieszkańca wioski do drugiego, wiedząc już, że przegrał. Mimo to spróbował jeszcze raz:

– Znam sposób, jak z nimi walczyć! – zawołał. – Jak ustrzec się przed ich mocą. Ukryjemy przed nimi nasze myśli i zaatakujemy z nadejściem nocy. A gdy już skończymy, nie zostanie z nich nic prócz piór do naszych *gwi'yadeezo'woi'*. Mój ojciec...

– Twój ojciec zrobił w swym ciele miejsce dla złych duchów – oznajmił głośno wódz Washakie – i wystąpił przeciwko Newegwasu'u Tso'ape, naszym przyjaciołom. Spotkała go zasłużona kara, podobnie jak młodego Itsappe. Od dziś nie będziemy wymawiać ich imion, a kości oddamy Duchom Wilkom. Taka jest wola plemienia.

Wódz odwrócił się gwałtownie, unikając wzroku młodego łowcy, i szybkim krokiem ruszył w stronę swojego namiotu. Uważniejsi twierdzili potem, że w oczach miał łzy.



Zaszeleściły krzaki i Kinniih odwrócił się gwałtownie, mierząc nożem w stronę, z której dobiegł hałas. Po chwili na polankę wyszedł najpierw Nekantan, syn wodza, a za nim kilkunastu innych młodych łowców. Wszyscy mieli, podobnie jak syn Dedowagi', twarze ozdobione barwami wojennymi.

– Postanowiliśmy, że pójdziemy wraz z tobą, Kinniih – wyjaśnił Nekantan. – Itsappe był naszym bratem, a twój ojciec pierwszym pośród plemienia.

Gdy wypowiadał ostatnie słowa, głos mu się załamał. Szybko odwrócił wzrok.

Kinniih podszedł i oparł dłoń na jego ramieniu.

– Twój ojciec jest mądrością Shorouki – powiedział. – Od jego decyzji zależy wolność i życie tych, którzy nie mogą wznieść wojennego okrzyku.

Odwrócił się, odszedł kilka kroków, po czym podniósł z ziemi starannie splecioną linę. Przerzucił ją sobie przez plecy.

– Musimy zdążyć na szczyt przed świtem, co oznacza, że zanim zapadnie zmrok, powinniśmy dotrzeć do podnóża gór. – Przyjrzał się towarzyszom. – I od tej pory wasze myśli muszą stać się jedną nieustanną modlitwą. Niech prawdziwe duchy staną po naszej stronie.



„*Ne hinni?* – Kim jestem?”

Kinniih podciągnął się i wsunął gładko na skalną półkę. Zaparł się nogami i szarpnął liną, dając znak, że jest gotów. Naprężona lina zagrała cicho.

„Jestem Atasenkoattsih – pająk. Umiem chodzić po pionowych ścianach, a nić mej pajęczyny może być pułapką i wybawieniem”.

Lina poluzowała się, a po chwili na półce stał już następny łowca. Kinniih rozpoczął kolejny etap wspinaczki.

„Jestem Mompittseh – sowa, która w ciemności dostrzeże najdrobniejszy szczegół”.

W rzeczywistości wcale nie było tak łatwo. Księżyc co prawda świecił jasno, ale nawis wiszący nad głowami wspinaczy rzucał cień, kryjąc w

mroku wszystkie nierówności skały mogące dać oparcie stopie lub uchwyt dłoni. Mimo to młodzi łowcy poruszali się szybko, a w ich ruchach dało się dostrzec morderczą determinację. Wiedzieli, po co tam idą. I większość z nich przeczuwała nawet, jak się to wszystko skończy. Duchy czy nie, jeden z nich pokonał Dedowagę’ – pierwszego pośród Shorouki...

„Jestem Kwinaa – dumny władca ptaków i król gór. Ich szczyty są i na zawsze pozostaną moim domem”.



Gdy w końcu dotarli na szczyt, słońce właśnie wyszło zza lasu. Niebo mieniło się czerwienią i błękitem, surowymi jak mroźne zimowe powietrze.

Skrzydłaci spali skupieni w małych grupkach, przykryci skórami. Było ich dużo mniej niż w dniu, gdy przybyli. No i nie było sześcioskrzydłego.

Kinniih przypomniał sobie, że nie widział go już od kilku dni...

Cichutko zakradł się do pierwszej grupki, odsuwając na bok zawiniętą w pasy broń i uważnie przyglądając się białym twarzom. Nie znalazłszy tego, którego szukał, przeszedł do następnej, aż w końcu udało mu się wypatrzeć Aa’nhii olla. Leżał na boku, ręką obejmując śpiącego obok towarzysza. Uśmiechał się lekko.

Młody łowca przyklęknął przy nim i wy dobył nóż. Podniósł wzrok, by sprawdzić, czy pozostali Shorouki zajęli miejsca przy innych skupiskach. Skinął lekko głową i wciągnął głęboko powietrze.

„Jestem Dedowaga’ – pierwszy pośród plemienia, jego włócznia”.

Nóż gładko przejechał po gardle skrzydlatego. Chlusnęła krew.

– Jestem Kinniih, łowca Shorouki! – wrzasnął chłopiec, podrzynając gardło kolejnemu skrzydlatemu.

Pozostali, przebudzeni krzykiem, a może przekazany w myślach bólem współbraci, zerwali się, próbując sięgnąć po broń. Młodzi łowcy byli jednak na to przygotowani. Ich noże śmigwały, wbijając się w uda, torsy, plecy zaskoczonych wrogów.

Kinniih skoczył przed siebie, wbijając ostrze pod kolano ruszającego do walki skrzydlatego, przetoczył się i z dzikim wrzaskiem zaatakował następnego. Gdzieś z oddali dobiegł go krzyk spadającego w przepaść Nekantana. Nie był to jednak wrzask strachu. Syn wodza, kurczowo uczepony martwego anioła, wznosił pod niebo swój przerażający wrogów okrzyk *wa'aa'gi*.

Jego głos, świdrujący umysł jak pisk krążącego nad polaną Kwinaa, dodał młodym łowcom nowych sił. Chociaż przerażeni i zmęczeni wspinaczką, wciąż atakowali.

Garstce ocalałych aniołów udało się sięgnąć po broń. Stali więc na środku otoczeni, przywarci do siebie skrzydłami i wymachiwali ostrzami, czekając na atak. Udało im się odeprzeć pierwszy, zabijając dwóch Shorouki, ale w chwilę później jeden ze skrzydlatych runął na ziemię, ściskając pod pachą drugie przedramię, z którego fontannami tryskała krew. Pozostali nie zdążyli już zewrzeć szyku...

Kilku innych próbowało wznieść się ku niebu, nie bacząc na to, że podczas walki ich skrzydła straciły większość piór, a ich resztki sterczały w różne strony przekrzywione i połamane. Wyciągali skrwawione ręce ku niebu, jakby stamtąd oczekując pomocy.

Ale pomoc nie nadeszła. Zamiast tego młodzi łowcy, uzbrojeni w anielskie ostrza, pochlastali ich bez cienia litości, dopóki nie został nawet ślad po bieli skóry.

Kinniih tańczył pomiędzy ciałami, śpiewając rytualną pieśń *dasa'yee gwii* – tańca wojny. Wiedział już, że odnieśli zwycięstwo.

Ostatni skrzydlaci padali, gdy klęcząc przy Aa'nhi olle, odcinał mu skrzydła.



– Co teraz? – zapytał Sacajaweja. Najmłodszy łowca był ranny w bok, a jego włosy lepiły się od krwi. Poza tym wyglądał na krańcowo wykończonego. – Co robimy, Kinniih?

Syn Dedowagi' szybko policzył ciała skrzydlatych, a zaraz potem łowców.

Nie było to łatwe zwycięstwo. Pomimo zaskoczenia i tego, że większość skrzydlatych nie mogła sięgnąć po swą groźną broń, zginęło sześciu Shorouki. Na dwudziestu trzech przybyszy...

– Gdzie jest reszta? Gdzie Kwaya Tso'ape?

Kinniih nie wiedział, który z łowców zadał to pytanie, ale wyraził obawy wszystkich. Leżący u ich stóp skrzydlaci to zaledwie początek. A pozostałych pewnie nie da się już zaskoczyć.

– Przylecą – odparł chłopiec, nakrywając się skrzydłami Aa'nhi' olla. Uśmiechnął się na myśl, że oto stał się prawdziwym Newegwasu'u, człowiekiem ubranym w skrzydła. – Ale wtedy będzie już z nami Tshnin Godoko i siła plemienia. Pokonamy ich! Jestem tego pewien.

Podszedł do krawędzi, walcząc z pokusą, by nie wzlecieć na zdobytych skrzydłach ku niebu. Poczuł, że gdyby chciał, mógłby to zrobić, wystarczyłoby wyrazić takie pragnienie.

Słońce, które właśnie wyłoniło się zza chmury, rzuciło na jego twarz kilka ciepłych promieni.

„*Ne hinni?*”

„Shorouki...”

Potrzebowałem wakacji. Praca zawodowa, szalejące dzieciaki w domu, wieczorami ślęczenie nad komputerem, a raz w tygodniu wyjazd do Katowic i próby teatralne – to wszystko naprawdę solidnie dawało mi w kość. Spałem po cztery godziny na dobę, w dzień snułem się jak zombie. Zacząłem nawet pijać kawę, którą do tej pory się brzydziłem.

I nagle ni stąd, ni zowąd dorwała mnie grypa. Taka zwalająca z nóg, wywołująca dreszcze, gorączkę i w ogóle cały radosny pakiet objawów. Padłem na tydzień do łóżka, a wszyscy trzymali się ode mnie z daleka.

Brzmi strasznie, prawda? Zanim jednak zaczniecie mi współczuć, wiedzcie, że mimo kataru i bólu głowy wypocząłem wtedy jak nigdy. Spałem po czternaście godzin na dobę, a pozostały czas poświęcałem na nadrabianie czytelniczych zaległości, kąpiele inhalacyjne, jedzenie i oglądanie filmów. Mówię wam, raj!

Tak się zabawnie złożyło, że akurat wtedy potrzebowałem pomysłu na opowiadanie do antologii „Epidemie i zarazy”. I sobie wydumałem: „Napiszę historyjkę o facecie, któremu choroba funduje wakacje od życia. Dam mu basen, ładny pokój i salę do bilardu – niech się chłopak zabawi”.

DOM NA WZGÓRZU

Nogi ugięły się pod nim i runął na podłogę, dygocząc jak w febrze. Z rozciętego policzka kapłała krew, szkarłatne krople gromadziły się w rowkach między płytkami, plamiąc jasnobrązową fugę.

Niewiele brakowało, a skończyłoby się prawdziwym nieszczęściem, upadł bowiem tak blisko brodzika, że uderzał o niego przy każdym gwałtownym ruchu. Parę centymetrów dalej i wyrznąłby głową o krawędź.

„Język – przemknęło mu przez głowę – zaraz go sobie odgryzę. Na litość boską, czy nikt nie słyszał, jak upadłem?!”

Wiedział jednak, że to mało prawdopodobne. Łazienka znajdowała się na piętrze, a Katarzyna właśnie szykowała śniadanie w kuchni na dole. Do tego dochodził jeszcze szum wody, którą jak zwykle odkręcił za mocno. Rykoszetujące od umywalki krople padały teraz na jego nagi tors, kłując niczym maleńkie igiełki.

Po chwili dreszcze ustały. Leżał jeszcze minutę, może dwie, chociaż plecy zdrętwiały mu już od zimnej podłogi. Wreszcie uspokoił oddech, podniósł się ostrożnie i oparł o umywalkę. Zmniejszył strumień, opłukał twarz.

„Będzie z tego blizna, to pewne” – pomyślał, przyglądając się ranie na policzku. Sam przed sobą próbował ukryć, jak bardzo przeraził go ten atak. Gdzieś słyszał co prawda, że takie rzeczy zdarzają się z powodu przemęczenia, ale wyobraźnia podsuwała mu dużo straszniejsze obrazy.

Otworzył szafkę z lekami i wyciągnął buteleczkę wody utlenionej. Dociskając wacik do policzka, postanowił, że jeszcze dziś wybierze się do

lekarza... a potem weźmie kilka dni wolnego. Odetchnął głęboko kilka razy, umył zęby, ubrał się i zszedł na śniadanie.



Katarzyna stała właśnie przy zlewozmywaku, obierając pomarańczę. Ubrana w grafitowy kostium i ciemne pończochy wyglądała naprawdę seksownie, mimo że wciąż nie udało jej się wrócić do figury sprzed ostatniej ciąży. Włosy związała w koński ogon, jak zawsze gdy uznawała, że nie ma czasu na wydziwianie.

Odezwała się, gdy tylko stanął w drzwiach.

– Jak to jest, że ja zdążyłam już wyprawić dzieciaki do szkoły, ubrać się i zjeść, a ty dopiero wyszedłeś z łazienki? – Odwróciła się, dla żartu celując w niego ostrzem krótkiego noża. Gdy jednak zobaczyła, jaki jest blady, uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy. – Jezu, Marek, co ci się stało?

Przejechał ręką po zranionym policzku i wzruszył ramionami.

– Nic takiego – odparł. – Zaciąłem się przy goleniu. Mały jeszcze śpi?

– Tak. – Katarzyna wciąż przyglądała mu się zaniepokojona. – To pewnie ta pogoda. Gosia i Maciek też nie chcieli dziś wstawać... Na pewno wszystko w porządku?

– Wszystko pod kontrolą, kochanie – powiedział, pewnym krokiem przechodząc przez kuchnię i obejmując ją w talii. Poczul pod palcami wałeczki tłuszczu wylewające się ze zbyt ciasnej spódnicy. – Jeśli tylko zaraz dostanę kawę, będę żył.

Pocałował ją i usiadł przy stole. Czekał tam już na niego talerz jajeczniczy z kiełbasą.

– Po południu wezmę dzieciaki do zoo, podobno przywieźli nowego tygrysa. – Przełknął nieco jajecznicy, ale na razie czuł głównie smak pasty do zębów. – Pewnie znowu będzie wychudzony jak ten goryl sprzed roku, ale i tak dawno tam nie byliśmy.

– Dobry pomysł. – Katarzyna postawiła przed nim kawę i usiadła naprzeciw z pomarańczą w dłoniach. Rozerwała owoc na pół i jedną część położyła koło jego talerza. – Na wieczór też musisz coś wymyślić, bo jestem umówiona z Martą na pogaduchy.

– Hej, chwileczkę... – zaczął, ale przerwał mu dzwonek do drzwi. Spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. Dotąd nie zdarzały im się wizyty o tak wczesnej porze. Niby nic niezwykłego, ale mimo wszystko ten poranny dzwonek budził niepokój. Kojarzył się ze złymi nowinami, które nie mogą czekać na cywilizowaną godzinę.

– Pójdę sprawdzić – powiedziała Katarzyna. – Ty jedz, bo się spóźnisz.

Skinął głową, przezuwając kolejną porcję jajecznicy. Popił kawą.

Dzwonek rozległ się ponownie, tym razem dłuższy, jakby ktoś na zewnątrz bardzo się niecierpliwił.

– Już idę, chwila! – krzyknęła Katarzyna i rzeczywiście zaraz rozległo się skrzypnięcie oznajmiające, że otworzyła frontowe drzwi.

„Muszę w końcu zrobić z nimi porządek” – zdążył pomyśleć, gdy nagle dobiegł go stłumiony krzyk. Błyskawicznie poderwał się z miejsca i wypadł do przedpokoju.

Dostrzegł ją obok otwartych drzwi z rękami przyciśniętymi do twarzy, wtuloną plecami w kurtki i płaszcze rozwieszane na zamocowanych na ścianie haczykach.

Przed nią w progu stało dwóch mężczyzn jakby żywcem wyjętych z filmu SF. Ubrani w szczelne żółte kombinezony, na twarzach mieli maski z pochłaniaczami. Ten nieco z tyłu trzymał w rękach coś, co równie dobrze

mogło być bronią, wykrywaczem metali, jak też rurą od odkurzacza. Od drzwi wejściowych przez całą długość ogródka aż do stojącej na chodniku ciężarówce ciągnął się półprzezroczysty foliowy tunel, w kilku miejscach wzmocniony elastycznym stelażem.

– Czy pan Marek Domański? – zapytał stojący bliżej wytłumionym przez maskę głosem.

Marek skinął głową.

– To ja – powiedział spokojnie, ale spojrzenie wciąż skupiał na rurze trzymanej przez tego drugiego.

Być może sprawił to dźwięk jego głosu, a może Katarzynie minął pierwszy atak paniki, bo w tym momencie doskoczyła do męża i wtuliła się w niego niczym przestraszone dziecko.

Mężczyzna w skafandrze postąpił krok do przodu.

– Proszę się nie obawiać. – Uspokajającym gestem uniósł dłoń. – Jesteśmy z Biura do spraw Kryzysów Epidemiologicznych. Nazywam się Wójcik i jestem lekarzem wojskowym. Chciałbym zadać panu kilka pytań. Można?

– Najpierw mi pan wyjaśni, po co to wszystko – zażądał Marek. Rana na jego policzku otworzyła się, a kropla krwi skapnęła na biały kołnierzyk, tworząc różową plamę. – Czy coś się wydarzyło w okolicy? Wybuchła jakaś elektrownia?

– My zajmujemy się epidemiami – odparł Wójcik, akcentując ostatnie słowo. – Istnieje uzasadnione podejrzenie, że być może miał pan kontakt z nosicielem, przez co i pan jest już zarażony.

Katarzyna drgnęła lekko, ale zaraz przywarła mocniej do męża, tylko kątem oka zerkając w stronę mężczyzny. Marek nieprzyzwyczajony do podobnych reakcji zaradnej i przebojowej na co dzień żony pogładził ją po włosach.

– Co to za choroba? – spytał rzeczowo.

– Wirus Skeltona–Wire’a, nowa afrykańska mutacja. Bardzo poważna choroba, ale na szczęście rozprzestrzeniająca się dość wolno – odparł Wójcik, robiąc kolejny krok do przodu. Wyciągnął przed siebie lewą rękę. Trzymał w niej zdjęcie czarnoskórego mężczyzny pod trzydziestkę, ogolonego na łyso i z krótkim zarostem okalającym usta. – Proszę mi powiedzieć, czy miał pan styczność z tym człowiekiem w ciągu ostatnich kilkunastu godzin? Podawał mu pan rękę? Rozmawiał z nim? Może jadł orzeszki z jednego talerzyka? Proszę się dobrze przyjrzeć i zastanowić. To naprawdę ważne.

Marek pochylił się do przodu i uważnie spojrział na fotografię. Tak naprawdę wcale nie musiał tego robić. Rozpoznał go od razu.

– To William Moore, przedstawiciel McFly Invest – powiedział. – Wczoraj jego firma podpisała umowę z naszą agencją. Przypieczętowaliśmy to wspólnym obiadem.

Z pokoju na górze dobiegł płacz dziecka. Katarzyna natychmiast puściła męża i pognęła na górę. Marek obejrzał się za nią.

– Bardzo przepraszamy – Wójcik stanowczym krokiem wszedł do przedpokoju – ale to niezbędne środki ostrożności. Z pewnością pan to rozumie.

Marek skinął głową.

– Co teraz? – zapytał.

– Obawiam się, że musi pan iść z nami. Pańska rodzina jest na razie bezpieczna, bo od momentu kontaktu nie minęło trzydzieści sześć godzin. Ale dalsze pozostawienie pana w ich towarzystwie...

– Ale ja się czuję doskonale!

Wójcik sapnął w maskę. Zapewne w swojej działce był niezłym profesjonalistą, skoro dostał taką robotę, ale negocjatorem marnym. Zza

przyciemnionej szybki nie widać było jego twarzy, nietrudno było się jednak domyślić, że wyrażała znużenie, tak jakby to samo musiał tłumaczyć już dziesiątki razy. Kto wie, może rzeczywiście tak było.

– Panie Domański, na razie może czuje się pan dobrze, ale już niebawem pojawią się pierwsze objawy. Zaburzenia wzroku, mdłości, konwulsje...

Słyszając ostatnie słowo, Marek wyraźnie drgnął, a jego ręka odruchowo powędrowała do rany na policzku.

– Już się zaczęło, tak? – zapytał Wójcik. – Proszę się nie martwić. Minie jeszcze parę godzin, zanim zacznie pan zarażać. A jeśli pojedzie pan teraz z nami, jest szansa, że wszystko unormuje się w ciągu kilku do kilkunastu dni. We wczesnym stadium potrafimy zapanować nad chorobą całkowicie.

– Ale ja mam pracę! – Domański cofnął się gwałtownie, co sprawiło, że mężczyzna z rurą odruchowo postąpił krok do przodu. Wójcik obejrzał się na niego i pokręcił głową. Następnie ponownie zwrócił się do Marka: – Proszę się nie martwić takimi sprawami, bierzemy to na siebie. W tej chwili najważniejsze jest zdrowie pana i pańskiej rodziny, prawda? Proszę się zatem pożegnać z żoną i dzieckiem. Ma pan piętnaście minut. Pakowanie może pan sobie darować. Dostanie pan wszystko, co będzie potrzebne.

Domański odwrócił się i ruszył w stronę schodów.



Przyczepę ciężarówki podzielono na dwie części. W pierwszej siedziało dwóch ludzi w skafandrach i z ruropodobnymi przedmiotami w rękach. Teraz Marek był już prawie pewien, że to broń.

Po przeciwnej stronie, przy ścianie przedzielającej kabinę, dostrzegł dwóch nieco młodszych od niego wystraszonych mężczyzn. Jeden z nich, szczupły blondyn z odstającymi uszami, podobnie jak Marek miał na sobie garnitur, ale drugiego, kudłatego grubaska, musieli wyciągnąć z łóżka, bo siedział w samych gatkach i nieco przyciasnej podkoszulce. W rękach trzymał co prawda złożony T-shirt i dżinsy, ale wydawał się zbyt przestraszony, by zdawać sobie z tego sprawę. Jego pulchna twarz drżała, jakby właśnie przechodził łagodną wersję ataku choroby Skeltona–Wire’a.

Domański zdecydował, że towarzystwo blondyna będzie ciekawsze.

– Marek jestem – powiedział, sadowiąc się na ławce i wyciągając rękę. – O której cię zwinęli?

Blondyn zmierzył go wzrokiem, po czym niepewnie uściśnął podaną dłoń.

– Nie wiem dokładnie – odparł. – Miałem do pracy na siódmą i właśnie wychodziłem. Nie patrzyłem na zegarek.

– To tak jak ja. – Domański skupił wzrok na dwóch postaciach pośpiesznie składających foliowy tunel. Uwijali się sprawnie i po chwili zamknęli wejście do samochodu. Na moment w przyczepie zrobiło się ciemno, po czym rozbłysły światelka umieszczone pod sufitem. „Jak w poczekalni na porodówce – pomyślał – tylko krzesła mają tu wygodniejsze”. Zaraz potem ciężarówka ruszyła.

– Miałeś już objawy? – zapytał blondyn.

– Drgawki, dziś rano. – Marek pokazał ranę. – A ty?

– Mdłości i zaburzenie widzenia w nocy. A moja dziewczyna powiedziała, że rzucałem się we śnie. Jezu, jak dobrze, że wyszła dziś wcześniej!

Grubas zatrzęsł się mocniej i omal nie spadł z krzeselka, a jego oddech stał się świszczący, jakby mężczyzna połknął plastikowy gwizdek.

Domański zerknął na gości w skafandrach, ale ci ani drgnęli, co odebrał jako znak, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Sam więc również nie zareagował.

– Mieszkasz w domu czy w bloku? – zapytał.

– Co...? A, w bloku. – Blondyn oderwał wzrok od grubasa i potrząsnął głową, jakby dopiero się obudził. – Na trzecim piętrze.

– I też rozstawili ten foliowy tunel? Musieli mieć z tym sporo problemu.

– Niczego nie rozstawiali – odparł blondyn, kręcąc głową. – Przyszło dwóch facetów w skafandrach, jeden miał pukawkę, a drugi zdjęcie i...

Nagle usłyszeli coś jakby syk, szum i w ścianie przedzielającej przyczepę pojawiło się przejście. Wyszła z niego młoda, przysadzista dziewczyna w okularach i przyciasnym kostiumie. Z trudem dopięty żakiet trzeszczał pod naporem ogromnych piersi.

– Pan Domański teraz – powiedziała, siadając na wolnym miejscu obok grubasa.

Marek popatrzył na blondyna, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Mnie jeszcze nie wzywali – powiedział.

– Opowiem ci potem. – Domański wstał i podszedł do przejścia. Zatrzymał się przy nim na chwilę, wspierając o ścianę, kiedy ciężarówka weszła w ostry zakręt, po czym przekroczył próg i zasunął za sobą ściankę.

Ta połowa przyczepy podzielona została na dwie kolejne części, które rozgradzała szyba z przezroczystej pleksi. Przecinała na pół stół stojący pośrodku, przez co pomieszczenie wyglądało trochę jak rozmównica dla więźniów. Obok stołu zamocowano do podłoża krzeselka.

Po drugiej stronie siedziała młoda dziewczyna o pięknej, ale surowej twarzy, tak często spotykanej u filmowych nauczycielek. Miała długi, prosty nos, delikatnie zarysowane kości policzkowe i małe, wąskie usta. Oczy, z pewnością ciemne – choć dokładnej barwy Marek nie był w stanie

określić w tym świetle i z tej odległości – kryła za okularami o starannie dobranych oprawkach. Ciemnobrażowe włosy spięła w pedantyczny kok.

– Proszę, panie Marku, niech pan siada – powiedziała, wskazując ręką miejsce. Jej głos dobiegał do niego przez głośniki umieszczone pod sufitem. – Musimy uzupełnić pewne dane na pana temat.

Położyła na blacie kilka teczek i otworzyła pierwszą z nich.

– Jeśli są tam pytania o przebyte choroby, to naprawdę... – zaczął.

Spojrzała na niego znad zsuniętych lekko okularów.

– Mamy pana kartę, panie Marku – powiedziała. – Pytania, które mam panu zadać, są nieco innej natury. Bardziej osobistej.

Domański tknięty przelotną myślą zadarł głowę i ostentacyjnie rozejrzał się w poszukiwaniu kamer.

– Jeśli to wszystko jest jakimś nowym telewizyjnym show... – rozpoczął kolejne zdanie, gdy nagle poczuł, że świat zaczyna falować. Obraz przed oczami stał się niewyraźny i rozmyty, jakby właśnie znalazł się w filmie z lat pięćdziesiątych i przenosił do retrospekcji. Brakowało tylko onirycznej muzyczki.

– Jeśli... znaczy... ja... – Poczul gwałtowny skurcz w żołądku, a zaraz potem z jego ust trysnęła struga wymiocin. Część osiadła na przezroczystej płycie, a reszta rozlała się po blacie stołu.

Ledwie widoczna ludzka sylwetka za szybą odskoczyła gwałtownie i nacisnęła jakiś brzęczyk, po czym wypowiedziała szybko kilka słów, z których Marek, trzęsący się teraz bardziej nawet niż rano, nie zrozumiał ani jednego.

Do pomieszczenia wpadli faceci w żółtych skafandrach i wytarłszy Domańskiemu twarz i koszulę papierowymi ręcznikami, znów wynieśli go do poczekalni. Posadzili na krześle koło blondyna i zasunęli przejście.

– To by było na tyle, jeśli chodzi... o wizyty za ścianą – wydusił z siebie Marek, odpowiadając na pytające spojrzenie towarzysza. Potem zemdlął.



Obudził się w przestronnym, jasnym pomieszczeniu. Bolała go głowa, paliło w przełyku, a ponadto wciąż jeszcze czuł lekkie mdłości. Na szczęście znowu wszystko widział wyraźnie i z właściwą ostrością. Spróbował poruszyć ręką, to jednak okazało się niemożliwe. Na tyle, na ile mógł, uniósł głowę.

Nie miał już na sobie garnituru, zastąpiła go sięgająca połowy uda koszula nocna. Ręce i nogi krępowały parciane pasy o metalowych klamrach, a w żyle, tuż pod zgięciem łokcia, tkwił zielony wenflon połączony przezroczystą rurką z woreczkiem zawieszonym na stojaku. Marek wyteżył wzrok, ale za nic nie mógł odczytać napisu na etykietce kroplówki. Pewnie i tak nic by mu to nie powiedziało, ale miał nadzieję, że po samej nazwie byłby w stanie odróżnić, czy to coś na wzmocnienie, czy raczej jakaś utajniona eksperymentalna szczepionka. Był czas, kiedy oglądał mnóstwo seriali o tym, że wszystkie choroby i inne nieszczęścia to spiski rządów, które to mają w swych laboratoriach antidota na każdą okazję.

– Miło, że już się pan obudził, panie Marku – dobiegło z kąta pokoju.

Domański odwrócił głowę, ale nikogo tam nie dojrzał. Zresztą nigdzie nikogo nie dojrzał. Pomieszczenie było puste, jedną ze ścian zastępowało ogromne okno, a pozostałe wyłożono panelami w kolorze srebrno-białym – z czasów remontu pamiętał, że ten wzór zwano alpejskim jesionem.

Dopiero po chwili zorientował się, że to, co pierwotnie wziął za czujnik pożarowy, w rzeczywistości jest kamerą. Kolejny raz poczuł się jak w „Big Brotherze”.

– Czy mo... – wycharczał, zaraz jednak odchrząknął. – Czy mogę rozmawiać z kimś prawdziwym?

– Ależ oczywiście, panie Marku – odparł głos wyraźnie rozbawiony pytaniem. – Doktor Wójcik już do pana idzie.

W kilka sekund później rozległ się cichy dźwięk – podobny do sygnału telefonicznego, choć odrobinę wyższy – i do pomieszczenia wszedł lekarz. Tym razem miał na sobie biały skafander gładko przechodzący w kaptur, z wypukłą przezroczystą osłoną z tworzywa zamiast maski przeciwigazowej, przez co wyglądał raczej jak astronauta niż epidemiolog. Na wysokości krtani znajdowały się dwie rurki prowadzące do ukrytego pod tkaniną garbu. Usta częściowo zasłaniał mu pałąk mikrofonu.

Marek musiał przyznać, że wyobrażał go sobie zupełnie inaczej. Zamiast filmowego twardziela o kwadratowej szczęce i wysuniętych kościach policzkowych zobaczył pogodnego mężczyznę – niemal łysego, pyzatego i z nosem jak maleńka rosyjska matrioszka albo miniaturowy kręgiel. O mało nie parsknął śmiechem, ale powstrzymał się, zagryzając wargi.

– Widzę, że już panu lepiej – powiedział Wójcik. Już nie jak Darth Vader, jego wzmocniony przez mikrofon głos budził podobną reakcję co twarz. Był sympatyczny i odrobinę zabawny. – Trochę nam pan nabruździł, muszę przyznać, ale taki to już brudny biznes, więc nie mamy żalu.

– Naprawdę mi przykro – odparł Domański. Marnych gierek słownych lekarza nie skwitował nawet cieniem uśmiechu. – Czy to normalne? Takie ataki i ich częstotliwość? Poprzednie dreszcze miałem jakies...

– Wszystko jest pod kontrolą, panie Marku. – Lekarz postukał palcem w woreczek kroplówki. – Podaliśmy już panu pierwszą dawkę leków i teraz

powinno być spokojniej. Ataki jeszcze nie miną, ale nie będą się zdarzać tak często. Właściwie to mogę już odpiąć pasy, jeśli obieca pan, że będzie leżał spokojnie do końca kroplówki.

– Nie za bardzo sobie wyobrażam, co innego mógłbym tu robić – stwierdził Domański. – Kiedy będę mógł zadzwonić do żony?

– Za jakieś dwadzieścia minut skończy się kroplówka. Wtedy weźmiemy pana na oddział i dopełnimy formalności rejestracyjnych. – Wójcik zaczął rozpinać Markowi pasy. – Podobno nie zdążył pan też odpowiedzieć na pytania. Teraz dostanie pan formularz do pokoju i wypełni sam.

Domański przypomniał sobie uwagę o pytaniach osobistych i zastanawiał się, jakiego mogą być rodzaju. Jeśli dotyczyły seksu, to chyba wolał jednak sam zakreślać odpowiedzi, niż uzewnętrzniać się przed kobietą o wyglądzie filmowej nauczycielki.

– Potem jest msza w kaplicy – kontynuował lekarz, mocując się z pasem krępującym nogi. – Potem jest czas wolny i...

– Msza? – zdziwił się Marek. – To jakiś obowiązek? Ja nie praktykuję.

– Żaden obowiązek. – Wójcik spojrzał na niego i uśmiechnął się. – Raczej potrzeba oddolna, pacjenci prosili. Wie pan, „jak trwoga, to do Boga” i takie tam. Ale oczywiście jeśli pan nie chce, to można już wtedy skorzystać z salki komunikacyjnej. Telefony, komputery... wszystko do dyspozycji pacjentów.



W chwilę po tym, jak skończyła się kroplówka, do pokoju weszło dwóch wojskowych w żółtych skafandrach z maskami. Jeden zatrzymał się przy drzwiach, a drugi odłączył wężyk, zabezpieczył wenflon – nie obeszło się bez pomocy pacjenta, gdyż żołnierzowi wyraźnie przeszkadzały rękawice – i pomógł Domańskiemu wstać.

Wbrew swoim obawom Marek stanął pewnie na nogach i żołnierz nie musiał go podtrzymywać. Sam dał radę przebrać się w przyniesione mu białe spodnie, zakładaną przez głowę koszulę i pantofle. Wyszli z pomieszczenia i ruszyli wzdłuż szerokiego korytarza.

Podłogę wyłożono tu elegancką granatową wykładziną dywanową, w suficie zamocowano halogeny, a ścianę z szeregiem białych drzwi pomalowano na kojący błękitny kolor.

Na przeciwległej ścianie, całej przeszklonej, mniej więcej na wysokości pasa ciągnęła się srebrzysta barierka dla tych, którzy mieli kłopoty z samodzielnym chodzeniem. Dla zmęczonych co kilkanaście metrów ustawiono skórzane kanapy z obowiązkowym kwietnikiem obok.

Marek szedł, rozglądając się na boki. Zauważył, że ani na drzwiach, identycznych jak te, zza których wyszedł, ani na panelach szyfrowych zamków nie ma żadnych oznaczeń czy numerów.

Chwilę później dostrzegł też, że za szybą znajduje się drugi, węższy korytarz, zapewne dla personelu. Prowadzące do niego drzwi wkomponowano w łączenia barierek, jak i samej przezroczystej tafli. Zdradzały je jedynie czytniki odcinające się bielą od powierzchni.

Dalej za przeszklonym korytarzem było ogromne pomieszczenie zwieńczone szklaną kopułą – niczym hol w nowoczesnych biurowcach zajmujące całe centrum budynku i wysokie jak on sam. Marek nie był w stanie dostrzec, co znajduje się na niższych piętrach, za to doskonale widział korytarz po drugiej stronie, gdzie dwie postaci w skafandrach

przechodziły właśnie przez wewnętrzny tunel. Jedna z nich miała na sobie skafander z maską, „wojskowy” – jak w myślach określał go Marek, a druga „lekarski”, jak ten Wójcika. Odległość była jednak zbyt duża, żeby mógł ocenić, czy ten ktoś to właśnie poznany już doktor.

Przeszli jeszcze parę metrów, po czym zatrzymali się przed windą. Jeśli licznik nad drzwiami nie kłamał, byli na trzecim piętrze, a z rzędu przycisków na panelu wynikało, że jest to przedostatnia kondygnacja budynku. Żołnierz wsunął kartę w czytnik i wcisnął zero.

Na parterze nie było już korytarzy. Domański zobaczył za to basen, z którego akurat nikt nie korzystał, a obok otoczoną niskim murkiem siłownię pełną lśniących w słońcu urządzeń. Nieco dalej stały plastikowo-metalowe krzesła i stoliki. Cały kompleks gustownie ozdobiono zielenią – z glinianych donic ku widocznemu przez kopułę niebu rosły palmy, w klombach kwitły wielobarwne kwiaty...

Marek pokręcił głową z mieszaniną rozbawienia i niedowierzania.

„No to nic dziwnego, że tyle wynoszą nasze podatki, skoro tak wyglądają szpitale wojskowe” – pomyślał. Dziwiło go, że nie dotarła do tego żadna telewizja, by zrobić aferę. Byłaby z tego niezła chryja w mediach. A może była? Ostatnio, zmęczony politycznymi przepychankami, jakoś ograniczył oglądanie wiadomości.

Wojskowi przeprowadzili go między kolumnadą obiegającą centrum holu w stronę rozsuwanych przeszklonych drzwi. Za nimi, zgodnie z tabliczką umieszczoną nad wejściem, znajdowała się część mieszkalna.



Żołnierz wszedł do pokoju pierwszy, podniósł z łóżka pilota i włączył zawieszony na ścianie płaski telewizor. Następnie gestem zaprosił Marka do środka i skinąwszy mu głową, wyszedł. Domański rozejrzał się. W pomieszczeniu, choć niewiele szerszym od korytarza, mieściły się dwa łóżka, biurko ustawione pod dużym oknem i szafa wnękowa przy wejściu. Naprzeciwko niej Marek zauważył drzwi, najpewniej do łazienki. Podniósł głowę i powiódł wzrokiem po suficie, ale nie wypatrzył nigdzie kamery.

– Dzień dobry, panie Domański.

Odwrócił się gwałtownie i popatrzył na ekran telewizora, gdzie pojawiła się dojrzała, ale zadbana kobieta. Skadrowano ją w półzbliżeniu niczym prezenterkę wiadomości, dzięki czemu dało się zauważyć, że ma na sobie nie skafander czy fartuch, a zgrabnie skrojony żakiet.

Nie wiedział, czy powinien odpowiedzieć, czy to tylko przygotowane dla niego nagranie, więc na wszelki wypadek skinął tylko lekko głową.

Kobieta na ekranie roześmiała się.

– Kamera jest umieszczona tuż obok głośnika w telewizorze – wyjaśniła.
– Podobnie mikrofon, tak że może pan mówić swobodnie. I bez obaw, włączają się tylko wtedy, gdy ustawi pan telewizor na ten kanał. W pozostałych przypadkach nie będzie pan przez nas widziany.

Ponownie skinął głową, choć jakoś w to wątpił.

– To jest mój pokój? – zapytał.

– Tak. Na razie jeszcze nie ma pan współlokatora, ale to, obawiam się, ulegnie zmianie. Chorych wciąż przybywa.

– Ilu jest w tej chwili? – Pochylił się, by przejechać ręką po kocu, a następnie usiadł na łóżku. Zauważył, że na krześle ustawionym na wysokości poduszki leży koperta z jego nazwiskiem. Sięgnął po nią.

– Osiemdziesiąt siedem osób, wliczając pana.

– Ile? – Zaskoczony Marek zastygł z ręką w kopercie. – I tyle osób zdążył zarazić ten Moore? W ciągu...

Kobieta uśmiechnęła się tym sztucznym grymasem, którego reporterki używają zwykle, gdy chcą powiedzieć „dzień dobry”.

– Pan Moore to drugie ognisko choroby – odparła. – Pierwsze wykryto półtora miesiąca temu. Większość pacjentów jest tu z nami od tamtego czasu.

– Półtora miesiąca?! – Domański poderwał się z łóżka. – Doktor Wójcik mówił o kilku dniach. Nie ma mowy, bym siedział tu półtora miesiąca!

Wyraz twarzy kobiety nie zmienił się ani odrobinę.

– Proszę się uspokoić... i usiąść – poleciła. Dopiero gdy posłuchał, zaczęła mówić dalej: – Zostanie pan w Domu na Wzgórzu tak długo, jak będzie to konieczne. Nie krócej, ale i nie dłużej. Dziś jesteśmy już na innym etapie badań niż półtora miesiąca temu, gdy wirus Skeltona–Wire’a był dla nas nowością. Teraz potrafimy sobie z nim radzić we wczesnym stadium. Czyli takim na przykład jak u pana. Być może więc prognozy doktora Wójcika wcale nie są tak odległe od prawdy.

Zamilkła na moment i sięgnęła po kubeczek z wodą. Upiła łyk.

– Na razie otrzymał pan formularz, którego nie udało się wypełnić w samochodzie – podjęła po chwili – a także regulamin placówki, mapkę ośrodka i wstępny plan dnia. Proszę się z nimi zapoznać, a gotowy formularz włożyć do koperty. Potem będzie pan mógł zadzwonić do rodziny. Pewnie się martwią.



Czy utrzymywał pan stosunki seksualne z innymi mężczyznami?

a) Nie, nigdy b) Tak, raz c) Tak, często d) Inne (wpisz)

Marek odłożył długopis i przetarł twarz. To pytanie nie dość, że głupie, to jeszcze odpowiedzią c) negowało kilkanaście wcześniejszych pytań niezależnie od tego, co by w nich zakreślił. A już tego d) nie rozumiał zupełnie. Co znaczyło „Inne”? „Przeglądałem pisemka dla gejów, ale nigdy się nie odważyłem”? „Tak, ale nie z własnej woli”? Rany...

Na szczęście to pytanie było już ostatnie. Z pozostałymi uporał się szybciej, choć niektóre wymagały od niego wytężenia pamięci, bo odwoływały się do wydarzeń z dzieciństwa i wczesnej młodości. Na większość pytań odpowiedział szczerze, choć nieraz kusilo go, by w opcji „Inne” dać upust kreatywności. Ostatecznie stwierdził jednak, że im szybciej będzie miał z głowy ankietę, tym szybciej zadzwoni do domu.

Przypomniał sobie minę żony, jej rozszerzone z przerażenia oczy, to, jak przytulała do piersi ich syna i jak cofnęła się o krok, gdy chciał ich objąć na pożegnanie. Potem gdy wychodził, płakała, przepraszała nie wiedzieć za co i zapewniła, że go kocha... A starsze dzieciaki? Co im powiedziała?

Zakreślił kółko wokół a), po czym wsunął formularz do koperty. Zabrał z biurka plan ośrodka i wyszedł z pokoju.

Zgodnie z planem korytarz kończył się z jednej strony wejściem do części rekreacyjnej – to tam właśnie widział basen, siłownię i windy prowadzące do kompleksu szpitalnego. Zgodnie z mapką były tam także stoły do ping-ponga oraz boisko do kosza i siatkówki pod przeszklonym tarasem – a na drugim końcu korytarza centrum kultury i rozrywki. I ta właśnie część interesowała teraz Marka najbardziej. Uważniej przyjrzał się legendzie. Według niej różnobarwne plamy wokół okrągłego placu znaczyły kolejno:

Czerwony – Kaplica (parter, oznaczona dodatkowo czarnym krzyżykiem) Żółty – Biblioteka (piętra 1–2, osobna winda, osobny dział filmowy, komputery) Niebieski – salon gier (parter, udostępniona kręgielnia, cymbergaj, bilard, pinball) Zielony – sala telewizyjno–kinowa (pierwsze piętro, projekcja kinowa codziennie w czasie przerwy wieczornej, repertuar dostępny w telewizji na kanale 76) Szary – salki cichej pracy (piętra 0–2, sofy, biurko, komputery) Fiolet – sala komunikacyjna (piętro 2, telefony, Internet).

Marek schował plan do kieszeni. Miał nadzieję, że tu nie będzie mu potrzebna specjalna karta, bo nie znalazł żadnej ani w kopercie, ani w ubraniu. Zresztą skoro do planu tej części gmachu dodano tak dokładną legendę, to dostęp do opisanych atrakcji musi być wolny.

Wszedł na okrągły plac i zorientował się, że w kaplicy trwa właśnie msza. Dwuskrzydłowe drzwi otwarte były na oścież, a wewnątrz w rzędach ławek siedzieli pacjenci – tak mężczyźni, jak i kobiety – wszyscy w białych szpitalnych strojach. Marek zastanawiał się przez chwilę nad niewidocznym z tego miejsca księdzem. Czy też jest jednym z pacjentów? A może odprawia mszę ubrany w skafander albo z wnętrza pleksiglasowej skrzynki? Chciał nawet sprawdzić, ale wtedy właśnie kapłan zachęcił wszystkich do wyznania wiary i pacjenci, szurając krzesłami, powstali z miejsc.

Na drugim piętrze spotkał kobietę w białym skafandrze, która pokazała mu, gdzie dokładnie znajduje się salka komunikacyjna.

– Z Internetu może pan korzystać do godziny, o ile nad stoiskami nie świecą się czerwone lampki – powiedziała. – To oznacza, że personelowi niezbędny jest cały możliwy transfer i wtedy należy się natychmiast rozłączyć. Jeśli chodzi o telefony, bardzo prosimy, by rozmowy nie trwały dłużej niż dziesięć minut. Przysługuje panu jedno połączenie dziennie.

Wszelkie sytuacje awaryjne może pan zgłaszać poprzez ekran alarmowy przy recepcji albo komuś z personelu.

Marek podziękował i odwróciwszy się, prawie pobiegł we wskazanym kierunku. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo brakowało mu głosu żony.



– Cześć, kochanie.

– Jezu! Nareszcie! – głos Katarzyny, choć przepełniony ulgą, nie był też pozbawiony odrobiny wyrzutu. – Dlaczego dzwonisz dopiero teraz? Myślałam, że zwariuję. Dali mi co prawda numer, ale wiszę na telefonie od wczoraj, a tam cały czas jest zajęte, zupełnie jakby...

– Trzymali mnie pod kroplówką – wszedł jej w zdanie, po czym niemal natychmiast dodał: – To tak na wzmocnienie tylko, zanim zrobią mi badania. Jak dzieciaki?

– Trochę się zdziwiły, że cię nie ma, ale wyjaśniłam im, że musisz sobie zrobić badania do pracy. Wiedzą już coś?

– Rany, kochanie! – roześmiał się. – Minęło dopiero parę godzin, z których większość przespałem. Nawet nie dali mi jeszcze kubeczka na siku.

Usłyszał, jak Katarzyna wzdycha do słuchawki.

– Doba to trochę więcej niż parę godzin – powiedziała po chwili. – Martwię się. I nie mów mi, że wszystko będzie dobrze. Nie mów, dopóki nie będziesz tego pewien.

– Powiem ci to po badaniach – zapewnił. – Albo jeszcze lepiej na kolacji, na którą cię zabiorę, gdy już wrócę.

Miał nadzieję, że w ten sposób choć odrobinę ją uspokoi, ale nie udało się.

– Trzymam cię za słowo – odpowiedziała tak poważnie i stanowczo, że aż poczuł się niepewnie.

Na szczęście po chwili zeszli na nieco lżejsze tematy. Opowiedział żonie o całym kompleksie, szczególnie chwalać basen i salon gier, a zupełnie pomijając ludzi w białych i żółtych skafandrach. Dodał też, że jest tu osiemdziesięciu kilku pacjentów i że żaden nie wygląda na obłożnie chorego. To już chyba ostatecznie przekonało Katarzynę, bo pod koniec rozmowy zaczęła się nawet śmiać z jego żartów. Uspokojony tym Marek obiecał zadzwonić jutro.

Wychodząc z salki, znowu natknął się na kobietę w białym skafandrze, która tym razem pogroziła mu palcem.

– Miało być dziesięć minut – powiedziała z udawanym oburzeniem. – Jak już pan stąd wyjdzie, przyślemy panu rachunek za dodatkowe minuty.

– Kiedy już wyjdę, nie będę się czymś takim przejmował – powiedział, wsiadając do windy. – Pójdzie w kosza.

Przezroczyście drzwi zamknęły się przed nim i zjechał na dół.

Gdy wyszedł z kabiny, w kaplicy trwało właśnie końcowe błogosławieństwo, postanowił więc poczekać. Może złapie blondyna? Choć tamten nie zdążył mu nawet powiedzieć, jak ma na imię, był ciekaw, co u niego słyhać. Zresztą u blondyna wszystkie objawy wystąpiły wcześniej i mógł być dobrym źródłem informacji na temat ewentualnych postępów choroby.

Najpierw dostrzegł grubasa, a chwilę później, między dwoma postawnymi mężczyznami, głowę dziewczyny w okularach, ale blondyna nigdzie nie mógł wypatrzeć. W końcu uznał, że jego niedawny

współpasażer znajduje się na oddziale szpitalnym albo też nie poszedł na mszę i siedzi teraz w swoim pokoju.

Tymczasem pacjenci podzielili się na niewielkie grupki, z których kilka udało się na blok mieszkalny, a reszta obstała dostępne atrakcje. Rozbrzmiały melodyjki pinballi, rozstukał się krążek cymbergaja, hol wypełniły rozmowy.

Z tłumu łatwo było wyłowić nowo przybyłych. Stali nieco na uboczu, niepewni, oszołomieni tak nową sytuacją, jak i miejscem. Co zaskakujące, u żadnego z nich nie dało się zauważyć nawet śladu przerażenia chorobą, widać było za to żywe zainteresowanie stojącym w rogu bufetem.

Marek uznał, że większość pewnie nigdy nie była na przyjęciu z cateringiem i że w pamięci przeliczają, ile będzie ich kosztować ta odrobina szpitalnego luksusu. Postanowił dać im przykład, zwłaszcza że sam zdążył solidnie zgłodnieć.

I wtedy właśnie zobaczył blondyna.

Wyszedł z kaplicy w towarzystwie księdza ubranego w szarą koszulę z koloratką i uważnie słuchał, co duchowny ma mu do powiedzenia. Szedł lekko zgarbiony, skubiąc podbródek, i cały czas potakiwał z poważną miną.

„Wyglądają jak mistrz i uczeń” – pomyślał Marek, przyglądając im się. Nie robił tego ostentacyjnie, ale i się nie krył, dlatego szybko został zauważony. Blondyn pomachał mu i wraz z księdzem ruszył w jego stronę.

– Fajnie znowu cię widzieć – powiedział. – Nie było cię na mszy?

– Nie praktykuję – odparł Marek, wzruszając ramionami. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę do duchownego. – Marek Domański.

– Remigiusz Staniszewski. – Kapłan odpowiedział uśmiechem i mocnym uściskiem. – Od niedawna duszpasterz tego miejsca.

Marek przyjrzał mu się z uwagą. Ksiądz był postawnym mężczyzną o ciemnych włosach, szerokim czole i niezwykle pogodnych oczach. Po

bliźnie odznaczającej się białą kreską u nasady nosa można było poznać, że ktoś mu go kiedyś złamał, a gdy duchowny mówił, dało się zauważyć, że żuchwa uciekała mu trochę na lewo. Wyraźne oznaki kariery bokerskiej.

– Ksiądz trafił tutaj jak my?

– Jako zarażony, owszem. – Staniszewski wskazał ręką wolny plastikowy stolik. – Znalazłem się w tak zwanym pierwszym ognisku. Wy obaj jesteście z drugiego.

– Właśnie pytałem księdza, czy jest ciężko – wtrącił blondyn – ale mówi, że nie. O, bar sałatkowy! Sorry na moment...

– Sympatyczny chłopak – powiedział Marek po chwili. – I bardzo spokojnie to przyjmuje. Jak wszyscy zresztą.

– Wczoraj trochę histeryzował, gdy znowu dostał ataku, ale dali mu środki uspokajające, potem leki, a na deser pozwolili pogadać z dziewczyną. To po rozmowie z nią zdecydował się na mszę. Kazała mu się modlić.

Ksiądz sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej inhalator. Zaczął obracać go między palcami.

– Co do reszty – podjął wątek – to w większości są spokojni, bo wiedzą już to co pan.

– Marek po prostu.

– Dobrze. – Duchowny uśmiechnął się. – Wiedzą to co ty. Że chorobę udało się zahamować i teraz to właściwie tylko kwarantanna.

– Tego akurat nie wiedziałem – powiedział Domański. – Znaczący wspomnieli coś tam w komunikacie, ale...

– I to prawda. Mówię ci, jestem tu prawie od początku, widziałem wszystkich, jak przychodzili, i żaden nie wygląda gorzej niż w chwili przybycia. Choć niektórzy nadal mają drgawki i wymioty.

Do stołu wrócił blondyn, niosąc trzy tacki wypełnione po brzegi sałatką grecką, dwie w dłoniach, a jedną na przedramieniu. Ostrożnie postawił je na stole i powyciągał z kieszeni puszkę z mrożoną herbatą.

– Pomyślałem, że będziecie głodni – powiedział i zabrał się do jedzenia.
– O czym jest rozmowa?

– O chorobie – wyjaśnił Marek. – Książdz właśnie mnie uspokaja.

– Remek. Jak po imieniu, to po imieniu. I nie uspokajam, tylko mówię, jak to wszystko wygląda. W pierwszym tygodniu pokazywali nam co prawda zdjęcia z kolejnych stadiów choroby, ale tu nie wydarzyło się nic takiego. To napawa optymizmem.

Blondyn pokiwał głową, pałaszując sałatkę. Nagle jakby sobie o czymś przypomniał, palnął się w czoło i pospiesznie przełykając, wyciągnął rękę do Marka.

– Łaaany, chłopie, czemu nee gadasz? – wybełkotał z wciąż jeszcze pełnymi ustami. Zorientował się, jak to brzmi, więc przełknął i dopiero wtedy dokończył: – Przecież ja ci się nie przedstawiłem wtedy. Krzysiek.

Marek uścisnął podaną dłoń i roześmiał się. Po raz pierwszy dotarło do niego, że ten przymusowy pobyt tutaj może mu wyjść na dobre. Przynajmniej odpocznie.



Siedząc we trójkę przy stoliku, przegadali niemal cały czas wolny. Rozmawiali o wszystkim: o ostatnich meczach reprezentacji, która nareszcie zaczęła prezentować sobą jakiś poziom, o polityce i pracy. Krzysiek, który był informatykiem, opowiadał jako prawdziwe historie

anegdoty, które Marek słyszał już milion razy jako dowcipy. Wciąż jednak brzmiały zabawnie. On sam rzucał co jakiś czas historyjkami z Bośni, gdzie przebywał w ramach misji pokojowej.

Podczas tej pogawędki Marek zauważył, że Remek uchodził w tym małym szpitalnym świątku za naprawdę ważną osobę. Mijający ich stolik kłaniali mu się, co jakiś czas ktoś zagadywał, biorąc księdza na stronę. Ten wszystko znosił z anielską wręcz cierpliwością. Domański był dla niego pełen podziwu i obiecał sobie, że któregoś dnia wpadnie na mszę, by posłuchać kazania. Te, które słyszał do tej pory – fakt, były to tylko kazania świąteczne i okazjonalne – sprawiały, że z nudów wywracały mu się flaki.

Po jakimś czasie rozległ się dzwonek, a miły kobiecy głos dochodzący z głośników poinformował wszystkich, że właśnie skończył się czas wolny i że powinni udać się na miejsca zgodnie z indywidualnymi planami zajęć. Dla Marka były to badania ogólne na poziomie pierwszym oddziału szpitalnego. Pożegnawszy się, zajął jeszcze do pokoju i zabrał rozpiskę z planem dnia.



Żołnierz wprowadził go do windy i odblokowawszy kartą panel, wcisnął jedynekę. Gdy otworzyły się drzwi, pokazał Domańskiemu, by wyszedł, a sam zjechał na dół.

Marek po raz pierwszy poczuł się jak w prawdziwym szpitalu. Tutaj dywanową wykładzinę zastąpiło szare linoleum, ściany pokryto panelami jak te w pokoju, w którym się obudził, a w miejscu równych rzędów pokoi były przeszklone drzwi prowadzące na oddziały.

Postaci w białych skafandrach przechodziły z oddziału na oddział, niektóre prowadząc ze sobą pacjentów, inne niosąc teczki czy pchając wózki z lekami bądź aparaturą. Na Domańskiego nikt nie zwracał najmniejszej uwagi.

Popatrzył na trzymaną w dłoni karteczkę i skierował się na oddział drugi, zaraz po prawej. Przeszedł przez korytarz i zapukał do pokoju numer 216. Nie czekając na pozwolenie, otworzył drzwi.

– Dzień dobry – zagaił do pustego biurka. Rozejrzał się po przestronnym pomieszczeniu, jednak nie zauważył nikogo ani przy łózkach, ani przy bieżni. Podobnie za białym parawanem rozstawionym do połowy przy oknach. – Halo, jest tu ktoś?! Miałem się tutaj zgłosić na badania.

Zrobił jeszcze kilka kroków, wciąż rozglądając się uważnie po sali. Nieco w głębi dostrzegł kącik sanitarny z umywalką, a dalej, za złożonymi teraz harmonijkowymi drzwiami, pomieszczenie dla pracowników z dwoma fotelami i niskim okrągłym stolikiem.

Wyobraził sobie dwóch ludzi w białych skafandrach, jak siedzą na tych fotelach i próbują napić się herbaty, w czym przeszkadzają im przezroczyste przesłony. Niemal widział ich idealnie wyprostowanych, trzymających delikatne porcelanowe filiżanki w dłoniach osłoniętych gumowymi rękawiczkami, koniecznie z wyprostowanym najmniejszym palcem.

Parsknął śmiechem i odwrócił się, by opuścić gabinet, ale w tym samym niemal momencie do środka weszła młoda dziewczyna w białym skafandrze. Troszkę zaskoczył ją widok Marka, bo najpierw przyjrzała mu się zdumiona, a potem szybko zerknęła na trzymaną podkładkę i zamocowane na niej dokumenty. Uniosła głowę i uśmiechnęła się niepewnie.

– Strasznie pana przepraszam za spóźnienie, panie Domański – powiedziała wzmocnionym przez mikrofon głosem. Jej dziewczęca twarz pokryła się rumieńcem. – Długo pan czeka?

– Dopiero wszedłem. – Marek postąpił krok do przodu i podał jej karteczkę. – Czy mogę wiedzieć, co to będą za badania?

– Oczywiście, żadna tajemnica. – Dziewczyna okrążyła biurko i usiadła na stołku.

„Pewnie dali tu takie zamiast krzesel, by nie zawadzali butlami z tlenem o oparcie” – pomyślał Marek i zaraz zaczął się zastanawiać, na jak długo wystarcza taka butla. I czy mają, tu gdzieś pomieszczenia, gdzie mogą spokojnie dokonać wymiany.

Dziewczyna wskazała mu drugi stołek przy biurku.

– Dziś pobierzemy panu krew na morfologię i poziom enzymów – powiedziała, patrząc w papiery. – Zrobimy też EKG i echokardiografię. Z karty pacjenta wynika, że przechodził pan już te badania, więc nie muszę tłumaczyć, że nie ma się czego obawiać.

Skinął głową i zabrał się do podwijania rękawa, by odsłonić zabezpieczony wenflon.

– Proszę od razu zdjąć koszulę. – Dziewczyna zaznaczyła coś w dokumentach, po czym wstała i podeszła do metalowego stołeczka na kółkach stojącego za łóżkiem. Podniosła z niego przedmiot na pierwszy rzut oka wyglądający jak mały, torebkowy pistolet. – Niech pan siada.

Sprawnie pobrała krew, napełniając podłączony do pistolecika pojemnik, po czym zabandażowała wenflon i kazała pacjentowi położyć się na kozetce. Sięgnęła po elektrody.

– Właściwie chciałem już o to zapytać doktora Wójcika – powiedział Marek, gdy dziewczyna zamocowała mu czerwoną kłamrę na prawej ręce.

– Ale kiedy zdążyliście zbudować taki ośrodek? Jakoś nie trąbili o tym w mediach, a to jednak spory gmach. I nowoczesny.

Dziewczyna wykonała ruch, który mógł oznaczać wzruszenie ramion.

– Dom na Wzgórzu to placówka rządowa dofinansowywana przez WHO – wyjaśniła. – Powstał dwa lata temu, ale dopiero teraz po raz pierwszy używany jest zgodnie z przeznaczeniem.

Zamocowała pozostałe klamry i zabrała się do rozmieszczania elektrod podsercowych.

– Wygląda pan na aktywnego fizycznie – zauważyła. – Ćwicz pan?

– Tak. – Domańskiego zdziwiło to pytanie, ale jednocześnie ucieszył się, że nie każdy ma tu dostęp do jego pełnych akt. – Byłem żołnierzem, a obecnie pracuję w agencji ochrony. Co prawda za biurkiem, ale trzeba dobrze wyglądać przed pracownikami.

Uśmiechnęła się. Miała naprawdę uroczy uśmiech.



Po badaniach Marek opuścił oddział bogatszy o kubeczek na mocz i pojemniczek na próbkę kału. Zgodnie z rozpiską powinien był udać się do pokoju na kolację, ale po sałatce zupełnie nie chciało mu się jeść. Zapytał więc żołnierza, z którym zjechał na parter, czy może zrezygnować z posiłku, a ten po konsultacji przez radio przekazał, że owszem, ale i tak musi się zgłosić do pokoju po leki.

W części mieszkalnej panował spory ruch. Pacjenci rozmawiali, stojąc w progach pokoi lub wsparci o ściany. Niektórzy kończyli właśnie posiłek z trzymany w rękach plastikowych misek, inni popijali coś z

jednorazowych kubków. Ogólnie panował przyjemny gwar, jak to bywa w dużych skupiskach ludzkich podczas przerw na posiłek.

Marek otworzył drzwi do pokoju i wtedy właśnie zauważył Krzyśka. Zawołał go.

– Jak było na badaniach? – zapytał młody informatyk. Minę miał nietęgą. – Mi mieli robić dziś spiromość, ale dostałem dreszczy w trakcie, więc przenieśli to na jutro.

– Spiometrię. Wygląda na to, że masz testy wytrzymałościowe. Robili ci EKG na bieżni? Wejdz, proszę...

– Nie mogę. – Krzysiek oparł się o framugę. – Regulamin zabrania wchodzenia do pokoi innych pacjentów. Prosili, by przestrzegać.

– Aha. – Marek przeszedł przez pokój i położył plastikowe pojemniczki na stoliku. Potem zerknął na plan, zgodnie z którym zaraz po kolacji powinien się udać do części rekreacyjnej. Rubryka „plan ćwiczeń” była pusta, co uznał za znak, że pierwszego dnia postanowiono dać mu fory.

– A EKG robili i na leżąco, i na bieżni – kontynuował Krzysiek. – I właściwie skąd znasz takie nazwy jak ta spirometria? Mówiłeś, że robisz w ochronie.

– Bo robię. W mojej firmie wszyscy robią takie testy co jakiś czas. Nie wiesz, czy dają tu kąpielówki i ręcznik, czy trzeba kąpać się nago?

Informatyk niemal zawisł na framudze, byleby tylko nie przekroczyć stopami progu. Palcami drugiej ręki postukał w drzwi szafy.

– Po lewej. Trzecia albo czwarta półka – powiedział. – Ręczniki masz w łazience obok prysznic. Tam też jest folia ze ściągaczami do zabezpieczenia wenflonu.

Wyprostował się.

– Właściwie to słuchaj, jak idziesz na basen, to poczekaj na mnie. Mam wpisane parę długości i trochę siłki.

Marek skinął głową.

– Jasne.



Tuż przy basenie spotkali księdza Remigiusza w samych kąpielówkach. Rozmawiał właśnie z grupką podobnie ubranych mężczyzn i już na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że obca im była do tej pory wszelka aktywność fizyczna. Choć z twarzy młodzi, wyglądali na starszych i zaniedbanych – blada skóra, obwisłe brzuchy i sflaczałe mięśnie rąk i nóg. Pośród nich duchowny wyglądał jak kulturysta.

– Witajcie. – Ksiądz wysunął się z kółeczka i podszedł do nowo przybyłych. Ostentacyjnie przyjrzał się brzuchowi Marka. – No, no, kaloryfer jak się patrzy.

Domański wzruszył ramionami.

– Ksiądz, widzę, też wie, jak korzystać z atlasa. Jest tu jakiś porządek? Ktoś pilnuje, jak wchodzić?

Duchowny pokręcił głową z rozbawieniem.

– Remek – przypomniał, po czym dodał: – Pełna swoboda, zwłaszcza że mało komu chce się ćwiczyć czy pływać.

Jako dowód wskazał brodą kilka grupek stojących przy samym murku, jak najdalej od wody. Zażywający kąpeli, przeważnie mężczyźni, rozciągali się na całą szerokość basenu. Podobnie było na siłowni, gdzie inni mężczyźni dyskutowali, siedząc na przyrządach jak na parkowych ławkach, i przyglądali się tej garstce, która poważnie podeszła do ćwiczeń.

Kobiet Marek dostrzegł niewiele. Dwie pluskające się przy brzegu – najwyraźniej nie umiały dobrze pływać, jedna z zapałem pokonująca kolejne długości basenu, parę wśród przybrzeżnych gruppek i jeszcze kilka na siłowni. W przeciwieństwie do tego, co widział po mszy, tu proporcje wydawały się mocno zachwiane. Zapytał księdza, co o tym sądzi.

– Może to dlatego, że jak przychodziły większą paczką, to się nagle więcej wody robiło w basenie – wtrącił mężczyzna o okrągłej różowej twarzy, który do nich dołączył. – Wszyscy faceci zaczęli się ślinić.

Wyciągnął rękę.

– Kociuba jestem. Heniek.

– Marek Domański, a to Krzysztof...

– Lasota – odpowiedział młody informatyk, nie odrywając oczu od pływającej dziewczyny.

Reszta grupki, w której stał wcześniej Kociuba, również podeszła bliżej i w ten sposób krąg szpitalnych znajomych Marka poszerzył się o chudego jak patyk biologa Staniszewskiego, Hermana – doktora filologii klasycznej z wytrzeszczem oczu i wielką, obrzydliwą brodawką na nosie, a także krępego, brodatego Starewicza z branży budowlanej. Kociuba, jak wynikało z rozmowy, był z wykształcenia dentystą.

Wszyscy pochodzili z pierwszego ogniska, którego zarzewiem był dwudziestotrzyletni bębniarz z Afryki nazwiskiem Pukwana, przybyły do Polski w ramach programu dofinansowywania młodych zdolnych. Miał dać koncert w Warszawie. Nie zdążył, dostał ataku podczas wizyty w kinie, a potem kolejnego w hotelowym pokoju. Następnego dnia rano ludzie w żółtych skafandrach zbierali żniwo wśród obecnych na tamtej kinowej sali.

– Jak wtedy pomyślałem, że byłem jednym ze szczęśliwców, którzy wygrali bilet na ten film w radiowym konkursie, to o mało mnie nie sczyściło – opowiadał Kociuba. – Ale potem uznałem, że nie jest tu tak źle.

Mogę odpocząć od starej, a już ponad tydzień nie miałem ataku. Tylko pamięć coś nam szwankuje, bo za cholere się z kolegami nie możemy zgodzić, co to był za film.

– Jestem pewien, że to był nowy Tarantino, bo zwyczajnie na nic innego nie chodzę do kina. Wszystko inne oglądałem w domu – stwierdził Herman. Z kolei Staniszewski gotów był sobie rękę obcinać, że na feralnym seansie prezentowali „Kwiat wiśni” – japońską superprodukcję, na którą biolog szykował się od zobaczenia pierwszego zwiastuna.

Ksiądz, wyraźnie znudzony tym sporem, klepnął Domańskiego w ramię.

– Chodźmy oddać cesarzowi, co cesarskie – powiedział. – Krzysiek? Idziesz?

– Co? A, tak! – Chłopak niechętnie oderwał wzrok od dziewczyny, zwłaszcza że ta właśnie kończyła maraton i teraz powoli, żabką, zbliżała się do drabinki. – Zaraz dołączę, tylko... jeszcze chwila.

Marek i ksiądz popatrzyli po sobie i obaj parsknęli śmiechem.

– Jedno jest pewne – stwierdził Domański. – Nie wykosztuje się tutaj, zapraszając ją na kolację.



Pół godziny później grubas z ciężarówki dostał w basenie ataku drgawek. Wyciągnął go Staniszewski wraz z postawnym, mocno owłosionym gościem, który stał przy murku nieopodal.

Zaraz zjawili się dwaj żołnierze z noszami, a wraz z nimi Wójcik w asyście jeszcze jednego lekarza albo pielęgniarza. Stwierdziwszy, że nie ma

bezpośredniego zagrożenia życia, bez pośpiechu zanieśli pacjenta do windy i wwieźli na górę.

Niedługo potem, na kwadrans przed właściwym czasem, rozległ się sygnał i kobiecy głos poinformował, że ćwiczenia dobiegają końca i należy się udać na odpoczynek do swoich pokoi.

Nikt nie oponował.



Wieczór Marek spędził na oglądaniu telewizji.

Około dwudziestej trzeciej przyszedł do niego Wójcik, ale stwierdził, że nie ma czasu na dyskusje, i tylko zmierzył mu temperaturę, a przy okazji sprawdził latarką reakcje źrenic, jak przy wstrząśnieniu mózgu. Z tacki trzymanej przez towarzyszącego mu żołnierza zdjął plastikowy spodek z kilkoma pastylkami oraz miarką jakiejś żelowej substancji i postawił na biurku. Wychodząc, przypomniał o próbce moczu i kału.

Mniej więcej godzinę później coś zazgrzytało i z wąskiej szczeliny pod zamocowanym w ścianie elektronicznym zegarem wysunęła się karteczka z planem na jutro. Zgodnie z nim Marek miał zacząć dzień o szóstej rano serią badań i blisko godzinnym naświetlaniem. Na rozpisce pojawił się też program ćwiczeń, łudząco podobny do tego, jaki Domański miał ustalony na siłowni w firmie, a więc dość intensywny.

– No cudnie, tyle z leniuchowania! – westchnął, po czym wyłączył telewizor i zgasił światło.



Rano okazało się, że badania ma z Kociubą. Wpadli na siebie na korytarzu.

– Jak mnie wkurwiają tacy ludzie jak ty – sapnął dentysta na powitanie.

Marek uniósł brwi, dając znać, że chyba nie do końca rozumie.

– Weseli jak jebane skowronki – wyjaśnił tamten – w godzinach, gdy nie działa jeszcze grawitacja. Do tego paradujący z własnym gównem w przezroczystych naczynkach.

Głową wskazał na jeden z trzymanyh przez Marka pojemników.

Ten wzruszył ramionami.

– Dają basen, kino i darmowe żarcie, a w zamian chcą tylko tego. Dlaczego miałbym im odmawiać?

Razem przeszli przez korytarz do części rekreacyjnej. Od basenu powiało chłodem i zapachem chloru.

– Podobno w nocy były dwa kolejne ataki, a tę rudą po weterynarii zabrali nawet do izolatki – powiedział Kociuba, zatrzymując się przy żołnierzu. Pokazał mu karteczkę. Tamten skinął głową i wszedł do windy, kartą odblokowując panel.

– Miała inne symptomy niż te z pierwszego etapu? – zaciekawiał się Marek.

– Chuj tam wie! Mieszkała sama w pokoju, a kiedy przyszli, wszyscy już spali. Herman akurat musiał się w nocy odlać, to usłyszał, ale jak się wychylił, kazali mu wracać do pokoju i powiedzieli, że łamie regulamin... Jak na jebanych koloniach.

Ostatnie słowa wypowiedział, patrząc wyzywająco na żołnierza, ale ten nie odrywał spojrzenia od drzwi kabiny. Gdy się rozsunęły, postąpił dwa

kroki do przodu i jeden na bok, wypuszczając pacjentów. Następnie, skinąwszy koledze czuwającemu przy wejściu, wszedł do windy.

Marek zastanawiał się, po co to wszystko, skoro i tak pozwalają im swobodnie poruszać się po oddziale. Doszedł do wniosku, że chodziło raczej o efekt psychologiczny, by pacjenci mieli świadomość, że wszystko jest pod kontrolą.

Rozstali się z Kociubą dopiero przy gabinecie 216. Tam właśnie zmierzał dentysta, któremu wyznaczono EKG wysiłkowe. Marek musiał przejść na koniec korytarza, by zdać próbki, a potem w pokoju 234 poddać się spirometrii.

Badania, o ile Domański dobrze ocenił, poszły nieźle, a na koniec okazało się, że będzie mógł trochę odpocząć w trakcie naświetlania. Jeden z dwóch techników polecił się rozebrać, a potem nałożył mu specjalne okulary ochronne, które ważyły chyba z półtora kilo i zasłaniały pół twarzy. Następnie położono Marka na łóżku i opuszczono kopułę wyglądającą jak odwrócony bobslej. Poczul falę ciepła, a zaraz potem, że robi się coraz bardziej senny. Obudzili go technicy, gdy naświetlanie dobiegło końca.



W pokoju, do którego wrócił na śniadanie i poranną porcję leków, czekała go niespodzianka. Na drugim łóżku leżał plan ośrodka i rozpiska bez wyszczególnionych ćwiczeń. Zdążył jeszcze dostrzec adnotację o obowiązkowej diecie, gdy z toalety dobiegł go szum spuszczonej wody. Obrócił się błyskawicznie i przykucnął, kładąc kartkę na łóżku współlokatora, następnie na oślep wymacał leżącego za nim pilota i

włączył telewizor. W samą porę, bo właśnie w tym momencie otworzyły się drzwi i z łazienki wyszła wysoka, szczupła brunetka.

Marek, który miał już przygotowane powitanie, aż zaniemówił z wrażenia.

Dziewczyna mogła mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Do tego duże brązowe oczy, lekko zadarty nos i krótko przystryżone włosy – z jednej strony odrobinę dłuższe i fantazyjnie wystrzępione. Ubrana była w luźną pizamę, ale Domański nie wątpił, że pod nią kryła się nienaganna figura.

Odchrząknął.

– Cześć, Marek jestem – powiedział, wyciągając rękę w stronę dziewczyny. Pogodnym tonem chciał zatuszować, że w jej obecności czuje się trochę niepewnie.

– Kinga. – Dziewczyna uśmiechnęła się, prezentując równe białe zęby. – Wybacz, że tak się tu rozpanoszyłam...

– No właśnie, mam wrażenie, że chyba pomyliłaś pokoje – Marek wszedł jej w zdanie. – Tu raczej nie mają koedukacyjnych.

– Teraz już mają. – Usiadła na łóżku, krzyżując nogi. – Przywieźli nas tu razem trzynaście dziewczyn, a całe to piętro ma w sumie sto miejsc. Jak mówił ten Wójcik, drugie piętro jest w remoncie i dopóki go nie otworzą, to dokwaterowują do wolnych.

Marek również usiadł, przyglądając się Kindze uważnie. Nie pasowało mu jej zachowanie, była zdecydowanie zbyt pogodna i radosna jak na kogoś, kto niedawno dowiedział się, że padł ofiarą epidemii. Nawet on, choć przyjął to wszystko w miarę spokojnie, nie był tak swobodny. A teraz jeszcze ta cała sytuacja, która zdawała się w ogóle jej nie krępować.

– Do ciebie też przyjechali ciężarówką ludzie w skafandrach?

– Faceci w skafandrach rzeczywiście byli – roześmiała się – ale ciężarówką na ósme piętro hotelu raczej by nie wjechali. Wpadli do pokoju jak jacyś komandosi, zabrali tego Murzyna, a potem zorientowali się, że ja tam jestem, to i mnie wzięli.

Przeciągnęła się, odchylając do tyłu i zakładając ręce za głowę. Ten widok sprawił, że Marek poczuł mrowienie w okolicy podbrzusza.

– Najpierw trzymali mnie na jakimś zamkniętym oddziale – Kinga podjęła wątek – bo wiesz, bliższy kontakt, takie tam, a potem stwierdzili, że mam normalne objawy jak inni, czyli wy chyba. No i przysłali mnie tutaj wraz z nową grupą.

Domański siedział przez chwilę, patrząc na nią, po czym przejechał ręką po twarzy.

– Trochę mi tak nie wypada z tobą w jednym pokoju. Jestem żonaty i...

– Ja się tu nie pchałam. – Kinga wzruszyła ramionami. – Poza tym nie proponuję ci przecież seksu, prawda?

– No tak, masz rację...

Wstał i skierował się do drzwi.

– Idę zadzwonić – powiedział. – Co masz teraz w planie?

– Ty mi powiedz. Przecież patrzyłeś na tę moją kartkę. – Uśmiechnęła się, lekko przechylając głowę. – Coś taki zdziwiony? Zanim weszłam do łazienki, leżała inaczej. Mam dobrą pamięć do takich szczegółów... Pozdrów żonę.

– Dobrze – wymruczał, unikając jej spojrzenia, i wyszedł na korytarz.



– Trzymasz się jakoś?

Marek zerknął za siebie. Telefony w salce komunikacyjnej umieszczono niemal przy samym wejściu, więc teraz, siedząc przy stoliku zamknięty w pleksowej kabinie, miał doskonały widok na całe pomieszczenie. Dwie młode dziewczyny wyraźnie świetnie się bawiły, rozmawiając z kimś przez któryś z komunikatorów, a jakiś mężczyzna, mniej więcej w jego wieku, z zainteresowaniem przeglądał newsy na Wirtualnej Polsce – nawet z takiej odległości Marek bez trudu mógł rozpoznać charakterystyczne logo serwisu. Żadne z nich, wliczając w to Domańskiego, nie wyglądało, jakby miało powody, by „jakoś się trzymać”. Biorąc pod uwagę okoliczności, ich sytuacja wyglądała nadzwyczaj dobrze. Jednak nie wiedzieć czemu, Marek nie zdecydował się tego powiedzieć.

– Jakoś – stwierdził, a zaraz potem dodał: – Oczywiście strasznie za wami tęsknię.

Nie kłamał, ale i tak to zdanie zabrzmiało mu jakoś sztucznie. Na szczęście wyglądało na to, że tylko jemu.

– My też tęsknimy, kochanie – powiedziała Katarzyna, po czym przeprosiła go na moment. W tle Domański usłyszał głos małej Gosi domagającej się czegoś kategorycznie. Zaraz potem ten sam głosik, choć już nieco bardziej przymilny, rozległ się wyraźniej w słuchawce.

– Cześć, tatusiu.

– Witaj, złotko. – Marek uśmiechnął się. – Co tam u ciebie słyhać?

– Pisałam dziś dyktando i pani mnie pochwaliła, że zrobiłam mało błędów. A potem jeszcze miałam gimnastykę i mieliśmy grać w zbijanego, ale przyszła pani pielęgniarka i zabrała nas na szczepionki. Bolało, ale nie płakałam...

Marek słuchał tego potoku słów, co kilka chwil zerkając na zegarek. Zgodnie z wyznaczonym czasem zostało mu jeszcze półtorej minuty, a do

każdego z pięciu stanowisk telefonicznych stała już spora kolejka. Miał nadzieję, że Gosia skończy opowieść, zanim zabraknie czasu i będzie musiał jej przerwać. I bez tego pewnie dość za nim tęskniła.

– ...no i Maciek powiedział, że to fajnie, że czwarte klasy już nie mają tych szczepionek, bo on nie lubi igieł. – Po tych słowach dziewczynka odsapnęła głęboko, co znaczyło ni mniej, ni więcej, tylko że właśnie skończyła. Marek znał to westchnienie i doskonale wiedział, jak powinien teraz zareagować.

– No to brawo, dzielna dziewczynko – powiedział. – Jak wrócę do domu, to pokażesz mi ślad, dobrze? A teraz daj jeszcze mamusię.

– Tak, kochanie? – usłyszał znowu głos żony.

Zostało mu tylko trzydzieści pięć sekund, więc w pośpiechu podał jej najpilniejsze sprawy, jakie w jego imieniu powinna załatwić w firmie i urzędach. Nie było tego dużo, ale niektóre z nich nie mogły czekać.

Na koniec, tuż przed tym, zanim rozmowa została automatycznie rozłączona, pozdrowił ją od współlokatora.



Kingę spotkał na basenie.

– Pozdrowiłeś? – zapytała wesoło z wody, machając miarowo rękami i nogami, by utrzymać się na powierzchni.

Skinął głową, rzucając ręcznik na jedno z plastikowych krzeseł, i wskoczył do basenu. Przepłynął pod wodą jedną długość, wynurzył się dopiero przy samym murku. Chwyciwszy jedną ręką krawędź, wolną dłonią przetarł twarz.

Z wyjątkiem ich dwojga na basenie nie było nikogo. Część pacjentów miała badania, inni czekali w swoich pokojach na właściwą godzinę. Tylko im zachciało się pływać. Do tego w tym samym czasie.

Dziewczyna podpłynęła do niego i również złapała za murek. Włosy przykleiły jej się do twarzy, ale nie odgarnęła ich. Błysnęła za to idealnie białym uśmiechem.

– A jak mnie przedstawiłeś? – zapytała. – Janek, Piotrek czy jednak jakoś wymyślniej?

– Nie podałem imienia.

Przechyliła głowę na bok, nie przestając się uśmiechać.

– Ale mam rację, że ująłeś to tak, by wyszło, że jestem facetem?

Nie odpowiedział. Zamiast tego zaczerpnął oddechu i zszedł pod wodę. Odbił się lekko i popłynął przed siebie z zamkniętymi oczami. Bez pośpiechu, skupiony raczej na kontrolowaniu ruchów i uspokojeniu pracy serca. Wynurzył się, dopiero gdy palcami musnął przeciwległą ścianę.

Wyszedł z wody i wrócił do krzesła, na którym zostawił ręcznik. W tym samym czasie Kinga zdążyła dopłynąć do drabinek, a po chwili stanęła na krawędzi basenu. Marek musiał przyznać, że w kostiumie, ociekająca wodą prezentowała się całkiem nieźle. Przypominała mu jego żonę z czasów, gdy ta udzielała się w *AZS-ie*. Katarzyna była nieco drobniejsza i, rzecz jasna, nigdy nie pozwoliłaby sobie na tak udziwnioną fryzurę, ale i tak podobieństwo w wyglądzie i ruchach nie było wyłącznie dziełem wyobraźni. Aż się zdziwił, że wcześniej tego nie zauważył.

– Wkurzyłam cię? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Nie lubię takich gier – stwierdził. – Być może bawi cię, że krępuje mnie cała ta sytuacja, być może to rewanż za moją wcześniejszą niezręczność, ale...

– Przepraszam – weszła mu w zdanie. – Masz rację. Wygłupiłam się. Rozbawiło mnie twoje zmieszanie tam w pokoju i teraz zwyczajnie mnie poniosło. Wybacz.

Wyciągnęła rękę na znak zgody, a on po krótkiej chwili wahania uściskał jej dłoń.

– Hubert – powiedział, przewieszając ręcznik przez ramię. – Tak bym cię przedstawił, gdyby żona zapytała. Nic lepszego nie przyszło mi wtedy do głowy.

Kinga pokręciła głową z mieszaniną zdumienia i rozbawienia.

– Hubert? – powtórzyła. – Rany, ale ty musisz być dziwny!



Zaraz po badaniach i przedobiednim naświetlaniu, a przed samym posiłkiem Marek był umówiony z Kociubą i jego przyjaciółmi w holu centrum kultury na szybkiego pokerka. Zgodził się, bo raz, że gra jest najlepsza we czwórkę, a u Staniszewskiego podczas porannych badań wyszło, że ma coś z sercem, i tymczasowo przeniesiono go na stałe do części szpitalnej. A dwa – jakoś nie było mu spieszno wracać do pokoju. Po rozmowie na basenie uznał, że Kinga to sympatyczna dziewczyna, której zwyczajnie nie wyszło w życiu, ale i tak liczył na to, że przeniosą ją przed wieczorem. Wolałby uniknąć plotek, że sypiał w jednym pokoju z dziwką.

Miał zamiar porozmawiać o tym z kimś z personelu, ale na razie trafiał tylko na pielęgniarki i technicznych, którzy bezradnie rozkładali ręce, bądź na żołnierzy, którzy nie raczyli nawet na niego spojrzeć. Pozostało więc czekać na Wójcika, a do tego momentu zabić jakoś czas.

Zaproszenie dentysty spadło mu więc z nieba, tyle że z chwilą gdy opuścił gabinet naświetleń, nagle stało się nieaktualne – Kociubę wzięto na tomografię.

Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, Marek postanowił pójść na mszę. Zgodnie z rozpiską już się zaczęła. Choć bywał w kościołach tylko od wielkiego dzwonu, całkiem nieźle pamiętał porządek liturgii i wyszło mu, że powinien trafić akurat na kazanie. Najlepsza okazja do sprawdzenia, jak Remek radzi sobie zawodowo.



Wnętrze kaplicy utrzymano w duchu tych wszystkich współczesnych przybytków sakralnych, które z zewnątrz wyglądały zazwyczaj tak koszmarnie, że zapewne sam Wszechmogący brzydził się na nie spoglądać.

Krzeselka – biały plastik, aluminiowe nóżki – ustawiono w równych rzędach, zostawiając szerokie przejście środkiem i dwa węższe przy samych ścianach. Zarówno dwuskrzydłowe, przeszklone drzwi, jak i ogromne okno nad ołtarzem zdobiły witraże: na drzwiach śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa, a na oknie ponad wielkim, prostym krzyżem z maleńką figurką Jezusa – wniebowstąpienie. Posadzkę zdobiła wymyślna mozaika przedstawiająca kazanie na Górze.

Tak jak przewidywał, dotarł do kaplicy podczas kazania. Chyba większość pacjentów, jeśli w ogóle nie wszyscy, siedziała spokojna, zasłuchana w słowa księdza, wpatrzona w jego pogodną twarz, z której nawet na moment nie znikał ciepły uśmiech. Kapłan mówił o Hiobie.

– Muszę wam powiedzieć, że mam prawdziwy kłopot z tą historią... – Ksiądz dostrzegł Marka pod ścianą przy samym wejściu i lekko skinął mu głową. Kilka osób odwróciło się, by spojrzeć na Domańskiego, ale zaraz na powrót przeniosło wzrok na ołtarz i ambonę. – No bo popatrzcie. – Duchowny podniósł rękę. Z każdym kolejnym wymienionym przymiotem Hioba prostował jeden palec. – Bogobojny sługa Pana, prawy mąż, dobry ojciec, rozumny zarządca. Oto człowiek, którego powinno się stawiać za wzór w świątyniach jako tego, który jest ulubieńcem Boga. Spełnia karnie wszystkie polecenia, składa ofiary, dzieli się z ubogimi tym, co ma... a tu nagle Bóg układa się z diabłem, by mu dołożyć. Po co? Jaki może mieć w tym cel? Pomyślmy...

Opuścił rękę, przykładając ją do twarzy i skubiąc podbródek.

– Test? Bez sensu, przecież Pan nie tylko zna wszystkie możliwe warianty, ale i wie, który będzie właściwy. Więc może robi to przeciw diabłu? Ale jeśli nawet, to dlaczego używa do tego swojego ulubieńca?

Zrobił pauzę, po czym stał przez chwilę, wpatrując się we wlepione w niego oczy, wsłuchując w ciszę przerywaną od czasu do czasu jakimś dźwiękiem dochodzącym od strony czynnego, choć pustego salonu gier. Gdy uznał, że najwyraźniej dość już milczenia, wyjął z ukrytej półeczki mikrofon bezprzewodowy i zszedł po dwóch stopniach prowadzących do ołtarza.

– Wolę tego nie mówić z tamtego miejsca, bo to mój prywatny pogląd, a nie chciałbym wykorzystywać powagi Kościoła – wyjaśnił. – Osobiście uważam jednak, że Hiob nigdy nie istniał. To ówczesna miejska legenda, jak ta o zakonnicach w czarnej wołdze, którą pewnie nieraz słyszeliście w dzieciństwie. Taka plotka z przesłaniem, uwiarygodniana przez rzekomych świadków. Zakonnice były przestroga przed złem czającym się za niewinnymi, dobrymi maskami. Mówiły: nie wsiadaj do samochodu z

nieznajomymi, choćby nie wiem jak miło wyglądali. A o czym mówi nam opowieść o Hiobie? O czym mówiła jemu współczesnym i dlaczego okazała się tak ważna i uniwersalna, że ostatecznie znalazła się w Piśmie?

Powiódł wzrokiem po zebranych, jakby rzeczywiście oczekiwał odpowiedzi. Ta oczywiście nie padła.

– Nie ma doczesnej nagrody – ogłosił z tryumfem, jakby właśnie poinformował wszystkich, że dzięki jego modlitwom lekarze uporali się z chorobą i teraz wszyscy mogą już wracać do domu. – Żydzi wierzyli głęboko, że wypełnianie boskich przykazań zapewni im ziemską szczęśliwość, tak jak grzechy natychmiast ściągają z nieba piorun czy trąd. I oto historia Hioba zadaje kłam temu przeświadczeniu. Niezależnie od tego, co robicie, mówi, nie czujcie się bezpieczni od nieszczęść i pokus, bo te, zsyłane przez diabła, nie Boga, mogą się zdarzyć każdemu. Poza tym spójrzcie, gdyby nasza dobroć nagradzana była natychmiast szczęśliwym życiem doczesnym, czy bycie dobrym nie przestałoby być kwestią serca? Nie stałoby się zwykłą kalkulacją, co bardziej się nam opłaca? Doświadczani przez los, jak choćby my teraz... Bo wiem, że mimo kina, basenu czy stołu do bilardu dla większości z was to miejsce pozostaje więzieniem trzymającym was z dala od bliskich – wtrącił. – Doświadczani przez los powinni zatem przemyśleć, czy fakt, że Bóg wystawia ich na próbę, jest karą, czy raczej dowodem zaufania? Bo przecież wiemy doskonale, że nikt nie obiecywał łatwej drogi... tylko szczęśliwe zakończenie.



Po mszy Marek postanowił, że poczeka na księdza. Miał ochotę porozmawiać z nim na temat kazania, a przy okazji pogratulować doboru tematu. Choć takie manipulatorskie operowanie wyrwanymi z kontekstu fragmentami Księgi Hioba ani trochę mu się nie podobało – i tego też nie zamierzał przed duchownym ukrywać.

Kiedy Domański tak stał oparty o ścianę przy wejściu, uzmysłowił sobie, że historia Hioba musiała mieć na niego naprawdę wielki wpływ, skoro wciąż tak dobrze ją pamiętał od ogólniaka. Być może tak Pismo, jak i liturgię skonstruowano tak, by programowały człowieka już w dzieciństwie. Przecież w trakcie mszy również orientował się co chwila, że pamięta wszystkie odpowiedzi na zawołania księdza, każdą modlitwę, a nawet część pieśni.

Wśród wychodzących z kaplicy dostrzegł Krzysztofa rozmawiającego z dziewczyną z basenu. Informatyk właśnie powiedział coś, a ona odchyliła głowę i zaśmiała się głośno.

Chwilę później zauważył przysadzistą dziewczynę z ciężarówki próbującą wcisnąć się między napierający na wyjście tłum. Luźna piżama zamiast przyciasnego żakietu wyraźnie jej się przysłużyła. Teraz dziewczyna nie tylko wyglądała ładniej, ale i wzbudzała sympatię. Marek uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała tym samym.

W końcu kaplica opustoszała. Domański odbił się plecami od ściany i usiadł w ostatnim rzędzie wpatrzony w ołtarz. Dopiero teraz dostrzegł, że zapalono czerwoną lampkę z napisem „spowiedź” nad zakrystią, ale i tak postanowił poczekać. Nigdzie mu się w końcu nie spieszyło.

– Ubywa nas.

Domański odwrócił się błyskawicznie i dostrzegł Hermana. Doktor stał tuż nad nim, palcem wskazującym gładząc się po brodawce na nosie. Bez

wątpienia zwracał się do Marka, ale patrzył w stronę ołtarza, jakby kierował te słowa wprost do maleńkiej figurki Chrystusa.

– Co proszę? – nie zrozumiał Domański.

– Z każdym dniem, z każdą nocą jest nas tu coraz mniej – powiedział Herman, powoli przenosząc wzrok na Marka. – Ci, którzy dostają ataków, już tutaj nie wracają.

– Skąd wiesz? – Domański nie zamierzał ukrywać, że te słowa, wypowiedziane pewnie i z przekonaniem, wzbudziły w nim niepokój.

– Liczę, obserwuję... Wczoraj w nocy na moich oczach zabrali kobietę. Kazali mi wracać do pokoju, ale zdążyłem dostrzec krew ciekącą jej z ust.

– Może przygryzła język podczas konwulsji – podsunął Marek.

Doktor popatrzył na niego z ukosa.

– Do tego w dniu, gdy was przywieźli – dodał po chwili – było nas tutaj w sumie osiemdziesiąt siedem osób. Dziś rano doszło jeszcze trzynaście dziewczyn, w tym twoja współlokatorka. To daje w sumie setkę ludzi. Dokładnie tyle, ile jest miejsc w pokojach na naszym piętrze. Jak to zatem możliwe, że część z nich świeci pustkami?

– Naprawdę? – W jednej chwili temat z niepokojącego przerodził się w niezwykle dla Domańskiego interesujący. – To świetnie.

– Świetnie?! – Herman podskoczył. Brodawka, którą teraz, zamiast głaskać, skubał, zatrzęsa się na jego nosie jak wisienka na galaretkę. – Nie rozumiesz, że wszystko wskazuje na to, że z tym opanowaniem wirusa to jakaś bzdura?!

Lampka nad zakrystią zgasła, ale zaraz zapaliła się ponownie. Marek nie miał zamiaru dłużej czekać.

– Spróbuję zbadać sprawę, dzięki za cynk – rzucił Hermanowi na odchodne i wyszedł z kaplicy.



Już pierwsza napotkana osoba w białym skafandrze uświadomiła mu, że nie będzie mógł w najbliższym czasie rozmawiać ani z Wójcikiem, ani też z żadnym innym lekarzem, bo wszyscy są obecnie zajęci w części szpitalnej.

Gdy Marek wyjaśnił, co go sprowadza, usłyszał tylko, że te sprawy nie leżą w kompetencjach lekarzy i że powinien się skontaktować z centralą na właściwym kanale telewizyjnym. Rozmówca wręcz się zdenerwował, że Domański w ogóle nie zaczął od tego i zawraca mu głowę.

Ponieważ rozmowa przy użyciu pokojowego telewizora nie wchodziła teraz w grę – nie chciał, by Kinga była przy niej lub weszła w jej trakcie – Marek uznał, że spożytkuje czas wolny, przeglądając sieciowe newsy. Wjechał na pierwsze piętro i skierował się po raz drugi tego dnia do salki komunikacyjnej.

Minąwszy przezroczyste drzwi, dostrzegł, że przy stanowisku telefonicznym tuż obok komputerów siedzi jego współlokatorka. Drzwi do jej budki były lekko uchylone, więc siadając przy komputerze tuż za kamienną kolumną, mógł, pozostając niezauważony, podsłuchiwać rozmowę. Stał chwilę w progu, walcząc ze sobą, ale w końcu pokusa okazała się silniejsza. Ledwie jednak usiadł przy komputerze, natychmiast się zorientował, że dziewczyna płacze.

– Wszystko będzie dobrze, maleńka – powiedziała Kinga do słuchawki, pociągając nosem. – Jak wrócę, to cię stamtąd zabiorę. Jeszcze tylko kilka dni, obiecuję.

Kolejne pociągnięcie nosem, urwane zdanie, odchrząknięcie i znowu:

– Nie martw się... no już nie płacz, bo serce mi zaraz... już, daj panią Monikę. Kocham cię, maleństwo...

Domański westchnął głęboko i szybko przeniósł się na inne stanowisko. Miał za swoje. Słuchanie żalów matki stęsknionej za dzieckiem było teraz ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował. Przed oczami znowu stanęła mu żona i dzieciaki czekający z niepokojem w domu mimo jego zapewnień, że jest w porządku.

Wklepał adres serwisu informacyjnego, ale zanim strona wczytała się do końca, zamknął przeglądarkę i wyszedł z sali.



W pokoju, korzystając z nieobecności Kingi, połączył się z centralą.

Przez chwilę widział na ekranie niebieską planszę z napisem „Proszę czekać”, a potem obraz zamigotał, wyostrzył się i pokazał gabinet, który Marek oglądał przy okazji pierwszego kontaktu. Za biurkiem siedziała ta sama kobieta, a stojący na blacie otwarty laptop rzucał na jej twarz błądki światła.

Popatrzyła na Domańskiego przez oko kamery i uśmiechnęła się smutno.

– Czy pan również z zażaleniem w sprawie zakwaterowania?

– Również? – Marek uniósł brwi.

– Tak, również. – Zamknęła energicznie laptop i odwróciła się w obrotowym krześle po papierośnicę. – Wcześniej o to samo prosiła pana współlokatorka, a także pan Staniszewski, z którym umówiła się, że będą dzielić pokój.

Marek był zbyt zaskoczony, aby coś powiedzieć. Ten biolog i Kinga?! Właśnie do niego chciała się przenieść? Poza obietnicą sowitej zapłaty, jak już wyjdą ze szpitala, nie znajdował żadnego rozsądnego powodu.

– Powiedziałam im to samo, co teraz powiem panu – ciągnęła kobieta z ekranu. – Nie ma takiej możliwości. W obecnej chwili wszystkie pokoje są zajęte i...

– No właśnie nie wszystkie – Marek wszedł jej w zdanie. – Wiem o co najmniej kilku, które stoją teraz puste. Swoją drogą, bardzo jestem ciekaw, co się stało z tymi pacjentami, których zabraliście po atakach. Co się stało z...

Spróbował sobie przypomnieć imię grubasa z ciężarówki. Nie, to było niemożliwe, nie przedstawili się sobie.

– ...tym mężczyzną, co dostał ataku na basenie? – dokończył zły na siebie, że zawahanie osłabiło siłę jego wypowiedzi. – Jeżeli coś się dzieje, mamy chyba prawo wiedzieć, prawda?

Kobieta pokiwała głową z poważną miną, choć Markowi wydało się, że w jej oczach zatańczyły wesołe iskierki. Nie spodobało mu się to ani trochę.

– Ależ oczywiście, że ma pan prawo wiedzieć, co się dzieje, panie Domański. Wszyscy macie. – Sięgnęła ręką gdzieś na bok i wydobyła stamtąd czarny segregator. Położyła go przed sobą i oparła dłonie na okładce. – Jak już informowałam, udało nam się zatrzymać działanie wirusa na jednym z jego pierwszych etapów. Więcej nawet, w większości przypadków potrafimy już powstrzymać dobrze panu znane objawy. Nie znaczy to jednak, że uporaliśmy się ze wszystkim. Każdy przypadek w jakiś sposób odporny na nasze leki analizujemy więc bardzo dokładnie, na wszelki wypadek izolując tych pacjentów od reszty. Staramy się to robić dyskretnie, ale jak widzę, nie dość.

Marek nieco zawstydzony podrapał się po potylicy. To, co powiedziała kobieta, brzmiało logiczniej niż jakakolwiek teoria spiskowa zrodzona w głowie Hermana.

– Ta dyskrecja nie działa na waszą korzyść – powiedział po chwili. – Ludzie wietrzą spiski.

Kobieta z ekranu odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się. Marek dostrzegł, że zęby ma pozólkłe od papierosów.

– Jutro poprosimy księdza, by ogłaszał takie wieści po nabożeństwie – zdecydowała. – Dołączymy to też do informacji na indywidualnych harmonogramach codziennych zajęć. Wszystko, by tylko nie powodować niepotrzebnych stresów.

Otworzyła segregator i zerknęła przelotnie na pierwszą stronę, po czym znowu skupiła wzrok na oku kamery.

– Niestety, w sprawie przeniesienia chwilowo niewiele mogę zrobić. Nie mamy możliwości udostępnienia pokoiów jednoosobowych, a dobór współlokatorów był nieprzypadkowy i bardzo ułatwia nam pracę.

– Tyle że... – zaczął Marek, ale w tym momencie poruszyła się kłamka drzwi wejściowych. Zerknął w tamtą stronę.

Kobieta z centrali dostrzegła ten gest.

– Do widzenia, panie Domański. – Rozłączyła się. Kinga zamknęła za sobą drzwi, powoli weszła do pokoju. Oczy i nos wciąż miała zaczerwienione.

Na widok pilota w ręku Marka machnęła tylko ręką.

– Nic z tego – powiedziała, mijając Domańskiego i opadając na swoje łóżko. – Próbowałam się nawet zamienić, żeby dali ci tu kogoś innego, ale powiedzieli, że...

– Właśnie z nimi rozmawiałem. – Marek usiadł przy biurku i położył pilota na blacie. – Chciałaś to zrobić dla mnie?

Wzruszyła ramionami wpatrzona w sufit.

– Mnie tam nie zależy – odparła. – U rodziny w porządku?

– Tak. A u twojej? Słyszałem, że rozmawiałaś z córką.

Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na niego z mieszaniną smutku i gniewu. Jej oczy zaszklily się w jednej chwili. Zaraz jednak otarła je rękawem i ponownie wlepiła wzrok w sufit.

– To moja młodsza siostra – wyjaśniła. – Opiekuję się nią, a teraz, na czas mojej nieobecności, zabrali ją do domu dziecka. Strasznie to przeżywa.

– Coś o tym wiem, sam mam trójkę, z czego najstarszy ma dziewięć lat, a...

– Są z twoją żoną, prawda? Nie siedzą w pierdolonym zakładzie dla sierot?! – nie wytrzymała.

– No nie – przyznał.

– Więc jednak nic nie wiesz. – Pociągnęła nosem, a potem przejechała rękami po twarzy, biorąc jednocześnie głęboki oddech. Podniosła się do pozycji siedzącej. – Idę się umyć. Mogę?

Uśmiechnął się lekko.

– To tak samo twój pokój, prawda? – powiedział. – Myślę, że jakoś się przemęczymy przez ten tydzień, który nam jeszcze tu został, nie?

Po raz kolejny pociągnęła nosem i odpowiedziała nieśmiałym, smutnym uśmiechem.

– Rozczuliły cię babskie łzy? – zapytała. – Zawsze mnie tak łapie po telefonie do małej. Jeśli przyzwyczaisz się do tego i do plotek, to rzeczywiście jakoś damy radę.

Po raz drugi tego dnia uścisnęli sobie ręce, tym razem oboje szczerze i bez wahania.



Wbrew nadziejom i oczekiwaniom Marka dwa tygodnie później wciąż tkwili w ośrodku, choć teraz naprawdę wszystko wskazywało na to, że dzień, kiedy będą mogli opuścić Dom na Wzgórzu, był naprawdę bliski. Z oddziału szpitalnego wracali wcześniej odizolowani, ataki prawie się już nie zdarzały, a jeśli nawet, ogłoszenia o tym, kto został zabrany, podawano publicznie.

Większość pacjentów miała już zrobione wszystkie badania – wliczając w to takie, na które normalnie czeka się miesiącami i za które płaci się majątek. Teraz chodzili już wyłącznie na naświetlania.

Marek, mimo że tęsknił za rodziną (tak bardzo, że w drugim tygodniu wystarał się dyskretnie o wydłużenie na jego koszt codziennych rozmów telefonicznych), zmuszony był także przyznać przed samym sobą, że zdołał wreszcie całkiem nieźle wypocząć.

Relaksowały go naświetlania, basen i siłownia utrzymywały w formie, kino i biblioteka pomagały uzupełnić kulturalne braki.

Pod czujnym okiem Krzysztofa nauczył się grać w cymbergaja, wraz z Kociubą, Hermanem, Staniszewskim i Starowiczem spotykał się na karty, a późnymi wieczorami aż do zaśnięcia rozmawiał z Kingą, licytując się na najzabawniejsze epizody z życia Gosi i Moniki. Dziewczynki oprócz wieku łączyło także zamiłowanie do disnejowskich bajek, tańca i śpiewu. Domański nie omieszkał także pochwalić się swym pierworodnym, który był na tyle rozwiniętym dziewięciolatkiem, że przeskoczył trzecią klasę i teraz, mimo że najmłodszy, wciąż trzymał się w ścisłej czołówce czwartej.

Od pewnego momentu Marek nie opuszczał też żadnej mszy, uważnie wsłuchiwał się w kazania i coraz bardziej podziwiał talent kaznodziejski

księdza Remka. Nie zawsze się z nim zgadzał, bywało, że dyskutował potem z duchownym na temat postawionych w homilii tez czy kwestionował zasadność podkreślanej po wielekroć wyjątkowości zebranych w kaplicy, ale nieodmiennie słuchał go z uwagą i zaciekawieniem. A pewnego dnia, pchnięty nagłym impulsem, prosto z naświetleń poszedł do kaplicy, by się wypowiedzieć.

Jak skwitował to podczas jednej z rozmów z Kingą, pobyt w Domu na Wzgórzu stał się dla niego przerwą techniczną w życiowym meczu. Gdy przypomniał sobie tę wypowiedź kilka miesięcy później, stwierdził gorzko, że był wtedy bliżej prawdy, niż mógł przypuszczać.



Kociuba podzielił się z nimi swoją rewelacją dopiero na basenie. Wcześniej, ledwie tylko wrócił z naświetleń, chodził nerwowo po korytarzu, właściwie nawet nie tknął śniadania i co rusz popędzał to Hermana czy Staniszewskiego, to znów Marka i Kingę, by łaskawie ruszyli tyłki. Na pytanie, skąd ten pośpiech, odpowiadał gniewnym spojrzeniem bądź przewracaniem oczu.

– Dowiesz się za chwilę – mówił i robił w swych przydziałowych klapkach i kąpielówkach, z ręcznikiem na ramieniu kolejną rundkę wzdłuż korytarza.

Chodził tak z wyrazem podekscytowania na twarzy i z miną tak bardzo niepasującą do zaróżowionego oblicza, że aż groteskową.

– Oni usypiają nas gazem – powiedział w końcu konspiracyjnym szeptem, gdy cała grupa, czyli Kinga, Marek, Staniszewski, Herman i

Starowicz, była już w wodzie zebrana przy jednym z narożników. – Zanim poddadzą nas tym, jak oni to mówią, naświetlaniom, raczą nas chmurą gazu, który sprawia, że z miejsca zasypiamy.

– Akurat ciebie nie powinno to dziwić – stwierdził wyraźnie zawiedziony Staniszewski. Widać było, że biolog spodziewał się po Kociubie nie wiadomo jakiej rewelacji. To, co usłyszał, nie brzmiało dla niego nawet niepokojąco. – Może chcą uniknąć wiercenia się pacjentów? Albo oszczędzają im świadomego przeżywania godziny czy dwóch w tym quasi-solarium. Ja tam jestem im za to wdzięczny.

Kociuba posłał mu zniecierpliwione spojrzenie, jednocześnie machając nogami i rękami, by utrzymać się na powierzchni wody. Właściwie nie wiadomo było, czemu to robi, spokojnie mógł bowiem stanąć na dnie. Odczekał, aż minie ich młody, drobny rudzielec – Marek przypomniał sobie, że chłopak regularnie służył do mszy – po czym podjął:

– Nie chodzi tylko o to, że usypiają, choć już to wyjątkowo mi się nie podoba. Raczej o to, co robią później.

– A co robią? – zapytała Kinga. – I skąd pan to wie? Pana nie usypiali?

– Usypiali, a jakże! – odparł Kociuba nie bez dumy. – Ale ja już jakiś czas temu zacząłem coś podejrzewać, więc dziś rano po prostu wstrzymałem oddech zaraz po tym, jak nałożyli mi ten cały hełm, i trzymałem do oporu. Wystarczyło.

Energiczniej zamachał rękami i tym razem zerknął niepewnie na przezroczyście tunele wyższych pięter.

„To o to chodzi! – zrozumiał Marek. – On zagłusza ewentualne mikrofony. Nie ma co, dobrali się z tym Hermanem...”

– No i co takiego dzieje się po tym, jak już nas uspią? – zapytał na głos z wyraźną nutką drwiny. Nie zależało mu na tym, by wykpić dentystę, ale zwyczajnie nie mógł się powstrzymać.

– Wbijają nam pod powieki obrazy. – Kociuba nawet nie dostrzegł ironii. Mówiąc, pluskał rękami i nogami. – Większość z nich wygląda jak bardzo szybko puszczonego film, czy raczej komiks, bo odniosłem wrażenie, że to pojedyncze obrazki o różnej tematyce. Trudno powiedzieć, bo wszystko leciało bardzo szybko. Za to głos był miły i spokojny.

– Głos? – powtórzył Starowicz z powagą. – To i głosy słyszałeś?

Wszyscy z wyjątkiem dentysty parsknęli śmiechem. Kociuba skrzywił się tylko.

– Tak, słyszałem. Co zabawniejsze, większość z nich to były teksty modlitw i informacje odnośnie do porządku i treści nabożeństw. Jakbym dostawał instruktaż do podświadomości, jak mam się zachować w kościele.

Ostatnie zdanie wzbudziło zainteresowanie Marka. Zmarszczył brwi.

– Chwila, jak to instruktaż? Porządek mszy, modlitwy, teksty kapłana?

– Coś w tym stylu. – Dentysta wzruszył ramionami. – Nie znam się na tym. Od chrztu nie byłem nigdy w kościele i nawet tu udaje mi się przewycięzać pokusę słuchania wywodów Remigiusza. Choć nie ukrywam, że z dnia na dzień, widząc, jak wszyscy karnie maszerujecie do kaplicy, jest mi coraz trudniej.

– A teraz ładują ci mszę do podświadomości. Super! – Starowicz pozostał sceptyczny. – Coś jeszcze? Bo robi mi się zimno w tej wodzie.

– Pewnie, że coś jeszcze! – burknął na niego Herman. – Pamiętacie, jak mówiłem o tym, że ludzie znikają?

– Tak – skojarzył Staniszewski. – A potem na powrót zaczęli się pojawiać. I co?

Kinga dyskretnie zapytała Marka, czy streści jej to później. Skinął głową, nie odrywając wzroku od dentysty. Dziewczyna przeprosiła wszystkich, po czym złapała za murek i podciągnęła się, wychodząc z wody. Kociuba powiódł za nią wzrokiem.

– Rozmawiałem wczoraj z tą blondynką, którą zabrali jako jedną z pierwszych. Wcześniej, niż przyjechaliście – to ostatnie zdanie skierował do Marka, mając najwidoczniej na myśli ludzi z drugiego ogniska. – Mówiła, że prawie nic nie pamięta, ale kojarzy jej się mocne światło i ludzie w chirurgicznych maskach. Bez skafandrów. Mówi też, że po powrocie zauważyła na ciele sporo cienkich, prostych blizn. Pokazała mi dwie takie na plecach, długości dwóch, może trzech centymetrów, ale mówiła też, że są i dłuższe. Zwłaszcza w okolicy podbrzusza.

Mówiąc to, podrapał się wzdłuż linii kąpielówek, zza których po prawej stronie wystawała zniekształcona teraz przez wodę, szpetna i wyraźnie siniejąca blizna po wyrostku. Domański odruchowo zerknął w dół, by spojrzeć, czy ta jego prezentuje się równie paskudnie.

„Jak porównywanie długości penisów” – pomyślał z rozbawieniem i ponownie skupił wzrok na dentyście.

– A jesteś pewien, że to rzeczywiście były nowe blizny? – zapytał. – A może to po prostu zadrapania, których wcześniej nie zauważyła. No i ci chirurdzy raczej mieliby na sobie skafandry, a nie zwykłe maseczki, prawda?

– Nie wiem, nie znam się, ale jak chcesz, to możemy ją o to zapytać – Herman poparł Kociubę, wskazał ręką w stronę siłowni, gdzie na jednym z przyrządów siedziała dziewczyna z pierwszego ogniska. – Innych też, jeśli masz ochotę.

– Możemy – zgodził się Marek. W tej samej chwili usłyszeli sygnał, że już czas na naświetlania.



„A co mi szkodzi spróbować?” – pomyślał, kładąc się w okularach ochronnych na stole do naświetlań. To, co mówił Kociuba, brzmiało dziwacznie, ale gdyby okazało się prawdą, wyjaśnialoby, jakim cudem Marek, choć nie był w kościele od naprawdę dawna, znał przebieg mszy lepiej niż niejeden ministrant. Domański co prawda tłumaczył to sobie nawykami z dzieciństwa, ale rewelacje Kociuby rzucały na sprawę nowe światło. Teraz z łatwością mógł zweryfikować słowa dentysty. Wystarczyło, że wstrzyma oddech.

Na chwilę zanim zamknęła się nad nim kapsuła, powoli, dyskretnie wciągnął powietrze i przytrzymał je w płucach.

Przez chwilę nic się nie działo. Słyszał głosy techników stłumione zarówno przez kapsułę, jak i skafandry, czuł, że swędzi go lewa ręka, a na czoło wystąpiła pojedyncza kropelka potu. A potem nagle rozległ się cichy syk, jakby ktoś domykał uszczelniane drzwi, tylko odrobinę dłuższy.

Marek zaczął liczyć w myślach: „Raz, dwa, trzy”...

Nie miał pojęcia, jak długo tamci wtłaczają gaz – jeśli to rzeczywiście był gaz – i po jakim czasie ten się ulatnia. Uznał, że czterdzieści sekund wystarczy. Na tyle zresztą spokojnie powinno mu jeszcze wystarczyć powietrza.

„...trzynaście, czternaście, piętnaście...”

Przez głowę przebiegały mu tysiące myśli. Dlaczego, skoro i tak chcą ich usypiać, nie zrobią tego po prostu. Nie powiedzą, że zabieg tego wymaga i już?

„...dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem...”

Oczywiście znał odpowiedź. Ludzie boją się narkozy. Tego, że padają nagle nieprzytomni i można zrobić z nimi wszystko...

„...trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć, czterdzieści!”

Dla pewności odczekał jeszcze chwilę, po czym odetchnął cicho. A w chwilę później, dokładnie tak jak mówił Kociuba, przed jego oczami pojawiły się obrazy. Domański, przygotowany, że będą one pędzić jak szalone, już od pierwszej chwili skupiony był na zapamiętywaniu. Mimo to udało mu się wychwycić tylko niektóre z nich, te, które pojawiały się na ułamek sekundy dłużej. Były to najczęściej miłe widoczki: zachód słońca nad morzem, roześmiane dziecko, para całująca się namiętnie przy zabytkowej fontannie... Co kilka chwil pojawiała się biała plansza z czarnymi literami.

„Bóg cię kocha” – głosił jeden napis.

„W Nim znajdziesz pocieszenie” – dopowiadał kolejny.

Jednocześnie do uszu Domańskiego zaczął powoli wsączać się głos, niski, głęboki, mówiący spokojnie, ale stanowczo. Recytował powoli kwestie kapłana, po czym przerywał słowem „wierni” i recytował dalej tym samym tonem. Obrazy, mimo że migające jak szalone, zdawały się dopasowywać do słów niczym mknąca w eter gitarowa solówka, wciąż trzymająca się jednak miarowych uderzeń perkusji. Teraz nie pokazywały już pięknych widoków czy rozczulających obrazków jak z kiczowatych telenowel.

Przed oczami Marka migwały słowa wkomponowane w wielobarwne świetlne rozbłyski – trochę podobne do wizualizacji w Winampie, którego wgrał kiedyś do służbowego laptopa. Do nosa wdarł się zapach kadzidła, odległy, ale wciąż wyrazisty.

Naraz wszystko ustało i zapanowała ciemność i bezwonna cisza, z której powoli wyłonił się Chrystus. Jedną rękę wznosił w geście pozdrowienia, drugą zaś przykładął do serca, z którego – zupełnie jak na kreskówce o Troskliwych Misiach, którą tak bardzo lubiła Gosia – tryskały smugi

światła: czerwona i błękitna. Z głośników zaś dobiegł głos: – To jest mój syn umiłowany, jego słuchajcie.

A potem wszystko pogrążyło się w ciemności.



Gdy wciąż oszołomiony tym, co zobaczył, zszedł do części mieszkalnej, okazało się, że spośród znajomych skończył zabiegi pierwszy. Uznał, że wykorzysta tę chwilę na telefon do domu, bo potem może nie mieć okazji, gdy już zaczną dyskutować. Poza tym koniecznie musiał z kimś porozmawiać.

W salce komunikacyjnej było kilka osób, ale większość z nich siedziała przy komputerach i klęła. Okazało się, że od przeszło godziny nie było sieci. Do tego telewizor umieszczony nad komputerami śnieżył tak, że z trudem dało się rozpoznać sylwetkę prezentera „Wiadomości”. Marek pomyślał z niepokojem, że może być kłopot także z telefonami, ale na szczęście sygnał był czysty i bez trzasków. Mimo to długo sobie nie porozmawiał. Katarzynę, podobnie jak dzieciaki, rozłożyła solidna grypa i teraz mieli w domu mały szpital. Jedynie Gosia jakoś się trzymała i to właściwie na jej głowie był teraz cały dom.

Z głosu żony Marek wnioskował, że jest wykończona, i poczuł wyrzuty sumienia, że jest tu, zamiast jej pomagać. Obiecał, że postara się przyspieszyć swoje wyjście, i zapewnił, że bardzo ich kocha. Katarzyna chciała odpowiedzieć tym samym, ale dostała potwornego ataku kaszlu. Tak jakby wypluwała z siebie wnętrzności. Po dłuższej chwili opanowała się na tyle, by przeprosić go za przerwanie rozmowy, i odłożyła słuchawkę.

Próbował wykorzystać pozostały czas na telefon do firmy, ale tam nikt nie odpowiadał.

Wychodząc, natknął się na dziewczynę, o której mówił Herman. Marek nie miał nawet pojęcia, jak jej na imię, ale tego dnia wcale go to nie krępowało.

– Cześć, Herman mówił, że masz jakieś blizny – powiedział prosto z mostu. – Mogę zobaczyć?

Dziewczyna zamrugła zaskoczona.

– Czy my się znamy? – zapytała.

– Marek jestem. – Uśmiechnął się sztucznie. – Proszę, czy mogę zobaczyć? To naprawdę ważne.

Właściwie dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo. Jeśli bowiem okaże się, że Herman nie zmyślał, to dzieje się tutaj coś naprawdę dziwnego.

„No dalej, dziewczyno! – rozkazał jej w duchu. – Nie krępował cię podstarzały doktorek z brodawką...”

Wydawało się, że usłyszała tę myśl, bo lekko przechyliła głowę, po czym wzruszyła ramionami.

– Dobra, chodźmy gdzieś na bok.



Cienkie pionowe nacięcia. Jedno tuż nad łopatką, drugie na przedramieniu, trzecie powyżej krzyża. Marek przyglądał im się z uwagą, choć niewiele mu mówiły. Nie był w stanie ocenić, co mogły oznaczać.

Żeby wyciągnąć coś ze środka, były stanowczo za małe. Więc może coś jej wszczepiono...

– To wszystko? – zapytał.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie, ale ostatniej ci nie pokażę – stwierdziła.

– Taka jak pozostałe? – Marek wiedział, że jeśli tak, wcale nie musi oglądać tej blizny.

– Dłuższa, ale równie cienka – odparła. – O tutaj.

Dotknęła ręką prawej strony podbrzusza.

– Tutaj? – Marek zmarszczył brwi i niemal natychmiast podciągnął koszulę, prezentując swoją pamiątkę po operacji. – Więc to rzeczywiście wyrostek!

Różowej, postrzępionej linii odcinającej się wyraźnie od opalonego ciała nie można było wprawdzie nazwać wąską blizną, ale dziewczyna i tak skinęła głową, uroczo się przy tym rumieniąc.

– Dokładnie tu – potwierdziła.



– To niedorzeczne – powiedział Krzysztof, patrząc z niedowierzaniem to na Marka, to znów na Hermana. – Dlaczego mieliby wyciąć jej wyrostek?

Siedzący obok niego ksiądz Remek podrapał się po nosie. Obaj z informatykiem zostali wciągnięci do spisku kilka minut wcześniej i wyglądali, jakby sprawy poważnie ich zaskoczyły.

– Może właśnie miała atak – powiedział po chwili duchowny – i zwyczajnie zainterweniowali jak przy ataku wirusa, a potem uratowali jej

życie.

– No, w sumie... – Marek nie wydawał się przekonany. Siedział jak na szpilkach, nerwowo popijając kawę, i co chwila zerkał to na piętro, gdzie poszedł Kociuba celem zbadania tajemniczych blizn, to znów w stronę części mieszkalnej, z której już dawno powinna nadejść Kinga. To, że wciąż jeszcze nie wróciła z badań – zwłaszcza w kontekście dzisiejszych rewelacji – martwiło go więcej niż bardzo.

– Mnie za to bardziej zastanawia to, co mówiłeś o obrazach podczas naświetleń – podjął ksiądz. – Myślisz, że co to mogło być?

– A bo ja wiem...

– Wiadomości podprogowe? – zasugerował informatyk. – Czytałem kiedyś taką książkę. W ten sposób można było zaprogramować człowieka, żeby zrobił, co tylko zechcesz...

– I dzięki temu wszyscy zaczęli chodzić do kościoła – dodał milczący do tej pory Herman. – Co z kolei dało im wszystkim przeświadczenie, że wszystko jest w porządku. By bez obaw dali sobie wycinać nerki.

– Póki co wyrostki. – Marek, widząc, jakie spojrzenie doktor posłał kapłanowi, wolał zawczasu zażegnać potencjalny konflikt. – A dokładniej, wyrostek. Jeden.

– Nie, co najmniej pięć – poprawił go Kociuba, który wbrew oczekiwaniom nie nadszedł od strony windy, a od barku. Stał teraz za plecami Marka. – Właściwie wszyscy, którzy zniknęli na dłużej, mają za sobą operację wyrostka. Części usunięto też znamiona, zwłaszcza takie, które mogły uchodzić za czerniaki.

Usiadł i bez pytania łyknął kawy z kubka Hermana.

– Na dodatek, z tego, co udało mi się zauważyć, część miała świeżo zaleczone zęby – dodał. – Choć zapytani nie pamiętali wizyty u dentysty.

Marek pokręcił głową. To wszystko było jakieś nienormalne. Usuwanie wyrostków, leczenie zębów i zwalczanie chorób skóry? Mieli za mało wykonanych zabiegów i bali się o dotacje czy jak?

– Myślę, że trzeba coś zrobić. Dowiedzieć się, co się dzieje – stwierdził w końcu. – Może czas zadzwonić na zewnątrz i dowiedzieć się czegoś więcej na temat Domu na Wzgórzu.

– W Internecie, kiedy jeszcze był, nie znalazłem ani słówka – stwierdził Krzysiek. – A dziś od rana nie ma sieci, więc nie wiem, czy telefony...

– Działają – Marek wszedł mu w zdanie. – Dzwoniłem dzisiaj do żony i wszystko było ok. Próbowałem później dzwonić do firmy, ale nikt nie odbierał.

– Ja spróbuję – zaoferował się ksiądz. – Myślę, że w kurii będą wiedzieć, z kim rozmawiać.

Wstał i powiódł wzrokiem po zebranych. Uśmiechnął się.

– Wyglądacie jak ruch oporu – powiedział. – Spokojnie. Zaraz wszystko wyjaśnię.

Coś było w jego głosie, że chciało mu się wierzyć. Kiedy jednak spieszył w stronę windy, wszyscy, nie wiedzieć czemu, patrzyli za nim w milczeniu, jakby szedł na skazanie.



Rozmowa jakoś się nie kleiła. Krzysztof dostrzegł swoją znajomą z basenu i na chwilę odszedł od stolika, Herman wraz z Kociubą zerkali w stronę tarasu na pierwszym piętrze, czekając z niecierpliwością na księdza, a Marek wciąż rozglądał się za Kingą. Zdawkowo rzucane zdania niknęły

w ogólnym gwarze, rozpuszczały się wśród pomruku rozmów dochodzących z innych stolików.

W końcu Herman nie wytrzymał. Wstał, odtrącając do tyłu krzesło, i szybkim, pewnym krokiem ruszył w stronę windy.

– Dokąd?! – zawołał za nim Kociuba.

– Nie będę tak czekał – odparł doktor, nie odwracając się. – Idę powiedzieć żonie, by wynajęła cholernego adwoka...

Przerwał mu ogłuszający ryk syren i niemal w tym samym momencie rozbłysnęły czerwone koguty umieszczone nad drzwiami, u podstaw barierek na piętrach i w suficie. A potem otworzyły się drzwi bloku mieszkalnego i do holu wpadła zalana krwią kobieta.

Marek poderwał się z miejsca, ale zaraz zobaczył, że to nie Kinga. Przypomniał sobie, że widział tę dziewczynę kilka razy na basenie i niemal codziennie w kaplicy, a raz nawet na salce komunikacyjnej, jak rozmawiała z kimś przez komunikator. Długowłosa blondynka z błękitną żyłką wyróżniającą się na tle bladego policzka niczym blizna bądź pozostałość po nietypowym makijażu. Cichutka jak myszka, z głową wtuloną w ramiona i cieniem uśmiechu ukrytym w kącikach wąskich ust.

Tak wyglądała jeszcze wczoraj...

Teraz zgięta wpół próbowała iść, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa, więc co kilka kroków musiała podpierać się ręką i podnosić z klęczek. Z każdym upadkiem przychodziło jej to z coraz większym trudem.

Włosy, rozpuszczone, mokre i pozlepiane w strąki, częściowo przysłaniały jej twarz wykrzywioną teraz bólem i przerażeniem, pokrytą biało-czerwonymi płatami łuszczącej się skóry.

Mówiła coś, szeptała i chrypiała, choć usta otwierała szeroko jak do krzyku. Po kilku krokach zatrzymała się, zabalgotała, jakby nagle głos uwiązał jej w gardle, po czym chlusnęła strugą krwawych wymiocin wprost

pod nogi reszty pacjentów. Runęła bezwładnie w tę kałużę własnych wydzielin, rozchlapując ją na wszystkich, i znieruchomiała na kilka sekund. A potem zaczęły się drgawki.

Do przeciągłego wycia syren alarmowych dołączył głos z głośników: – Uwaga! Alarm czerwony. Wszyscy natychmiast udajcie się do swoich pokoi i oczekujcie na przybycie lekarza.

Marek podniósł głowę i zobaczył, że na galeriach pierwszego i drugiego piętra stoją żołnierze uzbrojeni w te same dziwne rury, które zobaczył, gdy pierwszy raz zetknął się z ludźmi w skafandrach.

Kilku wojskowych prowadziło pacjentów z salki komunikacyjnej w stronę wind. Domański nie mógł wśród nich wypatrzeć księdza.

– Wszyscy niech udadzą się do swoich pokoi – nakazywał głos. – Pozostaniecie tam do ustabilizowania się sytuacji. Zainfekowane rzeczy należy zdjąć, umieścić w worku na śmieci i wystawić przed drzwi.

Żołnierze pojawili się także na parterze, wychodząc w większości z salonu gier, ale także z części mieszkalnej. Stamtąd też wypadła czteroosobowa ekipa w białych skafandrach i z noszami, przyklękła przy rzucającej się dziewczynie.

Marek dostrzegł, że ludzie, omijając szerokim łukiem leżącą, kierują się w pośpiechu do części mieszkalnej, więc ruszył razem z nimi. Nie był jednak w stanie oderwać wzroku od twarzy dziewczyny. Kawałki jej skóry łuszczyły się i spadały przy każdej próbie odgarnięcia włosów. Spod strzępów wyłaniały się pomarańczowo–czerwone włókna mięśni policzkowych.

„Jak to możliwe, że zmiany zaszły tak szybko” – zdążył pomyśleć, zanim żołnierz wypchnął go na korytarz.



Zgodnie z poleceniem rozebrał się, wrzucił ciuchy do worka, a ten wystawił za drzwi. Wychylając się na korytarz, zobaczył dwa patrole złożone z trzech wojskowych i dwóch ludzi w białych skafandrach wchodzących po kolei do każdego z pokoi. Zamknął drzwi, po czym usiadł na łóżku, czekając na nich i kolejny raz zastanawiając się, co z Kingą. A jeśli i ona wygląda teraz jak tamta dziewczyna? Co, jeśli i ona załapała kolejne stadium? Po kilku minutach otworzyły się drzwi i weszli lekarze. Podali Markowi surowicę w zastrzyku, wręczyli świeżą piżamę i kazali się położyć, a potem zostawili go samego w pokoju.

Zrobił, jak mu kazali. Chwilę później już spał.



Gdy się obudził, Kinga siedziała na swoim łóżku z kolanami podciągniętymi pod brodę i wpatrywała się w punkt na ścianie. Wyglądała jak przestraszone zwierzątko.

– Gdzie byłaś? – zapytał, odrzucając na bok koc.

Przez dłuższą chwilę milczała i wyglądało na to, że już nie odpowie.

Wreszcie wyszeptała cicho:

– Nie pozwolili mi z nią porozmawiać.

– O kim ty mówisz?

Powoli przeniosła wzrok na Domańskiego.

– Już nas stąd nie wypuszczą – powiedziała pozornie obojętnym głosem.
– Nie teraz, gdy okazało się, że gównu zatrzymali, nie wirusa. Nie wypuszczą nas.

Marek pomyślał o tym wszystkim, czego dowiedzieli się dzisiaj od rana. Coś z nimi tutaj robiono, jakoś przygotowywano. I na pewno nie po to, by zwyczajnie odwieźć do domu.

A teraz jeszcze ten atak blondynki... Nagle zdał sobie sprawę, że wydarzył się w idealnym momencie, by ich powstrzymać. Rozdzielić, zanim wspólnie odkryją, co tak naprawdę się tu dzieje.

– Wycinali ci coś? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Nie, miałam tylko naświetlanie i badania ginekologiczne. A potem miałam iść zadzwonić, ale ten alarm...

Rozpłakała się. Wtuliła głowę w kolana i szlochała cicho niezdolna dokończyć zdania. Marek podszedł do jej łóżka i usiadł obok, obejmując ją ramieniem. I tak siedzieli aż do komunikatu.



Kwadrans po piątej cyfry na zegarze zamieniły się w zdanie: „Włącz kanał informacyjny”. Marek poderwał się z miejsca, podniósł pilota i wycelował go w ekran. Przez czas, gdy siedział na łóżku, przez te kilka godzin niemal całkowitego bezruchu, pytania w jego głowie uformowały się we właściwy ciąg, a podejrzenia złożyły w spójną teorię. Teraz – liczył – będzie miał okazję je zadać.

Okazało się jednak, że chociaż na ekranie pojawiło się znajome biuro i twarz kobiety z centrali, pytania zmuszony był zostawić dla siebie. Tym razem bowiem w pokojach nie włączono mikrofonów.

Kobieta siedziała wyprostowana, z rękami ułożonymi równo na biurku jedna na drugiej i patrzyła prosto w kamerę niczym prezydent wygłaszający orędzie. Poniekąd to właśnie robiła.

– Szanowni pacjenci! – zaczęła, po czym nastąpiła krótka pauza. Marek był niemal pewien, że zaraz sięgnie po wodę, ale nie zrobiła tego. – Zdajemy sobie sprawę, że wydarzenie w holu centrum kulturalnego wyprowadziło państwa z równowagi, a podjęte przez nas natychmiastowe środki ostrożności jeszcze bardziej utwierdziły was w poczuciu lęku i niepewności. Pragniemy poinformować, iż jesteśmy pewni, że przypadek pani Rostockiej nie przydarzy się ponownie. Organizm pacjentki, której atak państwo widzieli, wykazał wyjątkową odporność na zastosowane przez nas środki, odporność, co pragnę dodać, znacznie przewyższającą parametry stwierdzone u wszystkich pozostałych osób. Po zasięgnięciu opinii najlepszych światowych specjalistów nasi lekarze zdecydowali o skierowaniu pani Rostockiej na oddział celem dodatkowych badań, a wypadek, który miał miejsce, spowodowany był nieostrożnością personelu technicznego transportującego pacjentkę. Przepraszamy za to, a także za niedogodności wynikające z procedur obowiązujących w Domu na Wzgórzu. Zgodnie z nimi najbliższe kilka dni, licząc od dzisiaj, spędzicie w swoich pokojach. Posiłki będą wam dostarczane jak co dzień przez personel, podobnie jak leki, pranie i środki czystości. Na życzenie dostarczymy także dowolną publikację bądź film z biblioteki. Kompletny spis zbiorów dostępny będzie w ramach telegazety na tym kanale. Z braku możliwości technicznych czasowo zawieszono działanie salki komunikacyjnej. Wasze rodziny zostaną o tym poinformowane w taki

sposób, by wiadomość nie wzbudziła ich niepokoju. Jeszcze raz przeprasza...

Marek wyłączył telewizor i cisnął pilota na łóżko.

– Kurwa – warknął, a potem powtórzył to jeszcze kilka razy coraz głośniej.

Kinga podniosła głowę i przyglądała mu się z lękiem.

– Nie wypuszczą nas, prawda? – zapytała cicho. – Umrzemy tutaj.

Domański przycisnął dłonie do twarzy i rozmasował ją okrężnymi ruchami. Teraz już był pewien, że coś jest nie tak. Odkryli, że Kociuba i Herman są na dobrej drodze, by przejrzeć ich sekret, tajemnicę Domu na Wzgórzu, i zareagowali, zanim wieść rozniosła się wśród pacjentów. Zabrali gdzieś księdza, który próbował zasięgnąć informacji, a potem wpuścili tę kobietę, by zasiać panikę. Nie wierzył w żadne tam bzdety o nieuwadze personelu. Słaniająca się, oszalała z bólu kobieta nie byłaby w stanie ukraść klucza do windy i jeszcze na dodatek uciekać przed żołnierzami przez całą część mieszkalną aż do centrum. To było zwyczajnie niemożliwe.

„Ciekawe, czy naprawdę była chora, czy też ucharakteryzowali ją na taką...”

– Marek, co myślisz? Nie dadzą nam odejść, prawda?

Odwrócił głowę i siląc się na obojętność, wzruszył ramionami.

– Jeśli nie, sami stąd wyjdziemy.



Godziny mijały im na rozmowach, snuciu się i oglądaniu coraz to nowych filmów. Zdarzały się chwile, że w przypływie bezsilnej wściekłości Marek podbiegał do drzwi, tłukł w nie pięściami i krzyczał, że nie mają prawa tak ich trzymać. Niestety, jedyną reakcją na to był płacz Kingi, że już stąd nie wyjdą. Potem uspokajali się nawzajem, siedząc przytuleni jak para dzieciaków pierwszy raz w nocy pod namiotem.

Jedli wszystko z dostarczanych im posiłków, natomiast leki regularnie wrzucali do zbiornika na wodę w toalecie. Kinga miała z początku opory, ale Marek przekonał ją opowieścią o wizjach i bliznach, a potem swoją teorią dotyczącą krwawiącej kobiety. Po trzech dniach na powierzchni wody w zbiorniku pływało już kilkanaście różnokolorowych pastylek. Żele i syropy zniknęły bez śladu starannie spłukane w muszli.



– Na samym początku, gdy jeszcze byłam sama, zamknęli mnie w takiej przeszklonej celi, zupełnie jak doktora Lectera – powiedziała pewnego razu Kinga. Był to jej wkład w nocną rozmowę, po tym jak przez ostatni kwadrans Marek opowiadał o trudnościach, jakie przeszli, przenosząc syna o klasę wyżej. – Dali mi wtedy taki formularz i było w nim mnóstwo osobistych pytań.

– Czy utrzymywałaś kiedyś stosunki seksualne z innymi kobietami? – podsunął Marek, przypominając sobie, co musiał wypełniać pierwszego czy drugiego dnia pobytu.

– Nie, nie taki. Tam były raczej pytania o to, co lubię czy lubiłam, co mnie podnieca i takie tam. Było tam też sporo pytań o mój wymarzony

dzień, wymarzony świat czy wymarzonego faceta.

Marek uśmiechnął się. Leżał na łóżku z rękami założonymi pod głowę i przyzwyczajął oczy do ciemności. Widział już na tyle dobrze, że gdy się odwrócił, mógł dostrzec Kingę. Kolejny raz przyjęła tę samą pozę co w dniu, gdy ich zamknęli – siedziała skulona z kolanami pod brodą.

– Wpisałaś Brada Pitta? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Wpisałam ciebie – odparła, a widząc jego reakcję, pełne zdumienia spojrzenie, zaśmiała się cicho. – No nie dosłownie, przecież cię nie znałam. Ale kogoś takiego jak ty. Przystojnego, inteligentnego, zabawnego. I takiego, który kocha dzieci... jak ja.

Opuściła nogi i wstała.

– Chyba nie powinnam ci była tego mówić, nie? Wybacz, nie chciałam stawiać cię w głupiej sytuacji.

Nie czekając na odpowiedź, poszła do łazienki. Marek został sam na sam ze swoimi myślami.



W podjęciu ostatecznej decyzji pomogła mu telegazeta, a dokładniej, data w prawym górnym rogu. Dziewiąty kwietnia – urodziny jego córki. Widząc rząd cyfr odcinający się żółcią na czarnym tle, nagle zrozumiał dwie rzeczy. To, że ominie go święto, którego nie odpuścił jeszcze ani razu przez te wszystkie lata niezależnie od okoliczności, a także to, że tkwił w Domu na Wzgórzu już prawie miesiąc.

Leżąc na łóżku w niemal całkowitej ciemności i nie mogąc zasnąć z powodu natłoku myśli, w tym właśnie momencie podjął decyzję.

Kwadrans później obudził Kingę, by poinformować ją o swoim planie. Nie był on jakoś szczególnie złożony i właściwie jedyne, co wyglądało w nim w miarę solidnie, to koncepcja opuszczenia pokoju, bo potem wszystko składało się z „jeśli” i „gdyby”. Dziewczyna jednak zgodziła się bez namysłu.

Pozostało im tylko poczekać do świtu.



Jak zwykle weszło ich dwóch. Jeden trzymał przed sobą tacę ze śniadaniem, a drugi, uzbrojony w ruro–karabin, stanął tuż za drzwiami do łazienki, przy samej krawędzi ściany, na której wisiał telewizor. Tak samo jak co dzień przy każdym posiłku.

Na tacy oprócz talerzy ze śniadaniem i kubeczków z lekami znajdowały się także cztery filmy, które zamówili dzień wcześniej: dwie wczesne komedie Adama Sandlera, ukochany film Marka „Bez przebaczenia” i jeszcze coś, czego tytułu nie pamiętał, a w czym na pewno grał Tom Cruise.

Taca musiała sporo ważyć, bo żołnierzowi lekko trzęsły się ręce i jak najszybciej chciał ją postawić na biurku. Przeszkadzało mu w tym nieco za bardzo wysunięte krzesło. Pchnął je nogą... i w tym samym momencie z łóżka poderwała się Kinga. Z całej siły podbiła tacę, tak że uderzyła żołnierza prosto w maskę i na moment pozbawiła równowagi.

Niemal w tym samym momencie zerwał się Marek. Bez trudu wyrwał broń drugiemu żołnierzowi i powalił go ciosem w brzuch. Następnie doskoczył do pierwszego i złapał go za ramiona, jednocześnie kopiąc w zgięcie pod kolaniem.

Gdy obaj zostali sprowadzeni do parteru i pozbawieni przytomności, zdjął im kaptury, na wszelki wypadek zakneblował usta paskami materiału wyrwanego z poszewek i sprawnie rozebrał. Prawie nagich związał i wspólnie z Kingą powrzucał na łóżka, starannie przykrywając. Następnie oboje ubrani w skafandry wyszli na korytarz.

I tu właściwie kończył się plan. Marek nie był pewien, czy powinien uwalniać pozostałych, czy też uciekać we dwójkę. Teraz opadły go jeszcze większe wątpliwości. A co, jeśli naprawdę jest chory? Co, jeśli uciekając, narazi bliskich na niebezpieczeństwo?

„Najwyżej nie zdejmę skafandra” – pomyślał, ruszając w stronę części rehabilitacyjnej. Miał zamiar wpaść do tunelu dla personelu i biec nim tak długo, aż dotrą do jakiegoś wyjścia.

Pchnął drzwi prowadzące do skrzydła z basenem i... stanął jak wryty.

Zniknęła gdzieś siłownia. Nie było też basenu. A raczej był, ale teraz został przykryty ogromną płytą, na której stało kilka drabin i jeden całkiem spory podnośnik. Powyżej na stalowych linach zamocowano ogromny ekran, a przed nim stało kilka osób bez skafandrów, ubranych normalnie, luźno, czasem po sportowemu. Wszyscy wpatrywali się w ekran, z którego przemawiała kobieta z centrali. Wszystko to wyglądało na próbę jakiejś uroczystości. Wrażenie to potęgowały girlandy kwiatów i wstęgi zdobiące wsporniki. Z tyłu ustawiono ogromny stół z białym obrusem i kilkunastoma wiklinowymi koszykami na chleb.

Marek postąpił krok do przodu, by zrobić miejsce stojącej za nim Kindze.

Dziewczyna wpatrywała się w to wszystko równie oszołomiona.

– Co oni robią? – zapytała ledwie słyszalnym szeptem, stłumionym jeszcze przez maskę.

– Nie wiem – odparł Domański. – Może szykują się do pożegnania nas?

Gdy to wypowiedział, zorientował się, że może ma rację, i nawet się zawstydził, że nie wytrzymał cierpliwie jeszcze jednego dnia. Już miał zaproponować Kindze, by podeszli i przyznali się, co zrobili, gdy nagle wśród zebranych na płycie dostrzegli znajomą postać. Ksiądz Remek?! Duchowny, nawet teraz ubrany w szarą koszulę z koloratką, stanął przed samym ekranem i zawołał głośno:

– Czy ktoś może puścić nagranie? Chcę się upewnić, że wszystko jest w porządku. Jutro nie może być żadnej wpadki.

Chwilę to trwało, ale w końcu na ekranie pojawiła się kobieta z centrali w towarzystwie księdza. Za ich plecami stało kilka rzędów ludzi.

– Wybrani... – zaczęła kobieta.



– Nie wierzę – powtarzał raz za razem Marek wpatrzony w ekran, w uśmiechniętą twarz kobiety – nie wierzę, nie wierzeniemwierzę...

Ale oczywiście wierzył. W każde ze słów, bo dzięki nim wszystko to, co wydarzyło się w Domu na Wzgórzu, wreszcie nabrało sensu. Bo wreszcie dojrzał, że wszystkie niezwykłości łączą się ze sobą w jedną chorą całość. W popierdolony obrazek, na którym on był jedną z postaci.

Tuż obok niego rozległ się chrapliwy, nieregularny ciąg dźwięków. Bez patrzenia wiedział, że to Kinga płacze. Był wściekły. To, że ona może sobie

ryczeć, choć tak naprawdę to on powinien, on stracił więcej, on miał większe prawo do łez bólu i rozpacz. Zamiast tego miał swoją modlitwę, swoją mantrę powtarzaną raz za razem:

– Niewierzeniewierzeniewierzeniewierzę...

Ktoś wreszcie ich zauważył i zawołał, machając przyjaźnie. Z tej odległości nie mógł zauważyć, kto kryje się w skafandrach, nie mógł też usłyszeć łkania Kingi. Zawołał coś, ale nie dość głośno, pewnie drwił, że ciągle chodzą w skafandrach, choć jest tak gorąco...

Marek odetchnął głęboko. W jego głowie pojawił się obraz Katarzyny i dzieci. Obraz Maćka, tak dumnego, gdy zegnał się z kolegami z drugiej klasy, a potem witał z nowymi już z czwartej. Był najmłodszy, ale wciąż w czołówce najlepszych uczniów...

Powoli, jakby powietrze wokół niego nagle zgęstniało, Domański uniósł rękę z trzymanym w niej ruro–karabinem. Przyłożył do ramienia i pociągnął za spust. A potem jeszcze raz... i jeszcze...

Widział, jak mężczyzna, wyraźnie zaskoczony, pada bezwładnie na ziemię. Szloch Kingi urwał się w jednej chwili i czuł na sobie jej spojrzenie pełne lęku, rozpacz, ale i aprobaty.

Marek wiedział, że nie da rady wszystkim. Że lada chwila pojawią się żołnierze i zrobią, co do nich należy, ale mimo to wciąż strzelał. Ludzie jednak padali jak muchy, a jemu nikt ani myślał przeszkadzać. Wreszcie zrezygnowany odrzucił broń i padł na kolana, łkając. Wtedy go dorwali.

Ostatnie, co słyszał, to stłumiony głos Kingi, a potem poczuł ukłucie w szyję.

„Że też dali radę przez gumę kaptura” – zdążył pomyśleć, zanim zapadł w ciemność.



Gdy ocknął się następnego dnia w swoim pokoju, drzwi były już otwarte na oścież, podobnie jak te w pokoju naprzeciwko i pewnie wszystkie pozostałe. Kinga, jak tyle razy wcześniej, znów siedziała na łóżku z kolanami pod brodą. Oczy miała czerwone od łez i była blada, jakby ktoś wyssał z niej życie. Właściwie w pewnym sensie tak było. W części rekreacyjnej rozpoczęło się już przedstawienie. Słyszeli głos kobiety z ekranu, ustawiony dziś dużo głośniej, choć mówiący te same słowa. Słyszeli je wyraźnie nawet tu.

– Wybrani, oto dziś zakończyliście swoją wędrówkę. Niczym lud Izraela, który po latach błędzenia po pustyni znalazł się wreszcie u bram ziemi obiecanej. Już za chwilę wkroczycie w nowy, lepszy świat. Oczyszczony przez Pana z wszelkiej nieprawości jak niegdyś po potopie...

– Myślisz, że to wszystko prawda? – zapytała Kinga po chwili. – Że naprawdę zabili wszystkich ludzi? Że zostawili tylko tysiąc domów takich jak ten? Na cały świat?

Nie odpowiedział. Słuchał.

– Prowadziliśmy was wszystkich aż do tego momentu. Dbaliśmy o was, wasze ciała i dusze, uleczyliśmy z chorób i wskazaliśmy drogę do Pana. Tu kończy się nasza misja. W chwili gdy słyszycie te słowa, my, lekarze, żołnierze, cały personel Domu na Wzgórzu, czekamy już na Sąd Ostateczny. Czekamy, wierząc, że spotkamy się wkrótce i wybaczycie nam to, za co teraz nas przeklinacie.

– Marek, odpowiedz mi! – w głosie Kingi słychać było nutkę hysterii. – Nie mogli, prawda? Nie da się zabić kilku miliardów ludzi w kilka dni!

Ale on wcale nie był tego taki pewien. Widział przed oczami twarz dziewczyny, której ucieczka wywołała alarm. Pozbawiona skóry twarz, krew w wymiocinach, konwulsje... Jak długo to trwało? Jak długo od momentu, gdy wyglądała jeszcze normalnie...

„Dlaczego nas ocalili – pomyślał nagle – dlaczego właśnie my?!”

W myślach rozpoczął rachunek sumienia, szukając jednak nie win, a dobrych uczynków, dowodów na to, że zasłużył na życie, że on właśnie miał prawo ocaleć, podczas gdy jego żona... gdy Katarzyna...

Przez głowę przemknął mu fragment kazania o Hiobie, a potem kolejne o świętych mężach doświadczanych przez Pana. Żadnemu z nich nikt nie obiecywał łatwej drogi, każdy z nich ponosił ofiarę, która przybliżała go do Boga...

– Oprócz was zostawiliśmy przy życiu także dzieci. Stanęliśmy przed ogromnym dylematem, które z nich da się i można ocalić, aż wreszcie Pan w łaskawości swojej wskazał nam drogę.

– Szczepili je w szkołach – Kinga odezwała się po raz kolejny. Tak bardzo chciała teraz usłyszeć czyjś głos, że sama gadała jak najęta. – Zaszczepili wszystkie dzieci do dziesiątego roku życia. Wystarczająco duże, by przeżyć, i wciąż zbyt młode, by nie narazić się na zepsucie. Tak powiedzieli, prawda? Dobrze ją zrozumiałam?!

Marek wciąż milczał. Kobieta z ekranu właśnie o tym mówiła, wystarczyło posłuchać, ale Domański nie zamierzał zwracać Kindze uwagi.

– Monika wspominała mi o jakimś szczepieniu... że strasznie bolało. Mam nadzieję, że to było to. Bo jeśli nie...

– Jeśli nie, to co? – odezwał się wreszcie, unosząc głowę. W głównej sali ucichł głos kobiety i nagle zapanowała cisza. Grobowa cisza.

– Nie wiem – przyznała Kinga. – Nie mam pojęcia.

Nagle Marek wstał i ruszył ku wyjściu.

- Gdzie idziesz? – zapytała.
 - Po córkę – odparł. – A potem jak najdalej stąd.
 - Pomożesz mi znaleźć siostrę?
- Skinął głową.



Dom rzeczywiście postawiono na wzgórzu, rozległym, porośniętym równo przyciętą trawą. Prowadziła do niego tylko jedna droga. Wiodła przez ogromny ogród i dalej asfaltową szosą do oddalonego o kilka kilometrów miasteczka.

Nad drzwiami domu umieszczono motto z Pisma, to samo, którym kobieta z centrali zakończyła swoje przemówienie: „Wy jesteście solą ziemi, wy jesteście światłem świata”.

Są przynajmniej dwa powody, dla których ten tekst powstał.

Pierwszy bardzo prozaiczny: Wraz z Anią Kańtoch postanowiliśmy podkreślić troszkę atmosferę przed premierą „Arlekina i walentynek” – pierwszego spektaklu grupy teatralnej „Słudzy Metatrona” – pisząc opowiadania z Arlekinem. Miały być nagrane i w wersji audio wręczane widzom po przedstawieniu jako gadżet. Dodajmy, że udało się to średnio...

Drugi powód to – wiem, zabrzmiało banalnie – potrzeba serca. Pewnego dnia zwyczajnie poczułem, że blisko mi do szalonego Arlekina, uroczo chaotycznego komedianta, który przemierza ulice, pływając, tańcząc i robiąc ludziom psikusy. Z jednej strony blisko, z drugiej jednak potwornie daleko, bo... no właśnie. Bo szarość. Obrzydliwa, pozbawiona kolorów codzienność ze swoją znieczulicą, pośpiechem, przeciętnością i kopaniem tych, co chcą przed szeregiem.

Są takie chwile, gdy prawie na to zjawisko obojętnieję, częściej jednak szarość potwornie działa mi na nerwy. Wtedy, tamtej czerwcowej nocy, owa złość była dla mnie największą inspiracją i motorem do działania.

Aha! Pamiętam jeszcze, że gdy pisałem „Szarość”, z głośników dochodziło „Summertime” w wykonaniu Joplin na przemian z jakimś utworem „Weather project”. Niewątpliwie miało to wpływ na ostateczny kształt tekstu. Mnie kojarzy się on mocno jazzowo...

Dedykuję: MN

SZAROŚĆ

Szare niebo, szare domy, szary prochowiec. To zdecydowanie nie mój kolor. Do tego od trzech dni nie przestaje padać. Wody wokół tyle, że tylko patrzeć, aż ludziom zaczną rosnąć łuski. I z czego tu się cieszyć?

Ostatni raz zaciągam się wilgotnym papierosem i ciskam niedopałek do rynsztoka. I tak smakował, jakby stamtąd właśnie pochodził. Ruszam wzdłuż ulicy.

Właściwie powinienem zniknąć, ukryć się przed światem i płaszać radośnie, strącając przechodniom kapelusze, unosić dziewczynom sukienki i wpychać dzieciaki w kałuże. Inaczej mówiąc, robić to co zwykle. Zupełnie jednak nie mam na to ochoty. Mocniej zaciskam pasek płaszcza i stawiam kołnierz. Klnę, gdy wlewa się za niego woda.

Obok sklepu muzycznego dostrzegam ulicznego grajka z gitarą. Ma na oczach przyciemniane okulary, a obok leży biała laska. Mnoży się ostatnio tych niewidomych, myślę w duchu, ale rzucam mu ciężącą w kieszeni monetę. Gra całkiem nieźle, poza tym melodia budzi miłe skojarzenia.

Facet kiwa głową, nie przestając grać, a ja zastanawiam się, czy jest szczęściarzem. Jeśli tak, pokaże tę monetę właściwej osobie, sprzeda jakiemuś napuszonemu kolekcjonerowi i będzie mógł kupić sobie całą tę dzielnicę. Jeśli nie, opchnie ją u jubilera po aktualnym kursie złota i kupi nową gitarę. Tak czy inaczej – będzie do przodu. Coś mu się należy za siedzenie w takim deszczu. Mnie by się nie chciało.

Mijam odrapaną kamienicę i skręcam w śmierdzącą moczem bramę. Gdy mam dobry humor, nie zwracam uwagi na smród, ale dziś czuję się

podle. Wszystko przez tę pogodę... i kolor. Mam wrażenie, że mnie obłązi. Obrzydliwa ludzka codzienność.

Pod Jej drzwiami jak zwykle stoi kolejka. Nikt jakoś nie ma ochoty zająć miejsca w olbrzymim fotelu w kącie poczekalni, więc podchodzę tam i rozsiadam się wygodnie, nie zdejmując płaszcza.

Ktoś powiedział mi kiedyś, że to siedzisko samego Marsa, które kazał sobie zrobić z pokonanych wrogów. Stelaż z kości, wiązania ze ścięgien, tapicerka i poduchy ze skóry. Tak, myślę, że to by do niego pasowało. Nigdy nie był szczególnie oryginalny.

Sięgam do stojaka z gazetami, ale nie ma niczego z aktualności, więc rezygnuję. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągam małą, sfatygowaną książeczkę i zaczynam czytać:

*Bóg Ojciec wyrzucił nas z ziemskiego Raju
Jesteś szubienicznym księdzem upadłych mścicieli
Ty, który wybawiłeś nas z ziemskiego znoju,
nauczyłeś Wiedzy Tajemnej
Ty, którego wzrok przenika przez arsenał, wiesz,
gdzie Demony śpią pogrzebane w twardym łonie skał
Znasz każdy kąt, władasz ciemnościami, znasz to
miejsce, gdzie nieżyczliwy Bóg ukrył swe skarby
Ty, który ze śmiercią – twą odwieczną kochanką –
spłodziłeś nadzieję*

Pojawia się jak na zawołanie, ale chyba tylko ja go rozpoznaję. Z łysiną, obwisłymi policzkami i mocno wystającym brzuszkiem w niczym nie przypomina już Gwiazdy Zarannej. Nie jest nawet cieniem siebie z czasów świetności.

Cicho zamyka za sobą drzwi Jej gabinetu, przepycha się między kolejkowiczami, by dojść do wieszaka i stojaka na parasole. W moją stronę nie spogląda, choć – jestem tego pewien – wie, że tu jestem. Zawsze potrafiliśmy się wyczuć, zwłaszcza gdy wokół nas byli sami śmiertelnicy. Jak teraz.

Patrzę, jak wychodzi, i wracam do lektury.



– Witaj – mówię do Niej głosem nieszczęśnika, którego poznałem dziś rano. Wątpię, aby tu kiedyś był, istnieje więc spora szansa, że tym razem się uda.

– Witaj – odpowiada i już wiem, że znowu nic z tego.

Patrzę w Jej niewidzące oczy i zastanawiam się, jak Ona to robi. Zawsze wie, kim jestem, choćbym nie wiem jak starał się to ukryć.

– Możesz już zrzucić to przebranie – mówi, uśmiechając się. Ma naprawdę piękny uśmiech.

Ściągam płaszcz i rzucam go na ziemię. To samo robię z koszulą, spodniami i całą resztą. Gdy jestem już nagi, wznoszę ręce ku górze, a moja skóra bieleje, wygładza się i staje kostiumem. Zabłąkany promień światła jak zawsze pojawia się znikąd i rozszczepia tuż przed mą twarzą, by obdarować mnie moimi barwami – czerwienią i żółcią. Część kolorowego światła pada na twarz, zastygając w maskę. Uśmiecham się słabo. Znowu jestem sobą. Czuję jednak, że Szarość wcale nie odeszła daleko. Przypominam sobie Lucyfera. Czy i on odzyskiwał w tym gabinecie swą chwałę? Jeśli tak, to wcale się nie dziwię, że wychodził stąd przygnębiony.

– Przyszedłem, bo szukam... – zaczynam, ale wchodzi mi w słowo.

– Miłości? – pyta, wciąż się uśmiechając. Mam nieprzyjemne wrażenie, że kpi sobie ze mnie. – Takiej, która przywróci światu barwy i sprawi, że znów zapragniesz zatańczyć?

– Tak.

– Zawsze przecież przychodzisz po to samo. – Uśmiech znika nagle z Jej pokrytej zmarszczkami twarzy. – Dziś jednak nie mam dla ciebie imienia. Wzdycham niepoczyszony. Byłem pewien, że to już.

– Więc kiedy mam wrócić?

Kręci głową. Widzę, jak Jej dłoń wędruje ku kartom. Podnosi pierwszą z nich, przesuwa palcami po obrazku i wzdycha ciężko.

– Dobrze, że przyszedłeś. Tym razem jednak nie będzie imienia, tylko wiadomość.

– Wiadomość? – Nerwowo przestępuję z nogi na nogę i wychylam się ku niej. – Od kogo?

– Czy to ważne? Przecież to nie zmieni jej treści, prawda?

Zmuszony jestem przyznać Jej rację. Wykonuję piruet i opadam ciężko na stojące przy biurku krzesło.

– Powiedz – proszę. – Czy to dotyczy mojej... Miłości?

Potwierdza. Widzę po Jej minie, że nie ma dobrych wieści. Wcale nie wiem, czy chcę je usłyszeć.

– Co z nią? – pytam w końcu.

– Umrze.

Wzruszam ramionami. Tylko tyle?

– Wszystkie umierają – stwierdzam. – To bolesny moment, ale wspólnie spędzone chwile, wspomnienia...

– Nie rozumiesz mnie, Arlekinie – raz jeszcze mi przerywa. Mówi do mnie po imieniu, a to nie wróży niczego dobrego. – Ona umrze dzisiaj.

Prawdopodobnie nie zdążysz nawet jej poznać.



Tym razem o kołnierzu pamiętam już w bramie. Deszcz, choć nie sądziłem, że to w ogóle możliwe, jeszcze się nasilił. Ludzie pochowani po sklepach przez wystawowe szyby spoglądają w chmury. Czekają, licząc, że wkrótce się rozpogodzi. Ja nie mam na to czasu. Kryjąc głowę w ramionach, wychodzę na ulicę.

Właściwie to nawet nie wiem, czy jest się czym martwić. To, że jej nie poznam, zaoszczędzi mi tylko bólu związanego ze stratą, a w końcu i tak pojawi się następna. No chyba że... Może o to właśnie chodziło... A jeśli się nie pojawi? Czy mogę istnieć bez Miłości?

Przystaję poważnie zaniepokojony tą myślą. Jakaś kobieta, próbując przejść obok, trąca mnie parasolem. Burczy niewyraźne „przepraszam”, nawet nie patrząc w moją stronę.

Pstrykam palcami.

Nagły powiew wiatru wyrywa jej parasol z ręki i ciska nim o ścianę. Kremowy płaszcz kobiety z miejsca robi się ciemnoszary od deszczu.

Nie bawi mnie to ani odrobinę.

Dlaczego nie dostałem żadnego imienia? Czyżby wszystko było już przesądzone? Nie wydaje mi się to możliwe, moja rola nigdy nie była tragiczna. Więc może... może po prostu wiem, kim ona jest? Może już ją poznałem?

Zamykam oczy i rzucam się w wir wspomnień. Widzę setki, tysiące twarzy, mnóstwo pięknych kobiet, żadna jednak nie wydaje się tą właściwą.

Błądę po omacku, licząc na intuicję. Wszak wszystkie moje Miłości wyróżniały się z reszty kobiet...

Kierowca przejeżdżającego obok samochodu traci panowanie nad kierownicą i wjeżdża w kałużę, ochlapując mi spodnie. Nie reaguję. To nie jego wina, poza tym czuję, że jestem już blisko.

I nagle widzę ją. Ma zielone oczy, proste rude włosy, lekko zadarty nos. Nigdy nie uśmiecha się tak do końca i spontanicznie, bo nie chce, aby ktoś zauważył wstawioną górną jedynekę. Tak, to na pewno ona – żadnej innej nie widzę tak wyraźnie.

Zerkam na zegarek, gorączkowo próbując sobie przypomnieć, gdzie ją spotkałem. Mam tylko nadzieję, że miejsce to nie będzie stacją metra lub hipermarketem. Wciąż łudzę się, że mam jakąś szansę.

Olśnienie spływa nagle. Podbiegam do przystanku i w ostatniej chwili wskakuję do odjeżdżającego tramwaju.

Wewnątrz pojazdu jest ciasno, ale ludzie jakoś odsuwają się ode mnie. To dobrze. Gdy mnie dotykają, słyszę ich myśli, a nie mam na to najmniejszej ochoty. Wystarczy mi, że na zewnątrz jestem teraz szary.

Przejeżdżam dwa przystanki, całą drogę przyglądając się duchowi małej dziewczynki siedzącemu na pierwszym siedzeniu. Ma twarz identyczną jak ta na zdjęciu, które motorniczy przykleił sobie w rogu szyby i opatrzył czarną aksamitką. Duch dziewczynki przygryza niematerialny język, układając na wpół przezroczystą kostkę Rubika. Po chwili podnosi głowę i uśmiecha się do mnie. Odpowiadam uśmiechem. Chętnie bym z nią porozmawiał, zapytał, co jej się stało, ale muszę już wysiadać. Jestem na miejscu.



Zerkam przez szybę wystawową i oddycham z ulgą.

Jest. Przyglądam jej się, jak wchodzi na drabinę, by zdjąć coś z wyższej półki. Sięga lewą ręką, prawą przytrzymując krótką sukienkę w kratę. Stojący przy ladzie chłopiec wygląda na zawiedzionego, pewnie liczył, że coś zobaczy. Nie potrafię się na niego gniewać. Wcale się dzieciakowi nie dziwię. Kto wie, może nawet pozwolę mu śnić dziś o niej. Cofam się, unoszę rękę, by rzucić zaklęcie... i właściwie dopiero teraz dostrzegam swoje własne odbicie.

Nie wyglądam na kogoś, kto przyszedł na pierwszą randkę. Zarost, podkrążone oczy, nieco za długie włosy, teraz pozlepiane w strąki. Obraz nędzy i rozpacz. Szarość.

Dzieciak wychodzi ze sklepu. Ponownie zerkam na zegarek, a potem na tabliczkę na drzwiach. Lada chwila powinna zamykać.

Widzę, jak krząta się chwilę, układając towar, potem porządkuje kasę, a na koniec ściera podłogę stojącym w kącie mopem.

Postanawiam, że na razie nie będę się ujawniał. Ważne jest tylko, żeby przeżyła do jutra. Potem się zobaczy.

Udaję zainteresowanie wystawą, w rzeczywistości jednak czekam, aż zamknie drzwi i pójdzie w stronę przystanku. Po chwili ruszam jej śladem.

Jest już na środku ulicy, gdy nagle zza zakrętu wypada z rykiem rozpedzony motocykl. Nie mam żadnych wątpliwości. Jestem wszak Arlekinem i wiem, na czym polega dramatyzm.

Kątem oka dostrzegam, że z dachów sfrunęły nagle wspomnienia niegdysiejszych gargulców. Wszystkie wlepiają we mnie swe kamienne ślepie, oczekując reakcji. Liczą na widowisko.

Wykonuję gest, jakbym rzucał czymś w motor. Słowo, które wypowiadam, brzmi twardo i oschle. Nie pamiętam już nawet, co dokładnie znaczy. Ważne jednak, że działa.

Rozpędzona maszyna uderzona potężnym impulsem odbija na bok, motocyklista odrywa się od niej, leci kilka metrów i uderza plecami o latarnię. Potem ląduje na ziemi.

Zerkam w stronę mej Miłości, która nadal stoi na środku ulicy. Patrzy zdumiona na moje dzieło, na przemian otwierając i zamykając usta. Wygląda teraz jak wyciągnięta z wody ryba i wcale nie wydaje mi się już piękna.

Wiedziony nagłym impulsem gnam ku motocykliście, pochylam się nad nim. Dopiero teraz zauważam, że to kobieta. Ostrożnie zdejmuję jej kask... i cofam się zdumiony.

Jej twarz, jej oczy... Jestem nagle pewien, że to najpiękniejsza dziewczyna, jaką widziałem w życiu. W jednej chwili czuję, że mógłbym spędzić z nią resztę dni, zestarzeć się i umrzeć. Kochać się w świetle księżycy, kłócić o byle drobiazg i śmiać z nam tylko znanych aluzji.

Patrzę na cienką strużkę krwi ciekącą jej z ust i wiem, że właśnie odnalazłem swoją Miłość.

– Kocham cię – mówię do niej. – Kocham, moja Kolombino.

Mruga niepewnie, z trudem odwraca głowę, by na mnie spojrzeć. I uśmiecha się. Próbuje coś powiedzieć, ale nie jest w stanie. Widzę, jak ucieka z niej życie.

Gdzieś z oddali dobiega mnie sygnał jadącej karetki. Za późno.

Zamykam oczy mojej ukochanej i odgarniam jej z czoła niesforny kosmyk ciemnych, niemal czarnych włosów. Potem wstaję i nie oglądając się, ruszam przed siebie. W sercu czuję ból, żal, że to wszystko trwało tak krótko. Ale mam też w pamięci jej uśmiech. Wszystko jest więc tak, jak powinno. Cykl trwa, nic się nie skończyło.

Zrzucam płaszcz i mocnym szarpnięciem rozrywam koszulę.

Mam ochotę tańczyć...

Czasami człowiek chciałby coś wydumać na poważnie, a wychodzą mu jakieś zgrywy. Mnie zdarza się to wyjątkowo często, nad czym boleję, bo przecież fajnie mieć czasem jakieś wielkie, głębokie przemyślenia, które można by przekazać potomnym. A nie tylko zabawne, cholera, onelinery.

Opowiadanie, które zaraz przeczytacie, to skutek uboczny moich przemyśleń na temat grzechu pierworodnego. Pomyślałem sobie, co by było, gdyby Bóg nie chciał wypuścić Adama z Raju, podczas gdy ten ewidentnie rwałby się na zewnątrz. Jak Wszechmocny rozwiązałby sprawę bez naruszania wolnej woli człowieka? Czy w ogóle istnieje taki sposób?

Odpowiedź, która przyszła mi do głowy, była tak ideowo bliska „Paragrafowi 22”, że aż postanowiłem napisać tę historię. I świetnie się przy niej bawiłem. Mam nadzieję, że Wy też będziecie.

*Dedykuję: Uli za pomysł na tytuł
i Goosowi za uratowanie mnie, ignoranta,
przed kompromitującą wpadką*

GRZECHU WARTO

Kolejny siódmy dzień wszystkim włókł się w nieskończoność. Oczywiście w Raju, gdzie nawet wiatr słuchał poleceń Pana, nie było w tym nic niezwykłego. Fakt ten jednak wart jest odnotowania, gdyż to właśnie nuda dała początek późniejszym wydarzeniom. Nuda i spostrzegawczość Małpy.

Tego dnia, jak w każdy ostatni dzień tygodnia, Adam leżał w pobliżu źródła, żując źdźbło trawy i marząc, by Pan zesłał na niego głęboki sen. Taki, by mógł obudzić się następnego dnia i normalnie zabrać do pracy. Tyle zwierząt wciąż jeszcze nie miało swego imienia, tyle drzew było po prostu drzewami, nie wspominając już o owocach, z których nazwane zostały tylko Jabłka, Pomarańcze i Banany. Adam wymyślił dwa ostatnie słowa, autorstwo pierwszego przypisywano zaś samemu Panu. Słowo to było podobno puentą jakiegoś dowcipu Stwórcy. Tak przynajmniej twierdził anioł pomocnik, który przybywał każdego dnia sześć razy w tygodniu z wielką księgą i zapisywał w niej wymyślone przez Adama nazwy.

Pierwszy człowiek nie wiedział, co sądzić o tym, że z nim – wszak Koroną Stworzenia – kontaktował się tylko jeden anioł, w dodatku nadęty palant o piskliwym głosie i oczach jak zdechła ryba. Był tak głupi, że Adam nie tęsknił za nim nawet siódmego dnia.

Co innego praca. Było coś niezwykłego w chwili, gdy nadawał zwierzęciu imię. Gdy wypowiadał słowo i czekał z niecierpliwością na reakcję obdarzonej nim istoty. Do tej pory pomylił się tylko raz, dla żartu nazywając ptaka Dodo. Tydzień później ostatni osobnik ze wstydu rzucił się ze skały. Adam nie chciał więcej popełniać podobnych błędów.

I zazwyczaj wszystko było w porządku, a niektóre zwierzęta tak zadowolone ze swych imion, że wiernie trwały u boku człowieka, służąc mu swą radą i pomocą, a najczęściej towarzystwem. Oczywiście dnia siódmego człowiek pozostawał sam, zwierzęta bały się bowiem sprzeciwiać woli Pana. Wszystkie... z wyjątkiem Małpy.



– Auu! – Adam roztarł bolące miejsce z tyłu głowy i obejrzał się.

Małpa siedział na drzewie, szczerząc zęby. Pomachał człowiekowi, na co ten podniósł się niechętnie i podrapał w pośladek. Trawa odcisnęła się na jego ciele, pozostawiając na skórze czerwone linie.

– Nie mogłeś po prostu podejść? – zapytał z wyrzutem Adam. – Zobaczysz, pewnego dnia pójdę do skrzydlatych i powiem im, że pracujesz w siódemki. W końcu rzucasz kamieniami.

Na to Małpa wzruszył tylko ramionami i zgrabnie zeskoczył z drzewa. Wspierając się na przednich łapach, podbiegł do człowieka.

– To czysta przyjemność, nie praca – powiedział. – Nazywam to aktywnym odpoczynkiem.

Człowiek westchnął ciężko. Pomyślał nie po raz pierwszy, że niepotrzebnie nadał Małpie imię. Przez to, jak wszystkie nazwane zwierzęta, uzyskał on dar mowy, którego z całą pewnością nadużywał. Potrafił mleć ozorem na tyle dobrze, że samemu Adamowi często brakowało słów, by odgryźć się i nie wyjść na idiotę. Jak teraz.

– Przeszedłeś po coś konkretnie czy tak, żeby mi podokuczać? – zapytał.

– Chcę ci coś pokazać – odparł Małpa. – Chodź za mną. Tylko szybko, żebyśmy zdążyli.

Adam uniósł brwi.

– Nie zdążyć? W siódmkę? – nie rozumiał. – Na co moglibyśmy...

Jednak Małpa ani myślał odpowiadać. Odwrócił się i pognął przed siebie.

Człowiek po chwili wahania ruszył za nim. I tak nie miał nic innego do roboty.



Wokół rajskiego ogrodu rósł żywopłot. Był wyższy niż najwyższe drzewa, a jego gałęzie splatały się tak mocno i gęsto, że nie można było dostrzec niczego po drugiej stronie, nie mówiąc już o wyjściu poza Eden. Na szczycie tej zielonej przeszkody stały w równych odstępach anioły, strzegąc tajemnic boskiego ogrodu. Nikt, z wyjątkiem samego Stwórcy, nie wiedział przed czym.

Małpa wypadł zza linii drzew i zaczął biec wzdłuż żywopłotu. Zasapany Adam przystanął i dysząc ciężko, oparł się o drzewo.

– Zaczekaj... chwilę – wysapał. – Już nie mogę...

Ale zwierzak ani myślał się zatrzymać. Pędził z głową zwróconą w stronę żywopłotu, wyraźnie czegoś wypatrując.

Gdy w końcu znalazł, zaczął podskakiwać w miejscu, tłukąc przednimi łapami o ziemię i skrzecząc, jak zawsze gdy był podekscytowany.

Adam odepchnął się od drzewa i powoli podszedł do Małpy.

– Powiesz mi wreszcie, o co... – zaczął, ale wtedy właśnie sam zobaczył. Małpa znalazł dziurę w żywopłocie.

Nie była ona szczególnie duża i z całą pewnością mogłoby się w niej zmieścić jedynie małe zwierzątko, ale bez wątpienia prowadziła na drugą stronę.

Człowiek wyszczerzył zęby i poklepał Małpę po łbie.

– Brawo – powiedział. – Ale nie musieliśmy się tak spieszyć. Dziura nie znika.

– Dziura nie, ale on – Małpa wskazał palcem w stronę otworu – ten po tamtej stronie, mógł.

Adam uniósł brwi. Z tego, co mówił mu anioł pomocnik, po tamtej stronie nie było nikogo. Przycisnął twarz do żywopłotu i zerknął przez otwór. Tajemnicza istota, o której mówił Małpa, wciąż tam była.

Gdyby nie parę szczegółów, wyglądałaby zupełnie jak Człowiek. Była węższa w paru miejscach, za to zdecydowanie szersza w innych. Miała dużo włosów na głowie, ale prawie w ogóle na reszcie ciała. Brakowało jej też tego, co Adamowi zwisało między nogami, a na co wciąż jeszcze nie wymyślił zadowalającej nazwy. Za to tam, gdzie pierwszy Człowiek był zupełnie płaski, istota miała dwie wypukłości.

– I co? – zapytał Małpa. – Troszkę podobny do ciebie, nie? Co o nim sądzisz?

Adam odsunął się od dziury i westchnął głęboko.

– To piękno wcielone – powiedział, uśmiechając się błogo. – I myślę, że to raczej nie jest on.



„Kobieta – pomyślał Adam, grzebiąc patykiem w piasku – nazwę ją Kobieta”.

Nie do końca wiedział, czy ma prawo nadawać imiona istotom z tamtej strony żywopłotu, ale uznał, że skoro Pan dał mu wolną wolę, to, co nie zostało zakazane, chyba jest dozwolone. No i zadanie nadania imion wszelkiemu stworzeniu! Tak, jeśli wykaże się inicjatywą i gorliwością, Pan będzie bardzo rad. A przynajmniej powinien...

– Chodź, zobacz! – zawołał podekscytowany Małpa przyciśnięty do otworu. – Nie ma tam ani jednego drzewa. Po czym on tam łązi?

– Ja też nie chodzę po drzewach, Małpo – przypomniał Adam. – Poza tym mówiłem ci już, że to nie on. Postanowiłem, że nazwę tę istotę Kobieta.

Małpa machnął łapą.

– Ciekawe, co się stało z jego futrem – kontynuował niezrażony. – Gdyby je miał, wyglądałby zupełnie jak ja... no, prawie. Ale byłby podobny.

Człowiek roześmiał się.

– Uważasz, że ja też jestem podobny do ciebie? – Otrzeptał ręce i podniósł się z ziemi. Poklepał Małpę po ramieniu, by odsunął się wreszcie i dał popatrzeć. – Zresztą jak chcesz, zapytam ją o to futro. Jutro zamierzam wyjść za żywopłot i porozmawiać z nią. Nadałem jej imię, więc z pewnością potrafi już mówić. Do jutra oswoi się z nową umiejętnością.

Małpa pokiwał głową, lecz zaraz potem obiema łapami zasłonił pysk.

– Adamie – wyszeptał – wiesz, że właśnie pracowałeś w siódmy dzień?

– No masz – człowiek klepnął się w czoło – zupełnie niechcący mi tak wyszło. Nie mów nikomu, dobrze?

– Za późno – rozległ się cichy, piskliwy głos spomiędzy drzew. Adam i Małpa równocześnie spojrzeli w tamtą stronę, spodziewając się zaraz ujrzeć

tępą twarz anioła pomocnika.

Zamiast tego na polankę wbiegło zwierzątko o szarej sierści i długim różowym ogonie. Chodziło na czterech łapkach i było tak małe, że gdy się poruszało, jedynie grzbiet wystawał mu ponad trawę.

„Szczur” – przypomniał sobie Adam. Przykucnął i wyciągnął rękę.

Zwierzak posłusznie wbiegł na nią i zatrzymał się na dłoni, ogon zawijając wokół palca wskazującego Człowieka.

– Wszystko słyszałem! – pisnął, krzywiąc się w szelmowskim uśmiechu. – I pewnie powiedziałbym komu trzeba, gdyby to kogokolwiek obchodziło. I gdyby ktoś naprawdę liczył się z naszym zdaniem.

– Masz na myśli zwierzęta? – zapytał Adam, wstając. Liczył, że Szczur odpowie twierdząco. Wtedy będzie mógł zaprzeczyć i przypomnieć o swoim zaangażowaniu w sprawy zwierząt. O niegasnącym zainteresowaniu i wiecznej przyjaźni z każdym stworzeniem w ogrodzie.

Szczur jednak pokręcił łebkiem.

– Przykro mi, kolego, ale myślałem również o tobie – wyjaśnił. – Twoje zdanie również mają gdzieś. Liczy się tylko, żeby ci się wydawało, że jesteś szczęśliwy. Naprawdę myślisz, że pozwolą ci tam jutro wejść?

Małpa prychnął. Szczur nie przypadł mu do gustu – mądrała z ogonem jak ta... jak jej było... Glizda!

– Dlaczego mieliby mu nie pozwolić? – warknął, drapiąc się po łbie. – Jest w końcu Koroną Stworzenia. Człowiekiem.

– Gdyby Pan chciał, żeby Człowiek przechodził przez żywopłot, dałby mu takie coś do wycinania w nim dziur – powiedział Szczur. – Albo lepiej: w ogóle by go nie tworzył, nie uważasz? Zresztą to nie jedyna rzecz. Widzieliście tych aniołów, co stoją na górze? Podobno strzegą ogrodu przed nieprzyjaciółmi, nie? Więc może ktoś mi wytłumaczy, dlaczego

wszyscy stale patrzą w stronę ogrodu, a żaden jakoś nie wypatruje tych nieprzyjaciół!

– Może się zagapili – podsunął Małpa. – W końcu ogród jest tak ładny, że..

– ...że sprzeciwiają się woli Pana? – zakpił Szczur. – Aniołowie?!

Adam pokiwał głową. To zdecydowanie brzmiało głupio. Jak ktoś pozbawiony woli mógł sprzeciwiać się Stwórcy? Choć z drugiej strony krążyła po ogrodzie plotka o takim, który wystąpił przeciw Panu. Człowiek jednak nie za bardzo w nią wierzył. A jeśli nawet, to sprawa musiała być poważniejsza niż widoczki. Coś więc było w tym, co mówił Szczur.

– Cóż – postanowił. – Jutro porozmawiam i zapytam. Na razie nie ma powodów, by martwić się na zapas.

Postawił Szczura na ziemi i ponownie odwrócił się, by spojrzeć przez dziurę. Kobiety już nie było.



Anioł pomocnik zwykle przybywał bardzo wcześnie. Nauczony doświadczeniem Adam spał pod drzewem pomarańczowym, tak by zaraz po przebudzeniu móc szybko coś zjeść i być gotowym do pracy. W przeciwnym wypadku musiał dłużej znosić pełne niechęci spojrzenie rybich oczu i ciche sapnięcia świadczące o zniecierpliwieniu.

I ten kolejny pierwszy dzień nie był wyjątkiem. Anioł zjawił się zaraz po świcie, taszcząc pod pachą wielką księgę o glinianej okładce. Wyglądał na zmęczonego.

Adam podniósł się szybko i zerwał z drzewa dwie Pomarańcze.

– Jestem gotów – powiedział. – Bierzmy się do roboty.

Uznał, że tego dnia powinien być wyjątkowo uprzejmy. Miał w końcu sprawę do załatwienia. Starał się więc wymyślać nazwy brzmiące poważnie, ale nieszczególnie wymyślne, by łatwo je było zapisać. Grzecznie je też powtarzał, gdy anioł, pomyliwszy się, kreślił po księdze i pisał na nowo. Słowem, zachowywał się, jak przystało na Koronę Stworzenia.

Małpa i Szczur snuli się za nimi, od czasu do czasu komentując nową nazwę czy wymieniając głośnym szeptem złośliwe uwagi na temat skrzydeł pomocnika. Adam posyłał im co chwilę karcące spojrzenia, które jednak nie przynosiły żadnych rezultatów. W końcu więc odpuścił i podobnie jak pomocnik udawał, że ich nie widzi.

– A to nazwę... Kretem – oznajmił, wskazując stworzonko siedzące na kopcu ziemi i nerwowo poruszające wąsikami. – Tak, z całą pewnością Kret.

Anioł zapisał imię w księdze i w jednej chwili na zwierzątko spłynął snop światła. Kret napiął się, naprężył i uniósł łebek ku górze.

– Oooo, pokaż mi niebo! – zaśpiewał piskliwie. – Proooszę cię!

– Ma niezły głos – przyznał Małpa.

Szczur tylko parsknął.

– Za to ze wzrokiem gorzej – skomentował. – Przecież właśnie na niebo patrzy. Co on, ślepy?

Tymczasem Adam pochylał się już, by nadać nazwę małym czarnym kulkom wiszącym na krzaczku u swoich stóp. Gdy przykucnął, dostrzegł też inne owoce – małe, czerwone, zwężające się ku dołowi i pełne chropowatych wypustek.

Potał z namysłem czoło.

– No i? – zapytał w końcu zniecierpliwiony anioł.

– No właśnie sam nie wiem – przyznał Adam. – Jedne to Poziomki, a drugie Jagody, ale nie mam pojęcia, które są które.

Było mu głupio. Zwłaszcza dziś chciał wypaść dobrze, a tu taka wpadka. Pierwszy raz zdarzyło mu się coś takiego.

Z opresji uratował go Szczur. Zagwizdał na Człowieka i ruchem głowy polecił mu, by podszedł.

– Widzisz tamten kamień? – Wskazał nosem leżący na ziemi płaski otoczek. – Weź go i podrzuć. Jeśli upadnie gładkim do góry, te czarne to będą Jagody. Jeśli chropowatym, odwrotnie.

Adam poskubał się po nosie i ukradkiem zerknął na anioła. Ten stał przy krzaczkach ze wzrokiem wlepionym w księgę. Nic innego go nie interesowało.

– Nie wiem, czy tak można – stwierdził w końcu Człowiek.

Szczur zmarszczył pyszczek.

– Gdyby Pan nie chciał, byśmy tak robili, nie dałby nam takich otoczków, nie?

Kolejny raz Adam zmuszony był przyznać rację gryzoniowi. Pochylił się więc, podniósł kamień i podrzucił. Otoczek poszybował w powietrze i wylądował gładkim do góry.



– Aniele, chciałbym cię o coś zapytać – zagadnął w końcu Człowiek, gdy pomocnik szykował się już do odlotu.

Nie była to właściwa chwila, ale i tak zdecydowanie najważniejsza z całego dnia. Jedyna, kiedy skrzydlaty patrzył gdzie indziej niż w swoją

księgę i był nawet skłonny wydusić z siebie jakiegokolwiek słowo. Tego, że anioł zaszczycał go dotąd co najwyżej pogardliwymi złośliwościami, Adam nie chciał teraz pamiętać.

Obejrzał się na przyjaciół, którzy z niecierpliwością czekali nieopodal. Małpa z całej siły zaciskał masywne pięści, a Szczur stał na tylnych łapkach na jego ramieniu, nastawiając uszy.

Anioł westchnął ciężko i spojrzał na Człowieka.

– Słucham – burknął.

– Zastanawiałem się wraz z kolegami, czy nie byłoby opcji, żeby wyskoczyć jutro za żywopłot, bo jest tam taka istota, z którą chciałbym porozmawiać...

– Wykluczone! – pomocnik wszedł mu w zdanie. Mówił spokojnie, ale stanowczo. – Świat poza rajskim ogrodem to nie miejsce dla Korony Stworzenia ani żadnego z tworów Pana. Tam trafia się za karę.

Z tonu głosu rozmówcy Adam wyczuwał, że raczej nic nie wskóra. Podrapał się po piersi, zamyślił i spróbował z drugiej strony:

– Ta istota, co o niej mówiłem, była całkiem podobna do mnie. Może jakoś niechcący przeszła przez żywopłot i teraz...

Anioł spojrzał na niego, lekko przechylając głowę. I kto wie czy gdyby nie to, wszystko nie potoczyłoby się inaczej. We wzroku pomocnika kryła się jednak tak wielka pogarda i politowanie, że Adam nie wytrzymał. Był w końcu Koroną Stworzenia i należał mu się szacunek.

– Powiedz mi w takim razie, co to jest ta kara i jak na nią zapracować! Tylko bez wykrętów, wiesz, że z woli Pana masz mi służyć odpowiedziami.

Ostry ton na krótką chwilę zbił anioła z pantafelów. Zaraz jednak skrzydlaty uśmiechnął się złośliwie.

– Kara to coś, co zsyła Pan, gdy popełnisz grzech – mówił powoli, jak do dziecka. – Zazwyczaj nie jest ona przyjemna dla karanego.

Człowiek machnął ręką. Wiedział, że Stwórca go kocha i nie da mu zrobić krzywdy.

– A grzech to...? – zapytał.

– To świadome i dobrowolne sprzeciwianie się Panu i jego przykazaniom.

– On wczoraj pracował – usłużnie podpowiedział Szczur. – Nadał imię tej zza...

Małpa, nie odwracając głowy, pacnął gryzonia w łeb. Strąciwszy donosiciela na ziemię, wzruszył ramionami i wyszczerzył się, zawijając wargi.

– To jeszcze nie złamanie przykazania – stwierdził Anioł z przekąsem, sposobiąc się do lotu. Rozprostował srebrzystobiałe skrzydła i uniósł ręce. – Kwestia dnia siódmego to tak naprawdę tylko wskazówka. Propozycja, której uznanie jest w dobrym tonie.

Zatrzepotał skrzydłami i wzleciał odrobinę. Jego stopy znajdowały się teraz na wysokości głowy Adama.

– I nie wiem, co ci chodzi po tej twojej głowie, ale na razie Pan nie ustanowił jeszcze żadnego przykazania – dodał. – Nie da się więc ich złamać. Twoje miejsce jest w Raju, Adamie, Korono Stworzenia... i tylko tutaj.



– Najchętniej ugryzłbym go w dupę – stwierdził Szczur, na razie wgryzając się w łodygę Rabarbaru. – Tak zniecka, kiedy bazgroli w tej swojej księdze.

Adam siedział przy dziurze i wyrywał płatki z czerwonej Róży. Już nawet patrzenie przez otwór nie sprawiało mu przyjemności. Na zewnątrz nie było nic prócz piasku, a i Kobieta nie pojawiła się więcej, jednak Człowieka wciąż ciągnęło na drugą stronę żywopłotu. Czuł, że dopiero tam mógłby być naprawdę szczęśliwy.

– Albo nie, mam lepszy pomysł! – Szczur nie milkł ani na chwilę. W miarę jak w jego pyszczku znikwały kolejne kawałki Rabarbaru, jego plany stawały się coraz bardziej krwiożercze. – Pogadałbym z Pajakiem, on wisi mi przysługę z czasów, kiedy jeszcze nie nadałeś mu imienia. Jakbym go poprosił, owinąłby drania pajęczyną po sam czubek skrzydeł, a potem...

– Gdzie właściwie poszedł Małpa? – zapytał nagle Adam, unosząc głowę.

– ...potem władowałby mu swoje jadowite zębiska i... Co? Nie mam pojęcia. Mówił, że musi coś sprawdzić i że jak będzie trzeba, to nas znajdzie.

Jak na zawołanie rozległ się świst i małeńki kamień trafił Człowieka w ramię. Następny w udo, a kolejny w pierś. Adam osłonił się rękami.

– Małpo! – wrzasnął. – To naprawdę nikogo nie bawi.

– Mów za siebie – rzucił Szczur, leżący teraz na brzuchu. Z różowych ślepek ciekły mu łzy rozbawienia. – Gdybyś mógł widzieć swoją minę...

Małpa wyszedł zza drzew.

– Przepraszam, ale taka już jest moja natura – powiedział wcale nie skruszony. – Odkryłem za to coś, co może cię ucieszyć.

– Co to takiego? – zapytał Adam.

– Grzech. – Małpa stanął na tylnych kończynach i kilka razy uderzył się w piersi, aż zadudniło. – Jednak istnieje i można go popełnić, jeśli tylko chcesz.

Człowiek zerwał się na równe nogi.

– Jesteś pewien?

Małpa pokiwał głową.

– Chodź, przedstawię ci kogoś.

I dokładnie jak dzień wcześniej pognał, nie czekając na nikogo. Tym razem jednak Adam biegł tak szybko, że niemal dotrzymywał mu kroku.



Jaskinia znajdowała się nieopodal trzęsawisk. Adam rzadko bywał w tej okolicy. Nie żeby się bał, żadna z istot mieszkających w ogrodzie nie miałaby odwagi go skrzywdzić, ale czuł się tu wyjątkowo nieswojo.

Może dlatego, że mieszkających na trzęsawiskach zwierząt nigdy nie widział w całości. Czasem tylko jakieś żółte ślepie łypnęło spod wody albo bliżej nieokreślony kształt wspiął się na rozłożyste drzewo.

O ich obecności świadczyły zwykle jedynie dźwięki, od których Człowiek czuł niemiłą huśtawkę w żołądku. Bulgoty, młaśnięcia i pluski, chrobotanie i skrzypienie – od tego skóra mu cierpła, a włosy na karku stawały dęba. Do tego dochodziło jeszcze, że musiał stąpać po grząskim i zimnym gruncie, który więził stopy i utrudniał chód.

Gdy więc Małpa zatrzymał się w końcu przy jednej z jaskiń, Adam wyraźnie odetchnął z ulgą.

– To już? – zapytał.

Małpa skinął głową.

– Tak. I z całą pewnością już na ciebie czeka. Był pewien, że się zgodzisz.

– W takim razie nie przedłużajmy tego. – Pierwszy z ludzi powoli wkroczył w ciemność.

Przeszedł kilka kroków wąskim korytarzem i po chwili znalazł się w przestronnej grocie. Z przeciwległej ściany po ogromnym stalaktycie spływały olbrzymie, lśniące srebrzystym blaskiem krople. Zawisały na chwilę, jakby niezdecydowane, na jego wąskim końcu, po czym spadały, by rozbić się z głośnym chlupotem w kałuży na dole. Upadały z podziwu godną regularnością i Adam nie mógł oderwać od nich oczu. Nie po to jednak przyszedł, by gapić się na wodę kapiącą z kawałka skały. Choćby i niezwykłą jak... dziura w żywopłocie.

Bijąca od kropeł i kałuży jasność była jedynym światłem w jaskini, nic więc dziwnego, że Człowiek w pierwszej chwili nie zobaczył gospodarza. Że nie jest tu sam, zorientował się, dopiero gdy usłyszał syk. Podskoczył nerwowo.

– Kim jesteś? – zapytał Adam, po raz pierwszy w życiu czując w sercu prawdziwy strach. Pamiętał wszystkie zwierzęta, którym nadał imię, ale żadne z nich nie wydawało takiego dźwięku. – Jeśli chcesz ze mną rozmawiać, pokaż się i przedstaw.

Ktoś zasyczał ponownie, a potem słychać było dźwięk czegoś przesuwanego po ziemi.

– Mów mi Wąż – powiedziało jakieś stworzenie tuż nad uchem Adama.

Człowiek odwrócił się gwałtownie i spojrzał prosto w żółte ślepia o wąskich poprzecznych źrenicach. Było w nich coś takiego, że Adam mimowolnie zadrżał.

„Żyjesz, bo jesteś mi potrzebny – mówiły – i lepiej dla ciebie, jeśli nie przestaniesz być”.

– Nie... nie przypominam sobie, żebym nadał komuś takie imię – Adam zebrał się na odwagę, choć wciąż stał lekko wygięty do tyłu, mimowolnie

zwiększając dystans między sobą a łbem gospodarza.

– Bo nie nadałeś – odparł Wąż. – Moje imię od zawsze należy do mnie.

– Ale... – zaczął Człowiek, zamilkł jednak uciszony krótkim, nerwowym syknieniem.

– Słyszałem, że chcesz opuścić ogród. – Wąż poruszył głową, znowu rozległ się odgłos szurania po piasku i po chwili coś nieprzyjemnie ciepłego i pulsującego oplotło uda Adama. – Czy wiesz, że nie będziesz mógł potem wrócić? Zasady są dość jasne w tej kwestii.

– Tak, wiem...

Mieszkaniec jaskini wspinał się coraz wyżej wokół ciała Człowieka, a ten z całej siły starał się opanować obrzydzenie. Drżał jednak coraz bardziej. Gdy Wąż owinał się wokół jego piersi i szyi, Adam odchylił głowę jak tylko mógł najdalej, licząc, że gospodarz nie ścisnie mu zbyt mocno gardła. Poczul na policzku rozdwojony język i stłumił budzący się w gardle krzyk. Zamiast tego zapytał:

– Co wiesz na temat grzechu?

– Całkiem sporo, przyjacielu – wyszeptał Wąż wprost do jego ucha. – Więcej niż ktokolwiek inny.

– Więc można go popełnić? – W sercu Adama obudziła się nadzieja. Wyglądało na to, że Małpa mówił prawdę. – Mimo że Pan nie dał żadnych prawdziwych nakazów i zakazów?

– Gdyby nie dał, nie byłoby to możliwe – odparł Wąż. – Ale tak się składa, że gdy Pan stworzył ogród, wskazał ci jedno drzewo, z którego nie wolno ci jeść owoców, pamiętasz?

Adam musiał się zastanowić. Rzeczywiście było coś takiego, ale wtedy zakaz wydał mu się z jakiegoś powodu niedorzeczny. Było w nim coś... Nagle przypomniał sobie.

– Jabłoń na szczycie wielkiej góry w samym środku ogrodu? Małeńkie drzewko na czubku otoczonej przepaścią skalnej iglicy. To całkowicie niedostępne.

– Brawo! – pogratulował mu Wąż. – Właśnie o nie nam chodzi. Jedyny prawdziwy zakaz dotyczy tego właśnie drzewa. Jeśli zjesz z niego owoc, popełnisz grzech, Adamie. Pierwszy grzech w historii Raju.

Wąż skrzył się mocniej, na moment pozbawiając Człowieka oddechu, po czym zsunął się z niego i odpełznął kawałek.

– Wszystko pięknie – przyznał Adam, rozcierając obolałe żebra i szyję. – Ale ja widziałem tę skałę. Za nic tam nie wejdę. Mowy nie ma!

– Wejdiesz, przyjacielu – odrzekł z rozbawieniem gospodarz. – Będziesz jednak potrzebował pomocy i czegoś, co pozwoliłem sobie nazwać Rytuałem.



Szczur zeskoczył z gałęzi i popatrzył z wyrzutem na Małpę.

– Pokażę ci coś, dobra? – spytał.

Małpa wzruszył ramionami.

– Jak chcesz.

Szczur obrócił się na grzbiet i uniósł do góry łapki.

– Widzisz?

– Masz brudny brzuch i co z tego?

– Mam krótkie, małe łapki, głupi kudłaczu! – Szczur przeturlał się i stanął słupek. Dyszał z wściekłości. – Krótkie, rozumiesz?! I nie poruszam

się tak szybko jak wy. Nie mogliście chwilę zaczekać?! Małą chwilę, żebym wdrapał się na któregoś z was?!

– Co się wściekasz? – Mała machnął łapą i ponownie przeniósł wzrok na wejście do jaskini. – Jakoś dotarłeś.

Szczur, widząc, że jego wybuch nie przynosi pożądanego rezultatu, sapnął głośno i wspiął się na ramię towarzysza.

– Adam jest w środku? – zapytał.

Mała skinął łbem.

– Wszedł już ładną chwilę temu i trochę się o niego martwię.

– Może zabłądził. – Szczur z dezaprobatą przyjrzał się swoim brudnym łapom i zaczął zlizywać błoto. Po każdym liźnięciu spluwał z obrzydzeniem. – Wiesz co, myślę, tfu, o czymś takim. Gdyby Pan chciał, tfu, byśmy chodzili w ciemnościach, stworzyłyby nam na głowach światełka, tfu...

Mała podniósł się i wsparł na przednich łapach.

– Myślę, że powinniśmy pójść tam po niego. Może coś mu się...

Wtedy z jaskini wyszedł Adam. Całkiem zziębnięty, na jego piersi i wokół szyi widniały odcisnięte ślady, ale poza tym był zdrów i cały. Uśmiechnął się.

– Miło, że czekaliście, zamiast spać – powiedział. – Zwłaszcza że mam do was sprawę.

W kilku słowach streścił im swoją rozmowę z Wężem, umyślnie opuszczając te fragmenty, kiedy mieszkaniec jaskini owijał się wokół niego, a Człowiek drżał, jakby był liściem Osiki, a nie dumną Koroną Stworzenia. W najdokładniejszych szczegółach opisał im za to Rytuał.

Zwierzęta słuchały uważnie, próbując jak najwięcej zrozumieć mimo nowych słów i niepokojącej relacji Adama.

– Więc mówisz, że po tym jak Wąż wyśpiewa, co tam ma wyśpiewać, połączymy się umysłami i staniesz się mądrzejszy? – Szczur spróbował dokonać podsumowania. – A co z nami? Zgłupiejemy?

– Tobie i tak to nie grozi – stwierdził Małpa. Przeniósł wzrok na Adama.
– Jak długo to potrwa?

– Wąż twierdzi, że jeden dzień od świtu do zmierzchu. Tyle że... – Człowiek zawahał się. – Powiedział też, że musi być nas piątka, bo inaczej nie będzie mógł wykreślić znaku. Zna tylko taki pięcioramienny.

– Jak już wcześniej powiedziałem, Pająk wisi mi przysługę – zaproponował Szczur. – Po tym jak...

– Świetny pomysł – pochwalił Adam. Ziewnął i przeciągnął się. – W takim razie idź i sprowadź go, a ja utnę sobie małą drzemkę. Wąż powiedział, że Rytuał rozpocznie się tuż przed świtem. Śpij dobrze, Małpo, a ty Szczurze... lepiej się pospiesz, jeśli masz zdążyć.

Lekceważąc parsknięcie gryzonia, podszedł do pobliskiego drzewa i złożony głowę na wystającym korzeniu, w jednej chwili zasnął.



– Już czass... – szept Węża przeszedł w przeciągłe syknięcie. Adam usiadł i przetrął oczy. Wciąż jeszcze było ciemno, gdzieniegdzie tylko migały światełka błędnych ogników. Drzewa szumiały jednostajnie kołysane wiatrem.

– Pozwól, że sam obudzę Małpę i Szczura – zaproponował Człowiek.

Wąż poruszył łbem i wystawił język, co miało prawdopodobnie znaczyć, że jest mu to obojętne.

– Tylko ssspieszcie się – polecił. – Nie mamy zbyt wiele czasu.

Adam skinął głową. Począł, aż Wąż odpełźnie do jaskini, po czym podniósł się i podszedł do Mały. Kopnął go delikatnie.

– Czas wstawać, śpiochu – powiedział głośno. – Ileż można spać?

– Długo – rozległ się zaspany głos Szczura z kępki mchu kilka kroków dalej. – I powiem ci, że jakbyś mnie tak potraktował, ugryzłbym cię, nie, Pająk?

– Jasne, jasne – potwierdziło włochate stworzenie ukryte w liściach obok gryzonia. – Jak nic byś ugryzł.

Adam wzruszył ramionami i raz jeszcze trącił Małą stopą.

– Ej, włochaczu, pobudka. Mówiłem, że...

Skończyć nie zdążył. Kudłata łapa wystrzeliła w stronę jego kostki i chwyciła mocno. Mała poderwał się błyskawicznie i szarpnął Człowieka, zwalając go na ziemię.

Po chwili siedział już na jego piersi, szczerząc zęby.

– Ty, Korona Stworzenia – parsknął – słuchaj czasem tych braci swoich najmniejszych, co? Zwłaszcza jak dobrze mówią.

Zszedł z piersi Adama i powoli ruszył w stronę jaskini. Szczur pobiegł za nim, a po chwili dołączył do nich Pająk. Ten ostatni poruszał się niezwykle szybko i Człowiek ledwie był w stanie go dostrzec.

Adam westchnął. Z tą władzą nad ziemią i wszystkimi zwierzętami Pan zdecydowanie przesadził.

Wstał, podrapał się w krocze i podszedł do wejścia jaskini.

– Rytuale, przybywam.



Na środku jaskini palił się Ogień. Tak przynajmniej nazwał go Wąż, ostrzegając, by nikt nie próbował go dotykać.

– A co? Ugryzie mnie? – warknął Adam. Nie za bardzo podobało mu się, że musi z kimś dzielić prawo do nadawania nazw.

Wąż zamrugał.

– Całkiem możliwe, przyjacielu, całkiem możliwe – powiedział, po czym syknął, udatnie naśladując śmiech Adama. Było to o tyle dziwne, że Człowiek nigdy nie śmiał się przy nim.

Adamem targnął dreszcz obrzydzenia, więc odwrócił wzrok, próbując go skupić na Ogniu. Ukradkiem jednak wciąż popatrywał na Węża.

W migotliwym świetle płomieni gospodarz wyglądał jeszcze bardziej przerażająco niż skryty w ciemności. Wtedy Człowiek nie widział go dokładnie, a wszystkie elementy i fragmenty, których nie był w stanie dostrzec, dopowiadała mu wyobraźnia. Jednak wyobraźnia Adama przywykła do łagodnych i miłych zwierząt, stworzył więc sobie w głowie obraz stworzenia, które tylko usiłuje być groźne – bo ma kompleksy, bo nikt go nie lubi, bo zazdrości Koronie Stworzenia, kto to wie. Teraz te wyobrażenia rozwiały się niczym poranna mgła.

Wąż pokryty był łuską. Ale nie taką jak Ryba, którą Człowiek zajmował się kilka dni temu. Ta wydawała się ostrzejsza i twardsza. Pokrywały ją wzory w takim samym kształcie jak ślady pozostawiane na piasku przez gospodarza jaskini. Miały kolor krwi i nieba.

Łeb Węża wyglądał jak kamień. Raz po raz wysuwany język i łypiące na wszystkich zebranych żółte oczy burzyły to skojarzenie, powracało ono jednak za każdym razem, gdy mieszkaniiec grotu zamierał w bezruchu.

– Może nam teraz wyjaśnisz, na co komu ten cały Rytuał? – zapytał Szczur, groźnie strosząc wąsy. – I w jaki sposób ma pomóc Adamowi w popełnieniu grzechu?

– Rytuał to wykorzystanie wiedzy o budowie tego świata do własnych korzyści – wyjaśnił Wąż. – Czyni swoją wolę, niech się stanie prawem, tak mówiąc najkrócej.

Szczur nie był jednak przekonany.

– Adam, zanim weszliśmy, mówił coś o malowaniu pysków. Do tego teraz widzę jeszcze ten cały Ogień i dziwny znak na ziemi. Nie podoba mi się to...

– To wszystko są części Rytuału. Używamy tego, zamiast wyobrażać sobie każdą z tych rzeczy.

– Ale...

Ruch Węża był tak szybki, że Człowiek ledwie go zauważył. Szczur przeturlał się na grzbiet i tylko dzięki temu zdołał ująć z życiem. Kły z rozwartej paszczy gospodarza jaskini zaryły w piasek.

I niemal w tej samej chwili coś kudłatego wskoczyło na łeb Węża, i...

– Przestańcie! – krzyknął Adam, a echo nadało jego słowu mocy i powagi. – Pająku, zejdz z Węża.

Pająk drgnął, obracając się w stronę Szczura. Ten skinął głową przyzwalająco. Wąż przeczołgał się na drugą stronę ogniska i zwinął w kłębek.

– Teraz trzeba będzie poprawiać symbol – wycedził.

– Nie trzeba było zadzierać z lepszymi – odparł Szczur, mrugając do Pająka. – Nie?

– Jasne, jasne. – Pająk podskoczył w miejscu i obrócił się wokół własnej osi. – Jak nic, nie trzeba było.

Człowiek uniósł ręce.

– Słuchajcie, czas leci i zaraz świt. Weźmy się w końcu do roboty. Wężu, czy malowanie jest konieczne?

– Nie, ale pomyślałem, że będzie pomocne – odparł gospodarz.

– Więc nie będziemy się malować – postanowił Adam. – Małpo, popraw symbol. A ty, Szczurze, i ty, Pająku, usiądźcie na swoich miejscach. Wężu, prowadź.

Mieszkaniec jaskini poruszył łbem. Odczekał, aż Małpa skończy i zajmie swoje miejsce. Wtedy też zaintonował pieśń.

Człowiek słyszał już raz taką muzykę. Było to wtedy, gdy przypadkowo znalazł się na polanie, gdzie Metatron powoływał do życia nowe anioły. Tamta pieśń była jednak radosna, a w tej przebrzmiewał smutek, wspomnienie po utraconym na zawsze pięknie i cudowności.

Wąż, nie przestając śpiewać, strzyknął przez zęby prosto w Ogień. W jednej chwili jaskinia wypełniła się zielonym dymem, w którym mienił się półprzezroczysty ogród. Wszystko wyglądało w nim jak prawdziwe. Góry i lasy były na swoich miejscach, księżyc i gwiazdy odbijały się w jeziorach i rzekach, a trawy skrzyły się już od porannej rosy.

Zwierzęta, te nazwane i te wciąż bezimienne, spały w swoich bezpiecznych kryjówkach, norach, gniazdach i jaskiniach. Inne, te, które upodobały sobie noc, tańczyły i biegały między drzewami, pluskały się w jeziorach i bagnach, jadły. Nad wszystkimi nimi wznosiły się cienkie błękitne nici życia, proste jak promień słońca i jak on delikatne.

I wtedy Adam dostrzegł ich jaskinię. Wznosiło się nad nią pięć nici innych niż wszystkie pozostałe. Te były czerwone i dużo grubsze. Kołysały się miarowo w takt pieśni.

I wtedy właśnie Wąż umilkł. Echo dośpiewało zwrotkę, a potem w jaskini zapanowała cisza.

– Twoja kolej – wyszeptał gospodarz do Człowieka.

– Co mam zrobić? – Adam był zagubiony, jakby dopiero wyrwano go z głębokiego snu.

– Poproś nas.

Człowiek chciał jeszcze o coś zapytać, ale Wąż zamknął już oczy i zaczął kołysać się na boki.

„O co mam was prosić? – pomyślał Adam. – O co w tym wszystkim cho...”

I nagle wiedział. Pojawiło się to w jego głowie w jednej chwili, jakby ktoś pokazał mu obrazek z księgi anioła pomocnika. Wzniósł ręce wysoko nad głowę, zamknął oczy i zaśpiewał:

*Jam jest ten,
któremu dano władzę nad wszelkim stworzeniem
Pan uczynił mnie bowiem na obraz i podobieństwo swoje
Prośba moja jest Jego prośbę,
a wdzięczność ma Jego wdzięcznością.
Wzywając więc imienia Pana, zaklinam was:
Daj mi siłę, Małpo, Szczurze, obdarz mnie zwinnością
Pomny na imię Stwórcy,
Pająku, nie odmawiaj mi swej szybkości
A ty, Wężu...*

Adam zawahał się. Otworzył oczy i spojrzał prosto w żółte oczy mieszkańca jaskini. Przez chwilę przyglądali się sobie, jakby mierzyli nawzajem swoje siły. Wąż ponownie strzyknął śliną w Ogień i dym zgęstniał. Czerwone wstęgi nad widmową jaskinią splotły się w warkocz. Wszystkie prócz jednej.

– A ty, Wężu, użycz mi swego sprytu – dokończył pierwszy Człowiek. Zdążył jeszcze dostrzec, jak gospodarz kiwa łbem, a ostatnia wstęga wplata się w warkocz. Potem padł nieprzytomny na ziemię.



Gdy się ocknął, na zewnątrz było już jasno. Świadczyło o tym te kilka promieni, którym udało się wśliznąć do jaskini. Adam skoczył na równe nogi.

– Udało się? – zapytał.

Siedzący pod ścianą Małpa z trudem wzruszył ramionami.

– Chyba tak, bo dawno nie czułem się tak słaby, a Szczur – łbem wskazał na zwiniętego w kłębek gryzonia – to nawet dwóch kroków nie zrobi, żeby się nie potknąć.

– Warto było! – Szczur zachichotał. – Bo skoro wszystko się udało, znaczy, że Wąż zidiociał do reszty. Teraz leży tam w ciemności bez ducha.

Człowiek strzepnął z siebie piasek i sprężystym krokiem ruszył w stronę wyjścia z jaskini. Zatrzymał się tuż przy nim.

– Na wszelki wypadek nie ruszajcie się stąd – polecił. – Przyjdę do was wieczorem, jak już będzie po wszystkim.

– Nie ma stracha – odparł Szczur. – Gdyby Pan nie chciał, żeby nam się udało, już dawno ukatrupiłby Węża z tym jego Ogniem, Rytuałem i wszystkim innym. Choć może niegłupio by zrobił, nie, Pająk?

Włochata kulka przyczajona obok drgnęła lekko.

– Jaasne, jaasne – powiedział Pająk powoli, jakby dopiero co uczył się mówić. – Jaaak niic, nieegłuupioo.

Adam już tego nie słyszał. Opuściwszy jaskinię, ruszył w stronę zakazanej jabłoni. Czekala go teraz solidna wspinaczka.



Skalna iglica, na której rosła Jabłoń, wyglądała jeszcze gorzej, niż ją Adam zapamiętał. Była tak wysoka, że przy złej pogodzie jej szczyt z całą pewnością niknął w chmurach, do tego miała idealnie gładkie ściany.

„Pewnie taka się tylko wydaje z daleka – powtarzał sobie Człowiek. – Z całą pewnością nie różni się od innych skał pełnych wgłębień i naturalnych uchwytów, których stąd nie widać. Z bliska nie będzie już taka straszna”.

Żeby to jednak ocenić, musiał uporać się z innym problemem, kto wie czy nie większym. Skalna iglica otoczona była bowiem przepaścią tak szeroką, że o przeskoczeniu jej Człowiek nie mógł marzyć. To, że gdy spojrzał w dół, nie dostrzegł dna, wcale nie ułatwiło sprawy.

Adam westchnął ciężko i rozejrzał się, jakby miał nadzieję ujrzeć kogoś, kto wskaże mu ukrytą gdzieś prostą ścieżkę prowadzącą do Jabłoni. Zamiast tego dostrzegł anioła pomocnika.

Co gorsza, skrzydlaty również go zauważył. Wzbił się w powietrze i po chwili wylądował tuż obok Człowieka.

– Szukam cię po całym ogrodzie – powiedział z wyrzutem. – Mogę wiedzieć, gdzie się podziewałeś?

Zmieszany Adam opuścił głowę, zaraz jednak uniósł ją dumnie. Usta wykrzywił w zawadiackim uśmiechu, a jego oczy mieniły się żółcią.

– Usiłowałem sobie przypomnieć, jak nazwałem drzewo o długim, cienkim pniu bądź gałęziach, do tego giętkie i wytrzymałe.

Anioł przyjrzał mu się ze zdumieniem, po czym sięgnął do księgi i przewertował kartki.

– Nie mam niczego takiego – stwierdził z lekkim zażenowaniem.

– To niedobrze. – Człowiek pokręcił głową. – Pan nie będzie zadowolony, bo miałem dla niego taką piękną nazwę. Czy nie uważasz, że Bambus brzmi wspaniale?

– No, chyba. – Pomocnik podrapał się po głowie. – Wiesz, skoro uważasz, że to takie ważne, to ja może polatam i poszukam. Drzewa nie są pojedyncze, więc jak znajdę takie, to przyniosę i wtedy...

– Nie chciałem cię zamęczać – Adam wzruszył ramionami – ale... tak, leć. I to jak najszybciej. Nie mamy w końcu całego dnia, nie?

Skrzydlaty wzbił się w powietrze i po chwili zniknął za drzewami.

Człowiek przyglądał mu się z uśmiechem.

– Niezły plan, Wężu – powiedział na głos. Pochylił się, by poszukać jakiegoś większego kamienia, po czym wkopał go do połowy w ziemię tuż przy samej krawędzi przepaści. Potem usiadł na nim i czekał.

Anioł zjawił się, gdy słońce było dokładnie pośrodku swej drogi. Leciał nierówno, bo długi drąg, który niósł pod pachą, wyraźnie utrudniał poruszanie skrzydłami. Poza tym raz po raz zahaczał nim o korony drzew. Mimo wszystko jednak, gdy wylądował, wyglądał na szczęśliwego.

– Proszę – powiedział dumnie. – Dokładnie taki, jak chciałeś.

Adam wstał i przyjrzał się drągowi krytycznie.

– Szczerze mówiąc, wyobrażałem sobie, że będzie bardziej niebieski – stwierdził. – I powinien mieć takie faliste linie, i...

– Nie ma niebieskich drzew! – nie wytrzymał pomocnik. – A ten spełnia wszystkie wymogi, o których mówiłeś. I musi pasować.

– Ja o tym zadecyduję – odparł stanowczo Człowiek. Jego oczy znów na krótką chwilę zrobiły się żółte. – I ssstwierdzam, że ten nie passuje.

Potrząsnął głową i zamrugał kilka razy.

– Poza tym – dodał już spokojniej – o ile pamiętam, widziałem coś takiego wczoraj rano. Pamiętasz z pewnością, gdzie wtedy byliśmy?

- Tak. – Anioł nie był w stanie ukryć swego zmieszania. Po raz pierwszy nie miał pojęcia, jak się zachować. – Więc co, mam lecieć?
- Jeśli mógłbyś...
- I niebieski? – skrzydlaty wolał się upewnić. – Z wzorkami?
- Dokładnie tak. Tym razem na pewno będzie dobry.



Gdy tylko pomocnik odleciał, Adam podniósł przyniesiony przez niego drąg i zważył go w rękach. Potem spróbował złamać na kolanie. Bez powodzenia.

– Bambus – powiedział z rozbawieniem. Złapał za jeden koniec, drugi wznosząc wysoko w górę, i cofnął się pod sam las.

Plan był prosty. W odpowiednim momencie musiał tylko opuścić Bambus, tak by drugi koniec zatrzymał się na wkopanym kamieniu. Wtedy powinno wyrzucić go w górę i skierować wprost na skałę. Nie miał pojęcia, skąd to wie, uznał więc, że zawdzięcza to Wężowi, choć za nic nie potrafił sobie wyobrazić mieszkańca jaskini skaczącego przy pomocy Bambusa. No i Wąż biorący rozbieg?!

– Dobra – westchnął Człowiek. – Oby się okazało, że było warto.

Mocniej zacisnął palce na drągu i rzucił się biegiem w stronę przepaści. Niewiele brakowało, a nic by z tego nie wyszło, Bambus ześliznął się bowiem po gładkim boku kamienia. Na szczęście jednak znalazł oparcie w korzeniu rosnącym obok. Adam wznosił się w powietrze i niczym ta... no... Żaba poleciał w stronę skały.

„Właśnie, Żaba!” – przemknęło mu raz jeszcze przez głowę, gdy był już w połowie drogi.

Puścił drąg i rozczapierzył palce, zdając sobie sprawę, że powinien wcześniej pomyśleć, co zrobi, gdy już zetknie się ze skałą. Teraz jednak nie było już na to czasu. Zaciśnął zęby i odchylił głowę jak najmocniej do tyłu. Nic więcej nie mógł zrobić.

Zderzenie na moment pozbawiło go oddechu. Pierś zapiekła go, ale palce, wzmocnione Małpią siłą, sprostały zadaniu. Zagłębione w skalne uchwyty utrzymały całe ciało.

Adam przywarł do skały i kilka razy odetchnął głęboko. Potem zaczął się wspinać. Poruszał się szybko, bez trudu wynajdując uchwyty dla rąk i nóg. Uznał, że to zasługa przywykłego do wyszukiwania szczelin Szczura, i w duchu podziękował gadatliwemu gryzoniowi, który nareszcie się do czegoś przydał. Nie czuł zmęczenia, choć zaczynały go trochę boleć palce. Kiedy tylko mógł, pozwalał im więc odpocząć, przenosząc ciężar na stopy.

Po jakimś czasie dotarł do niewielkiej skalnej półeczki, na której nareszcie mógł przysiąść i odpocząć. Machając nogami nad przepaścią, patrzył w górę i zastanawiał się, co go jeszcze czeka. Na razie nie było szczególnie trudno, ale kto wie jakie jeszcze przeszkody zasłaniały chmury coraz szczelniej oblepiające szczyt. No i jak przypuszczał, w pobliżu drzewa czuwali pewnie jacyś aniołowie. Skoro tylu ich stało na żywopłocie...

„Wtedy jedyne, co mnie uratuje, to szybkość Pajaka” – pomyślał. Ze wszystkich talentów i mocy wywołanych Rytuałem, ta jedna jeszcze się nie objawiła i Adam był jej bardzo ciekaw. Bo czy szybkość Pajaka nie brała się przede wszystkim z ilości jego nóg? Więc Człowiekowi urosną nowe czy jak?

– Zobaczymy – powiedział Adam na głos i wstał, by ruszyć w dalszą drogę. Liczył, że jeśli uda mu się utrzymać tempo, przed zmierzchem będzie już za żywopłotem. Niech tylko plan Węża wypali!



Pogoda popsuła się, ledwie Adam opuścił skalną półkę. Najpierw zerwał się przeszywający wiatr, a potem dołączył do niego zimny deszcz. Wielkie krople uderzały w nagie ciało Człowieka i rozpryskiwały się na nim na maleńkie kropelki, które wpadały do oczu i łaskotały pomiędzy palcami.

Adamowi coraz trudniej było znaleźć uchwyty, w pewnym momencie chciał nawet wrócić na półkę i przeczekać. Nie miał jednak pojęcia, jak długo będzie padać, a on przecież miał czas tylko do zmroku. Postanowił więc kontynuować wspinaczkę.

I w pewnym momencie, gdy wyciągnął rękę, odkrył, że ściana nad nim jest zupełnie gładka. Nie było ani jednej szczeliny, w którą dałoby się wsunąć choćby palec.

Człowiek zacisnął zęby. Cofnął rękę i spróbował odbić lekko w bok. I wtedy właśnie osunęła mu się noga. Drobne kamyczki poleciały w przepaść, a on sam stracił równowagę i... zawisł na jednej ręce, drugą bezmyślnie młócąc w powietrzu. Serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe, oddech stał się nierówny, a ręka, na której wisiał, z każdą chwilą drętwiała coraz bardziej. Sytuacja wyglądała na beznadziejną.

Ocalenie przyniósł wiatr. Mocny podmuch pchnął Adama na ścianę. Wolna dłoń przywarła koniuszkami palców do skały. I tak już została. Zupełnie jakby ktoś ją przykleił. Człowiek zamrugał z niedowierzaniem.

Nie miał pojęcia, dlaczego tak się stało, ale spróbował zrobić to samo z palcami stóp. Podciągnął je do góry, by przywarły do skały jak największą powierzchnią. Udało się. W samą porę, bo palce zdętwiałej ręki rozluźniły się i cały ciężar przeniósł się na drugą przyklejoną dłoń i stopy. Te znakomicie sprostają zadaniu.

Adam spróbował się poruszyć. Z zadowoleniem odkrył, że gdy się skupi, jest w stanie oderwać poszczególne kończyny i potem przykleić je z powrotem. Dzięki temu mógł się wspinać, lekceważąc brak oparcia i szczelin.

Zmierzając ku szczytowi, Człowiek cały czas myślał, komu zawdzięcza nową zdolność. Doszedł do wniosku, że Pająkowi. Nie miał pojęcia, dlaczego zamiast szybkości otrzymał moc chodzenia po ścianach, ale nie narzekał.

Przyspieszył i niebawem znalazł się obok drzewa.



Jabłoń nie była szczególnie imponująca. Podobnie jak rosnące na niej czerwone owoce. Przez moment Adam poczuł nawet rozczarowanie, że cały ten grzech może się wiązać z takim drobiazgiem. Potem jednak radość ze zwycięstwa wzięła górę. Podszedł do drzewa i ujął w dłoń najbliższy owoc.

– Ani mi się waż go zrywać! – usłyszał groźny głos za plecami. Bez odwracania się wiedział, że należał on do anioła pomocnika. – Zostaw go i wracamy na dół. Jeszcze masz szansę.

Człowiek zawahał się. W gruncie rzeczy w ogrodzie nie było tak źle. Nigdy nie chodził głodny, miał przyjaciół i pracę. Tyle że... cóż, Raj to nie miejsce, w którym tęsknisz do czegokolwiek. A on nie miał zamiaru żałować zmarnowanej szansy.

Błyskawicznym ruchem zerwał owoc i ugryzł kawałek. Jabłko było kwaśne, po chwili wyczuł też posmak goryczy. Niby nic niezwykłego, mimo to Adama przeszedł dreszcz. Odwrócił się i wznosił rękę ku górze. Jego oczy raz jeszcze stały się żółte.

– Spójrz, Panie, zjadłem owoc z zakazanego drzewa. Popełniłem grzech, słyszysz? Grzech...

Przez chwilę nie działo się nic... A potem rozstąpiły się niebiosa.



Szczur nie mógł wysiedzieć w miejscu. Chociaż potykał się co krok, ciągle łaził nerwowo po jaskini. Małpa przyglądał mu się z dezaprobatą.

– Usiądziesz wreszcie? – warknął.

Szczur zastrzygł wąsikami.

– Powinien już być – powiedział. – Pewnie coś mu się stało i teraz nasze zdolności przepadły. Wiedziałem, że tak będzie. Gdyby Pan chciał, żebyśmy robili Rytuały, nie kazałby nam uczyć się ich od Węża, co myślisz, Pająk?

Zagadnięty machnął tylko leniwie kończyną. Nawet odpowiadać już mu się nie chciało.

Coś zaszurało przy wejściu i do jaskini wszedł Adam. Minę miał nietęgą.

– Nie udało się? – spytał Małpa.

– Wręcz przeciwnie. – Człowiek machnął ręką. – Wlazłem na tę górę, zjadłem Jabłko i nawet powiedziałem o tym Panu. I tu właśnie jest kłopot.

– Nie usłyszał? – Szczur po raz kolejny się potknął i zarył pyszczkiem w piach. Podniósł się niezdarnie, plując na lewo i prawo. – Tak to już jest z tymi rozmowami ze Stwórcą. W większości wypadków w ogóle nie reaguje. Jakby miał coś z uszami.

– Rzecz w tym, że słyszał każde słowo – odparł Adam. Usiadł na ziemi i podciągnął kolana pod brodę. – Tyle że stwierdził, że jest Miłosierdziem i ponieważ się przyznałem, to on mi wybacza. A żeby mnie więcej nie kusiło, zniszczył tę Jabłonkę.

Przez chwilę wszyscy siedzieli przygnębieni i milczący. W końcu Szczur westchnął ciężko.

– A czy teraz możemy już odzyskać nasze zdolności?



Polanka przy dziurze w żywopłocie stała się ulubionym miejscem odpoczynku Adama. Spędzał tam wszystkie noce i każdy dzień siódmy.

Czasem widział przez otwór Kobietę, ale przez większość czasu mógł dostrzec jedynie piaskowe wydmy. W takich chwilach prawie udawało mu się przekonać samego siebie, że właściwie to dobrze na tym wszystkim wyszedł. Zaraz potem jednak przypominał sobie uśmiech Węża, gdy przyszli po niego aniołowie i kazali mu opuścić ogród. Mieszkaniec jaskini osiągnął cel, którego jemu, Koronie Stworzenia, osiągnąć się nie udało.

Tego dnia Adam również siedział przy dziurze wsparty plecami o żywopłot. Jak przystało na dzień siódmy, wypoczywał.

Tak zastali go Małpa, Szczur i Pająk.

Cała trójka wpadła na polankę wyraźnie podekscytowana.

– Mamy, wymyśliśmy! – popiskiwał Szczur z ramienia Małpy, a Pająk przytakiwał mu radośnie. – Wiemy, jak ci pomóc.

Człowiek uniósł głowę, ale jego mina nie wyrażała specjalnego entuzjazmu.

– Jak? Małpa zatrzymał się tuż przy nim i usiadł na ziemi.

– Posłuchaj go – powiedział. – To niezły plan. Szczur uniósł dumnie głowę zadowolony, że pochwalono jego pomysł.

– Jest tak, że ptaki mają pióra, nie? – zaczął. – I czasem je gubią, prawda? Plan jest taki: my je potem zbieramy, Pająk klei pajęczyną, robimy skrzydła i odlatujesz stąd którąś nocą. Niezłe, nie?

– No nie wiem – westchnął Adam. – Myślę, że gdyby Pan chciał, żeby ludzie latali...

Przerwał i podrapał się po głowie.

– A co tam! – zawołał w końcu z podpatrzonym u Małpy szelmowskim uśmiechem. – Właściwie czemu nie?

To miała być moja pierwsza antologia. Fabryka Słów rozesłała zaproszenie do autorów z prośbą o tekst na temat podróży w czasie i przestrzeni. Pisałem już wtedy, byłem na mejlowej liście wydawnictwa, dostałem zaproszenie... Kurczę, nawet zacząłem pisać – dwa teksty naraz. I z żadnym nie zdążyłem.

Oba te opowiadania macie okazję czytać w tym zbiorze. Pierwszy z nich „Miejsce, które jest” było już publikowane w „Nowej Fantastyce”, drugie, czyli właśnie „Smutni”, leżało do tej pory w szufladzie. Czekał na swój czas...

Zabawna sprawa. Gdy wysłałem „Smutnych” Maćkowi Parowskiemu, ten przeczytał i powiedział, że tekst, owszem, fajny, ale co mnie, gówniarza z Polski, wzięło, by rozliczać pokolenie hipisów. „Na Twoich oczach dzieje się historia. Sądzą zbrodniarzy z »Wujka«, a Ty piszesz o miejscach i czasie, którego nie masz prawa znać. Jesteś za młody” – oto co wyczytałem z Maćkowego mejla. W odpowiedzi poinformowałem go, że być może nie pamięta, ale mam ledwie dwadzieścia pięć lat i dla mnie wydarzenia z „Wujka” to równie odległa sprawa – znam ją wyłącznie z relacji telewizyjnych, książek i prasy. Historia i emocje z drugiej ręki...

No dobra, ale dlaczego zdecydowałem się napisać opowiadanie o Smutnych? Może dlatego, że tak naprawdę nie miało to być żadne rozliczenie pokolenia, a jedynie opowieść o tym, jak czasem bardzo pragniemy, by życie potoczyło się inaczej. Jak łkamy i błagamy o drugą szansę... To akurat jest sprawa uniwersalna i pisać o niej każdy ma prawo. Kto tego nie doświadczył, niech pierwszy rzuci kamieniem.

A że hipisi? Że stan Maine? Raz, że to oczywiście hołd i ukłon złożony Stephenowi Kingowi, a dwa, że idea dzieci kwiatów była tak słodka... aż szkoda, że przegrała z tosterami i Microsoftem.

*Dedykuję: Ani Kańtoch, która motywowała
mnie do pisania i uratowała ten tekst, gdy
w pewnej chwili zwyczajnie w niego zwątpiłem*

SMUTNI

CZEŚĆ I

REZERWAT

Bill Hopper był już naprawdę zły. Powoli kończyły mu się krawaty, a żaden nie chciał pasować do grafitowej marynarki i popielatej koszuli. Na przebranie się było już stanowczo za późno.

– Nie może być bez krawata? – zapytała Mary. Siedziała na krawędzi łóżka, splecionymi dłońmi obejmując kolano. – Pieprz to, trochę luzu.

Odwrócił się i posłał jej gniewne spojrzenie.

– To ważne spotkanie. Chciałbym wyglądać dobrze.

Mary wzruszyła ramionami. Lewe ramięczko jej letniej sukienki zsunęło się, ale go nie poprawiła.

– Trzeba było pomyśleć o tym jakieś dwadzieścia lat i jakieś czterdzieści funtów temu, kochanie – powiedziała. – Teraz już wiele nie zdziałasz.

Bill westchnął ciężko. Energicznym ruchem ściągnął kolejny krawat i rzucił go w kąt.

– Chcesz dać mi coś do zrozumienia?! – warknął. – Czy wyzłóśliwiasz się dla zasady?

Ponownie wzruszyła ramionami.

– Nic, czego nie powiedziałam już wcześniej. – Usiadła prosto i odgarnęła włosy za ucho. – Nadal uważam, że nie stać nas na ten twój wyjazd. Thomas chciał pojechać na obóz...

– Mówiłem, żeby oszczędzał! – Bill wszedł jej w zdanie. Denerwował go ten powtarzany w kółko argument. Chłopak miał już siedemnaście lat i powinien sam zarabiać na swoje wakacje. – Załatwiłem mu nawet robotę w warsztacie u Wylera. Myślisz, że poszedł?

– Wiesz dobrze, że nie o to chodzi. Ja...

Bill szarpnął za kołnierzyk. Guzik odprysnął i uderzył w lustro. Mężczyzna zaklął i zerknął na zegarek.

– Nie chcę się znowu kłócić – powiedział, zdejmując marynarkę z otwartych drzwi szafy. Nałożył ją i strzepnął z ramienia niewidoczny pyłek. – Łapałem się dorywczych prac, by zarobić na ten wypad, tłumaczyłem ci to już. Nie odbieram wam niczego od ust.

Nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na niego tym swoim cielecym wzrokiem. Przez lata nauczył się go nienawidzić.

– Na mnie już czas – westchnął. – Nie biorę ze sobą telefonu.

Wyszedł.



Usiadł na schodku przed domem i wyciągnął papierosa. Przez chwilę bawił się nim, obracając między palcami, po czym włożył do ust. Sięgnął po zapalniczkę.

„Zabawne – myślał, wpatrując się w podjazd domu naprzeciwko – jak człowiek rzadko spogląda w przeszłość”. Bill do tej pory nie zaprzętał sobie tym głowy. Parł do przodu, z zapalem rozkręcając maleńką firmę – jedną, a potem, gdy tamta okazała się niewypałem, drugą. Miał syna, postawił dom, posadził drzewo i fałszował, śpiewając przy goleniu.

Spełniał wszystkie warunki, by uchodzić za typowego faceta, i gdyby do zeszłego tygodnia ktokolwiek zapytał, z całą pewnością odpowiedziałby, że wszystko jest OK.

A potem nagle Mary zaczęła narzekać, wynajdując miliony bzdurnych powodów, dla których nie powinien jechać na ten zjazd klasowy. I to tak naprawdę sprawiło, że zaczął się zastanawiać, dlaczego aż tak bardzo mu zależy. Bo zależało. Z każdym dniem coraz bardziej.

Zza zakrętu wyłonił się samochód Mike'a Cartera, srebrzystozielone volvo kombi. Bill zaciągnął się ostatni raz i zgasił papierosa o schodek. Wstał.

Mike zaparkował przy krawężniku i wysiadł z samochodu. Był co najmniej o głowę wyższy od Hoppera, miał długie, spięte w kucyk włosy i okulary lennonki na nosie, przez co wyglądał trochę jak jeden z Samotnych Strzelców z „Archiwum X”. Ubrany był w mocno już wyblakłą hawajską koszulę – zdaniem Billa – tę samą, którą jego przyjaciel miał na sobie podczas imprezy, gdy oblewali ukończenie szkoły. W jego szafie wisiała niemal identyczna, ale od kilku lat nawet nie próbował jej zakładać. Co do jednego Mary z pewnością miała rację – powinien był schudnąć.

– Siemka – zagadnął Carter. – Gotowy?

Bill pokiwał głową.

– Ja tak, ale gorzej z tobą. Nie wyglądasz, jak powinieneś. Wiesz o tym, prawda?

Mike uśmiechnął się szeroko.

– Wdzianko Smutasa mam na tylnym siedzeniu – odparł. – Nie muszę w nim przecież jechać całą drogę. Jak Mary?

– W porządku. – Hopper zerknął w stronę okna sypialni. Spodziewał się, że zobaczy tam żonę, ale widocznie skapitulowała po rozmowie w sypialni,

bo nie pojawiła się, by uraczyć go swym spojrzeniem biednej i pokrzywdzonej. – Musimy jeszcze podjechać do banku.

– Jasne, wskakuj.

Bill wszedł do volvo i ruszyli wzdłuż uliczki.



– Wcale nie uważam, że ktoś, kto nie zna się na komputerach, zaraz musi być jełopem, wiesz przecież. Ale nie uwierzyłbyś, co ten człowiek wyprawia. Wymontował wiatraczek, bo mu buczał za głośno, wyobrażasz sobie? Z procesora. Miał pentiuma, więc zdołał to nawet odpalić, ale potem jak mu buchnęło... I on z tym do nas na gwarancję przyjechał... Wyobrażasz sobie? Głupota ludzka nie ma granic.

Bill pokiwał głową. Przynajmniej jedno, z czym mógł się zgodzić. Zupełnie nie znał się na komputerach i kompletnie go one nie interesowały. Nie zamierzał jednak odbierać przyjemności przyjacielowi.

Słuchał i jednocześnie dyskretnie zerkał za okno, wypatrując zjazdu na stację benzynową. Jechali już ponad dwie godziny i pęcherz coraz mocniej dawał o sobie znać.

– Myślałeś kiedyś, jak by to było być Smutnym? – zapytał nagle Mike, zmieniając temat.

– No coś ty! – Hopper wzruszył ramionami. – Kiedy gra ci w duszy rock and roll, nie zastanawiasz się nad takimi rzeczami... A potem to jakoś tak samo przychodzi.

– Ja myślałem – powiedział Mike. – I Watt też. Wiesz, jak już przyszli, poznali się ze wszystkimi i usiedli przy kominku, jeszcze zanim

przyjechałeś. Poszliśmy wtedy do piwnicy po piwo dla nich.

– No i?

– I wtedy właśnie... Wiesz, jakie poglądy miał Watt. Czasem wydawało mi się, że on naprawdę wierzył, że będzie wiecznie młody. – Carter przeciągnął ręką po włosach i sięgnął do półeczki pod radiem po tic-taki. – Ale wtedy to właśnie on zaczął gadać o Smutnych. Chcesz?

Bill wziął pudełeczko i wytrząsnął z niego dwa cukierki. Wrzucił do ust.

– Znaczy co mówił? – zapytał. – Założę się, że pieprzył o Wietnamie i zabójcach dzieci.

„Ja sam tak wtedy myślałem – przemknęło mu przez głowę – gdy zobaczyłem Smutnych rozciągniętych na kanapie. Aż mnie korciło, żeby zapytać, czy dobrze się bawią, wiedząc, że ich kumple gwałcą właśnie skośnookie trzynastolatki. Wtedy wszyscy oni byli dla nas tacy sami”.

– Przegrałbyś zakład, stary. – Mike roześmiał się. – Ja byłem już na dole, ale on przystanął na schodkach i zagapił się w ścianę. Pytam, co mu się stało, a on na to, że ostatni okres Susie opóźnił się o przeszło tydzień.

Cukierek stanął Hopperowi w gardle.

– Co?!

Kumpel odchylił głowę do tyłu i roześmiał się.

– To, co słyszałeś. Stał u zwieńczenia schodów do piwnicy i gadał o miesięczce swojej dziewczyny.

Bill pokręcił głową z niedowierzaniem. Przy skraju drogi tablica z logo wielkiej muszli oznajmiała, że najbliższy zjazd na stację Shell znajduje się dwie mile dalej. Mocniej zacisnął nogi.

– Ale podobno mówił o Smutnych – przypomniał, po czym, na wypadek gdyby przyjaciel przeoczył tablicę, dodał: – Zatrzymaj się na tej stacji, jeśli możesz.

– Jasne. A Watt rzeczywiście gadał o Smutnych – ciągnął Mike. – Powiedział, że gdy miesięczka Susie zaczęła się opóźniać, z każdym dniem był coraz bardziej wydygany. Czuł, że jeżeli pojawi się dziecko...

– Zawsze jeszcze mogli je usunąć, nie?

– Też na to wpadłem, ale Susie była praktykującą katoliczką... – Mike zachichotał. – Co jakoś nie przeszkadzało jej dawać mu dupy przy każdej okazji... W każdym razie myśl o dziecku sprawiła, że Watt z każdym dniem czuł się coraz bardziej Smutnym. Myślał już o znalezieniu pracy, ślubie, domu i całym tym gównie, które tak nas brzydziło.

„A którego teraz jesteśmy częścią” – dopowiedział w myślach Bill.

Carter włączył kierunkowskaz i zjechał na prawy pas. Kawalek dalej skręcił na stację. Był kwadrans po piętnastej.



Postój zajął im nieco dłużej, niż przewidywali, bo okazało się, że szlag im trafił żarówkę od świateł krótkich. Bill wykorzystał przymusową przerwę, by coś zjeść. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie kupić sobie po prostu hamburgera w sklepie na stacji, ale po namyśle zdecydował się na stojący tuż za nią przydrożny bar. Ruszył w tamtą stronę.

Powiedzieć o wnętrzu, że było czyste, to jakby uznać Ritza za przydrożny motel. Pomieszczenie było wręcz sterylne. Wzdłuż frontowej ściany znajdowało się kilka boksów z siedzeniami o lśniących bordowych obiciach. Na stolikach równiutko porozkładano nieskazitelnie białe serwetki, a w wazonach znajdowały się świeże polne kwiaty.

Na ladzie stał jedynie automat do kawy i kilka kart ustawionych w drewnianym stojaku na płyty. Hopper pomyślał z rozbawieniem, że podobne lokale widywał jedynie w filmach o zbuntowanej młodzieży, jak „Grease”. A i tam nigdy nie było tak czysto.

Zauważył szafę grającą i ruszył w jej stronę. Jeżeli tylko maszyna ma w pamięci „Summer Night” Newton–John i Travolty, zamierzał poświęcić ćwiartkę.

– W czymś mogę pomóc?

Bill zerknął w stronę lady. Z zaplecza wyłoniła się młoda dziewczyna ubrana w czerwono–biały uniform i czarny fartuszek. Miała sympatyczną, lekko okrągłą twarz, którą nieco oszpecały blizny po trądziku na policzkach i czole. Włosy, jasne, słomiane, związała w koński ogon. Jeśli wierzyć plakietce, nazywała się Anne.

– Życzy pan sobie kawy? – zapytała z pogodnym uśmiechem. – A może coś do zjedzenia?

Hopper również się uśmiechnął i podszedł do kontuaru.

– Macie może jajecznicę na bekonie? Do tego kawę z mlekiem. Tylko, broń Boże, nie odtłuszczonym! Z nim kawa smakuje, jakby...

– ...ktoś wody dolał? – dokończyła Anne. Włączyła ekspres, przypatrując się zaskoczonemu jej domyślnością Billowi. – Skąd ta mina? Mam coś na nosie?

– Nie. – Potrząsnął głową. – Ale tak właśnie zwykłem mawiać żonie... znaczy z tą wodą... Wie pani, ona uważa, że powinienem się odchudzić.

Kelnerka parsknęła śmiechem.

– To oznacza – powiedziała – że jeśli pana żona wpadnie tu za chwilę, pewnie oberwie mi się za tę jajecznicę.

– I nie tylko za to. Reaguje negatywnie na każdą piękną dziewczynę.

– Dobrze, już dobrze. – Anne zaczerwieniła się lekko. – Wystarczy tego.

Odwróciła się na pięcie i wyszła.

Bill patrzył, jak kelnerka znika na zapleczu, a potem ponownie ruszył w stronę szafy grającej. Przejrzał listę utworów. Nie było „Summer Night”, ale znalazł za to „Hit the Road Jack” Raya Charlesa. Zdaniem Hoppera, równie dobry. Wrzucił monetę i wcisnął przycisk. Dźwignia pod szklanym kloszem umieściła właściwą płytę na podstawie, a zaraz potem na krążek opadło ramię z igłą. Bar wypełnił się muzyką.

Pstrykając palcami w rytm muzyki, Bill podszedł do najbliższego boksu. Przez wielkie okno widział doskonale podjazd stacji i Cartera męczącego się ze światłem na poboczu. Zrobiło mu się głupio, że siedzi w barze, zamiast mu pomóc. Co prawda proponował i Mike odmówił, ale mimo wszystko.

– Proszę pani! – zawołał. – Anne!

Dziewczyna pojawiła się za kontuarem.

– Tak?

– Czy byłby kłopot, gdybym zamówił jeszcze jedną porcję tej jajecznicy? I drugą kawę?

– Ogromny – odparła. Zdawało się, że uśmiech na jej twarzy, raz zapalony, nigdy nie gaśnie. – Ale niech się pan nie martwi. Jakoś podołam.

– W takim razie poproszę.

Spodobała mu się ta dziewczyna. Była całkiem zgrabna, a do tego dowcipna i jeśli mógł to ocenić po kilku zdaniach, całkiem bystra. Jak to powiedziała Mary? „Trzeba było pomyśleć o tym jakieś dwadzieścia lat i czterdzieści funtów temu”. Miał jednak dość poważne wątpliwości, czy wtedy dziewczyna była chociaż w podstawówce.

Zabębnił palcami w stół do rytmu cichnącej piosenki. Widział na liście jeszcze kilka utworów, których chętnie by posłuchał, ale nie miał więcej drobnych, postanowił więc, że zaczeka, aż dziewczyna wyda mu resztę. A

może Mike będzie miał jakiś bilon. Bill dostrzegł, że przyjaciel właśnie założył klosz i otrzepując kolana, podniósł się z ziemi. Schował narzędzia i powoli ruszył w stronę baru.

Hopper zerknął na zegarek. Dochodziła szesnasta, a to oznaczało, że powinni się pospieszyć. Inaczej w żaden sposób nie zdążą dojechać na dwudziestą drugą, a przecież mieli podpisaną umowę z Rezerwatem. Rzecz jasna, organizatorzy z całą pewnością zabezpieczyli się odpowiednio, ale po takim numerze nie byliby skłonni do kolejnych umów. I oczywiście przepadłaby cała przedpłata.

– Tutaj! – zawołał do Mike'a, gdy ten stanął w progu.

Carter skinął głową.

– Nie wiem, czy mamy czas, by... – zaczął, gdy usiadł przy stoliku, ale Bill wszedł mu w zdanie: – Już zamówiłem jajecznicę i kawę. Nie martw się, zdążymy. Kontroluję czas.

Pstryknął ekspres. Anne wyszła z zaplecza i przygotowała dwie kawy.

– Byliby panowie tak uprzejmi i wzięli sami? – poprosiła. – Bo mi się zaraz przypali bekon.

Obaj chcieli wstać równocześnie, Mike był jednak szybszy. Prężnym krokiem podszedł do lady i zabrał dwie filiżanki. Ostrożnie przeniósł je na stół.

– Widziałeś? – powiedział, wskazując na szafę grającą, którą właśnie zauważył. – Zupełnie jak za dawnych czasów. Ciekawe, czy działa.

– Działa – zapewnił Hopper. – Sprawdziłem, ale nie miałem już więcej drobnych.

– Głupio tak jeść po cichu – stwierdził Carter, sięgając po portfel.

– Od razu widać, że jesteś kawalerem! – parsknął Bill.

– Pieprz się, Hopper.



Jajecznicą była naprawdę znakomita. Bill przez całe życie nauczył się przygotowywać tylko tę jedną potrawę, ale też dzięki temu stał się jej prawdziwym smakoszem. Szybko uznał, że Anne musiała czegoś dodać do bekonu. Najpewniej jakichś ziół.

Z szafy dobiegały ich dźwięki „She Loves You” Beatlesów. Hopper nie przepadał za tym kawałkiem, ale i tak był on lepszy niż całe to gówno, którego słuchał Thomas.

„Mój Boże – skarcił się w duchu – naprawdę zaczynam myśleć jak Smutny”.

– Jest ktoś, kogo najbardziej chcesz zobaczyć? – zapytał Mike. Mówił z pełnymi ustami, więc kilka drobnych kawałków jajka upadło z powrotem na talerz.

– Becky – palnął Bill i zaraz pożałował szczerości.

Carter posłał mu zdumione spojrzenie.

– Myszkę Becky? – wykrztusił z niedowierzaniem.

Hopper uśmiechnął się, mając nadzieję, że jego grymas wygląda naturalnie.

– Nie ma jej na żadnych zdjęciach klasowych i prawie nie pamiętam, jak wygląda. A może w rzeczywistości była całkiem niezłą laską i dopiero teraz się przekonamy, jacy byliśmy ślepi.

Zdał sobie sprawę, że mówi nieco za głośno. Zerknął w stronę Anne, która siedziała na stołeczku za ladą, rozwiązując krzyżówkę. Jej delikatny uśmiech sugerował, że słyszała wszystko. Billowi nagle zrobiło się głupio. Zwłaszcza że kłamał. Nie dlatego chciał się spotkać z Becky Olson.

– Jakoś mi się nie wydaje – wyraził swe wątpliwości Mike. – Ja to chyba jednak najchętniej zobaczyłbym Susie i Watta. Ją nawet bardziej.

– Radzę ci uważać. – Hopper dojadł jajecznicę i odłożył widelec. Sięgnął po serwetkę. – Smutny nie Smutny, ale Watt spuści ci łomot, jak tylko spojrzysz na nią nieodpowiednio.

– Będę zerkał dyskretnie. – Carter popatrzył na zegarek. – Powinniśmy już jechać.

Bill pokiwał głową. Pozbierał talerze.

– Niech pan zostawi! – zawołała Anne. Poderwała się z krzesła i poprawiła niesforny kosmyk włosów, który opadł jej na twarz. – Ja posprzątam.

– O, niedoczekanie! – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – To pierwsza od lat okazja, by być dżentelmenem. Nie zmarnuję jej tak łatwo.

Postawił naczynia na stoliku i sięgnął po portfel.

– Reszta dla pani. Mam nadzieję, że zawitamy tu w drodze powrotnej.

– Też mam taką nadzieję – odparła dziewczyna. – Zapraszam.



– Wpadła ci w oko? – Mike miał najwyraźniej dobry dzień do zadawania pytań. Bill nie miał nic przeciwko temu, choć gdyby mógł, wolałby posłuchać radia.

– Kto?

– No, ta kelnerka. Spodobała ci się?

– Wiesz...

Mike zerknął na niego z cwaniackim uśmiechem.

– Obaj jesteśmy facetami, Bill – powiedział. – A twoją żonę ostatni raz widziałem... sam już nie wiem kiedy. Nie jestem jej szpiclem.

– Nie o to chodzi. Ja... – Hopper poczuł nagle, że kompletnie nie wie, co chciał powiedzieć. – Myślę, że była całkiem niezła.

– Też tak myślę. – Kumpel zmienił pas i przyspieszył, wyprzedzając kolumnę osiemnastokółowców. – Wiesz, kiedy tylko pomyślę, że najwyższy czas się ustakować, zawsze trafiam jakąś cizię, która uświadamia mi, co mógłbym stracić, rezygnując z wolnych, przelotnych związków.

Bill parsknął śmiechem.

– Chyba kpisz, Carter! Nawet na ciebie nie zerknęła.

– Ale ja na nią owszem. I gdyby chciała, nic by mnie nie blokowało.

„A myślisz, że mnie tak?” – pomyślał Hopper. Zaraz jednak wrócił do rzeczywistości. Problemem nie byłaby nawet Mary, raczej poczucie, że oto w jednej chwili burzy wszystko, co zbudował. Dla jednej krótkiej chwili.

– Wiesz co, Mike? Ty nigdy nie będziesz Smutnym.

Carter wzruszył ramionami.

– Kwestia podejścia. Zresztą będę, dziś w nocy.

Chwilę później minęli tablicę z napisem REZERWAT 60 MIL. Hopper zerknął na zegarek. Mieli całkiem niezły czas.



Stróżówka na pierwszy rzut oka nie wyróżniała się niczym szczególnym. Miała ściany z drewnianych bel i spadzisty dach kryty smołą. Obok znajdowała się brama z napisem: WITAMY W REZERWACIE. Zarówno to

miejsce, jak i prowadząca doń wyłożona kamieniami droga skojarzyły się Billowi z wjazdem do animowanej wersji parku Yellowstone. Brakowało tylko misia Yogi wykradającego jedzenie z koszyków.

– Z czego się śmiejesz? – zapytał Mike.

Kumpel powiedział mu o swoich skojarzeniach.

– Yogi to sprytny misiek – parsknął Carter. – Nie musi się objawiać zaraz w pierwszej scenie, prawda?

Podjechali do niewielkiego budynku z napisem REJESTRACJA. Bill wystawił rękę z wozu i nacisnął przycisk interkomu zamontowanego obok zasłoniętego okienka.

– Tak? – rozległ się kobiecy głos.

– William Hopper i Michael Carter. Przyjechaliśmy na zjazd. – Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej mały kartonik. – Numer rezerwacji dwa siedem trzy trzy cztery zero dwa jeden pięć.

– Chwileczkę.

Mężczyźni popatrzyli po sobie. Nie przypuszczali, że Rezerwat będzie przypominał McDriva.

– Wszystko się zgadza – znów usłyszeli z głośnika. – Proszę przejechać przez bramę i skręcić w lewo. Na parkingu proszę zatrzymać się na miejscu z napisem „gość”. Tam będzie już czekał na panów pracownik.

Mike odruchowo skinął głową i ruszył.

Gdy przejeżdżali przez bramę, Bill odniósł wrażenie, że powietrze zafalowało – jak w filmach, gdy ktoś dotyka niewidzialnej bariery. Złożył to jednak na karb gorąca. Powietrze lubi czasem robić takie numery, stąd fatamorgany i inne takie. A może po prostu mu się przywidziało...

Po kilkudziesięciu jardach przejechanych mocno ubitą drogą pomiędzy drzewami dotarli do elegancko wyasfaltowanego parkingu. Za nim wznosił się jednopiętrowy biurowiec z niemal całkowicie oszklonym frontem.

Mike pokręcił głową z dezaprobatą.

– Dobrze, że już słońce zachodzi – mruknął – bo jakby było wcześniej, to ten cholerny budynek działałby jak największy na świecie zajacek. Odblask najpewniej wypala oczy. Jeżeli to jedyny wjazd, to beznadziejne rozwiązanie.

Bill wzruszył ramionami. Rozejrzał się po parkingu i zauważył machającego im pracownika. Wskazał go przyjacielowi i skierowali się w tamtą stronę. Jechali na skos, lekceważąc narysowane na asfalcie linie. Sądząc po ilości miejsc, parking mógł pomieścić ze dwie setki samochodów. Teraz było ich nie więcej jak dziesięć, ustawionych wyłącznie na linii dla pracowników.

„Ciekawe, czy ten parking kiedykolwiek był pełen – pomyślał Hopper. – A jeśli tak, to co to była za okazja?”

– Jesteśmy. – Mike zaparkował. – Gotów?

Uśmiechnął się niepewnie. Widać dotarło do niego wreszcie, co zamierzają zrobić. Bill miał już te rozmyślenia za sobą. Teraz pozostało mu tylko podekscytowanie.

– Chwytny byka za rogi, brachu – odparł, otwierając drzwi. Wysiadł.

Pracownik Rezerwatu podszedł do niego i podał mu dłoń.

– John Harkness – przedstawił się. – Pan Hopper?

– Zgadza się. – Zdaniem Billa chłopak mógł mieć najwyżej dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat. Był więc niewiele starszy od Thomasa, a jednocześnie była od niego dojrzałość, której brakowało synowi Hoppera. Po raz kolejny dotarło do niego, że razem z Mary stanowczo za bardzo rozpieścili gówniarza.

– To ze mną rozmawiał pan przez telefon – powiedział Harkness. Potrząsnął głową i ręką odgarnął nieco za długą rudą grzywkę. – Przydzielono mi panów rezerwację. Pan Carter, jak rozumiem. – Skinął

głową Mike'owi, który właśnie wyłonił się zza samochodu. – Niestety, muszę zwrócić uwagę, że pański strój jest nieodpowiedni, by mógł pan wjechać do Rezerwatu.

„Pański strój jest nieodpowiedni? – zdziwił się w myślach Bill. – Tak mógłby powiedzieć angielski kamerdyner, nie pieprzony amerykański dzieciuch z kolczykiem w uchu”. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Wiem, oczywiście – odparł Mike. – Mam w bagażniku coś bardziej pasującego.

– Niech więc weźmie to pan ze sobą – polecił chłopak. – Najlepiej wraz ze wszystkimi nowymi rzeczami osobistymi. Ma pan kartę samochodu?

– Oczywiście.

– Więc także poproszę... i kluczyki. Pracownicy zajmą się pańskim samochodem, gdy my dopełnimy formalności.

Carter, który właśnie otworzył klapę bagażnika, znieruchomiał.

– Co znaczy zajmą się moim samochodem? – w jego głosie słychać było oburzenie.

– Pewnie tylko sprawdzą, czy nie ma nic nieprzepisowego – próbował uspokoić przyjaciela Bill. – Nie ukradną ci radia.

Mike wyciągnął z bagażnika reklamówkę z napisem SONY. Zatrzasnął klapę. Podszedł do Harknessa, podał mu dokumenty i kluczyki.

– Wiem, co jest w środku – powiedział.

Chłopak uśmiechnął się.

– Nie wątpię – zapewnił. – Gdy będziecie panowie opuszczać Rezerwat, wszystko co do śmiecia wróci na swoje miejsce. A teraz proszę za mną.

Ruszyli w stronę budynku. Bill z Harknessem nieco z przodu, a Mike, powłócząc nogami, za nimi. Wyglądał jak zgębiony nastolatek, któremu odebrano prawo jazdy. Jego rozpięta koszula łapała wiatr, nadymając się na plecach jak balon.

– Myślę, panie Harkness – Bill wyciągnął paczkę papierosów – że te śmieci to możecie mu już wyrzucić.

Chłopak roześmiał się.

– Przedni żart – stwierdził. – W rzeczy samej, znakomity.

Bill popatrzył na niego jak na kosmitę. „Przedni”?! Nawet za czasów jego młodości nikt tak już nie mówił. Skąd ten dzieciak się urwał?

Doszli do głównego wejścia budynku i zatrzymali się, by zaczekać na Mike’a. Hopper zastanawiał się przez chwilę, dlaczego kazano zaparkować im tak daleko, skoro cały parking był prawie pusty, ale nie narzekał szczególnie, bo nareszcie mógł w spokoju zapalić. W barze było mu głupio, później jakoś nie miał kiedy, a Carter nie życzył sobie palenia w samochodzie.

Po chwili dołączył i Mike. Szklane drzwi rozsunęły się przed nimi i weszli do klimatyzowanego holu. Przypominał bank – podłogi i ściany do wysokości pół metra wyłożono terakotą imitującą marmur, resztę pomalowano na biało. W lewym rogu znajdowały się dwie czarne sofy i stoliczek z ulotkami. Za nimi stały wielkie donice, w których rosły starannie dogłądane, poskręcane jak tropikalne drzewa fikusy. Po przeciwnej stronie postawiono coś na wzór portierni albo kasy, z ladą i szklaną ścianką z okienkiem. W środku boks siedział człowiek w czarnej koszulce z napisem OCHRONA na piersi. Był prawdopodobnie w wieku Harknessa, może nieco starszy. Na pewno postawniejszy. Gdy weszli, zmierzył ich wzrokiem, ale dostrzegłszy pracownika, wrócił do oglądania meczu.

Na wprost od wejścia, po przeciwnej stronie holu, znajdowały się schody, a obok nich niewielka winda dla niepełnosprawnych. W tamtą stronę właśnie kierował się Harkness.

– Oczywiście zapoznali się panowie dokładnie z regulaminem, prawda?
– zapytał, nie przestając się uśmiechać. – Co ważniejsze zasady i tak zostaną powtórzone, ale lepiej znać całość regulaminu. Muszą nam panowie uwierzyć, że interwencje to nic miłego i szkoda, gdy musimy ich dokonywać z byle powodu.

– Nie sądzę, byśmy mogli spowodować jakieś kłopoty – zapewnił Bill. Trochę głupio się czuł, mówiąc coś takiego do chłopaka w wieku syna. – Prawda, Mike?

Carter mruknął coś pod nosem.

Weszli po schodach na piętro i znaleźli się w korytarzu pełnym drzwi. Minął ich jakiś grubas w białej koszuli i pod krawatem, ale nawet nie spojrzał w kierunku gości. Podobnie jak stojąca przy automacie do kawy kobieta w ciemnozielonym kostiumie. Hopper zauważył, że poszło jej oczko w rajstopach. Ciągająca się od stopy do połowy łydki jasna linia na beżowym tle wyglądała jak blizna.

Harkness minął kilka biur i zatrzymał się pod numerem sto pięć. Wyciągnął z kieszeni kartę i wsadził ją do czytnika. Urządzenie zabzyczało, a po chwili drzwi stanęły otworem. Chłopak wszedł do środka. Bill i Mike ruszyli za nim.

– Wiem, że mamy niewiele czasu, ale niech się panowie rozgoszczą. Ja muszę zlecić parę rzeczy do przygotowania. – Zamachał trzymanymi w ręce dokumentami. – Panie Carter, może się pan przebrać tu albo w łazience. W barku znajdą panowie coś do picia i przekąski. Ja zaraz wrócę.

Zostali sami. Mike rozejrzał się po gabinecie.

– Teraz już wiem, na co ciągną taki szmal – powiedział, nie kryjąc zachwyty. W jednej chwili uleciał z niego cały niedawny gniew. – Zawsze marzyłem o takim biurze.

Bill usiadł na skórzanej kanapie. Zaczynał się denerwować i najchętniej ruszyłby już na miejsce, zamiast zwiedzać gabinety, choćby i najładniejsze. Poza tym jakoś nie lubił tych nowoczesnych mebli stanowiących mieszanek najdroższego drewna, skóry i połyskującego chromem metalu. W tej kwestii był niewątpliwie konserwatystą.

Carter podszedł do barku i otworzył małą lodóweczkę.

– O, mają kanapki z tuńczykiem. Chcesz?

– Przebieraj się.

Mike machnął ręką.

– Spoko, mamy czas. Oni grzebią mi po samochodzie, to ja im przynajmniej wyczyszczę lodówkę. – Wyciągnął zawinięty w folię trójkącik i odpakował. – A swoją drogą, to nie wydaje ci się, że powinniśmy być ubrani dokładnie jak tamci Smutni wtedy? Skorzystać ze wzoru?

Bill zerknął ukradkowo najpierw na zegarek, a potem na drzwi. Miał nadzieję, że Harkness wiedział, co robi, bo czas gnał nieubłaganie.

– Regulamin mówi jasno, że w takich przypadkach strój musi być zgodny z epoką – wyjaśnił – nie zawierać niewłaściwych, prowokujących elementów oraz pasować do charakteru postaci. Poza tym nie ma ograniczeń.

– Te wystarczą – burknął Mike. Otworzył drugie skrzydło barku i wyciągnął kartonik soku pomarańczowego oraz szklankę. – Poza tym ten strój nijak nie pasuje do mojego charakteru.

– Masz być dzisiaj Smutnym, pamiętasz?

Przyjaciel tylko wzruszył ramionami, ale zaraz poszedł się przebrać.

Bill został sam. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i zamknął oczy. Naraz zdał sobie sprawę, że właściwie to mimo rozmachu kampanii reklamowej, jaką rozpętał Rezerwat we wszystkich mediach trzy lata temu, o samej

firmie niewiele było wiadomo. „Pierwszy na świecie wehikuł czasu”, „Tylko u nas czas i przestrzeń nie mają znaczenia” – te slogany znał każdy niemal dzieciak w Stanach, a o skorzystaniu z usług potentata, któremu udało się wyprzedzić w badaniach rząd, marzyli wszyscy z wyjątkiem skrajnych republikanów. Choć kto wie o czym oni śnili w skrytości serca.

„Przeżyj raz jeszcze najwspanialsze chwile swego życia. Spotkaj się z tymi, którzy odeszli”.

Z Rezerwatem kojarzono powszechnie kilka twarzy, które w imieniu firmy udzielały się w spotach. Można też było w każdej chwili odwiedzić jeden z małych gabinetów wyglądających jak biuro podróży czy posłuchać relacji zadowolonych klientów. Nigdy jednak, z czego Bill właśnie zdał sobie sprawę, w żadnej z reklamówek nie pokazano ani siedziby, ani choćby samej bramy wjazdowej.

Nieznana była tożsamość prezesa i udziałowców, nikt też nie udzielał wyjaśnień technicznych, jak to wszystko działa, trudno się więc dziwić całej masie sceptyków twierdzących, że Rezerwat to jedna wielka blaga. Sądząc jednak po pozycji firmy na Wall Street, nie miało to żadnego znaczenia.



Jakiś kwadrans później wrócił Harkness. Wyglądał na zadowolonego.

– Pański samochód jest w porządku, panie Carter... Świetna koszula.

Mike prychnął w odpowiedzi. Kołnierzyk pił go w szyję, a poza tym błękitny nie był jego ulubionym kolorem. Ale jak powiedział Billowi, nie miał nic innego, co by pasowało do kremowego garnituru.

Harkness usiadł przy masywnym biurku i uruchomił komputer.

– Czas nagli, więc proszę się skupić – polecił. Wystukał coś na klawiaturze. – Widziałem, że pan pali, panie Hopper. Dobrze widziałem, że to były chesterfieldy?

– Zgadza się – potwierdził Bill.

– Będzie pan musiał zmienić pudełko. W lewym rogu jest data produkcji, a poza tym na pańskim jest jeszcze z pewnością informacja o szkodliwości palenia. Zupełnie nieklimatyczna. Ma pan szczęście, bo akurat tę markę znalazłem na składzie. – Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i rzucił Hopperowi. – Doliczyłem już do rachunku. Panie Carter, kto był prezydentem Stanów w czasie...

– Nixon – odparł Mike bez zastanowienia. Poczul się dotknięty, że taki gówniarz zadaje mu podobne pytania.

Harkness skinął głową.

– Zgadza się. Co pan o nim wie?

– Pan żartuje?! – obruszył się Carter. – Przecież wszyscy wiedzą o Watergate. Ma mnie pan za tępaka?

Zapadła chwila ciszy. Mike zorientował się po chwili, że przeskoczył parę lat naprzód.

– Przepraszam, zapomniałem – powiedział już dużo spokojniej.

Chłopak za biurkiem machnął ręką.

– Zdarza się każdemu, ale rozmów o polityce niech pan raczej unika. Właściwie to proponowałbym raczej neutralne tematy. Aha, i jeszcze jedno, nie są panowie ekspertami, jeśli chodzi o muzykę. Może się wam wydawać, że tak jest, ale zapewniam, że na zjeździe będą lepsi. Mają być lepsi. Proszę o tym pamiętać, a nie wypadniecie z klimatu.

Przyjaciele potwierdzili.

Harkness kliknął coś na komputerze i zazgrzytała drukarka. Po chwili wypluła dwie kartki. Chłopak podał je gościom.

– Tu są testy ze znajomości waszych postaci – wyjaśnił. – Z całą pewnością znacie je na wylot, ale to jest potrzebne do akt. Potrzebuję również zobowiązania, że nie złamiecie podstawowych zasad regulaminu, jak chociażby niewłaściwa ingerencja. No i że w razie czego zgadzacie się na interwencję.

– Będziecie nas obserwować? – spytał zaniepokojony Mike.

Chłopak uśmiechnął się.

– Cały czas, panie Carter. Caluteńki.



Harkness odłożył test Billa i uśmiechnął się.

– U pana, panie Hopper, również wszystko się zgadza – stwierdził, po czym zwrócił się do Mike'a: – Panie Carter, oto nowe dokumenty, prawo jazdy, komplet wizytówek, zdjęcie żony, takie tam. Aha, i zmieniliśmy panu breloczek w kluczach. Microsoft wyjątkowo nie pasował. Oczywiście zwrócimy go panu, gdy będziecie opuszczać Rezerwat. To wszystko tytułem wstępu. Teraz proszę o dopełnienie powinności finansowych w okienku na dole, a potem... cóż, życzę miłego zjazdu i do widzenia.

Obaj mężczyźni podnieśli się z sofy i ruszyli w stronę drzwi.

Bill zatrzymał się w progu.

– A jak zorganizujecie pretekst, byśmy mogli wkręcić się na tę imprezę?
– zapytał.

– Proszę się tym nie martwić – odparł Harkness z uśmiechem. – Jesteśmy profesjonalistami.

Hopper skinął głową i wyszedł na korytarz. Musiał podbiec kilka kroków, by dogonić Mike'a, który był już na schodach. Wyraźnie spieszyło mu się do samochodu.

„Dopełnienie powinności finansowych” – jak to ujął chłopak, przebiegło sprawnie i szybko. Siedzący w okienku ochroniarz ustąpił miejsca ślicznej dziewczynie z czerwoną apaszką na szyi, która pomogła im dokonać przelewu.

– A jakiś kwitek? – zapytał Mike. – Potwierdzenie?

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko. Z całą pewnością rezerwowała ten uśmiech dla policjantów chcących wlepić jej mandat lub dla nieprzyjemnych klientów.

– I co by pan z nim teraz zrobił? Przecież nie zabrał ze sobą.

Mike niechętnie przyznał jej rację, ale gdy tylko wyszli na parking, głośno wyraził swe wątpliwości.

– Wszystko to jakieś palcem na wodzie pisane – stwierdził. – Nie zdziwiłbym się, jakby to był jakiś przekręt. Płacisz taki majątek i nawet głupiego świstka?

– Przecież ci wyjaśniła, nie? – Bill nie podzielał wątpliwości przyjaciela.

– A gdyby to był przekręt, to nie uważasz, że wyszłoby to już jakiś czas temu? Któryś z klientów by się odezwał.

– Niekoniecznie. – Mike mocniej związał włosy i poprawił okulary. – Była taka bajka o królu, co chodził nago i nikt mu tego nie powiedział, bo sprytni oszuści ogłosili, że jeśli ktoś nie widzi szat, jest głupcem niegodnym swego stanowiska. Ludziom mogło być łyso, że dali się tak orznać, wierząc w coś takiego jak ten Rezerwat.

Hopper parsknął śmiechem. Chwilę wcześniej wziął potężnego macha i teraz wyglądał, jakby palił się od środka.

– Ta historia na pewno nie wydarzyła się u nas – powiedział. – W Ameryce nikt nie przepuściłby okazji, by wydusić wielkie odszkodowanie. Nawet jakby miał wyjść na idiotę.

Dotarli do samochodu. Stali jeszcze chwilę, aż Bill dopalił papierosa, po czym Mike uruchomił silnik.

CZEŚĆ II

ZJAZD

Mike '69

Watt Taylor cisnął pustą butelkę do kominka i chwycił za gitarę. Zagrał pierwsze dźwięki „Blowing with the Wind” i zaczął śpiewać. Miał naprawdę niezły głos o ciemnej barwie, mocny i donośny. Susan White, filigranowa blondynka, kilka miesięcy wcześniej królowa maturalnego balu, obecnie zajęta dorabianiem ponczu, zerknęła w stronę gitarzysty i posłała mu buziaka. Ten gestem głowy dał jej znak, by podeszła.

– *The answer, my friend, is blowin' in the wind...* – kolejne głosy włączały się do piosenki, która stała się ich hymnem. Pieśnią młodzieży w kwiecistych koszulach, z długimi włosami i o sercach pełnych wielkich ideałów. Pokolenia wolnego seksu i wiecznie rozbieganych oczu. – *The answer is blowin' in the wind...*

Susan przecisnęła się obok rozkołysanego nierytmicznie, mocno już wstawionego Mike'a Cartera i usiadła przy nogach Watta. Ręce splotła na jego kolanie.

Gdy wybrzmiał ostatni dźwięk gitary, uniosła się, by pocałować swego chłopaka. Watt położył rękę na jej piersi osłoniętej jedynie cienkim materiałem przewiewnej białej sukienki i ścisnął. Reszta zgromadzonych zgotowała im głośnie owacje.

Mike również klasnął kilka razy, zaraz potem jednak wstał i wyszedł przed chatkę. Nie miał szczęśliwej miny. Jak zwykle zresztą, gdy dane mu

było oglądać całujących się króla i królową ich rocznika. Świat nie miał, kurwa, pojęcia, czym jest sprawiedliwość. Nigdy.

Będąc już przy drzwiach, Mike dostrzegł jeszcze jedną osobę, która nie bawiła się najlepiej. Becky Olson, zwana przez nich Myszka Becky, siedziała w kącie i ze smutkiem w oczach patrzyła na całującą się parę. Carter był pewien, że dziewczyna kocha się w Watcie. Jak wszystkie w klasie zresztą. Tylor wyglądał jak marzenie każdej nastolatki, smukły, wysportowany, o śniadej skórze i czarnych prostych włosach. Podobno miał w sobie domieszkę krwi Siuksów. Do tego znakomita prezencja, odwaga, z jaką przemawiał na demonstracjach, no i głos! Gdyby tylko chciał, zawojowałby rynek muzyczny.

A Mike przecież wcale nie chciał wiele od życia. Zależało mu tylko na Susan. Wszystko inne Watt mógł sobie zatrzymać.

Carter wyszedł na werandę i popatrzył na ogromną tarczę księżyca nad drzewami. Podobało mu się tutaj. Od samego początku uważał, że pomysł, by uczcić zakończenie szkoły wielką imprezą w chacie gdzieś w leśnej głuszy, będzie trafiony. Cała ich wesoła paczka, gitara i mnóstwo alkoholu. No i ostatnia okazja, by pogapić się na miłość jego życia w białej sukience, która więcej odsłaniała, niż przykrywała.

Westchnął ciężko.

– Nie wiesz, gdzie jest Bill? – usłyszał cichy głosik za plecami.

Mike odwrócił się.

– Nie mam pojęcia, Becky – odparł, patrząc dziewczynie w oczy. „Jezu, ona naprawdę wygląda jak mysz!” – Ale mam nadzieję, że przyjedzie. Ma mnie jutro zabrać. Jedziemy w Skaliste.

Skinęła głową.

– Mówił mi o tym. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

– Coś ty! – Carter wzruszył ramionami. – Bill Patyczak i jego ognisty ptaszek są niezniszczalni.

Dziewczyna zachichotała, lekko unosząc ramiona. Jedno z szerokich ramiączek jej sukienki w groszki nieco opadło. Gdyby coś podobnego zdarzyło się pannie White, Mike miałby stracha o całość swoich dżinsów, ale u Myszkii Becky wzbudzało to jedynie żal.

Dziewczyna musiała dostrzec coś w jego spojrzeniu, bo pospiesznie poprawiła ramiączko i bąknęła ciche „przepraszam”. Carter, którego twarz wciąż jeszcze wyglądała jak kretowisko, a włosy sprawiały wrażenie, jakby ktoś je wymoczył w oleju, łaskawie wzruszył ramionami.

I wtedy właśnie usłyszeli strzał. Śpiące ptaki zerwały się z drzew, na moment przysłaniając księżyc chmurą swych skrzydlatych ciał.

Gdyby byli w mieście, Mike w ogóle by się tym nie przejął, uznając, że to gaźnik przejeżdżającego ulicą samochodu, ale tu, w głuszy, taki dźwięk budził niepokój. Oczywiście nadal mógł to być samochód, na przykład Billa, który wreszcie odnalazł drogę do chatki i teraz gna ku nim z zapasem piwa. Albo jakiś myśliwy postanowił postrzelać do grubszego zwierza. Ostrzegano ich przecież, by raczej nie opuszczali domku w nocy, bo choć dawno nic złego się nie zdarzyło, w okolicy mogą grasować wilki, a nawet niedźwiedzie.

– Co to, kurwa, było? – Na werandę wypadł Stu Higgins. W ręku trzymał butelkę piwa. On jedyny z całego towarzystwa nie nosił kwiecistej koszuli i długich włosów. Zamiast tego dobitnie deklarował swą przynależność do przeciwnego obozu, rozpowiadając wszem wobec, że jak skończy szkołę, zaraz idzie w kamasze. Jako chluba drużyny futbolowej miał ku temu dobre warunki. Poza tym cały czas ćwiczył coraz to nowe style walki i należał do kółka strzeleckiego. Sprawiał wrażenie idealnej

maszynki do zabijania, jednej z tych, o których marzył rząd. Ale oprócz tego był całkiem niezłym gościem i nie robił awantur, więc nawet go lubili.

– Nie mam pojęcia – odparł zgodnie z prawdą Mike. Delikatnie, ale stanowczo odsunął od siebie Becky, która przywarła do jego ramienia. – Brzmiało jak wystrzał.

– Nie sądzę. – Stu zszedł po schodkach. – Niech ktoś mi poda mój plecak. Mam tam latarkę i nóż.

„No tak – pomyślał Carter – komandos rusza na wojnę”.

Becky pognała do domu i po chwili wróciła z wojskowym plecakiem. Wszyscy pozostali, zasłuchani w głos Watta, nawet nie raczyli wyjrzeć. Nie zauważyliby pewnie nawet niedźwiedzia, gdyby wszedł do chatki. Przynajmniej dopóki nie zjadłby grajka.

Myszka podała plecak Stu, a ten wyciągnął z niego latarkę i nóż. Po chwili wahania wydobył też mały policyjny rewolwer i wsadził go z tyłu za pasek spodni.

Mike pokręcił głową. Nie wątpił w odwagę Higginsa, ale miał wątpliwości, jak ten zachowa się w lesie pełnym niepokojących dźwięków, mając przy sobie spluwę. Mógłby zrobić krzywdę sobie albo jakiemuś przypadkowemu turyście.

– Idę z tobą – powiedział.

Stu wzruszył ramionami i podał mu latarkę. Ramię w ramię ruszyli w stronę lasu.

Bill

– Gównno tam zaplanowane! – wściekał się Mike. – Rozsadziło nam pierdoloną oponę! Wiesz, co by było, gdybym się przypadkowo nie zatrzymał?!

Bill otworzył drzwi po swojej stronie i zapalił papierosa.

– Ekspłodowała dobrą chwilę po tym, jak stanąłeś, bo zabrakło ci benzyny – wyjaśnił najspokojniej jak tylko mógł. – Widzieli, że stoisz, cały czas nas przecież obserwują, nie?

– Więc niech sobie poobserwują to! – Mike otworzył okno i wystawił w stronę nieba środkowy palec.

Hopper parsknął śmiechem.

– Miałem na myśli pracowników Rezerwatu, a nie Wszechmogącego i jego aniołów. Poza tym opona musiała eksplodować. Tak ich przecież znalazłeś, nie? Znaczący Smutnych...

Carter westchnął ciężko i pokiwał głową.

– W takim razie wiszą mi za oponę. Tego nie było w kosztorysie.

– Założę się, że ta nie była twoja. – Bill zgasił niedopałek o podeszwę buta i cisnął go w krzaki. – Pewnie w czasie naszych testów założyli własne.

W krzakach nieopodal coś się poruszyło, a zaraz potem rozbłysło światło latarki. Prawdziwa zabawa właśnie się rozpoczęła.

Mike '69

Na pierwszy rzut oka obaj pasażerowie volvo wyglądali niegroźnie. Drugie i trzecie spojrzenie na zagubionych turystów w rodzinnym kombi również nie skłaniało do snucia jakichkolwiek podejrzeń, więc Stu kciukiem przełączył bezpiecznik pistoletu i opuścił lufę. Carter odetchnął z ulgą. Ostatnie, czego by chciał, to zostać wmieszany w przypadkowe zabicie jakichś Smutnych. Całe jego życie było jednym wielkim pasmem małych niepowodzeń. Nie zamierzał dodawać do nich naprawdę dużych kłopotów.

– Coś się stało? – zapytał głośno. – Potrzebują panowie pomocy?

Pasażer powoli wysiadł i położył ręce na dachu samochodu. Widać i on czuł, że sytuacja była raczej napięta.

– Dobry wieczór – powiedział spokojnie. – Nazywam się Thomas Graham. Właśnie wracaliśmy z przyjacielem z wypoczynku i strzeliła nam opona. Tak się składa, że nie wzięliśmy zapasu i...

Obaj chłopcy popatrzyli po sobie i Stu pewnym krokiem podszedł do samochodu. Przyklęknął przy oponie, po chwili jednak pokręcił głową.

– Mieli panowie szczęście – stwierdził. – Gdyby jechali panowie szybciej...

– Po tych drogach? – parsknął kierowca. – Wybacz, S... synu, ale to niemożliwe.

Higgins podniósł się z kolan.

– Nie jestem pańskim synem – powiedział.

Kierowca uniósł ręce w uspokajającym geście.

– Bez urazy, tak tylko mi się powiedziało.

– A wy, chłopaki, co tutaj robicie? – zapytał Bill. – Trochę późno na spacer po rezerwacie.

– Świątujemy koniec szkoły w chacie nieopodal – odparł Carter. Wyłączył latarkę, której światło z każdą chwilą stawało się coraz słabsze. Stu mógł pamiętać o zabraniu jej ze sobą, ale sprawdzenie baterii widocznie przekraczało już jego możliwości. – Może zabierzecie się panowie z nami?

– Myśleliśmy raczej o znalezieniu jakiegoś strażnika parkowego i ściągnięciu kogoś, by nas zaholował w jakieś cywilizowane miejsce – odparł pasażer, uśmiechając się lekko. – Choć jak teraz o tym pomyślę, o tej porze mogłoby to być raczej kłopotliwe. Mam nadzieję, że nie sprawimy wam kłopotów.

– Też mam taką nadzieję – burknął Stu. Posłał Carterowi spojrzenie pod hasłem: „Co ty, na Boga, wyprawiasz?!”.

Mike wzruszył ramionami. Sam nie do końca wiedział, ale głupio było mu zostawiać tych biedaków samych w lesie.

– Proszę pozamykać samochód – poradził. – Powinniśmy już wracać, bo nasi znajomi mogą się niepokoić.

Bill

Z każdą kolejną chwilą Bill coraz lepiej czuł się w skórze Thomasa Grahama. Podczas krótkiego spaceru zdążył przejść na ty z obydwoma chłopcami i podjąć z tuzin drobnych tematów. Wedle historyjki dostarczonej przez Rezerwat Graham był trenerem drużyny futbolowej w liceum na Florydzie, co sprawiło, że mógł znaleźć wspólny temat nie tylko z jak zwykle gadatliwą młodszą wersją Cartera, ale i z nieufnym dotąd Higginsem.

Stu, gdy tylko rozmowa zeszała na sport, zaczął gadać jak najęty, chwaliąc się osiągnięciami swoimi i drużyny i zupełnie nieświadomie zdradzając sekretne zagrywki taktyczne, które przez lata przygotowywał dla nich poczciwy trener Morris.

Bill obejrzał się na przyjaciela. Mike szedł nieco z tyłu, cały czas wpatrując się w plecy swego młodszego ja. Przechwyciwszy spojrzenie Hoppera, pokręcił głową z dezaprobatą i pokazał kciuk skierowany w dół.

„Ciekawe, jak ja zareaguję na siebie” – pomyślał Bill. Odruchowo wzruszył ramionami. Tym martwić się będzie później, teraz najważniejsze zrobić pierwsze wrażenie.

Zza drzew widać już było chatę. Na werandzie ktoś stał. Dziewczyna. Z tej odległości nie dało się dostrzec która, ale Bill był niemal pewien, że to

Becky. Myszka Becky Olson, której nikt jeszcze nie okazał cienia zainteresowania. Aż do tej nocy.

Mike '69

– Panie, panowie, mamy gości! – zawołał Carter, wchodząc do chaty. Tak jak oczekiwał, wszyscy spojrzeli w jego stronę. Mike przesunął się, wpuszczając do środka zagubionych turystów.

Niektóre dziewczyny na widok Smutnych odruchowo próbowały ukryć butelki z piwem, inne błyskawicznie zeskakiwały z kolan kolegów, poprawiając zwiewne, niemal przezroczyste sukienki.

– Hej, spokojnie! – powiedział niższy turysta o wydatnym brzuszku wylewającym się spod paska niczym piana z kufla. – Bez paniki. Też kiedyś byliśmy młodzi, nie? Mam na imię Tom, a to mój przyjaciel Vinni. Zepsuł nam się samochód i jeśli nie macie nic przeciwko temu, przekoczujemy u was tę nockę.

Hipisi nadal patrzyli podejrzliwie na niespodziewanych gości. Nikt się nie odezwał.

– Oczywiście dorzucamy się do piwa – dodał ten wyższy, Vinni, uśmiechając się szeroko.

Carter, który przed chwilą pomyślał dokładnie o tym samym, nagle uznał, że gość sprawia wrażenie całkiem fajnego faceta. I kombinuje jak należy.

– No, skoro tak, to chyba nie mamy się czym martwić. – Watt odłożył gitarę, wstał i ruszył w stronę przybyłych z wyciągniętą ręką. – Jestem Watt, czujcie się jak u siebie.

Mike wiedział, że teraz wszystko pójdzie już z górki. Taylor był niekwestionowanym liderem i wszyscy, może z wyjątkiem Stu i Billa Patyczaka, któremu czasem odbijało, liczyli się z jego zdaniem.

„To dobrze” – pomyślał Carter. Polubił tych Smutnych i miał nadzieję, że będą się tu dobrze bawić choć na chwilę oderwani od swych codziennych, z całą pewnością nudnych jak szlag spraw i obowiązków. Może przy okazji coś zrozumieją...

Wszyscy zaczęli się podnosić i witać z Tomem i Vinnim. Potem zaprosili ich między siebie i poczęstowali piwem. Zaczęły się luźne rozmowy na nieważne tematy.

Watt nie uczestniczył w pogawędkach. Stał pod ścianą, sącząc piwo i przyglądając się gościom z dziwnym wyrazem twarzy.

– Coś nie tak? – zapytał Mike. – Jesteś zły, że ich tu przyprowadziłem? Bo wiesz, noc i...

– Nie pękaj, Carter. – Taylor machnął ręką. – Trzeba pomagać ludziom w potrzebie, nie? Dobrze zrobiłeś. Ja tylko... – Odwrócił się i zerknął na niemal pustą plastikową skrzynkę. – Zejdiesz ze mną po piwo?

– Jasne.

Bill

Mike szturchnął siedzącego obok Billa. Wskazał na młodszą wersję siebie i Watta zmierzających w stronę piwnicy. Hopper parsknął śmiechem.

Wendy Roberts, która nieźle już podchmielona opowiadała właśnie o tym, jak tydzień temu nakryła rodziców w trakcie „tych rzeczy”, uznała ów wybuch radości za reakcję na jej opowieść. Sama zachichotała.

– Ojcu oklapł w jednej chwili! – wypiszcziała. – Jakby ktoś powietrze spuścił.

– Nie rozumiem, co cię tak cieszy. – Stojący nad nią Stu wzruszył ramionami. – Że twój staruszek może już nigdy nie zaznać przyjemności, bo córeczka za wcześnie wróciła do domu?

– Właśnie – dodał Frank O’Brian. Wbrew nazwisku wyglądał raczej na Włocha niż Irlandczyka. Drobny i chorowity, wślawił się tym, że w pierwszej klasie próbował umówić się z Myszką Becky. Potem nauczył się jej nie zauważać, ale i tak czasem jeszcze nazywano go Szczurkiem. – Kochający się ludzie w kwiecie wieku chcieli zażyć odrobinę przyjemności, a tu dupa. I dlaczego? Bo ich krągłutkiej córeczki znowu nikt nie zaprosił na randkę i musiała wrócić do domu zaraz po szkole.

Wendy wydeła wargi.

– Pieprz się, Szczurek! – syknęła.

Frank wzruszył ramionami.

– Zobaczyłem cię i jakoś przeszła mi ochota – odparł. – Widać działasz tak nie tylko na ojca.

Większość podpitych dzieciaków parsknęła śmiechem, a kilkoro nagrodziło ripostę brawami. Wendy podniosła się z kolan i chwiejnym krokiem odeszła w kąt wcześniej zajmowany przez Becky. Nikt się tym szczególnie nie przejął.

„Żadnego skrępowania – pomyślał Bill zdumiony. – Jakby w ogóle nas tu nie było... albo jakbyśmy byli zawsze”.

Upił łyk piwa i rozejrzał się za Myszką. Do tej pory widział ją przelotnie, gdy weszli na ganek. Uśmiechnęła się wtedy do niego i Hopper sam był zdziwiony, że dziewczyna ma naprawdę piękny uśmiech. Nigdy wcześniej tego nie zauważył. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że kiedy chodzili jeszcze do szkoły, Becky nigdy się tak naprawdę nie uśmiechała.

W końcu ją zauważył. Wciąż stała na werandzie wpatrzona w księżyc. Sama jak zwykle.

– Przepraszam was na moment – powiedział, wstając. Udało mu się nie nadepnąć nikogo z siedzących na podłodze. Kątem oka zauważył jeszcze,

że jego miejsce zajęła Susan. Usłyszał, jak pyta Mike'a, czym się zajmuje. Carter wzruszył ramionami i odparł, zgodnie z wyuczoną historyjką, że jest archeologiem. Potem już zupełnie od siebie uzupełnił opowieść o psa „Indianę” i kilka mrozących krew w żyłach historyjek.

Bill westchnął ciężko. Cały Mike! Można było mieć tylko nadzieję, że nie wyjedzie z tymi głupotami przy swoim młodszym wcieleniu.

Hopper przeciągnął się i wyszedł na werandę. Uderzyła go fala chłodnego nocnego powietrza, ale mimo to zdjął marynarkę. Cicho podszedł do Becky i okrył jej ramiona. Dziewczyna obróciła się gwałtownie.

– Zamarzniesz tu, dziewczyno. – Posłał jej jeden ze swych najbardziej niewinnych uśmiechów. Nie byłoby dobrze, gdyby uznała, że chce ją poderwać. – Rozumiem, że noc jest prześliczna, ale...

– Ja... ja czekam tu na kogoś – odparła Myszka.

Bill skinął głową. Doskonale wiedział, dlaczego tu stoi i na kogo czeka. „Obiecano ci odrobinę zainteresowania, a to wszystko, o czym marzysz”. Poczuł się podle. I co najgorsze, był bezradny.

– Skoro upierasz się, by tu zostać, zatrzymaj marynarkę – powiedział.

– Dziękuję panu.

– Mam na imię Tom... I nie ma sprawy.

Gdy wrócił, Carter nie był już w centrum zainteresowania, z piwnicy wrócili bowiem Watt i młodsze wcielenie jego przyjaciela. Taylor ponownie chwycił za gitarę i tym razem zaczął grać swoje kompozycje. Teksty były pełne niezrozumiałych metafor i stanowiły klasyczny przykład grafomańskiej poezji tamtych czasów, ale melodia oraz wykonanie nadrabiało literackie braki.

Bill wsłuchiwał się przez chwilę, aż zauważył, że Mike wciąż siedzi z Susie na kanapie. Dziewczyna szepnęła mu coś na ucho, po czym wstała i

ruszyła w stronę wyjścia. Mijając Hoppera, uśmiechnęła się promiennie. Z całą pewnością była pijana.

Chwilę po tym, jak Susie zniknęła za przeszklonymi drzwiami prowadzącymi na werandę, z sofy podniósł się Mike i również ruszył w tamtą stronę. Bill zastąpił mu drogę.

– Popierdoliło cię?! – syknął, zaciskając palce na ramieniu przyjaciela. – Nie możesz.

– A właśnie że mogę. – Carter wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nawet powinienem. – Głową wskazał swoją młodszą wersję. – Zaraz po mnie wyjdzie Mike junior i będzie się przyglądał temu, co Smutny robi z dziewczyną jego życia w szopie na drewno. I to zapewni mu materiał na kilkadziesiąt mokrych snów. Nie możemy przecież zmieniać przeszłości. Zwłaszcza tej, która nas dotyczy, nie?

Hopper zwolnił uścisk.

– Jeżeli przez to nastąpi interwencja... – zaczął, ale Mike wszedł mu w zdanie: – Bez obawy, nie nastąpi. I rozluźnij się trochę. Myślę, że zaraz powinieneś przyjechać, nie?

Minął Billa i wyszedł na werandę. Tak jak powiedział, chwilę później jego śladem ruszył Carter junior.

– A tę piosenkę napisałem specjalnie dla mojej Susan – powiedział Watt. Rozejrzał się za ukochaną, ale nigdzie jej nie zauważył. Machnął ręką. – Ona słyszała to już z tysiąc razy.

Zaczął śpiewać. Zdaniem Hoppera była to najpiękniejsza ballada, jaką kiedykolwiek napisano.

Mike '69

Cienka koszula w żaden sposób nie chroniła przed chłodem nocy, ale Carter nie zamierzał wracać, by się ubrać. Mógłby wtedy przeoczyć

moment, gdy Smutny postanawia zrobić krzywdę Susan. W końcu widział, jak za nią wychodzi.

W swoich myślach Mike był już bohaterem, który ściąga obleśnego, podstarzałego chudzielca z pięknej panny White, miss pokolenia *flower power*, a potem już nie całkiem zgodnie ze swoją ideologią obija gościowi mordę. Z pewnością za takie coś Susie da się pocałować, a kto wie, może nawet pozwoli na coś więcej. I pierdolić Watta! W miłości i na wojnie nie ma zasad.

Wychylił się zza budynku, a wtedy dostrzegł, że Smutny wchodzi do szopy na drewno.

– Mam cię! – powiedział cicho i ruszył w tamtą stronę.

Posuwał się ostrożnie, uważnie patrząc pod nogi. Nie chciał, by zdradziła go jakaś przypadkowo nadepnięta gałązka. Co prawda, jeśli ten facet był tam teraz z Susan, z całą pewnością nie nasłuchiwał, co się dzieje na zewnątrz, ale ostrożności nigdy za wiele.

Mike przywarł plecami do ściany szopy i uważnie popatrzył na wszystkie strony. Nie dostrzegłszy nikogo, odwrócił się i zerknął przez szczelinę w deskach.

Z wnętrza bił delikatny blask świec. Ustawione były na ziemi, okalając centralny drewniany filar. Susie stała w środku kręgu. Uśmiechała się.

– Lubisz ogień? – zapytała, odgarniając włosy. Sądząc po głosie, była już nieźle wstawiona. – Ja wprost uwielbiam, podobnie jak Watt. Te wszystkie rozedrgane cienie, falujące powietrze i żar, niebezpieczny i pociągający zarazem.

Z cienia wyłonił się Smutny. Szedł powoli, nie odrywając oczu od dziewczyny. Niby był spokojny, ale dłonie, raz po raz rozluźniające się i zaciskające w pięści, mówiły wszystko. Zdaniem Mike'a, facet był tak

nabuzowany, że mało nie eksplodował. Gdy się odezwał, jego głos również drżał z podniecenia.

– Myślę, że ogień jest w porządku. Zależy jeszcze, co oświetla. Rozumiem, że przygotowałaś to wcześniej dla swojego kochasia?

Przestąpił nad świecami i wszedł do kręgu. Wyciągnął rękę w stronę dziewczyny. Ta cofnęła się i oparła o filar.

– Nie tak szybko – powiedziała stanowczo. – Najpierw pokaż, co obiecałeś.

Facet wykrzywił się obleśnie. „Tak właśnie wyglądają żołnierze patrzący na wietnamskie dziewczyny leżące u ich stóp” – pomyślał Mike. Był pewien, że krzywią się w ten sam sposób, rozpinając spodnie, by dać im posmakować „amerykańskiego specjału”. Pierdolone służusy faszystowskiego rządu!

Smutny wyciągnął z kieszeni plik banknotów spięty plastikową klamrą. Rzucił pieniądze na ziemię.

– Chcesz przeliczyć teraz? – zapytał.

Susan pokręciła głową i chwyciła gościa za poły marynarki. Pocałowała go.

„Pędź po Watta!” – coś podpowiedziało Mike’owi. Sytuacja z całą pewnością nie wyglądała tak, jak sobie wymarzył. Susan nie była w niebezpieczeństwie, wręcz przeciwnie, chciała tego. Sprzedawała się temu obleśnemu chudzielcowi jak ostatnia dziwka. Carter przypomniał sobie rozmowę z Watem w piwnicy, gdy tamten mówił, jak niewiele brakowało, a też zostaliby Smutnymi. Jak niewielki krok dzielił ich od kieratu zwanego dorosłym życiem, w którym najważniejszy jest domek na przedmieściach, dobry college dla dzieci i krawat odpowiedni do marynarki. Świat pieniądza...

„Tobie może się udało, Watt, stary druhu, ale Susie dała się złapać w pułapkę”.

Nagle zrobiło mu się niedobrze. Mało brakowało, a rzeczywiście pobiegłby po Taylora, ale w tym właśnie momencie Smutny odsunął Susan i kazał jej się obrócić. Dziewczyna posłusznie stanęła przy filarze, chwyciła go oburącz i pochyliła się do przodu. Skrzywiła się lekko, gdy mężczyzna podciągnął do góry jej zwiewną sukienkę i powoli zsunął majtki.

Carter poczuł, że narasta w nim podniecenie. Patrzył, jak mężczyzna wsuwa ręce pod materiał i dotyka piersi dziewczyny jego marzeń, jednocześnie ocierając się krocem o jej nagie pośladki. Dziewczyna odchyliła głowę do tyłu i jęknęła. Udawała, Mike był tego pewien. Przecież jeszcze przed chwilą krzywiła się, gdy mężczyzna unosił jej sukienkę. Ale zapłacił, więc zapewniała mu pełen serwis, łącznie z tymi świecami i gadkami o ogniu.

„Tylko u tegorocznej królowej balu liceum w Troy – przemknęło Carterowi przez myśl – jęki i udawany orgazm wliczony w cenę. Oferta ważna do wyczerpania zapasów hipokryzji”. Smutny rozpiął spodnie i pozwolił im opaść do kostek. Gwałtownym ruchem zsunął szorty, uwalniając swojego małego. Tak, to właśnie było odpowiednie słowo. Zdaniem Cartera, facet wyglądał żałośnie.

„Tylko się teraz nie odwracaj, Susie, bo parskniesz śmiechem i pryśnie cały nastrój”.

Dziewczyna nie odwróciła się. Głowę miała opuszczoną, tak że Mike nie mógł dojrzeć jej twarzy. Nie widział także łez, które popłynęły po policzkach Susie, gdy mężczyzna się w nią wbił. Ani tych, ani kolejnych chwilę później.

Bill

– Przepraszam, panie...

Bill odwrócił się. Przed nim stał Watt. Wyglądał na zaniepokojonego.

– Mów mi Tom – przypomniał. – W czym mogę ci pomóc?

– Zastanawiam się, czy nie widział pan... czy nie widziałeś mojej dziewczyny. Drobną blondynką, w białej sukience. Ma na imię Susan.

Hopper zawahał się. Po raz pierwszy, od kiedy pojawił się na zjeździe, czuł, że nie wie, co powinien powiedzieć. Gdzie właściwie skierować chłopaka? Nie miał zbyt wielkiego wyboru i każda opcja mogła ciągnąć za sobą groźbę interwencji. „Wystarczy jeden kamień w niewłaściwym miejscu i zmienia się bieg historii” – przypomniał sobie cytat z przeczytanego kiedyś artykułu. Co prawda w tym przypadku nie miało to aż takiego znaczenia, ale...

– Widziałem ją przed chwilą – powiedział w końcu. – Chyba poszła na górę.

– Wielkie dzięki.

– Nie ma sprawy – odparł Bill. Patrzył, jak chłopak rusza w kierunku schodów. To powinno dać Mike’owi jakieś dwie dodatkowe minuty. Przez chwilę stał w milczeniu, mimowolnie zaciskając pięści i oczekując wtargnięcia facetów w kominiarkach i z napisem REZERWAT na czarnych kurtkach. Czy tak właśnie wyglądałaby interwencja? A może po prostu straci przytomność i obudzi się w biurze ze współczesnymi meblami, gdzie facet w wieku jego syna powie mu, jak bardzo się na nim zawiódł...

Na werandę wkroczył młodszy Mike, a chwilę później Susan z zaczerwienionymi od łez oczami.

„Carter, sukinsynu, coś ty jej zrobił?!” – pomyślał Bill w nagłym przypływie gniewu.

Weranda pojaśniała blaskiem reflektorów, a chwilę później na podwórze przed chatą wjechał zielony ford thunderbird. William Hopper, przez

kolegów zwany Patyczakiem, właśnie dołączył do zabawy.

Mike '69

„Zachowuj się naturalnie – nakazał sobie Mike – nie daj po sobie poznać, co widziałeś”.

Uśmiechnął się do stojącej obok Myszki. Teraz był już pewien, że czeka na Patyczaka. Nie miał tylko pojęcia po co. Czyżby Bill obiecał jej coś przywieźć? Ale czego może potrzebować ktoś taki jak ona?

Poczuł na sobie spojrzenie drugiego spośród Smutnych. Grubas wyraźnie mu się przyglądał. Kto wie, może też polował na kogoś, tyle że dla odmiany gustował w chłopcach? Teraz już nic by go nie zdziwiło.

Na werandę weszła Susan. Minęła Mike'a bez słowa i zniknęła we wnętrzu chaty. Sprawiała wrażenie, jakby każdy krok sprawiał jej ból.

Carter odwrócił się i oparł ręce o barierkę. Myślał o Smutnym i o tym, czy powinien mu spuścić łomot pod byle pretekstem. Przed wszystkim jednak wciąż miał pod powiekami obraz Susan White opartej o filar. Susan z podciągniętą sukienką i twarzą ukrytą we włosach...

Z oddali dobiegł go odgłos silnika, a chwilę później na podwórze wjechał samochód.

Mike zerknął w stronę Myszki. Uśmiech na twarzy Becky potwierdzał jego wcześniejsze przypuszczenia. Czekala na Patyczaka. Tylko po co?

Z samochodu wysiadł średniego wzrostu chłopak w dżinsach i białej koszulce bez rękawów. Miał czarne, zaczesane na żel włosy, a za uchem papierosa. Wyglądał, jakby go żywcem przeniesiono z lat pięćdziesiątych.

– Siema, Carter! – zawołał. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął grzebień i płynnym ruchem przeczesał włosy. – Cześć, Becky. Jak impreza?

– Się kręci – odparł Mike. – Co tak późno?

Patyczak wzruszył ramionami.

- Musiałem kupić parę rzeczy. Pomożesz mi?
- Jasne. – Carter odepchnął się od barierki i zbiegł po schodkach.

Bill

Hopper przyglądał się sobie z niedowierzaniem. „Więc taki właśnie byłem... Jakbym się urwał z castingu do *West Side Story*”. Pokręcił głową.

- To jest Patyczak – przedstawiła chłopaka Wendy.

Bill czuł jej spojrzenie na sobie już od dłuższego czasu i podejrzewał, że przez cały ten czas szukała okazji, by do niego zagadać.

- Wygląda sympatycznie.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Może i wygląda, ale to palant.

Patyczak oddał trzymane w rękach duże papierowe torby O'Brianowi i zaczął witać się ze znajomymi. Ktoś z siedzących na sofie – Bill z miejsca, gdzie stał, nie za bardzo mógł zobaczyć kto – zapytał jego młodszą wersję, czy zatrzymał się po drodze, by dmuchnąć jakiegoś niedźwiedzia.

– Nie martw się – odparł Patyczak – specjalnie dla ciebie zostawiłem kilka niedźwiedzich dziewic.

Towarzystwo ryknęło śmiechem. Najbardziej, jak zwykle, słychać było Charliego Millera, który zdaniem Watta śmiał się, jakby gwizdek lokomotywy dostał czkawkę.

- Tom, chcesz ponczu? – przypomniała o sobie Wendy.

Bill odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej.

- Chętnie – poprosił – jeśli byłabyś tak miła.

Począł, aż dziewczyna odejdzie kilka kroków, i ruszył w stronę dzieciaków ściśniętych przy sofie.

- Cześć – zagadnął.

Patyczak popatrzył na niego z wyrazem zdumienia na twarzy.

– To jest Tom – wyjaśnił stojący za nim młody Carter. – Miał awarię samochodu, więc go zaprosiliśmy.

– Jest jeszcze Vinni – dodał O’Brian – ale gdzieś nam zniknął.

– Dorzucamy się do piwa – powiedział Bill i z uśmiechem wyciągnął rękę.

Patyczak uścisnął ją.

– Widzę, że wiesz, jak rozmawiać ze współczesną młodzieżą, Tom.

– Niczym się nie różni od tej, gdy ja byłem młody.

Towarzystwo ponownie wybuchnęło śmiechem i tym razem Bill śmiał się razem z nimi. Przez krótką chwilę czuł się wspaniale. Wrócił czas, gdy był duszą towarzystwa. I mniejsza z tym, że tłuste babsztyle jak Wendy Roberts uważały go za palanta. Miał wtedy kumpli i cięte riposty. Dowcipy, których nie wyczytał z „Readest Digest”.

I wtedy właśnie ponownie dostrzegł Becky. Stała przy wejściu, a na ramionach wciąż miała jego marynarkę.

Dobry nastrój Hoppera prysł w jednej chwili. Dostrzegł, że jego młodsze wcielenie zerka na dziewczynę i uśmiecha się. Zaraz podejdzie do niej i zagada coś głupiego, a potem pójdą razem na górę.

„Nie, jeśli zaraz coś zrobisz – przemknęło mu przez głowę. – Możesz temu zapobiec, wystarczy, że odciągniesz ją, powiesz...”

Wiedział jednak, że to beznadziejne. Ta dziewczyna była zadurzona w tym dupku i nie miał szans na powstrzymanie jej inaczej jak tylko siłą. A wtedy z całą pewnością szybciej niż ochrona Rezerwatu zareagowałiby zebrani wokół. Bo, nieważne, co myślał, nie był jednym z nich. Był Smutnym.

– Pieprzyć to – mruknął pod nosem i pewnym krokiem ruszył w stronę wyjścia.

Usłyszał jeszcze zdumiony głos Wendy, która uporała się wreszcie z nalaniem dwóch szklanek ponczu i stała teraz z nimi przy sofie, nie wiedząc, co się dzieje. Bill pchnął drzwi i wyszedł na zewnątrz. Zbiegł po schodkach i nie oglądając się za siebie, pognął w stronę lasu. Jak najszybciej mógł.

Biegł tak, dopóki klucie w piersi nie zmusiło go, by się zatrzymał. Przywarł pośladkami do drzewa i pochyłony wsparł dłonie na kolanach. Serce waliło mu jak oszalałe, wciągane powietrze paliło gardło, a na dodatek poczuł zawroty głowy. Czuł, że w każdej chwili może wymiotować.

Gdy odwrócił głowę, wciąż widział światła chaty, mimo że odbiegł naprawdę daleko. Uśmiechnął się. Tak naprawdę był to chyba najdłuższy dystans, jaki przebiegł w całym swoim dorosłym życiu.

– Brawo, panie Hopper – usłyszał znajomy głos.

Bill uniósł głowę i dostrzegł Harknessa. Chłopak, ubrany teraz w koszulkę khaki i oliwkowe bojówki, opierał się o drzewo kilka metrów dalej. Sądząc po wyrazie jego twarzy, nieźle się bawił.

– Myślę, że może pan być z siebie zadowolony, panie Hopper. Pędził pan, jakby miał za plecami tysiąc diabłów. Aż szkoda, że będzie pan musiał tak szybko wracać.

– Nigdzie... nigdzie nie wracam – wysapał Bill. – Mam dość.

Harkness pokiwał głową.

– Wcale się nie dziwię, zwłaszcza że właśnie za chwilę zgwałci pan Becky Olson. – Zerknął na zegarek. – O tak, właśnie w tej chwili jest pan z nią w pokoju, całujecie się. Za około dwie minuty wsunie jej pan rękę do majtek, a potem się zacznie...

– Zamknij się! – wycedził Bill. – Po prostu się zamknij.

– Nie chciałem pana zdenerwować, Hopper. – Chłopak wyciągnął przed siebie ręce w uspokajającym geście. – Chciałem tylko oszczędzić sobie i panu gadek w stylu: „Ja muszę... nie mogę ci powiedzieć czemu, ale nie mogę tam wrócić”. Wiem wszystko, setki razy oglądałem to na wideo, przygotowując się do realizacji zamówienia. Ale, proszę mi wierzyć, pan naprawdę musi tam wrócić. Inaczej czeka nas interwencja.

Bill wzruszył ramionami.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– A powinno. – Harkness odepchnął się plecami od drzewa i ruszył w kierunku Hoppera. – Pańskim kolegom nie robi to co prawda większej różnicy, a młodszym wcieleniom pana i pana Cartera zafunduje się programowanie mózgu podobne do tego, które zafundowaliśmy prawdziwym... jak to pan Carter raczył powiedzieć?... Smutnym? Wie pan, o kogo chodzi. Niemniej srogie konsekwencje panów nie miną.

– O czym ty mówisz, Harkness? – nie zrozumiał Bill.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie należę do grupy szturmowej, ale to naprawdę nic dobrego. Powinien pan więc wracać, i to szybko. Więcej ostrzeżeń nie będzie.

– Pan mi grozi?!

– A sądzi pan, że nie mam możliwości? – Harkness uśmiechnął się krzywo. – Pracuję dla firmy, która w jednej chwili może sprawić, że przestanie pan istnieć. Pstryk i William Hopper nigdy się nie urodził. Albo budzi się nagle z głową pełną wspomnień mordercy. Albo... Rozumie pan, o czym mówię?

Bill westchnął ciężko i raz jeszcze spojrzął w stronę chaty. Właściwie to co zmieniała ta jego ucieczka? Co się stało, to się nie odstanie i nie zmieni tego, zachowując się jak dziecko. Było mu głupio, że potrzebował Harknessa, by to sobie uświadomić.

– Już wracam – powiedział. – Tylko odsapnę tu jeszcze chwilkę.

– Jasne. – Chłopak pokiwał głową. – Swoją drogą, fatalnie pan podszedł do tego zjazdu.

– Nie rozumiem.

– To proste. – Harkness uśmiechnął się. – Pańska postawa jest dość powszechna wśród naszych klientów, ale i tak zawsze mnie jakoś zaskakuje. Chodzi o motywację. Kieruje panem poczucie winy z powodu tego, co zrobił pan pannie Olson, a czego nie mógł pan później odpokutować. I to w panu siedziało przez całe życie. A teraz wydał pan majątek, by cofnąć się w czasie i raz jeszcze przeżyć cały ten ból. Tylko po to. Bo przecież wiedział pan, że nie pozwolimy panu zmienić przeszłości, prawda?

Hopper skinął głową.

– Dziwię się, że nie bierze pan przykładu z pana Cartera. On potraktował naszą ofertę jako formę wypoczynku. Znalazł w całym tym spotkaniu przed laty coś, co dało mu teraz satysfakcję i...

– Nie mówmy już o tym – poprosił Bill. Nie miał ochoty słuchać o tym, jak Mike świetnie się bawi. Znów miał przed oczami twarz Susan wchodzącej do domku. Zaciśnięte usta i zaschnięte łyzy na policzkach...

– Jak pan chce, panie Hopper – Harkness ponownie się uśmiechnął – ale proszę spróbować się rozluźnić. Nie lubimy, jak nasi klienci wyjeżdżają smutni z Rezerwatu. – Spojrzał na zegarek. – Jeśli ruszy pan teraz spokojnym krokiem, to po dojściu na miejsce sprawa panny Olson będzie już przeszłością. Do zobaczenia jutro.

Odwrócił się i po chwili zniknął między drzewami.

Bill ruszył z powrotem w stronę chaty. Powoli, a mimo to droga wydała mu się wyjątkowo krótka. Jak to mówił Harkness? „Pstryk i nie ma pana”? Podobnie teraz on – pstryk i był już na podwórzu.

Pod werandą ktoś stał. Dziewczyna. Wtulała ręce w ramiona i szlochała cicho.

– Becky? – zagadnął odruchowo. Spojrzała na niego zdumiona, więc zaraz dodał: – Tak masz na imię, prawda?

Skinęła głową, po czym otarła twarz rękawem.

– Coś się stało, prawda? Masz ochotę pogadać?

Tym razem zaprzeczyła gwałtownie. Bill odniósł wrażenie, jakby w jednej chwili skurczyła się w sobie. Sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął pogniecioną paczkę papierosów.

– To może choć zapalisz i pomilczymy sobie razem – zaproponował. – Bo możesz być pewna, że nie pozwolę, by tak śliczna dziewczyna stała tu sama w taką noc. Za żadne skarby.

Becky wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się lekko. Tylko odrobinę, ale Billowi to wystarczyło...

Mike '69

– Naprawdę poradzimy sobie – raz jeszcze zapewnił Mike. Naprawdę tak uważał. Co prawda sprzątnięcie było rzeczywiście dużo, ale wolałby robić to sam, niż korzystać z pomocy Smutnych. Zwłaszcza tego wyższego. Uśmiechnął się i wyciągnął papierosa z podstawionej mu paczki. – Teraz, kiedy wszyscy zabrali się już na autobus i Watt nie przeszkadza nam z tą swoją gitarą, spokojnie możemy zrobić tu porządek. Zwłaszcza że i tak zostajemy do jutra.

Gruby skinął głową i wyciągnął z kieszeni portfel. Podał Mike'owi zwitek banknotów.

– Za piwo.

– Mielicie się dorzucić – zauważył podejrzliwie Carter – nie płacić za wszystkich.

– Powiedzmy, że to bonus za dobrą zabawę. – Smutny uśmiechnął się. – Jeszcze raz dzięki za wszystko.

Podali sobie dłonie. Na szczęście drugi z gości stał już po drugiej stronie podwórza i Mike nie musiał podawać mu ręki. Skinął tylko głową, a tamten odpowiedział tym samym.

Carter odczekał, aż obaj obcy znikną między drzewami, i dopiero wtedy wrócił do chaty. Nie zamierzał nawet kiwnąć palcem, dopóki Bill nie ruszy swej cholernej dupy z łóżka, by mu pomóc.

Znalazł pełną butelkę, otworzył i rozsiadł się w fotelu, rozmyślając o minionej nocy. Zwitek banknotów jakby emanował ciepłem. Mike złapał się na myśli, czy taka stawka wystarczyłaby Susan. Miał zamiar spytać ją o to zaraz po powrocie.

Bill

– Dałeś mu pieniądze? – zapytał Mike. – Tyle, ile kazali?

– Oczywiście – odparł Hopper, wsiadając do samochodu. – Trzymam się zasad. Swoją drogą, skoro prawdziwy Smutny dał ci wtedy tyle szmalu, to dlaczego ja nic o tym nie wiedziałem? Powinieneś się być podzielić.

Mike ostatni raz opukał nowe koło i również wsiadł. Wsadził kluczyk do stacyjki, przekręcił.

– W ogóle nie widać, że zmieniane – powiedział jakby nigdy nic. – I nie ma śladu po ich oponach. Ci goście są niesamowici.

– Zapytałem o coś, Carter – przypomniał Bill. – O tym, że widziałeś, jak ktoś dmucha Susan, też nie raczyłeś mi wspomnieć. Ani razu, przez te wszystkie lata.

– Tak jak ty o tym, że rozdziewiczyłeś Myszkę. – Mike wzruszył ramionami. – Nie patrz tak na mnie. Myślałeś, że się nie domyślę? Najpierw w barze mówisz o tym, że chciałbyś zobaczyć właśnie ją, potem

dajesz jej marynarke. Troche mnie to zaciekawilo. I wiesz co? Teraz nie uwazam, zeby byla taka znowu brzydka. Moze i miales wtedy oko...

– Zamknij mordę!

Powietrze wokół nich zafalowało, las też się zmienił. Z całą pewnością nie byli już w Maine swej młodości. Wrócili do Rezerwatu.

EPILOG

Po Harknessie nie było widać nocnego czuwania. Szeroko uśmiechnięty powitał ich na parkingu.

– Mam nadzieję, że dobrze się panowie bawili – powiedział, gestem zapraszając ich do budynku. – Teraz proponuję kąpiel i odrobinę snu. Nie chcemy, by coś się panom stało w drodze powrotnej.

– Rzeczywiście, przyda mi się trochę snu – stwierdził Mike, oddając chłopakowi kluczyki do samochodu. – Ta sama droga?

– Tak, panie Carter. Dokładnie ta sama.

Bill patrzył przez chwilę, jak jego towarzysz idzie dziarskim krokiem w stronę budynku. Zaciągnął się papierosem.

– Muszę panu podziękować za...

– Nic pan nie musi – wszedł mu w zdanie Harkness. – Rzadko się zdarza, bym robił coś, nie widząc w tym zysku dla firmy. Taki już jestem, panie Hopper, i proszę mi wierzyć, nie było w tym nic szlachetnego.

– Nie rozumiem.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że począwszy od chwili, gdy dowiedział się pan o śmierci panny Olson, całe pańskie życie jest próbą odkupienia tamtej nocy? – Uśmiechnął się i pokiwał głową. – Tak, panie Hopper, proszę nie patrzeć na mnie w ten sposób. Pańska decyzja o podjęciu stałej pracy niedługo po tamtym wypadku, ślub z kobietą, która przypominała panu Becky, całkowita zmiana stylu życia... Wszystko z poczucia winy.

Bill westchnął ciężko i cisnął niedopałek na ziemię. Przydeptał. Do tej pory nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, ale Harkness miał rację. Nie było sensu zaprzeczać.

– Po co pan mi to mówi? – zapytał.

– Bo myślę, że wystarczy już tej pokuty – odparł chłopak, wzruszając ramionami. – I chcę panu zaoferować pracę.

– Pracę? – zdziwił się Bill. – Jaką pracę?

– Cóż, myślę, że powinienem raczej powiedzieć „nowe życie” – uściślił Harkness. – Sprawiamy, że umiera pan dla świata, by odrodzić się jako nieznany nikomu pracownik naszej firmy. Dostaje pan drugą szansę, a my zyskujemy człowieka z charakterem. Obie strony są zadowolone.

Bill zamyślił się. Oferta brzmiała kusząco, ale przecież nie mógł tak zostawić wszystkiego w jednej chwili. Pał sześć wyrzuty sumienia, ale przecież przyzwyczał się do swojego życia. I był za stary, aby nagle je porzucać. Starych drzew się nie przesadza, jak zwykł mawiać kiedyś jego ojciec.

– Rozumiem, że ma pan wątpliwości, dlatego nie naciskam. – Harkness powoli ruszył w stronę budynku. – Teraz powinien pan odpocząć, a jeśli po przebudzeniu uzna pan, że nie powinien przyjmować oferty, cała ta rozmowa zniknie z pana pamięci. Ale naprawdę radziłbym się zastanowić. Na przestrzeni wieków nie było jeszcze ani jednej reklamacji.

Skinął głową i odszedł, zostawiając Billa sam na sam z jego zdumieniem.



Anne kończyła podliczać dochody z kasy i właśnie miała szykować się do wyjścia, gdy nagle zadzwonił dzwoneczek umieszczony nad drzwiami wejściowymi.

– Bardzo mi przykro, ale już zamykamy – powiedziała, nie podnosząc głowy. – Serdecznie zapraszam jutro.

– Jutro może być za późno – rozległ się ciepły męski głos.

Anne podniosła głowę i dostrzegła mężczyznę, który dwa dni wcześniej zamówił u niej jajecznicę. Nie wiedzieć czemu, jego twarz jakoś utkwiała dziewczynie w pamięci.

– Mogę panu w czymś pomóc? – zapytała.

– Tak, może pani – odparł mężczyzna. Przeszedł na drugi koniec restauracji i wrzucił monetę do szafy grającej. Nacisnął przycisk i po chwili rozległy się dźwięki „Angie” Stonesów. – Jeśli byłaby pani tak miła, chciałbym zaprosić panią do tańca. A potem... cóż, potem się zobaczy.

Czasami mam wrażenie, że moja wyobraźnia nie dorasta do rzeczywistości. Że choćbym nie wiem jak się starał, życie i tak napisze mocniejszą, lepszą historię, namaluje obrazek mocniej zapadający w pamięć. Tak jak w przypadku tego opowiadania. W moim rodzimym miasteczku mieszkała sobie bowiem para młodych ludzi. Znacie takich – wydaje się, że byli razem od zawsze, że już płacząc w szpitalu, wykrzykiwali nawzajem swe imiona. Wspólna piaskownica, ławka w jednej, potem w drugiej szkole, wreszcie – gdy zdecydowali się na studia – wspólna stancja i plany na przyszłość. Potem już prosta droga od pierścionka do obrączki.

Ślub i wesele mieli oczywiście starannie zaplanowane, potwierdzeni goście, kapela, ćwiartka wódki na głowę... Nie chcąc zniknąć w trakcie przyjęcia, umówili się z fotografem tydzień wcześniej, by już w sukni i garniaku udawać małżeństwo.

I wreszcie ostatni tydzień, trochę zbyt mocno zakrapiane kawalerskie, poroniony pomysł na nocną kąpiel w jeziorze. Przyszły pan młody wpadł w wir, czy może złapał go skurcz nogi, w każdym razie wedle relacji świadków zdołał krzyknąć kilka razy, zanim się zachłysnął.

Mało brakowało, a tragedia byłaby jeszcze większa, dziewczyna bowiem próbowała się zabić tyle razy, że wreszcie naszprycowano ją końską dawką psychotropów, zamieniając w ogłupiałe zombie. Rodzina zajęła się odwoływaniem imprezy, wycofywaniem zaproszeń ślubnych i wystosowywaniem zawiadomień o pogrzebie. Ślub miał być w sobotę po południu, pogrzeb ustalono na wtorek rano.

I zrządzenie losu chciało, że właśnie na wtorek, z małym poślizgiem, za który przeproszono w krótkim liście, nadesłano niedoszłej pannie młodej album ze zdjęciami. Na okładce oni oboje przytuleni do siebie i sobotnia data, w środku fotograficzna pamiątka niedoszłego ślubu. Żart losu był w

stanie przebić się nawet przez psychotropy i zaowocował kolejną, szczęśliwie znowu nieudaną próbą samobójczą.

Mówię Wam, życie to świetny pisarz, ale prawdziwy skurwiel dla swych bohaterów.

Dedykuję: Miśkowi, Alex, a także mojej siostrze Jadzi i Mariuszowi – jej mężowi. Tym, którym się udało, udaje i udawać będzie...

ALBUM

Tego dnia, wiążąc krawat, Mirek był pewien, że robi to ostatni raz w życiu. Stał w przedpokoju swojego ciasnego, dwupokojowego mieszkanca przed lustrem ustawionym tak, że w odbiciu można było dostrzec wnętrze wąskiej sypialni. W radiu rozpoczął się właśnie popołudniowy blok przebojów i Lynard Skynard zaczął śpiewać o swojej ukochanej Alabamie. Mirek znał tę piosenkę, ale tym razem nie przyłączył się do chórków. Pospiesznie dokończył wiązanie krawata i sięgnął po marynarkę. Dzisiejsza wizyta u niedoszłych teściów była mu wyjątkowo nie na rękę, ale jakoś nie potrafił im odmówić. Zwłaszcza tego dnia...

Ostatni raz przejrzał się w lustrze, strzepnął z ramienia niewidzialny pyłek i spróbował się uśmiechnąć. Pomimo bladości i podkrążonych oczu wyglądał całkiem niezłe. Sprawiał być może wrażenie nieco przemęczonego, ale to nie było niczym niezwykłym u startującego w branży prawnika. Nie, jego wygląd zdecydowanie nie wzbudzał żadnych podejrzeń.

Przeszedł przez przedpokój i wkroczył do sypialni. Odkąd kilka dni temu pozbył się mebli, każde jego stąpienie na drewnianej podłodze, każdy głośniejszy oddech niósł się echem po ścianach, po czym wracał niczym głos przedrzeźniającego go ducha.

Mirek stanął na środku pokoju i podniósł leżącą na podłodze walizkę. Mimo że spakował do niej wyłącznie swoje ulubione rzeczy, była zaskakująco ciężka. Nie zdawał sobie sprawy, jak przywiązał się do niektórych przedmiotów. Ulubione koszulki – pamiątki z imprez, buty, na które wydał pół pierwszej wypłaty, trochę książek i komiksów, a wśród

nich prawdziwe białe kruki, jak zeszytowe wydania pierwszych „Spiritów” Eisnera czy „Swamp Thing” Moore’a bogatszy od ogólnie dostępnego o dwie strony. Miał nadzieję, że coś z tego sprawi komuś radość.

Zamknął oczy i wciągnął głęboko powietrze, jakby chciał zatrzymać zapach tego pokoju w sobie. Woń ulotną jak wspomnienia...

Potem odwrócił się i wyszedł z mieszkania.



– *If you don't know me by now* – śpiewał w radiu Mike Hucknall przy akompaniamencie chłopaków i dziewczyn z Simply Red – *you will never, never, never know me...*

Mirek skrzywił się.

„To zupełnie jak z zapominaniem – pomyślał. – Jeśli nie uda ci się po roku, nie uda ci się pewnie nigdy”.

Zmienił pas, a zaraz potem skręcił w wąską, jednokierunkową uliczkę. Zatrzymał się przed odrapaną bramą i wyłączył silnik. Otworzył drzwi.

– Hej, tu nie wolno stawać! – krzyknął krępy mężczyzna w granatowym fartuchu, stojący w głębi ogrodzonego podwórza, tuż pod czerwono-białą tabliczką z nazwą placówki. – Tarasuje pan wyjazd.

– Ja tylko na momencik. – Mirek obszedł samochód i otworzył bagażnik. – Już odjeżdżam.

– Momencik-srencik! – Gość w fartuchu, najpewniej dozorca, ruszył w stronę bramy. – To droga pożarowa do domu dziecka, koleś. W środku są dzieciaki. Co ty, kurwa, wyobraźni nie masz?

Mirek zamknął bagażnik i złapawszy za walizkę, podszedł do bramy. Pchnął ją lekko i stanął twarzą w twarz z krępym mężczyzną.

– Wiem, że są tu dzieciaki, i chciałem im to dać. – Postawił walizkę na ziemi. – Jest tam trochę oryginalnych rzeczy: komiksy, książki i cała masa prawie nowych koszulek. Powinny się ucieszyć.

Dozorca podrapał się po głowie wyraźnie zawstydzony.

– Dziękuję – powiedział, unikając wzroku niespodziewanego darczyńcy, którego przed chwilą objechał. – Przyda się im. Zwłaszcza komiksy. I ja naprawdę...

Mirek wyciągnął rękę.

– Nie ma o czym mówić – wszedł rozmówcy w zdanie, zamykając jego dłoń w swoich. – Odda pan walizkę?

– Jak pan chce, to może wjechać na...

– Dziękuję bardzo – Mirek kolejny raz wypróbował ćwiczony przed lustrem uśmiech – ale myślę, że innym razem. Dziś trochę mi się spieszy.

Uścisnął rękę dozorczy i wrócił do samochodu. Była za dwadzieścia piąta i wszystko wskazywało na to, że jednak się spóźni.



Państwo Ostaszewscy, choć formalnie jeszcze we Wrocławiu, tak naprawdę mieszkali już na wsi. Od miasta oddzielała ich dom linia autostrady i niewielki zagajnik. Nie dojeżdżał tam żaden autobus komunikacji miejskiej, a i sama droga pozostawiała wiele do życzenia. Pan Ostaszewski wraz z sąsiadem od co najmniej dwóch lat zastanawiali się,

czy nie powinni spróbować jej wykupić i wyremontować sami. Jeśli tego nie zrobili, to wyłącznie z powodu braku czasu, pieniędzy obaj mieli dosyć.

Mirek jak zwykle zaparkował zaraz przy zjeździe z głównej drogi, na niewielkiej polance. Szkoda mu było zawieszenia, by pchać się pod sam dom, a poza tym do tej pory jakoś nikt się nie połasił na jego zdezelowane punto. A nawet jeśli robi to dzisiaj, to krzyżyk na drogę! Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie zostawić pod osłoną przeciwsłoneczną papierów wozu, ale ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu – musiał przecież jeszcze jakoś wrócić do domu. Wysiadł i ruszył wzdłuż drogi.

Chociaż był spóźniony, nie potrafił się spieszyć. Zielona ściana drzew po jednej i po drugiej stronie, świergot ptaków i wszechobecny zapach lata sprawiały, że specjalnie zwalniał kroku, chcąc jak najdłużej cieszyć się tą chwilą.

„A może – rozległ się nieprzyjemny głos w jego głowie – wcale nie dlatego tak się wleciesz? Może po prostu odwlekasz spotkanie z nimi, bo wiesz, że do tej pory czytali w tobie jak w otwartej księdze. A co, jeśli cię przejrzą? Co, jeśli...”

Zamknął oczy i wciągnął zapach lasu. Dzień był stanowczo zbyt piękny na psucie go zmartwieniami. Zwłaszcza tak drobnymi. Poza tym kto jak kto, ale on potrafił udawać, że wszystko jest w porządku. Ćwiczył przecież codziennie... przez cały poprzedni rok.



Przełożył rękę nad furtką i odsunął zasuwkę. Rozległo się głośne ujadanie z za żywopłotu ciągnącego się wzdłuż zwirowej ścieżki. W chwilę

później krzaki zatrzęsły się, po czym wypadł zza nich srebrnoszary husky. Dopadł Mirka i zaczął lizać po wyciągniętej dłoni.

– Dobry Cujo... – Gość podrapał psa za uchem, wzrokiem mierząc dwupiętrowy domek Ostaszewskich. – Gdzie są twoi państwo?

Złapał się na tym, że jego spojrzenie odruchowo powędrowało w stronę okna na piętrze, do którego zdarzało mu się wspinać dla zabawy po bluszczu porastającym frontową ścianę budynku. Teraz, podobnie jak niemal każdego popołudnia ostatniego roku, okno było otwarte na oścież. Pani Ostaszewska, która powiedziała kiedyś, że nie pozwoli, by ten pokój umarł i zatęchł, tak właśnie dotrzymywała swojej obietnicy.

– Mirek, to ty? – Zza budynku wyłonił się gospodarz. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o wydatnym nosie i lekko cofniętym podbródku. Włosy, niegdyś czarne, teraz przetykały pasma siwizny, a obwisłe policzki i skóra na szyi mgliście przypominały o dawnym postawnym Ostaszewskim. Mirek pamiętał te czasy – był już wtedy w rodzinie.

Gospodarz podszedł do gościa i zanim uścisnął mu dłoń, starannie ją wytarł w fartuszek z napisem „Pocałuj kucharza”, który miał na sobie. Dostrzegł, że Mirek przygląda się napisowi.

– To nie do ciebie, synu! – roześmiał się. – Nawet o tym nie myśl.

– Ani mi to w głowie – odparł chłopak. – Choć raz, pamiętam, było to jak najbardziej do mnie. Nie pan był wtedy w środku.

Ta niby nieznacząca uwaga, która w głowie Mirka brzmiała jak miłe wspomnienie pogodzonego z losem, zawisła między nimi i obaj poczuli się niezręcznie. Ostaszewski odchrząknął.

– Małgorzata czeka na ciebie przy grillu z tyłu domu – powiedział. – Idź, ja zaraz dołączę.

Mirek skinął głową i ruszył wzdłuż ścieżki.



– No, nareszcie! – zawołała gospodyni, podnosząc się z leżaka. Ubrana była w zwiewną sukienkę w kwiaty, a na głowę nałożyła biały kapelusz. W komplecie z zasłaniającymi pół twarzy przyciemnianymi okularami przypominała trochę Brigitte Bardot.

Mirek podszedł do niej. Gdy się pochylił, by ucałować ją w policzek, poczuł słodki, delikatny i tak dobrze mu znany zapach wiosennych kwiatów. Niemal odskoczył.

– Ja, znaczy, przepraszam za spóźnienie... dopiero wróciłem z cmentarza – skłamał. W rzeczywistości nie potrafił się zebrać, by pójść tam dzisiaj. Czuł w sobie jakiś irracjonalny lęk, że wizyta na jej grobie odbierze mu pewność co do tego, co zamierzał zrobić.

Gospodyni pokiwała głową ze zrozumieniem.

– My byliśmy rano, zaraz po kościele. Może się poczęstujesz? – zaproponowała, wskazując na stół.

– Z przyjemnością – odparł Mirek, sięgając do patery z owocami. W rzeczywistości nie miał na nic ochoty. Ani na owoce, ani na stojące obok ciasta, a sama myśl o przygotowanych do grillowania kiełbaskach budziła w nim odruch wymiotny. Nie zamierzał jednak dodawać Ostaszewskim zmartwień. Obchodzona tego dnia rocznica sama w sobie była wystarczająco przygnębiająca.

Ugryzł trzymaną w ręce brzoskwinię.

– Kasi nie ma? – zapytał, czując, jak sok ścieka mu po brodzie. Niespiesznie sięgnął po papierowy ręcznik. – Liczyłem, że uda mi się zobaczyć prawdziwą licealistkę. Dzwoniłem do niej...

– Mówiła. – Gospodyni urwała kilka winogron ze sporej kiści i przełożyła je na deserowy talerzyk. – I też żałowała, że nie może się z tobą zobaczyć, ale później wytypowali ją do kadry i... sam rozumiesz. Pół wakacji na obozie treningowym.

Mirek pokiwał głową. Coś wiedział na temat sportowych predyspozycji Ostaszewskich, a ciągnące się w nieskończoność obozy, zgromadzenia i turnieje były swego czasu przyczyną wielu wywołanych przez niego kłótni.

– Mam tylko nadzieję, że zdąży choć trochę odpocząć.

Rozsunęły się szklane drzwi i na taras wszedł gospodarz. W jednej ręce trzymał tacę z zawiniętymi w folię pstrągami, a pod pachą drugiej niósł prostokątny pakunek owinięty w brązowy papier. Minął żonę i postawił tacę obok grilla. Pakunek położył na zrobionym z pniaka stołku.

– O czym to rozprawiacie? – zapytał. Jego głos brzmiał tak pogodnie i beztrudnie, że naprawdę trudno było uwierzyć, że tylko udaje.

– Pyta, co u Kaśki – wyjaśniła Ostaszewska, po czym znów zwróciła się do Mirka: – Poczęstuj się ciastem. To czekoladowe zrobiłam wedle przepisu z czerwonego zeszytu. Jest z dodatkiem chilli i smakuje naprawdę niezwykle.

„Wymazujemy z pamięci jej imię – pomyślał nagle Mirek i ta świadomość wydała mu się przerażająca. – Nikt z nas już go nie używa, a zamiast tego posługujemy się znanym tylko nam kodem: czerwony zeszyt, ktoś inny w fartuszku *Pocałuj kucharza...* Ciekawe, czy gdy są sami, mówią o niej *nasza starsza córka*. A może wymyślili coś innego...”

– Coś się stało, Mireczku?

– Wszystko w porządku. – Otrząsnął się z zamyślenia i posłał niedoszłej teściowej najlepszy uśmiech ze swojej kolekcji. Trochę smutny, ale nie za bardzo, by nie budził niepokoju. – Jadłem kiedyś to ciasto. Ewa uparła się,

że przygotuje coś słodkiego na wieczór filmowy. I rzeczywiście było przepyszne.

Widział, jak twarz gospodyni zmieniła się, gdy wymówił imię jej córki. Szybkim ruchem chwycił kawałek ciasta i nieco zbyt gwałtownie wpakował go sobie do ust.

– Relelaczjaaa – powiedział, mając nadzieję, że umorusany czekoladą wygląda choć odrobinę zabawnie. Przełknął i sięgnął po serwetkę. – Rewelacja, naprawdę. Jest szansa, bym załapał się na kilka kawałków na wynos?

– Pod warunkiem, że zjesz ładnie rybkę – odparł stanowczo gospodarz i cała trójka roześmiała się sztucznie.



Z każdą chwilą spotkanie coraz bardziej przypominało Mirkowi balansowanie na linie nad przepaścią. Żartowali, rozmawiali o książkach, filmach i polityce. Tu prym wiodła gospodyni prenumerująca chyba wszystkie możliwe pisma w Polsce z wyjątkiem erotyki i militariów. Mirek pochwalił się awansem, jakby miał w tym jakąś zasługę, a nie tylko był pierwszym na liście, gdy konkurencja podkupiła kolejnego fachowca. Ostaszewski z kolei rzucił anegdotę o pijanym kontrahencie z Irlandii, który przez pomyłkę wszedł do damskiej toalety i nasikał do umywalki na oczach zgorszonych kobiet.

Choć z pozoru wszystko wyglądało miło i naturalnie, w rzeczywistości jednak uważnie wazyli każde słowo, byle tylko nie wywoływać bolesnych skojarzeń. Nie spaść z tej cieniutkiej liny.

„Już niebawem nie będzie to mój problem – pomyślał Mirek z dziwnym spokojem, wycierając chlebem resztki musztardy z talerza. – Teraz wystarczy się tylko pożegnać i...”

– Mamy coś dla ciebie – usłyszał nagle głos Ostaszewskiego.

Wzdrygnął się niemal pewien, że gospodarz odczytał jego myśli.

Nagle poczuł, że jeśli chce utrzymać swoją tajemnicę, musi stąd natychmiast wyjść, wydostać się na drogę, a potem biegiem do samochodu... Stłumił w sobie odruch paniki.

– Ja naprawdę... – zaczął, ale wtedy gospodyni położyła na jego dłoni swoją i lekko ścisnęła. Ten gest mógł oznaczać wsparcie albo nakaz, by siedział cicho. Uznał, że chodzi raczej o to drugie.

Ostaszewski starannie wytarł ręce w fartuch, odchylił się i sięgnął po brązowy pakunek. Przez chwilę patrzył na niego, jakby liczył, że uda mu się spojrzeć przez papier, po czym podał gościowi.

– Znaleźliśmy to niedawno, segregując jej rzeczy – powiedziała gospodyni. Mówiła to takim tonem, jakby przyznawała się do nie wiedzieć jakiej zbrodni. – Myślę, że szykowała to jako prezent na twoje urodziny.

Mirek obrócił pakunek w rękach. Mogła to być równie dobrze ramka, co i klaser. Album? Był czas, że Ewa robiła całkiem niezłe zdjęcia...

– Co to takiego? – zapytał.

– Nie wiemy. – Ostaszewski wzruszył ramionami pozornie obojętnie, ale z jego oczu biła ciekawość. – Gdy to znaleźliśmy, było już tak zapakowane. Nakleiła na tym żółty papiórek z twoim imieniem.

„Papiórek – pomyślał Mirek, uśmiechając się pod nosem. – Teraz nareszcie wiem, skąd jej się to wzięło”. Zerknął na zegarek i westchnął ciężko. Wstał.

– Już idziesz? – zapytała gospodyni. – Posiedź jeszcze trochę, porozmawiamy.

„Tak, i zobaczymy, co też Ewa mi sprezentowała, co?” – pomyślał, choć wiedział, że to niesprawiedliwe. Czuł jednak wzrok gospodarza na trzymanym pod pachą pakunkiem. Pewnie teraz żałował, że nie zajrzał tam wcześniej.

– Mam na jutro masę do zrobienia. Panie Romanie! – Wyciągnął rękę do niedoszłego teścia, a ten uścisnął ją mocniej niż zwykle. Uśmiech Ostaszewskiego zupełnie nie pasował do źle skrywanej złości w spojrzeniu. Cóż, właśnie odbierano mu pamiątkę po utraconej córce. Prawdziwy skarb.

„A może sssskarb?” – rozległ się złośliwy głos w głowie Mirka, a wyobraźnia podsunęła mu obraz filmowego Golluma.

– Dam znać, jak znajdę wolną chwilkę – powiedział. – To może uda się nam jakoś spotkać albo co...

– Oczywiście – odparli gospodarze niemal równocześnie i Mirek wiedział już, że nie zadzwonią wcześniej niż za rok, by podtrzymać nowo powstały rytuał.

To pasowało mu bardziej, niż mogli przypuszczać.



Gdy dotarł do samochodu, brakowało kwadransa do dziewiątej, co oznaczało, że siedział u Ostaszewskich i tak dużo dłużej, niż planował. Trochę go korciło, by zajrzeć pod cienką warstwę brązowego papieru, obiecał sobie jednak, że rozpakuje prezent dopiero w domu. Nie chciał, by ktoś go zobaczył, jak siedzi w samochodzie przy drodze i ryczy w kierownicę. Położył więc pakunek na siedzenie pasażera i odpalił

samochód. Ruszył w stronę domu, dopiero po chwili przypominając sobie o światłach.



Strużka krwi między kartkami otwartej książki wygląda teraz jak wąska zakładka. Trójkątny odłamek szkła, podobny do sopła, wysunął się lekko z wygiętych oprawek stylowych okularów. Jasne włosy rozrzucone w nieładzie okalają zmasakrowaną twarz. Obleczone w zwiewną letnią sukienkę ciało, powyginane groteskowo i już nie tak piękne jak przed chwilą, wciąż podryguje w agonalnych spazmach, jakby w takt piosenki dobiegającej z głośników stojącej naprzeciw Galerii Dominikańskiej. Słysząc z nich właśnie – o ironio! – „Mrs. Robinson” Simona & Garfunkela, przy której kochali się po raz pierwszy...

Ktoś zatrąbił i Mirek odruchowo odbił na prawo, kołami wjeżdżając na pobocze. Zatrzymał samochód i włączył awaryjne. Następnie odchylił się w siedzeniu, zamknął oczy.

– Przecież nawet tego nie widziałeś, kretynie! – powiedział na głos. – Nie było cię, bo gdy to się stało, stałeś jak ten dureń na rynku pod pręgierzem.

Poczuł, że po policzkach ciekną mu łzy. Otarł je rękawem wściekły, że jednak nie udało mu się wytrzymać. Sięgnął do schowka i wydobył z niej zamkniętą paczkę papierosów. Zapalił jednego od samochodowej zapalniczki i mocno się zaciągnął. Zaczął kasłać i mało brakowało, a wymiotowałyby na siedzenie pasażera. Tylko leżący na nim pakunek sprawił, że z ogromnym wysiłkiem powstrzymał ten odruch.

Nie palił od pięciu lat, dokładnie od pierwszej rozmowy z Ewą. Dość dobitnie wyraziła się wówczas o palaczach, a on był już wtedy tak urzeczony jej przepięknym uśmiechem, że nie mógł zrobić nic innego, jak tylko cisnąć do kosza ledwie napoczętą paczkę. Ta w samochodowym schowku, podobnie jak druga, trzymana w dolnej szufladzie biurka, służyły wyłącznie do ćwiczenia siły woli. Teraz jedna z nich okazała się wybawieniem.

Mirek zaciągnął się jeszcze raz, zgniótł papierosa w popielniczce i sięgnął po pakunek. Skoro i tak już się popłakał...

Odwinął papier, a wtedy znalazł się twarzą w twarz z uśmiechniętym obliczem Ewy. Patrzyła na niego ze zdjęcia formatu B5 przyklejonego do okładki albumu. Uśmiechała się, pokazując dołeczki w policzkach i śnieżnobiałe zęby. Oczy zasłaniały jej okulary lustrzanki, dzięki którym, jeśli ktoś się przyjrzał, mógł dostrzec, kto zrobił zdjęcie.

Mirek nie musiał się przyglądać. Doskonale pamiętał ciepłe przedpołudnie na Sarniej Skałce, gdy słońce świeciło tylko dla nich. Tego dnia tatrzański szczyt wznosił się ponad kłęby białej mgły, dając złudzenie, że oto stoją na maleńkiej wyspie na oceanie chmur.

Wydawało się, że wystarczy jeden krok, by wstąpić na ten puszysty dywan i powędrować aż po skłębiony horyzont. Poczuć pod stopami wilgoć dojrzewającego deszczu i elektryzujące liźnięcia przyszłych błyskawic...

– Idziemy? – zapytała wtedy Ewa, a on gotów był rzucić wszystko i skoczyć w mgłę, byle tylko z nią.

Aparat uwiecznił tę właśnie chwilę. Ją z lekko przekrzywioną głową i jego skrytego w odbiciu lustrzanych okularów, upojonego miłością do tego stopnia, że przestały dlań istnieć granice tego, co niemożliwe.

– Kocham cię – szepnął, muskając palcem zdjęcie. A potem przewrócił stronę albumu.

Zdjęcia ułożone były chronologicznie i przedstawiały życie Ewy, od chwili gdy dumny ojciec wyniósł ją ze szpitala zawiniętą w bet i niezliczoną ilość koców.

Fotografie z pierwszych kąpieli, nieudolnych prób siadania i raczkowania, z pierwszych stawianych kroków, urodzin. Każde wydarzenie opisane w kilku słowach starannym, pochyłym pismem dziewczyny, a czasem opatrzone zabawnym komentarzem. Większość z nich mogła śmieszyć tylko ich dwoje, co potwierdzało, że album od początku przygotowywany był dla Mirka.

Mniej więcej od trzecich urodzin zaczęły się zdjęcia kolorowe. Na jednym z nich maleńka Ewa, siedząca na ozdobionym balonikami plastikowym krzeselku, przerwała pałaszowanie tortu, by spojrzeć wprost w obiektyw swoimi błękitnymi oczkami.

Mirek patrzył na umorusaną różowym kremem buzię, łapiąc się na tym, że myśli, jak wyglądałyby ich dzieci. Czy tak ślicznie jak mama? Czy byłyby tak radosne, a jednocześnie miałyby tak poważne spojrzenie? Czy spodobałyby im się bajki, które kiedyś w przypiływie bezsenności spisywał w zeszycie do trzeciej w nocy? Siedział wtedy przy biurku, a za oświetlenie miał wyłącznie księżyc w pełni. Uważał wówczas, że tajemniczość i mrok sprzyjają historiom pełnym magii.

Na buzię trzyletniej Ewy spadła kropla, zniekształcając jej dziecięcy uśmiech. Mirek błyskawicznie przetarł rękawem najpierw zdjęcie, a następnie oczy.

– Dosyć tego! – nakazał sobie, zamykając album. Po namyśle uznał jednak, że zobaczy, do jakiego etapu doszła Ewa ze swoimi wyklejankami.

Zaczął przeglądać fotografie od tyłu. Okazało się, że album jest od połowy pusty, jakby rzeczywiście był zaplanowany na przedstawienie

historii całego życia. Przygotowując go, Ewa nie mogła wiedzieć, że los ma wobec niej inne plany.

W końcu Mirek dotarł do ostatniego zdjęcia. Delikatnie chwycił pergamin oddzielający kartki, który akurat przy tej stronie przykleił się do fotografii. I wtedy właśnie ktoś zapukał w szybę jego samochodu.

Mirek aż podskoczył. Puścił album, błyskawicznie odwrócił się i spojrzął za okno. Stojący na zewnątrz policjant dał mu znak, by opuścić szybę.

– Panie kierowco, to nie miejsce na prasówkę. To droga szybkiego ruchu.

Mundurowy, młody chłopak z lekko odstającymi uszami i garbatym nosem, mówił wesoło i wyglądało, że jest w dobrym humorze.

Mirek przetarł oczy i pociągnął nosem.

– Coś mi tam strzeliło i samochód zaczął zwalniać – powiedział, wskazując palcem przed siebie, co miało oznaczać, że chodzi mu o silnik. – Wezwałem już pomoc drogową. A teraz tak sobie siedzę i czekam. Awaryjne mi działają, prawda?

– Działają – skinął głową policjant. Przez chwilę skubał dolną wargę. – Wie pan co? Może zajrzemy pod tę maskę. Znam się trochę na tym, a...

– Dziękuję – Mirek wszedł mu w zdanie. – Ci z pomocy już jadą i nie chciałbym, by pomyśleli, że zrobiłem ich w konia. Wolałbym nie znaleźć się na czarnej liście pomocy drogowej.

– Może i ma pan rację! – Gliniarz roześmiał się i wyprostował. – Jakby co, będziemy tędy przejeżdżać za jakiś czas. Zajrzę, gdyby pan jeszcze stał.

– Będę bardzo wdzięczny.

Policjant przecesał kciukiem wąsy i mrugnął.

– I żadnego złego słowa o drogówce, jasne?

– Żadnego – obiecał Mirek, mimowolnie się uśmiechając. Całe to spotkanie wydało mu się jakieś surrealistyczne. Miła drogówka? Zjawisko porównywalne do spotkania z UFO czy trafienie na ślad yeti.

– *Miracles are everywhere it's up to you so take good care* – zanucił, patrząc w lusterko, jak policjant wsiada do radiowozu, mówi coś do partnera i po chwili rusza, przyskajac żwirem spod kół. – *Never change the way you feel, cause soon you are for real.*

Nie wiedział, skąd przypałała mu się ta właśnie piosenka. Może dlatego, że Ewa śpiewała ją, ilekroć przydarzało im się coś dziwnego.

Poprawił ułożenie albumu na kolanach i delikatnie zaczął odklejać upartą folię. W końcu spojrział na fotografię i... zamarł. Zdjęcie przedstawiało jego stojącego pod wrocławskim pręgierzem. Data w rogu zdjęcia nie pozostawiała wątpliwości. To był dzień śmierci Ewy.

– Jakim cudem?! – zawołał na głos. – Jak to, kurwa, możliwe...

Reszty nie był już w stanie wypowiedzieć, ale natrętne myśli nie umilkły.

„Jak to, kurwa, możliwe, przecież leżałaś już wtedy na przejściu, martwa! W jaki sposób...”

Przyszło mu do głowy, że Ewa zrobiła to zdjęcie gdzieś z ukrycia, a potem pobiegła szybko w stronę Galerii Dominikańskiej. Może chciała je tam wywołać albo co? Może to był powód jej spóźnienia? Tylko jak w takim razie? Jakim cholernym cudem to zdjęcie znalazło się w tym albumie?

Miracles are everywhere – cuda są wszędzie.

– Ostaszewscy – stwierdził w końcu, by się przekonać, czy to podejrzenie wypowiedziane na głos brzmi równie prawdopodobnie.

Brzmiało. To z pewnością oni wywołali zdjęcia z aparatu córki, a znalazłszy album, uznali, że to ostatnie będzie doskonale pasować. Tak

musiało być, bo jedynie ostatnia fotografia nie miała podpisu.

Obok śmignęła ogromna ciężarówka i samochód aż zadrżał. Palec Mirka, wodzący wokół zdjęcia, dotknął pręgierza. I w tej samej chwili świat stracił kontury. Mirkowi zrobiło się słabo.



Ciepłe powietrze buchnęło mu w twarz, jakby właśnie zajrzał do rozgrzanego pieca. Wokół panował gwar dziesiątek rozmów, spośród których wybijały się pojedyncze krzyki, odległy dźwięk trąbki i rytmiczne łomotanie bębnów. Mirek otworzył oczy. Przed sobą miał wrocławskiego McDonalda, który – jak zawsze w ładne dni – ściągnął całe pielgrzymki rodzin spragnionych lodów i shake'ów. Przy wejściu stała na stołeczku Biała Dama, szczerząc się do turystów i wymachując papierową różyczką. Jak zwykle otaczał ją wianuszek dzieciaków.

„Czy ja śnię?” – pomyślał zaskoczony Mirek, rozglądając się w zdumieniu dookoła.

Choć zdawało się to jedynym rozsądnym wyjaśnieniem, jeszcze nigdy żaden jego sen nie był tak realny. Czuł ciepło na twarzy, swędziało go obuta w trampki stopa, a afrykańskie rytmy dobiegające zza pleców sprawiały, że mimowolnie uderzał w takt ręką o spodnie.

I wtedy właśnie – czy to za sprawą głośniejszego dźwięku trąbki, który przestraszył siedzące na parapetach gołębie, czy też doznając *déjà vu* na widok którejś z przechodzących osób – zdał sobie sprawę, gdzie, a raczej kiedy jest. Właśnie tu i właśnie teraz czekał na Ewę po raz ostatni.

Zerknął na zegarek. Nie wiedział, o której dokładnie nastąpił wypadek, ale do chwili umówionego spotkania zostało jeszcze niespełna dziesięć minut. Jeżeli dobrze przypuszczał, a Bóg świadkiem, że analizował tę sytuację na wszystkie możliwe sposoby, powinna dojechać tramwajem piątką za jakieś trzy minuty do przystanku na placu. Coś musiało ją tam zatrzymać dłużej niż pozostałych pasażerów spieszących ku galerii, i to na tyle długo, by zdążyła minąć przynajmniej jedna zmiana świateł. Przy dobrym układzie dawało to około minuty do dwóch, przy złym ledwie parę sekund... ale i tak istniała szansa.

„Gdyby tylko miała dziś ze sobą ten cholerny telefon!” – pomyślał, rzucając się biegiem wzdłuż Oławskiej.

Nigdy nie był szczególnie szybki ani wytrzymały. Ewa nieraz śmiała się, że nie jest w stanie dotrzymać jej kroku podczas porannych przebieżek, które zbyt często musiały im zastąpić wieczorne spacerki. Odpowiadał wtedy, że specjalnie udaje zmęczonego, by pogapić się na jej tyłek. W rzeczywistości jednak długoletnie palenie zrobiło swoje i zazwyczaj już po kilkuset metrach dostawał solidnej zadyszki.

Tym razem jednak było inaczej. Z zaciśniętymi zębami, lekceważąc kłucie w boku i kamyk, który wśliznął mu się do trampka, biegł najszybciej jak tylko potrafił. Starał się nie myśleć o niczym, uważał tylko, by nie wpaść na kogoś, nie dać się spowolnić nawet na chwilę.

Przed nim z saloniku z militariami wylała się grupa podrostków, na oko dwunasto-, trzynastolatków. Chłopcy dyskutowali zawzięcie, a jeden z nich chwalił się trzymaną w ręce repliką glocka.

– Z drogi! – krzyknął Mirek, nie zwalniając, ale oczywiście nikt go nie posłuchał. O wyminięciu dzieciaków nie mogło być mowy, bo przelewająca się po jego prawej stronie rzeka spacerujących zablokowałaby

go na amen. Układając ręce jak przed skokiem do wody, by łatwiej mu było rozsunąć chłopców na boki, wpadł pomiędzy nich.

Ktoś krzyknął, któryś z dzieciaków poleciał na drzwi sklepu i rozbił sobie wargę. Zabawkowy pistolet upadł na ziemię prosto pod stopy nadchodzącej dziewczyny chichoczącej do telefonu.

Starszy mężczyzna w kraciastej marynarce, widząc całe zdarzenie, zawołał coś i pogroził Mirkowi pięścią. To jednak nie było ważne, teraz liczył się tylko bieg, liczba kroków przebyta pomiędzy kolejnymi oddechami, odległość dzieląca go jeszcze od feralnego przystanku.

Wypadł pomiędzy budynków, mając teraz po lewej rozkopany plac budowy, a po prawej i przed sobą wolną przestrzeń placu Grunwaldzkiego. Z tego miejsca widział już doskonale nadjeżdżający tramwaj, który lada chwila miał się zatrzymać na przystanku.

– Nie zdążę! – jęknął rozpaczliwie, ale się nie zatrzymał. Przeciwnie, siłą woli zmusił mięśnie do jeszcze większego wysiłku. Przyspieszył. Minął obściskującą się parę i odepchnął na bok zagrządzającego mu drogę nastolatka z jamnikiem na rozciągalnej smyczy. Dopadł schodów do podziemnego przejścia i pognął w dół, przeskakując po dwa stopnie.

Nieszczęśliwie na ostatnim leżał upuszczony plik ulotek reklamujących imprezę techno. Śliskie, połyskliwe kartki rozjechały się pod stopą Mirka. Chłopak zamachał rękami i poleciał do tyłu, uderzając głową o schody.

Pociemniało mu przed oczami, usłyszał też suchy trzask podobny do dźwięku łamanej gałązki. W ustach poczuł metaliczny smak krwi.

Ktoś dopadł do niego i w kółko pytał, czy nic mu nie jest. Mirek z trudem potrząsnął głową, wyciągając przed siebie rękę. W ustach czuł potworne pieczenie, a gdy się poruszył, ból w tyle głowy niemal odebrał mu przytomność.

Stojący nad nim chłopak, którego Mirek widział w tej chwili jakby zza ociekającej deszczem szyby, podał mu rękę i pomógł wstać. Jakaś kobieta zauważyła, że właściwie to nie powinno się ruszać człowieka po takim wypadku i lepiej poczekać na pogotowie, ale nikt jej nie słuchał. Mirek wyswobodził się z uścisku chłopaka i zaciskając zęby z bólu, kulejąc, ruszył do przodu. Tramwaj z pewnością już dojechał i teraz pozostawało tylko mieć nadzieję, że w grę wchodził dłuższy wariant i że Ewa chwilę jednak stała na przystanku.

Splunął krwią pod nogi i rękawem otarł nitkę czerwonej śliny, która przywarła mu do brody. Musiał wyglądać odrażająco, ale bardzo dobrze, bo teraz ludzie rozstępowali się przed nim jak przed zadżumionym. Jeszcze tylko kilka kroków do schodów, potem parę stopni i ulica. Już niedaleko... Uwiesił się poręczy i omal nie zemdleł z powodu kolejnej fali bólu. Schodząca kobieta w szarym kostiumie wzdrygnęła się i powiedziała coś o obrzydliwych narkomanach, których Bóg pokarze. Mirek kolejny raz splunął i z wysiłkiem zaczął iść w górę po schodach, kurczowo trzymając się poręczy. Krok po krocisku, z sercem łomoczącym w piersi i potwornie pulsującą, jakby za małą czaszką. Dwa razy źle postawił nogę i zjechał niżej, ale zaraz, klnąc i modląc się na przemian, nadrabiał to wzmożonym wysiłkiem.

Wynurzywszy się z tunelu, odwrócił głowę w stronę przystanku i... wtedy ją dostrzegł. Mimo wszystko nie spodziewał się, że jeszcze kiedykolwiek ujrzy Ewę żywą, i widok ten sprawił, że nagle opadła go fala wzruszenia. Patrzył, jak jego ukochana stoi na jednej nodze, wsparta o murek, w dłoni trzymając but i majstrując coś przy obcasie. Akurat światło w sygnalizacji zmieniło się na zielone i tłum pasażerów ruszył w stronę Galerii.

– Ełłaaaa! – zawołał Mirek najgłośniej i tak wyraźnie, jak tylko pozwolił mu nadgryziony język. Wyglądało na to, że zwrócił uwagę wszystkich wokół, tylko nie jej, więc krzyknął ponownie.

I wtedy podniosła głowę, i zobaczyła go. Uśmiechnęła się, zamachała ręką z butem, po czym włożywszy go, pospiesznie ruszyła w jego stronę na wciąż migającym zielonym. Mirek wstrzymał oddech i... reszta wydarzeń potoczyła się dla niego jakby w zwolnionym tempie. Kątem oka dostrzegł małego chłopca wybiegającego prosto pod koła pędzącej czerwonej beemwicy. Kierowca odruchowo odbił w prawo, wóz otarł się o murek, z pełną prędkością przemknął tam, gdzie jeszcze przed chwilą stała dziewczyna, niemal przeleciał nad chodnikiem, wreszcie uderzył w słup. Jeszcze kilka metrów i spowodowałby karambol, wbijając się na środek skrzyżowania.

Dziewczyna zamarła sparaliżowana strachem i tępo patrzyła na tył samochodu. Światła zdążyły się już zmienić i ktoś zatrąbił na nią, ale nawet nie drgnęła. Dopiero gdy jakaś kobieta podbiegła do niej i chwyciła ją za rękę, Ewa dała się poprowadzić.

Mirek chciał podejść do ukochanej, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zdążył uchwycić się barierki, ale osiągnął tylko tyle, że zamiast upaść, osunął się wzdłuż ściany. Zabrakło mu tchu, a wokół zapanowała ciemność.



Ocknął się w samochodzie przekonany, że właśnie obudził się ze snu. Jednak wciąż bolał go tył głowy, a w ustach piekł napęczniały język.

„Ktoś we mnie stuknął – pomyślał. – Miałem właśnie wypadek i straciłem przytomność. Stąd to wszy...”

Zamrugał gwałtownie i przetarł dłonią oczy. Nie dowierzając własnym zmysłom, raz jeszcze spojrzął na trzymany na kolanach album.

Jakimś cudem zniknął ze zdjęcia spod pręgierza.

– To niemożliwe – powiedział tylko po to, by usłyszeć własny głos. – Takie rzeczy się nie dzieją.

Złapał za korbkę od okna, licząc, że świeże powietrze poradzi sobie z omamami. Gdy poczuł na twarzy powiew, ponownie spojrzął na zdjęcie. Wciąż go na nim nie było. Wiedziony odruchem odwrócił stronę i spojrzął na poprzednio pustą kartkę. Teraz znajdowało się tam ich wspólne zdjęcie, jego i Ewy, gdy siedzieli przytuleni i szczęśliwi w bliżej nieokreślonym, ale jak głosił podpis, krakowskim lokalu. Za oknem na płocie wisiały plakaty z kampanii prezydenckiej, która miała miejsce nieco ponad miesiąc po śmierci Ewy. Te na zdjęciu były już zniszczone i częściowo zaklejone, co znaczyło, że wybory dawno się odbyły...

„A ona jest na zdjęciu – odezwał się podniecony głos w jego głowie. – To oznacza, że ją uratowałeś. Ona żyje!”

– Bzdura – powiedział na głos. – To niemożliwe.

Ale zdjęcie wciąż znajdowało się w albumie, zaprzeczając tym słowom. Ewa, przytulona i wciąż żywa, uśmiechała się do obiektywu. Miała co prawda krótsze włosy niż w dniu wypadku (od dawna zapowiadała, że je skróci), ale poza tym nie zmieniła się nic.

Mirek rzucił album na siedzenie pasażera i z piskiem opon ruszył w stronę domu.



Wpadł do mieszkania, ściskając pod pachą album. Drząc z podniecenia, sprawdził każdy pokój, szukając jakiegokolwiek znaku obecności ukochanej: pozostawionej apaszki, zeszytu, może szminki. Wszedł do łazienki, starając się nie patrzeć na wymoszczoną folią wannę, i zerknął na półeczkę nad umywalką. W plastikowym kubeczku stała wciąż jeszcze niesprzątnięta szczoteczka do zębów i pasta. Obok na oryginalnym papierku leżało mydło. Żadnych śladów obecności Ewy.

Mirek zrezygnowany usiadł na brzegu wanny. Folia pod jego pośladkami zaszeleściła, zadrżały przygotowane w kącie żyletki. Otworzył album, by raz jeszcze spojrzeć na zdjęcie. Tym razem obok pojawiło się jeszcze jedno. Przedstawiało twarz Ewy częściowo zasłoniętą przez wyciągniętą w stronę obiektywu rękę. Dłoń zwrócona była nie wnętrzem, jakby dziewczyna próbowała się zasłonić, ale wręcz przeciwnie – prezentując wierzch dłoni, eksponowała znajdujący się na palcu pierścionek z szeregiem niebieskich cyrkonii. Podpis głosił. „Zaręczyny”: Pod spodem wpisana była aktualna data.

W oczach Mirka zebrały się łzy. Zazdrościł samemu sobie, temu unieruchomionemu na zdjęciach.

Pogładził ostatnią fotografię i zamknąwszy album, położył go na pralce. Przez chwilę wpatrywał się w żyletki, po czym wstał, zebrał je do pudełeczka i umieścił na szafce koło plastikowego kubeczka i mydła. Następnie zabrał się do zwijania folii.

„To zawsze może poczekać” – pomyślał. A w tej chwili jedyne, czego chciał, to zobaczyć Ewę w sukni ślubnej...